

Michael  
Dobbs

*Domek z kart*



«Książnica»



85 000

8-5-0

Michael  
**Dobbs**  
*Domek z kart*

Powieść o mechanizmach i żądzy władzy.

Francis Urquhart, czołowa postać klubu parlamentarnego  
partii rządzącej w Wielkiej Brytanii,  
pragnie tylko jednego: WŁADZY.

Dąży do niej, nie bacząc na nic, w myśl zasady: cel uświęca środki.

Na trop jego nikczemnych matactw i intryg natrafia  
ambitna i przebojowa dziennikarka, Mattie Storin, i postanawia  
wydobyć je na światło dzienne.

Okazuje się to trudniejsze, niż przypuszczała.

Urquhart bowiem cieszy się poparciem wielu wpływowych osobistości.

Wtedy Mattie uznymia sobie, jaką naiwnością było sądzić,  
że prasa, „czwarta władza”, jest niezależna od władzy politycznej.

Czy mimo wszystko wierna etyce zawodowej dziennikarka  
potrafi się jej przeciwstawić?



ISBN 83-85348-71-9 (opr. twarda)

ISBN 83-85348-91-3 (broszura)

*Michael*  
*DOBBS*

*Domek z kart*

Przełożył z angielskiego  
Jacek Makojnik

*Wydawnictwo „Książnica”*

Tytuł oryginału *House of Cards*

opracowanie graficzne

*Marek J. Piwko*

© Michael Dobbs 1989

For the Polish edition

© by Wydawnictwo „Książnica”,

Katowice 1994

ISBN 83-85348-71-9 (opr, twarda)

ISBN 83-85348-91-3 (broszura)

Wydawnictwo „Książnica” sp, z o.o.

Katowice 1994

Wydanie pierwsze

Skład i łamanie:

Z.U. „Studio P” Katowice

Drukowała:

Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza

Cieszyn,

ul. Pokoju 1

Część pierwsza

TASOWANIE

## CZWARTEK, 10 CZERWCA

Zdawało się, że zaledwie przed chwilą zamknęła oczy, a już poranne promienie słońca zakradły się zza zasłony i rozbłysnąwszy na poduszce, zaczęły ją budzić. Oburzona tym nagłym najściem przewróciła się na drugi bok. Przez ostatnie parę tygodni, na które składały się dni kiepsko strawionych przekąsek i źle przespane noce, dostała ostro w kość; miotając się pomiędzy nieprzekraczalnymi terminami narzucanymi jej przez redaktora naczelnego, czuła się straszliwie skatowana.

Otuliła się szczerze kołdrą, ponieważ nawet w blasku porannego letniego słońca odczuwała chłód. Było tak od blisko roku, to znaczy odkąd wyjechała z Yorkshire. Miała nadzieję zostawić za sobą całe cierpienie, rzuciło ono jednak długi zimny cień, który zdawał się towarzyszyć jej wszędzie, szczególnie w łóżku. Zadrzała i ukryła twarz w zmiętej poduszce.

Starła się podejść do sprawy filozoficznie. W końcu pozbyła się wreszcie rozterek sercowych mogących ją powstrzymać albo przynajmniej rozproszyć i pozostało jej tylko przekonać się, co należy zrobić aby zostać najlepszym komentatorem politycznym w tym męsko-szowinistycznym świecie. Tylko że cholernie ciężko jest filozofować, gdy ma się przemarznięte stopy.

Pomyślała jednak, że dla niej, jako samotnej dziewczyny, seks okazał się świetnym kursem przygotowawczym przed wejściem w świat polityki, gdzie także trzeba uważać, by nie dać się uwieść uśmiechowi, szeptanym tajemnicom, nieustannym uroczystym zapewnieniom lojalności i oddania, które na krótką chwilę tuszują zuchwałość, przesadę oraz piętżące się drobne

oszustwa, w efekcie pozostawiające po sobie tylko wyrzuty i w końcu gorycz.

A w ciągu ostatnich paru tygodni złożono jej więcej bezczelnych i pustych obietnic, niż kiedykolwiek od... no cóż, od wyjazdu z Yorkshire. Wróciły bolesne wspomnienia, zaś otaczający ją w łóżku chłód stał się po prostu nie do zniesienia.

Z ponurym westchnieniem Mattie Storin odrzuciła kołdrę i wygramoliła się z łóżka.

Kiedy na czerwcowym niebie pojawiły się pierwsze zwiastuny zmiarchy, cztery zestawy świetlówek HMI zapaliły się z głuchym trzaskiem i oświetliły budynek całą swą potężną mocą dziesięciu tysięcy watów. Padające z pseudogregorianiskiej fasady snopy światła zakreśliły wielki okrąg, rozjaśniając każdy zakamarek na zewnątrz i drażniąc tych, którzy znajdowali się wewnątrz. W oknie na trzecim piętrze zafalowała zasłona. Ktoś rzucił okiem na dwór i natychmiast się cofnął.

Także ćma dostrzegła reflektory. Dotąd odpoczywała w szczelinie w ścianie, cierpliwie czekając na nadejście zmroku, lecz gdy promienie światła przebiły się przez jej senność, zadrżała z podniecenia.

Lampy lśniły tak intensywnie i zachęcająco, jak nic, co do tej pory poznała. Gdy ich promienie rozgrzały wieczorne powietrze, rozpostarła skrzydła. Przyciągana niczym przez magnes, zbliżała się do reflektorów, których światło stawało się coraz intensywniejsze i bardziej hipnotyzujące. Nigdy dotąd nie czuła czegoś równie wspaniałego. Ten blask był równy blaskowi słońca, tyle że znacznie bardziej dostępny.

Jej skrzydła wyprężyły się jeszcze mocniej we wczesnowieczornym powietrzu, wiodąc ją wzdłuż złocistej rzeki światła, będącego źródłem niewyobrażalnej siły, która zdawała się wciągać nie stawiając żadnego oporu ćmie jeszcze głębiej w swe objęcia. Była coraz bliżej i wreszcie ostatnim triumfalnym rzutem całego ciała osiągnęła cel!

Coś błysnęło i rozległ się suchy trzask, kiedy ciało ćmy uderzyło w soczewkę, na tysięczną część sekundy przed tym, jak skrzydła przykleiły się do rozgrzanego szkła i wyparowały. Zwęglone poczerniałe szczątki spadły na ziemię. Noc pochłonęła pierwszą ze swych ofiar.

Młoda sierżant policji zakłęła, potknąwszy się o jeden z ciężkich kabli. Elektryk spojrział w przeciwnym kierunku. W końcu gdzie, do diabła, miał ukryć te długie kilometry przewodów obiegających teraz plac? Pełen uroku, zaprojektowany przez Wrena kościół Świętego Jana spoglądał w dół z wyraźną dezaprobatą. Dosłownie czuło się, że chciałby strząsnąć z siebie rosnący tłum techników i gapiów, który przywarł do jego podstawy. Wskazówki zabytkowego zegara już dawno zastygły w bezruchu na dwunastej, jakby kościół pragnął zatrzymać czas i zapobiec wtargnięciu nowoczesności. Lecz tłum, niczym zgraja szukających łupu pogan, kłębił się dookoła z coraz większą energią.

Tymczasem nad czterema strzelistymi wieżami z piaskowca zmierzch powoli rozsnuwał swe smugi. Jednakże daleko było jeszcze do końca dnia i miało minąć wiele godzin, zanim codzienna elegancja Smith Square wydo stanie się na nowo spod stosów śmieci i pustych butelek.

Nieliczni pozostali na placu mieszkańcy patrzyli na zniszczenia dokonane podczas kampanii i wznosili ciche modlitwy, by to wszystko wreszcie się skończyło. Chwała Bogu, że wybory odbywają się tylko raz na trzy, cztery lata.

Wysoko nad placem, w przenośnej kabinie umieszczonej chwilowo na dachu centrali Partii Konserwatywnej, wywiadowcy z Wydziału Specjalnego korzystali z chwil względnego spokoju, który zawdzięczali temu, że czołowi politycy podejmowali ostatnie wysiłki w swoich okręgach wyborczych. W kącie zawiązało się kółko pokerowe, inspektor jednak nie przyłączył się do niego. Znał lepsze sposoby wydawania pieniędzy. Przez całe popołudnie rozmyślał o pewnej policjantce z drogówki Scotland Yardu — na służbie straszliwej formalistce, która po pracy przeistaczała się w wiecznie niezaspokojoną kochankę. Od czasu gdy prawie miesiąc wcześniej rozpoczęła się kampania, inspektor ani razu nie widział się z żoną. Lecz z policjantką również nie. Teraz zbliżał się jego pierwszy wolny weekend i musiał dokonać wyboru pomiędzy wdziękami kochanki a rosnącą podejrzliwością żony. Wiedział, że mu nie uwierzy, jeśli jej oznajmi, że także podczas tego weekendu będzie miał służbę, i całe popołudnie spędził na rozmyślaniach, czy go to jeszcze w ogóle obchodzi.



Zaklął pod nosem, wsłuchawszy się w sprzeczne głosy w swym wnętrzu, próbujące przeciągnąć go na swoją stronę. Wszystko na nic. Pewność którą okazywał w obliczu komisji mających zadecydować o jego awansie, nagle po prostu go opuściła. Będzie więc musiał zrobić to co zawsze w tego typu sytuacjach — zdać się na karty.

Nie zwracając uwagi na drwiny kółka pokerowego, wyjął talię kart i zaczął powoli budować podstawę domku. Nigdy dotąd nie udało mu się przekroczyć szóstego piętra. Zdecydował, że jeśli teraz zdoła zbudować siódme, spędzi weekend z kochanką i do diabła z konsekwencjami.

Postanowił pomóc losowi i wzmocnił podstawę podwójną warstwą kart. Wiedział, że to oczywiście oszustwo, ale czy w końcu nie chodziło właśnie o to? Zapalił papierosa, chcąc uspokoić nerwy, ponieważ jednak dym zaszczytał go w oczy, zdecydował się w zamian na filizankę kawy. Był to błąd. Gdy silna dawka kofeiny zaatakowała jego żołądek, poczuł lekki skurcz, który tylko spotęgował napięcie. W efekcie karty zaczęły drżeć mu w ręce.

Powoli i ostrożnie, aby nie zniszczyć wznoszącej się budowli, wstał, podszedł do drzwi kabiny, wyjrzał na zewnątrz i zaczerpnął głęboki haust wieczornego powietrza. Dachy domów lśniły skąpane w czerwonym blasku zachodzącego słońca. Inspektor wyobraził sobie, że jest na jakiejś wyspie na Pacyfiku, sam na sam z namiętą policjantką i bajecznym zapasem lodowatego piwa. Od razu poczuł się lepiej i pełen świeżej determinacji powrócił do kart.

Bez żadnego wysiłku stawiał kolejne piętra. Doszedł już do szóstego, a więc wyrównał swój rekord, po czym natychmiast, by nie wypaść z rytmu, przystąpił do ustawiania siódmego. Jeszcze tylko dwie karty — a więc prawie się udało! Lecz gdy przedostatnia karta znalazła się zaledwie centymetr od szczytu wieży, dłoń inspektora ponownie zdrząła. Niech diabli wezmą kofeinę!

Z trzaskiem naciągnął stawy, aby rozluźnić palce, i ponownie chwycił kartę. Dla dodatkowego wzmocnienia zacisnął lewą dłoń na prawym nadgarstku, uniósł kartę i westchnął z ulgą, kiedy łagodnie spoczęła na szczycie piramidy. Została jeszcze tylko jedna, ale chociaż starał się ze wszystkich sił, nie potrafił opanować drżenia rąk. Wieża zmieniła się w wielki symbol falliczny; inspektor widział przed sobą tylko ciało kochanki i im bardziej

starał się nad sobą zapanować, tym silniej drżały jego ręce. Dłoń mu zdrętwiała i w ogóle przestał czuć kartę. Przeklinał Przeznaczenie, a jednocześnie błagał je o jeszcze jedną, ostatnią przysługę. Głęboko odetchnął, ustawił drżącą kartę pół centymetra ponad wieżę i starając się nie patrzeć, puścił ją. Upadła dokładnie tam, gdzie miała upaść.

Przeznaczenie miało wszakże inne plany. Kiedy przyglądał się, jak ostatnia karta wieńczy jego dzieło, pierwszy powiew chłodnej wieczornej bryzy przemknął nad Smith Square, musnął delikatnie wysokie wieże kościoła Świętego Jana i przez drzwi, które inspektor zostawił otwarte, wleciał do kabiny. Trącił lekko domek z kart, a ten najpierw zadrżał, potem zawirował, w końcu runął na stół z hukiem, który zagłuszył wewnętrzny okrzyk triumfu inspektora i odbił się w jego głowie echem tak potężnym, jakby domek zbudowany był z cegiel i stali.

Przez kilka chwil inspektor patrzył na ruiny swego weekendu, próbując sam siebie przekonać, że domek jednak stał, choć trwało to zaledwie ułamek sekundy. Może i tak, ale wiedział, że teraz decyzja ponownie należy do niego. Ogarnęło go straszne przygnębienie.

Kres jego rozpaczki oraz kolejnej partyjce pokera położyło nagle trzeszczenie stojącego w kącie radia. Prezes partii po złożeniu wizyty oddziałom znajdującym się na pierwszej linii frontu wracał do kwatery głównej, a już wkrótce mieli do niego dołączyć inni czołowi politycy. Tym samym dla oficerów ochrony zaczynała się długa i pracowita noc. Kolegom inspektora zostało jeszcze tylko założyć się o to, których ministrów będą w następnym tygodniu w dalszym ciągu chronić, a którzy trafią na olbrzymi śmietnik historii.

Czcigodny Francis Ewan Urquhart miał już dość. Posada ministra dawała mu wiele przyjemności, ale to z całą pewnością nie była jedna z nich. Wciśnięty w kąt niewielkiego dusznego salonu, opierał się o niezwykle chwiejną stojącą lampę w stylu lat pięćdziesiątych. Mimo usilnych starań nie zdołał umknąć przed zastępami starszych kobiet, które podwoiły liczbę pracowników wyborczych i teraz, tłocząc się dookoła niego, z dumą opowiadały o swych osiągnięciach i zdartych zelówkach. Zastanawiało go, dlaczego tak się tym wszystkim przejmują. Byli w końcu w bogatym podmiejskim

Surrey, gdzie na każdym niemal podjeździe stoi drogi range rover, którego koła mają kontakt z błotem jedynie w piątce, podczas szpanerskich przejażdżek po okolicznych łąkach. Przewaga Partii Konserwatywnej jest tam tak miażdżąca, że zamiast liczyć głosy, można by je z czystym sumieniem ważyć.

W swym okręgu wyborczym Urquhart nigdy nie czuł się jak u siebie, lecz przeciż w gruncie rzeczy już od dawna nie czuł się tak nigdzie, nawet w rodzinnej Szkocji. Jako dziecko uwielbiał przemierzać wrzosowiska Pertshire, towarzyszyć staremu łowczemu na polowaniach, leżeć godzinami w wilgotnym torfie wśród słodko pachnących paproci i czekać na pojawienie się odpowiedniego kozła. Wyobrażał sobie wtedy, że w płytkich okopach Dunkierki jego brat tak samo wyczekuje pojawienia się niemieckich czołgów. Jednakże szkockie wrzosowiska i rodzinne posiadłości nie mogły zaspokoić jego wciąż rosnącego apetytu na władzę, więc w końcu zmuszony był sprawić wszystkim zawód i odrzucić rodzinne obowiązki, które spadły na niego, gdy brat nie wrócił z wojny.

To spowodowało, że wśród gniewu i wymówek całej rodziny sprzedał posiadłości, nie będące w stanie zapewnić mu życia na odpowiednim poziomie, a tym bardziej bezpiecznej większości podczas wyborów, i w wieku trzydziestu dziewięciu lat przeniósł się na politycznie pewniejsze pola Westminsteru oraz Surrey. Jego stary ojciec, który oczekiwał, że jedyny ocalały syn poświęci się obowiązkom rodzinnym tak jak niegdyś on, a wcześniej jego ojciec, nigdy więcej nie odezwał się do Francisca. Niewybaczalnym grzechem byłaby zapewne zamiana rodzinnych posiadłości na całą Szkocję, a co dopiero na jakieś Surrey!

Urquhart w żaden sposób nie potrafił znaleźć przyjemności w pogaduszkach z wyborcami, dlatego wraz z upływem czasu jego nastrój coraz bardziej się psuł. Była to chyba osiemnasta sala konferencyjna, którą tego dnia odwiedził, toteż jego poranny uśmiech już dawno przemienił się w sztywny grymas. Zostało zaledwie czterdzieści minut do zamknięcia lokali wyborczych i koszula Urquharta dokładnie przesiąknęła potem. Wiedział, że popełnił błąd, zakładając nowy garnitur z Saville Row zamiast któregoś starszego; temu już żadne prasowanie nie przywróci pierwotnego fasonu.

Francis Urquhart był zmęczony i zaczął tracić cierpliwość.

Ostatnio rzadko bywał w okręgu wyborczym, a im mniej czasu poświęcał swym wymagającym wyborcom, tym bardziej malała jego sympatia do nich. Podróże na pełne zieleni przedmieścia, tak krótkie i przyjemne, kiedy udawał się na swe pierwsze spotkania przedwyborcze, dłużyły się coraz bardziej, w miarę jak pisał się po szczeblach politycznej kariery — z tylnych ław w Izbie Gmin poprzez niższe stołki ministerialne aż do stanowiska Chief Whipa\* — jednego z dwudziestu paru najważniejszych w rządzie — gwarantującego wygodne biuro przy Downing Street 12, zaledwie kilka kroków od siedziby premiera.

\* Chief Whip (ang.) — „naczelnym naganiacz”, odpowiada za dyscyplinę we frakcji parlamentarnej partii. Chief Whip partii rządzącej jest ministrem i podlegają mu „młodszy naganiacze” (Junior Whips) biorący udział w pracach wszystkich ważniejszych ministerstw (przyp. tłum.).

Jednakże jego władza nie wynikała bezpośrednio ze sprawowanej funkcji, gdyż Chief Whip nie jest nawet pełnoprawnym członkiem gabinetu. Urquhart nie kierował ani ważnym ministerstwem, ani potężną machiną urzędniczą. Przypadła mu rola człowieka bez twarzy, harującego niemal bez przerwy za zaciągniętą kurtyną, nie wygłaszającego przemówień i prawie nie udzielającego wywiadów. Niecały jeden procent ankietowanych przez Instytut Gallupa orientował się, kim jest.

Chief Whip musi dbać o to, aby szczegóły jego działań nie wyszły nigdy na światło dzienne, ponieważ odpowiada za dyscyplinę frakcji parlamentarnej i zapewnienie obecności wszystkich posłów podczas ważnych głosowań. Oznacza to, że jest nie tylko ministrem najuważniej ze wszystkich obserwującym przebieg wypadków i znającym każdą tajemnicę rządu wcześniej niż reszta jego kolegów, lecz także — co ma mu dać możliwość zapewnienia stuprocentowej obecności posłów — orientującym się, gdzie każdy z nich przebywa w dzień i w nocy, z kim spiskuje, z kim sypia, czy będzie na tyle trzeźwy, by móc wziąć udział w głosowaniu, i czy przypadkiem nie ma jakichś osobistych problemów, które mogłyby mu utrudnić wykonywanie obowiązków parlamentarnych.

A w Westminsterze posiadanie takiej wiedzy oznacza władzę. Paru ministrów i znacznie więcej szeregowych członków frakcji parlamentarnej zawdzięcza możliwość kontynuowania swej kariery tylko i wyłącznie zręczności biura Whipa w rozwiązywaniu bądź tuszowaniu ich osobistych problemów. Często się zdarza, że rozczarowany poseł z tylnej ławy zaczyna na nowo popierać stanowisko rządu, kiedy przypomni mu się wcześniejsze potknięcia, które co prawda partia i Whip wybaczyli, lecz przecież o nich nie zapomnieli. Do niezwykłych rzadkości należy, by Chief Whip nie wiedział o jakimś mającym wybuchnąć skandalu rządowym. A ponieważ wie o wszystkim jako pierwszy, większość afer nigdy nie wychodzi na światło dzienne — chyba że akurat życzy sobie tego on albo któryś z podległych mu pracowników.

Urquharta gwałtownie sprowadziła na ziemię jedna z oblegających go dam, której skromności i dyskrecji zaszkodziły z całą pewnością upał oraz podniecenie.

— Czy będzie pan kandydował w następnych wyborach? — spytała zuchwale.

— Nie bardzo rozumiem — wymamrotał, kompletnie zaskoczony.

— Czy nie myśli pan o przejściu na emeryturę? Skończył pan przecież sześćdziesiąt jeden lat, prawda? W czasie następnych wyborów będzie pan miał sześćdziesiąt pięć albo nawet więcej.

Pochylił się, by móc jej spojrzeć prosto w oczy.

— Pani Bailey — odparł zaczepnie. — Na razie czuję się dobrze, a w niektórych krajach dopiero wkraczałbym w wiek najlepszy dla kariery politycznej. Mam jeszcze sporo spraw do załatwienia i wiele nie zrealizowanych planów.

W głębi serca jednak zmuszony był przyznać jej rację. Jego kiedyś intensywnie rude włosy posiwiały i przerzedziły się, tylko w pojedynczych przydługich kosmykach zachowując resztki koloru. Przykurczone ciało nie było już w stanie wypełnić tradycyjnie skrojonych garniturów tak dokładnie jak dawniej, a spojrzenie niebieskich oczu wraz z upływającym czasem nabierało coraz więcej chłodu. Choć jego wyprostowana sylwetka wciąż wyróżniała się na tle tłumu, ci, którzy stali najbliżej, nie dostrzegali ani odrobiny ciepła w ostrożnie racjonowanym uśmiechu, odsłaniającym nierówne zęby pokryte

nikotynowym nalotem — efektem wypalania czterdziestu papierosów dziennie. Z biegiem lat nie przybywało mu ani elegancji, ani powagi, czego tak bardzo pragnął.

Czas nie był jego sprzymierzeńcem. Jak większość kolegów, wszedł do parlamentu żywiąc niewysłowione ambicje wspięcia się na sam szczyt drabiny, później jednak obserwował, jak młodszy i mniej zdolni awansują znacznie szybciej niż on. Gorycz doświadczenia stępiła jego ambicję, lecz nie zdołała jej zabić. Skoro nie Downing Street, to może przynajmniej któreś ważne ministerstwo pozwoli mu stać się powszechnie uznanym przywódcą narodu, wynagradzając pogardę ojca sławą większą, niż staruszek mógłby sobie wyobrazić? Wciąż jeszcze nie było za późno, aby stać się sławnym. Urquhart wierzył w swe przeznaczenie, chociaż cholernie długo zwlekało.

Lecz teraz ta chwila wreszcie nadeszła. Jednym z podstawowych zadań Chief Whipa jest doradzanie premierowi w sprawie ewentualnych zmian w składzie rządu: których ministrów zostawić w spokoju, którzy posłowie zasługują na awans, wreszcie którzy ministrowie stali się zbędni i powinni odejść. Oczywiście premier nie musi przyjąć wszystkich sugestii, ale zazwyczaj odrzuca tylko nieliczne. Urquhart długo rozmyślał nad powyborczymi przesunięciami i w kieszeni miał listę pożądanego jego zdaniem zmian. Ich efektem miało być nie tylko zwiększenie siły i efektywności rządu — a Bóg wie, że po ostatnich latach było to konieczne — lecz także umieszczenie na najbardziej wpływowych stanowiskach jego najbliższych sprzymierzeńców. On oczywiście także miał zająć bardziej eksponowane stanowisko, na które od dawna zasługiwał. Tak, jego czas wreszcie nadchodził.

Poklepał się po kieszeni, aby sprawdzić, czy koperta wciąż znajduje się na swoim miejscu, podczas gdy pani Bailey zaczęła omawiać sprawę planowanego wprowadzenia ruchu jednokierunkowego na High Street, w okolicach centrum handlowego. Spojrzał błagalnie w stronę żony, zaabsorbowanej rozmową w przeciwległym kącie. Na szczęście dostrzegła to spojrzenie i od razu się zorientowała, że czas pośpieszyć mężowi na ratunek. Ruszyła w jego stronę.

— Drogie panie, proszę nam wybaczyć, ale przed ogłoszeniem wyników chcielibyśmy jeszcze wrócić na chwilkę do hotelu, żeby się przebrać. Nawet

nie wiecie, jak bardzo jesteście wam wdzięczni za pomoc. Jesteście wprost niezastąpione.

Urquhart skierował się szybko ku drzwiom. Gdy był już prawie na zewnątrz, zatrzymała go machaniem ręki jego pełnomocniczka, która rozmawiając przez telefon, pracowicie coś notowała.

— Właśnie zbieram do kupy ostatnie wyniki sondaży — wyjaśniła.

— Można to było zrobić dobrą godzinę temu — warknął Urquhart.

Zaczerwieniła się. Nie po raz pierwszy spotykały ją brak wdzięczności i pretensje Urquharta. Obiecała sobie, że to ostatnie wybory, podczas których dla niego pracuje. Rzuci tę robotę i przeniesie się do okręgu z mniej bezpieczną większością, nawet takiego, w którym o zwycięstwie mogą zdecydować pojedyncze głosy. Zarobki będą niższe, a pracy więcej, ale przynajmniej ktoś ją wreszcie doceni. A może w ogóle rzucić politykę i znaleźć sobie jakąś porządną pracę?

— Nie wygląda to tak dobrze jak poprzednim razem — powiedziała. — Frekwencja jest bardzo niska. Wielu naszych zwolenników zostało po prostu w domach. Trudno w tej chwili cokolwiek powiedzieć, ale przypuszczam, że nasza przewaga trochę się skurczy. Nie wiadomo o ile.

— Do diabła z nimi. Jak się parę lat pomęczą z opozycją, to może ruszą swe leniwe tyłki.

— Kochanie... — Jak przy wielu podobnych okazjach, żona starała się go uspokoić. — Bądź bardziej wielkoduszny. Mając przewagę dwudziestu dwóch tysięcy głosów, możesz sobie chyba pozwolić na niewielki spadek poparcia?

— Mirando, nie mam ochoty na wielkoduszność. Jestem spocony, zmęczony i mam już po uszy całej tej cholernej paplaniny. Na litość boską, zabierz mnie stąd.

Gdy Miranda Urquhart odwróciła się, by pomachać zebrany na pożegnanie, zobaczyła, jak stojąca lampa wali się z hukiem na podłogę.

Atmosferę kontrolowanego chaosu panującą zazwyczaj w gabinecie redaktora naczelnego zastąpiła wymykająca się spod kontroli panika. Pierwsze wydanie już dawno przesłano do drukarni, a na pierwszej stronie widniał potężny nagłówek: „Wrócili z tarczą”.

Tylko że to było o szóstej, na cztery godziny przed zamknięciem lokali wyborczych. Naczelny „Daily Telegraphu”, podobnie jak szefowie wszystkich innych gazet, zaryzykował przedwczesne ogłoszenie wyników wyborów, chcąc uczynić pierwsze wydanie choć trochę bardziej interesującym. Jeśli zgadł, będzie pierwszym, który ogłosi tę nowinę. Jeśli się pomylił, to wpadł jak śliwka w kompot.

Dla Greville'a Prestona były to pierwsze wybory na stanowisku redaktora naczelnego. Nie czuł się zbyt pewnie, bezustannie więc zmieniał układ pierwszej strony i domagał się od działu politycznego coraz to nowych poprawek i uaktualnień. Naczelnym mianował go zaledwie kilka miesięcy wcześniej nowy właściciel Telegraph Newspapers, żądając tylko jednego: sukcesu. Porażka w ogóle nie wchodziła w grę i Preston dobrze wiedział, że w razie niepowodzenia ani on, ani jego zespół po raz drugi takiej szansy nie dostaną. Księgowi żądali niemal natychmiastowych wyników finansowych, co wymusiło bezwzględne cięcia, a w efekcie „zracjonalizowanie” sporego grona najbardziej doświadczonych pracowników, czyli zastąpienie ich taniymi debiutantami. Z punktu widzenia rachunku ekonomicznego było to posunięcie genialne, miało jednak fatalny wpływ na morale zespołu. Czystka pozostawiła dziennikarzy w niepewności, czytelników zażenowanych, Prestona zaś w przeczuciu zbliżającego się końca świata. Właściciel celowo ten stan podtrzymywał.

Starania Prestona, aby poprzez obniżenie poziomu gazety doprowadzić do wzrostu jej nakładu, jeszcze nie przyniosły rezultatów, a wrażenie gładkiego w obyciu i eleganckiego człowieka, które starał się wywierać, psuły — spowodowane nieustanną troską i niepokojem — olbrzymie krople potu na jego czole oraz zjeżdżające mu na sam czubek nosa ciężkie okulary. Chociaż bardzo pracował nad nadaniem swemu wyglądowi władczości i powagi, w żaden sposób nie potrafił ukryć wrodzonego braku pewności siebie.

Oderwał wzrok od rzędu monitorów ustawionych pod ścianą i zwrócił się do dziennikarki, która sprawiała mu ostatnio szczególnie dużo kłopotów.

— Skąd, do diabła, możesz wiedzieć, że sprawy nie mają się najlepiej? — wrzasnął.



Mattie Storin nawet nie drgnęła. Miała dwadzieścia osiem lat i była najnowszym i najmłodszym nabytkiem działu politycznego. Zastąpiła jednego z najbardziej doświadczonych dziennikarzy, gdy ten wypadł z łask księgowości z powodu swego zwyczaju przeprowadzania wywiadów podczas wystawnych lunchów w hotelu Savoy. Pomimo braku doświadczenia Mattie ufała swojemu wyczuciu, ponieważ w ciągu tych szalonych dziewięciu miesięcy w „Telegraphie” nie zawiodło jej ani razu. Na dodatek nie była niższa od Prestona i „tylko odrobinę mniej piękna”, jak często żartowała. Nie podobał jej się styl nowego naczelnego, któremu nie chodziło o jakość wydawanej przez siebie gazety, lecz o osiągnięcie maksymalnie wysokich zysków. Preston reprezentował tak zwaną „szkołę menedżerską”, uczącą, jak zwiększyć poczytność i zysk, a nie jak pisać dobre artykuły i kiedy ignorować rady prawników. Mattie nie potrafiła pogodzić się z takim podejściem, on zaś wyczuwał to i był wściekły, zarówno na nią, jak i na jej bezsprzeczny, choć jeszcze nie oszlifowany talent. Wiedział jednak, że pod pewnymi względami potrzebuje jej bardziej niż ona jego. W końcu nawet w gazecie prowadzonej według „szkoły menedżerskiej” niezbędni są dziennikarze z nosem i ostrym piórem.

Mattie zwróciła się w stronę Prestona, wyzywająco trzymając ręce w kieszeniach modnych workowatych spodni, mimo kroju jakimś cudem podkreślających smukłość jej sylwetki. Mattie Storin bardzo chciała rozwijać swój talent, którego była w pełni świadoma, i odnieść sukces jako dziennikarka, lecz przecież była kobietą — atrakcyjną kobietą — i nie miała zamiaru poświęcić swej tożsamości po to tylko, by wpasować się w stereotyp dziewczyny torującej sobie drogę na szczyt dziennikarskiego światka. Nie widziała żadnego powodu, dla którego miałyby próbować zapaść brodę, aby zmusić innych do dostrzeżenia jej talentu, albo też grać rolę słodkiej idiotki, żeby spełnić męsko-szowinistyczne oczekiwania kolegów — a szczególnie tak nieciekawego typka jak Grev Preston.

Powoli, mając nadzieję, że do naczelnego dotrze cały sens jej rozumowania, zaczęła tłumaczyć:

— Każdy z posłów Partii Konserwatywnej, z którym w ciągu ostatnich dwóch godzin udało mi się skontaktować, mówi o wyraźnym spadku poparcia, podczas gdy wszyscy opozycjoniści mają miny zadowolone, żeby nie

powiedzieć triumfujące. Telefonowałam do komisarza wyborczego w okręgu premiera. Twierdzi, że zanosi się na około pięcioprocentowy spadek poparcia. To niezbyt przekonujące wotum zaufania. Coś się dzieje. Pisać, że partia wróciła z tarczą, to spore ryzyko. Bo nawet jeśli, to z bardzo wyszczerbioną. Ten nasz wstępniak jest, moim zdaniem, zbyt mocny.

— Bzdura. Wszystkie sondaże wskazują na zdecydowane zwycięstwo partii, a ty chcesz, żebym opierając się na twojej kobiecej intuicji, przewrócił do góry nogami całą pierwszą stronę!

Mattie wyczuła jego zdenerwowanie. Wszyscy naczelni żyją na skraju załamania nerwowego, ale cała sztuka polega na tym, żeby nie dać tego po sobie poznać.

— W porządku — rzekł wreszcie. — W poprzednich wyborach zdobyli przewagę stu dwóch miejsc. Więc ile twoim zdaniem będą mieli jutro? Sondaże wskazują na około siedemdziesiąt.

— Jeśli chcesz, to wierz sondażom — ostrzegła. — Ja wolę wierzyć temu, co się dzieje na ulicy. Wśród zwolenników rządu nie widać entuzjazmu. Sporo ludzi zostanie w domach, co spowoduje dalsze zmniejszenie się przewagi.

— Daj spokój! O ile?

— Jeszcze tydzień temu powiedziałabym, że zdobędą około pięćdziesięciu miejsc przewagi — odparła poważnie — ale teraz wygląda na to, że będą mieli nawet mniej.

— Jezus Maria! Nie mogą mieć mniej! Popieraliśmy tych gnojków przez całą kampanię. Nie mogą teraz zawieść!

„Ty też nie” — pomyślała Mattie. Wiedziała, że poglądy polityczne Prestona ograniczają się do stwierdzenia, iż nie wolno znaleźć się po stronie przegranych. Pochodzący z robotniczej dzielnicy Londynu nowy właściciel gazety, Benjamin Landless, wyraźnie mu to powiedział. A naczelni gazet należących do Landlessa nigdy z nim nie dyskutowali. Świeżo upieczony magnat prasowy bez przerwy powtarzał swoim podwładnym, i tak już bardzo niepewnym jutra, że łatwiej kupić dziesięciu nowych naczelnych niż jedną nową gazetę. A wszystko przez antymonopolową politykę państwa. „Lepiej nie wkurzać rządu popieraniem tej cholernej opozycji” — mawiał.

W ten sposób wraz z rosnącą armią swych gazet dołączył do obozu rządowego i oczekiwał, że dziennikarze doprowadzą do właściwego wyniku wyborów. Nie było to rozsądne, ale Landless nie uważał, żeby rozsądek stanowił bodziec zmuszający pracowników do większego wysiłku. Parę tygodni wcześniej podczas lunchu właściciel jasno dał Prestonowi do zrozumienia, że choć ewentualna zmiana rządu będzie niekorzystna dla nich obu, Preston straci znacznie więcej.

Mattie postanowiła spróbować jeszcze raz. Usiadła na brzegu szerokiego, stanowczo za bardzo uporządkowanego biurka szefa i ponownie przedstawiła swoje argumenty, mając nadzieję, że tym razem Preston skupi uwagę właśnie na nich, a nie na jej nogach.

— Posłuchaj, Grev, zapomnijmy na chwilę o sondażach. Spójrzmy na to z szerszej perspektywy. Kiedy Margaret Thatcher postanowiła w końcu podać się do dymisji, partia doszła do wniosku, że trzeba zmienić styl rządzenia. Że konieczna jest nowa oprawa, coś łagodniejszego, mniej despotycznego. Wszyscy mieli już dość tej rozstawiającej ich po kątach baby.

„Akurat to powinieneś zrozumieć” — pomyślała.

— Z tego powodu w swej mądrości wybrali Collingridge'a, tylko dlatego, że czuje się pewnie przed kamerami, potrafi rozmawiać z podstarzałymi paniusiami i raczej nie jest kontrowersyjny. — Wzruszyła ramionami. — Ale w ten sposób stracili całą wyrazistość. Obecna polityka partii to po prostu ciepłe kluchy. Nie ma w niej nic z dawnej energii i entuzjazmu. Premier poprowadził swą kampanię z wigorem godnym nauczyciela ze szkółki niedzielnej. Przypuszczam, że gdyby miał opowiadać te swoje banały jeszcze przez tydzień, to nawet jego żona głosowałaby na opozycję.

Chyba po raz dziesiąty tego dnia Mattie zaczęła się zastanawiać, czy naczelny, aby utrzymać swą fryzurę w takim porządku, używa lakieru. Podejrzewała, że facet trzyma w szufladzie aerozol i szczotkę do włosów. Gotowa też była się założyć, że skubie sobie brwi pincetą.

— Dajmy spokój analizom i mistycyzmowi, a skoncentrujmy się na gołych liczbach, zgoda? — odparł Preston. — Jaką większość według ciebie uzyskają? Czy będą w stanie utworzyć rząd?

— Byłoby nierozsądnie powiedzieć, że nie.

— A ja nie mam zamiaru zachowywać się nierozsądnie. Jakakolwiek większość będzie i tak ogromnym, powiedziałbym nawet historycznym osiągnięciem. Szczególnie w tych okolicznościach. Cztery zwycięstwa pod rząd. To się jeszcze nikomu nie udało. Dlatego pierwsza strona zostaje taka, jaka jest.

Preston sięgnął po lampkę szampana, dając do zrozumienia, że uważa sprawę za zamkniętą. Mattie jednak nie zamierzała tak łatwo ustąpić. Pamiętała o swym dziadku, współczesnym wikingu, który na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku uciekł cieknącą łodzią rybacką z okupowanej Norwegii, przepłynął całe Morze Północne i wstąpił do RAF-u. Mattie odziedziczyła po nim nie tylko oryginalną skandynawską urodę, lecz także siłę i niezależność — cechy niezbędne w zdominowanym przez mężczyzn świecie prasy i polityki. Jej pierwszy naczelny, jeszcze w „Yorkshire Post”, często powtarzał: „Jeśli mam pisać za ciebie, moja panno, to nie jesteś mi potrzebna. Nie ma u mnie miejsca dla jeszcze jednego gryziopórka. Twoim zadaniem jest szukać.”

Taka postawa nie zawsze znajdowała uznanie w oczach nowych zwierzchników Mattie, ale do diabła z tym.

— Zastanów się i spróbuj odpowiedzieć sobie na pytanie, czego możemy się spodziewać po następnych czterech latach rządów Collingridge'a. Czy nie jest zbyt łagodny na to, by być premierem? Jego program wyborczy był tak nijaki, że już po pierwszym tygodniu kampanii wszyscy o nim zapomnieli. Premier nie zaproponował niczego nowego, a jego jedyną filozofią jest trzymać kciuki w nadziei, że ani Rosjanie, ani związki zawodowe nie puszcza zbyt głośnego bąka. Czy tego właśnie potrzebuje ten kraj?

— Zgrabnie ujęte, Mattie. Jak zawsze — odparł Preston sarkastycznie. Rozmawiając z wygadaną kobietą, zawsze pomagał sobie ojcowskim tonem.

— Ale nie masz racji — kontynuował już z mniejszą pewnością siebie. — Wyborcy oczekują konsolidacji, a nie przewrotu. Nie chcą, żeby ciągle wyrzucano zabawki z wózka. — Dźgnął palcem powietrze, aby zaznaczyć, że dyskusja dobiega końca i że taka jest właśnie obowiązująca polityka redakcji. — Collingridge zostanie na Downing Street. To wielka rzecz!

— To morderstwo — mruknęła Mattie.

Charlesa Collingridge'a obudził autobus linii 88, który przejechał obok domu z takim hałasem, że aż zabrzęczały szyby w oknach. Małe dwupokojowe mieszkanie nad biurem podróży w Clapham nie było tym, czego można by się spodziewać po bracie premiera, ale rozwód i ciągłe oddawanie się przyjemnościom sprawiały, że pieniądze znikwały o wiele szybciej, niż się pojawiały.

Charles Collingridge leżał skulony w fotelu, wciąż w tym samym garniturze co podczas lunchu, którego ślady widoczne były na klapach.

Spojrzał na zegar i zaklął. Przespał chyba ponad pięć godzin, a mimo to wciąż czuł się wykończony. Koniecznie musi strzelić sobie drinka, żeby się pobierać. Wstał i nalał do szklanki sporą ilość wódki. Nie był to już Smirnoff, lecz jakieś tanie świństwo z miejscowego supermarketu.

Zabrał szklankę do łazienki, gdzie wszedł do wanny, pozwalając gorącej wodzie czynić cuda na jego obolałych kończynach. Coraz częściej miał wrażenie, że należą one do kogoś zupełnie innego.

„Chyba się starzeję” — pomyślał.

Stał przed lustrem, starając się zatrzeć ślady ostatniej hulanki. Zobaczył twarz ojca, który jak zawsze patrzył z wyrzutem, żądając, by Charlie dokonał czegoś ponad swoje siły, i nie potrafiąc zrozumieć, dlaczego nie umie dorównać starszemu bratu. Obaj mieli takie same warunki, chodzili do tej samej szkoły, lecz Henry zawsze osiągał więcej i w końcu przyćmił brata swą karierą i udanym małżeństwem. Jednakże Charles nie czuł gorczy. A przynajmniej starał się nie czuć. Przecież kiedy potrzebował pomocy albo rady, Henry nigdy go nie zawiódł. To właśnie przed nim mógł się wyplakać, gdy Mary odeszła. Szczególnie wtedy. Ale czy powodem odejścia Mary nie były między innymi sukcesy Henry'ego? „Ciebie na to nie stać! — rzuciła mu prosto w twarz. — Na nic cię nie stać!”

A po przeprowadzce na Downing Street Henry miał coraz mniej czasu dla innych.

Jako dzieci dzielili się wszystkim, jako młodzi mężczyźni niemal wszystkim, nawet paroma dziewczynami, lecz teraz w życiu Henry'ego nie pozostało zbyt wiele miejsca dla młodszego brata i Charles był wściekły — nie na niego, na życie. Nie powiodło mu się i nie wiedział dlaczego.

Ostrożnie prowadził ostrze po opuchniętej twarzy, starając się omijać dawne zacięcia. Później uczesał przerzedzone już włosy, włożył świeżą koszulę i czysty krawat, przejechał kuchenną ścierką po butach, przywracając im odrobinę blasku, i był prawie gotowy, by udać się na powyborcze uroczystości, na które wstęp zapewniały mu rodzinne koneksje. Jeszcze tylko zrobi sobie drinka.

Taksówka utknęła w korku na obrzeżach Soho. To miejsce zawsze przypominało szyjkę butelki, a wyborczy wieczór wygonił na ulicę dodatkową porcję hulaków. Bębniąc nerwowo palcami, Roger O'Neill bezradnie obserwował z tylnego siedzenia przemykających obok rowerzystów i przechodniów. Bardzo się śpieszył.

— Streszczaj się, Rog — usłyszał przez słuchawkę. — Nie będziemy czekać przez całą cholerną noc. Nawet na ciebie. A wracamy dopiero we wtorek.

Nie miał co liczyć na specjalne traktowanie, nawet jako szef działu propagandy partii i jeden z jej bardziej znanych członków. Wątpił, czy oni w ogóle głosowali, a nawet jeśli, to z całą pewnością nie na konserwatystów. Jakie znaczenie ma polityka, kiedy można zarobić kupę szmalu, i to nie płacąc podatków?

Taksówka minęła wreszcie Shaftesbury Avenue i skręciła w Wardour Street po to tylko, by utknąć w kolejnym korku. O Boże, minie się z nimi! Otworzył drzwi.

— Dalej pójdę na piechotę — krzyknął do taksówkarza.

— Przykro mi, stary, ale nic nie poradzę. Tracę fortunę przez te cholerne korki — odparł kierowca, sugerując, że pomimo zniecierpliwienia pasażer nie powinien zapomnieć o napiwku.

O'Neill wysiadł, wcisnął banknot w dłoń taksówkarza i ledwo uskoczył przed przejeżdżającym motocyklem. Mijając peep-showy i chińskie restauracje, ruszył w dół wąskiej dickensowskiej uliczki, zawalonej ogromną ilością śmieci. Z trudem przecisnął się pomiędzy stertami plastikowych worków i kartonów, po czym ruszył biegiem. Był w nie najlepszej formie, szybko się więc zmęczył, ale na szczęście nie miał daleko. Dobiegł do Dean Street, skręcił w lewo i po jakichś stu metrach zniknął w wąskim wejściu do jednej ze starych oficyn, na które ludzie nie zwracają raczej uwagi, pochłonięci poszukiwaniem albo unikaniem dziwek. O'Neill wszedł na spory

dziedziniec, otoczony ze wszystkich stron przez warsztaty i garaże, na które zaadaptowano stare wiktoriańskie magazyny. Podwórko było puste. Stukając obcasami o kocie łby, ruszył ku małym zielonym drzwiom po drugiej stronie dziedzińca. Zanim wszedł, zatrzymał się na chwilę i rozejrzał dookoła.

Nie pukał.

Po niecałych trzech minutach wyszedł i nie rozglądając się, wrócił na zatłoczoną Dean Street. Trudno powiedzieć, po co tam był, ale z całą pewnością nie po seks.

W centrali partii panowała dziwna cisza. Po długich tygodniach kampanii wypełnionych nieprzerwaną działalnością, w dniu wyborów prawie wszyscy działacze i ich oddziały zniknęli, aby prowadzić walkę na daleko wysuniętych przyczółkach swych okręgów wyborczych, starając się pozyskać ostatnich, kto wie? może decydujących o wszystkim neofitów. Ci, którzy zostali na miejscu, jedli teraz wczesną kolację w pobliskich restauracjach i klubach, siląc się na pewność siebie i luz, choć co chwila rozpoczynali od nowa dyskusje na temat ostatnich pogłosek dotyczących frekwencji oraz prowadzonych przez cały czas sondaży. Wkrótce, wyraźnie zmęczeni tą przerwą, zaczęli przeciskać się przez rosnący tłum i policyjne kordony, aby znaleźć ulgę w swych biurach, które przez ostatni miesiąc były im domem.

Wszyscy zastygli w zdającym się nie mieć końca wyczekiwaniu.

Kiedy Big Ben wybił dziesiątą, nad miastem zaś zaczął niepodzielnie panować zmierzch, wokół budynku rozległo się głośnie westchnienie ulgi. Lokale wyborcze zamknięto i już nic — żaden apel, wyjaśnienie, atak ani też oszczerstwo — nie było w stanie wpłynąć na wyniki. Koniec. Niektórzy podawali sobie ręce w cichym geście pokrzepienia i szacunku dla wspólnie wykonanej pracy. Na ile dobrze wykonanej — wkrótce miało się okazać.

Jak podczas tyłu poprzednich wieczorów, w niemal nabożnym skupieniu wszyscy skoncentrowali uwagę na sir Alastairze Burnecie, który niczym współczesny Gabriel pojawił się przed kamerami ze swym uspokajającym głosem i falistymi włosami, tak srebrzystymi, że zdawały się tworzyć wokół jego głowy aureolę. Przez następne kilka godzin Bóg miał grać rolę drugoplanową.

— Dobry wieczór państwu. Kampania wyborcza dobiegła wreszcie końca. Dosłownie kilkanaście sekund temu zamknięto lokale wyborcze w całym kraju, a już za około trzy kwadranse możemy się spodziewać pierwszych wyników. Za chwilę połączymy się na żywo z Warwickshire, okręgiem wyborczym premiera Collingridge'a, którego nasi wysłannicy poproszą o podzielenie się z państwem pierwszymi wrażeniami, a następnie, również na żywo, zobaczymy wywiad z liderem opozycji, głosującym w Południowej Walii. Ale najpierw wyniki sondażu przeprowadzonego przez ITN przy wyjściach ze stu pięćdziesięciu trzech lokali wyborczych w całym kraju. Są one następujące...

Najbardziej doświadczony spiker w kraju sięgnął po leżącą przed nim szarą kopertę i otworzył ją z taką czcią, jakby zawierała jego własny akt zgonu. Następnie wyjął z niej duży arkusz papieru i przyjrzał mu się. Nie za szybko i nie za wolno uniósł wzrok w stronę kamery, dobrze wiedząc, że trzyma w garści trzydzieści milionów widzów, i świadomie drażniąc się z nimi. Miał do tej chwili pełne prawo. Po dwudziestu ośmiu latach i dziewięciu zrelacjonowanych kampaniach wyborczych ogłosił, że robi to po raz ostatni.

— Prognozy ITN — podkreślam, że są to jedynie prognozy, a nie wyniki wyborów — są następujące...

Jeszcze raz rzucił okiem na arkusz, jakby chciał się upewnić, że nie odczytał czegoś błędnie. Jego pozbawione wszelkich emocji spojrzenie profesjonalisty nie zdradzało nawet cienia własnych poglądów na całą sprawę. Gdzieś na Smith Square rozległ się huk przedwcześnie puszczanego korka od szampana, lecz wszyscy zgodnie zignorowali lepką pianę, która ochlapała blat biurka.

— Partia rządząca utrzyma się przy władzy z większością trzydziestu czterech głosów.

Budynek zadrżał w posadach, kiedy z jego wnętrza dobiegł ryk triumfu zmieszanego z ulgą. To oznaczało zwycięstwo, a dla zawodowców jedynie zwycięstwo — nie sposób, w jaki grano — ma jakąkolwiek wartość. Później będzie wystarczająco dużo czasu na trzeźwe rozważania, czy właśnie zakończoną batalię należy uznać za dobrą, czy za złą.

Okrzyki radości zagłuszyły słowa protestu sir Alastaira, jeszcze raz przypominającego zebrany, iż mają do czynienia jedynie z prognozą, której



w żadnym wypadku nie można traktować poważniej aniżeli wyników sondaży przedwyborczych. Ekran podzielił się na dwie części, pokazując, jak liderzy partii przyjęli prognozę. Collingridge uśmiechał się sztucznie i wyraźnie bez przekonania, natomiast szeroki uśmiech jego przeciwnika nie pozostawiał żadnych wątpliwości, iż opozycja jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa. „Zaczekajcie trochę, a zobaczycie” — zdawał się mówić, ale realizator nie zaczął i na ekranie ponownie pojawił się Burnet, aby przekazać pozostałe wiadomości wieczoru wyborczego.

— Do diabła!... — wrzeszczał Preston, a włosy opadały mu na oczy. — Co oni narobili?

Spojrzał na wcześniej przygotowane, lecz teraz nie nadające się już do niczego materiały, po czym z furią zaczął skrobać coś w swym notesie. „Większość rządowa bliska zeru! — spróbował. — Collingridge cienko piszczy!” Kartka po kartce lądowały w koszu na śmieci.

— Zaczekajmy — poradziła Mattie. — Za pół godziny podadzą pierwsze rezultaty.

Jeszcze przed ogłoszeniem pierwszych wyników w agencji prowadzącej kampanię wyborczą Partii Konserwatywnej hucznie świętowano. Z pewnością siebie, wspólną wszystkim konstruktywnie myślącym ludziom czynu, pracownicy Merrill Grant and Jones Company tłoczyli się od prawie trzech godzin w recepcji, aby być świadkami procesu tworzenia się historii, wyświetlanego na dwóch olbrzymich ekranach telewizyjnych. Choć historia miała się tworzyć jeszcze przez przynajmniej siedemnaście minut, oni jako konstruktywiści szczycili się, że w każdej grze są o kilka kroków przed innymi, w związku z czym popijali szampanem olbrzymie ilości pizzy oraz Big Maców, a prognozy mówiące o drastycznym spadku większości rządowej zmuszały ich tylko do zwielokrotnienia wysiłków. Pomimo wczesnej pory wydawało się oczywiste, iż dwa ozdobne fikusy, które od wielu lat upiększały recepcję, nie przetrwają w całości nadchodzącej nocy. To samo miało prawdopodobnie spotkać kilka młodych sekretarek. Niektórzy już teraz odrobinę się zataczali, lecz w końcu nie było żadnego powodu do

wstrzemięźliwości. Tym bardziej że klient dawał wprost zatrważający przykład.

Jak wielu poszukujących przygód expatriantów z Dublina, Roger O'Neill słynął z dowcipu, skłonności do przesady oraz wrodzonej chęci brania udziału we wszystkim. Jego doświadczenia były tak wielorakie, on zaś tak dowcipnie je wyolbrzymiał, że nikt nie mógł mieć pewności, czym naprawdę się parzył, zanim wstąpił do partii. Przypuszczano, że pracował w telewizji albo w *public relations*. Krążyły także plotki, że miał jakieś kłopoty z urzędem skarbowym, kiedy jednak zwolniła się posada szefa propagandy, przyjęto go, a on, napędzany olbrzymimi ilościami gauloise'ów i wódki z tonikiem, z ogromną energią przystąpił do pracy.

W młodości był obiecującym fly-half w drużynie rugby, choć nigdy nie spełnił pokładanych w nim nadziei, gdyż jako indywidualista nie nadawał się do gier zespołowych. „Kiedy jest na boisku — skarżył się jego trener — mam dwie drużyny: Rogera oraz czternastu pozostałych zawodników.”

W wieku czterdziestu lat jego nie poddająca się grzebieniowi czupryna zaczynała siwieć, a po nienagannej muskulaturze nie było nawet śladu, mimo to O'Neill uparcie odmawiał uznania faktu, iż jest już mężczyzną w średnim wieku, i ukrywał wszelkie tego dowody pod starannie dobraną odzieżą noszoną z wyćwiczoną niedbałością. Nonkonformistyczna postawa i wyraźne ślady irlandzkiego akcentu nie zawsze zjednywały mu sympatię partyjnych bonzów — jeden z nich podsumował go kiedyś krótko: „Dużo pieprzy, mało robi” — lecz większość była pod wrażeniem jego niezwykłej energii i czaru.

No i jeszcze jego sekretarka. Penelopa — „Cześć, jestem Penny” — Guy. Pięć stóp dziesięć cali, wspaniałe ciuchy i zapierająca dech w piersiach figura, którą nimi opinała. Do tego była czarna. Nie śniada czy ciemna, lecz po prostu lśniaco-czarna, dzięki czemu jej oczy iskrzyły, a uśmiech wypełniał cały pokój. Skończyła historię sztuki, stenografowała sto dwadzieścia słów na minutę i była niemiłosiernie sprawna i praktyczna. Oczywiście kiedy po raz pierwszy pokazała się z O'Neillem, dosłownie zawrzało od plotek, ale jej wyjątkowe umiejętności uciszyły, o ile nie pokonały, wszystkich niewiernych Tomaszów.

Do tego była dyskretna. „Mam swoje prywatne życie — tłumaczyła — i niech tak zostanie.  
”

W tej chwili, w siedzibie Merrill Grant and Jones — Grunt and Groans\*, jak ich nazywała — Penny bez wysiłku radziła sobie jako centrum zainteresowania sporej grupy zebranych, a jednocześnie dbała, aby papierosy i szklanka O'Neilla znajdowały się zawsze w zasięgu ręki. Starła się jednak drastycznie ograniczyć ilość pitego przez niego alkoholu. Tej nocy bardziej niż kiedykolwiek nie chciała, żeby przesadził.

\* Grunt & Groans (ang.) — zrzęczenie i stękanie.

Był akurat pogrążony w dyskusji z dyrektorem agencji.

— Chcę, abys jak najszybciej skończył tę analizę, Jeremy. Musi wykazać, jak efektywny był nasz marketing i reklama. Podziel ją na odpowiednie grupy wiekowe i społeczne, żeby było wiadomo, jak się rozłożyła nasza skuteczność. Jeśli wygramy, chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że to dzięki nam. Jeśli przegramy, Boże miej nas w swojej opiece... — Głośno kichnął. — Muszę być w stanie udowodnić prasie, że my osiągnęliśmy tyle, ile się dało, ale politycy wszystko skopali. Wiesz, czego nam trzeba, więc postaraj się, żebym dostał te papiery najpóźniej w sobotę rano. To musi trafić na pierwsze strony niedzielnych gazet. — Ściszył trochę głos. — Jeśli nie uda ci się zdobyć tych cholernych danych, wymyśl je. Wszyscy będą zbyt zmęczeni, żeby dokładnie im się przyjrzeć, a jeśli wepchniemy się do prasy jako pierwsi, wszystko będzie dobrze. — Przerwał tylko po to, aby hałaśliwie się wysmarkać, co jednak w ogóle nie rozluźniło jego wyraźnie spiętego rozmówcy. — I pamiętaj, żeby wcześniej rano przesłać premierowej olbrzymi bukiet kwiatów. W kształcie wielkiej litery „C”. Musi go dostać, jak tylko wstanie. Wkurzy się strasznie, jeśli nie daj Boże zapomnisz. Już jej go obiecałem. Oczywiście chcę, żeby sfilmowano moment wnoszenia kwiatów do domu. Dlatego musisz zadbać, żeby były jak największe i jak najbardziej przyciągały wzrok. Najlepiej będzie, jeśli wyślesz je firmową furgonetką. Na pewno wszyscy zauważą, jak zatrzymuje się pod numerem dziesięć.

Dyrektor zdążył już przywyknąć do tasiemcowych monologów swego klienta, a także do niektórych z jego dość niezwykłych wymagań oraz

oryginalnego podejścia do rachunkowości. Lecz partia polityczna to przecież zupełnie nietypowy klient, a trwająca od dwóch lat współpraca zapewniała jemu i jego młodej firmie na tyle duży rozgłos, że warto było lekceważyć pewne nasuwające się wątpliwości.

Teraz jednak kampania wyborcza dobiegła końca i Jeremy niecierpliwie czekał na wyniki. Na myśl o tym, co się stanie, jeśli przegrają, ogarnęło go nagle przerażenie. Wiedział, że w takim wypadku firma stanie się kozłem ofiarnym, jedynym odpowiedzialnym za klęskę. Kiedy zaczęli pracę, prognozy przedwyborcze zapowiadały zdecydowane zwycięstwo, ale pewność siebie Jeremy'ego zaczęła znikać wraz z pierwszymi wynikami sondaży przeprowadzanych przy wyjściach z lokali wyborczych. W pełni zdawał sobie sprawę, że w tej branży jego firma może zwiędnąć tak szybko jak kwiaty, o które O'Neill robił tyle rabanu.

Ssał nerwowo dolną wargę, podczas gdy O'Neill bez chwili przerwy trajkotał, aż wreszcie ich uwagę przykuła wysoka na sześć stóp sylwetka sir Alastaira, który pochylił głowę na bok, aby lepiej przycisnąć do ucha słuchawkę.

— A teraz nadszedł czas, żeby ogłosić pierwsze tego wieczora wyniki. I znów będzie to Torbay. Padają wszelkie rekordy. Minęły dopiero czterdzieści trzy minuty od zamknięcia lokali wyborczych, a już kandydaci zbierają się za przewodniczącym komisji... Proszę państwa, łączymy się z Torbay...

W ratuszu w Torbay, pośród donic z hiacyntami i storczykami, rozetek oraz burmistrzowskich regaliów, ogłaszano właśnie pierwsze wyniki. Cała ta scena bardziej przypominała wiejską pantomimę aniżeli wybory, jako że ogólnokrajowy zasięg transmisji telewizyjnej przyciągnął tłumy najbardziej zwariowanych kandydatów, którzy teraz, pragnąc wykorzystać okazję, wymachiwali balonikami i jaskrawymi kapeluszami w nadziei, że zdołają w ten sposób choć na chwilę przyciągnąć oko kamery.

Kandydat Partii Słońca, odziany w jaskrawożółty trykot, wymachiwał wielkim sztucznym słonecznikiem przed samym nosem statecznego torysa, który chcąc pozbyć się kłopotliwego towarzystwa, próbował przesunąć się w lewo, lecz w efekcie wpadł na kandydata Frontu Narodowego, ten zaś, starając się sprowokować choćby niewielkie ekscesy w bojowym geście zaciskał

pięć i demonstrował pokryte tatuażami ramię. Najwyraźniej nie wiedząc, jaką reakcję zaleca w takiej sytuacji poradnik kandydata, zrezygnowany torys wycofał się i ukrył za plastikowym słonecznikiem.

Z opresji wybawił go sir Alastair.

A więc mamy już wyniki z wielobarwnego Torbay. Pierwsze miejsce w tych wyborach zdobywa partia rządząca, ale większość, jaką uzyskala, zmalała według naszego komputera o osiem procent. Co to oznacza, Peter? — spytał, a na ekranie pojawił się błady komentator ITN, raczej zaniedbany osobnik w okularach i garniturze z tweedu.

— Oznacza to, że wyniki naszego sondażu pokrywają się z wynikami wyborów, Alastairze.

— Wspaniale, Roger, prawda? Wygląda na to, że znów zdobyliśmy większość. Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie to cieszy i jaką czuję ulgę — odezwał się prezes firmy będącej jednym z głównych klientów Grunt and Groans, doskonale bawiąc się na przyjęciu coraz bardziej przypominającym fetę na cześć zwycięstwa, chociaż partia rządząca dopiero co straciła pierwsze dwa miejsca w parlamencie. Wraz z dwoma innymi zaproszonymi klientami oraz prezesem agencji stali w jednym z odleglejszych kątów, dzięki czemu mogli chociaż trochę odetchnąć od panującego wokół radosnego zgiełku.

— Miło mi to słyszeć, Haroldzie. Myślę, że trzydziesto- lub czterdziestomiejscowa większość powinna nam wystarczyć. Ale przecież będzie to także twoją zasługą. — O'Neill otworzył nagle swe serce.

— Zaledwie kilka dni temu przypomniałem premierowi, że twoje poparcie dla nas nie ogranicza się jedynie do darowizn. Pamiętam, jak wtedy w marcu wystąpiłeś na lunchu w Stowarzyszeniu Przemysłowców. To było naprawdę wspaniałe przemówienie. Krótkie, zwięzłe, a zarazem pełne treści. Coś takiego mógł powiedzieć tylko prawdziwy profesjonalista. — Nie czekając na reakcję, O'Neill mówił dalej:

— Stwierdziłeś, że aby móc liczyć na współpracę ze wszystkich stron, sama góra musi wykazać się umiejętnościami przywódczymi i skutecznością. Dlatego powiedziałem Henry'emu — przepraszam, premierowi! — że potrzeba nam więcej mostków dla takich kapitanów przemysłu jak ty.

— Ależ nie trzeba było — odparł rzeczony kapitan, nie starając się nawet, by zabrzmiało to szczerze. Wrodzona ostrożność utonęła już w strumieniach szampana i marzenia o todze oraz Izbie Lordów coraz wyraźniej materializowały się przed jego oczyma. — Ale oczywiście jestem ci bardzo wdzięczny. Słuchaj, może kiedy już się to wszystko skończy, moglibyśmy spotkać się w jakimś bardziej zacisznym miejscu? Mam kilka pomysłów i chciałbym je z tobą przedyskutować.

Odpowiedzią O'Neilla była cała seria potężnych kichnięć, które dosłownie zgięły go w pół, wypełniły jego oczy łzami i sprawiły, że dalsza rozmowa stała się niemożliwa.

— Przepraszam — wybełkotał. — To ten katar sienny. Zawsze łapie mnie wcześniej niż innych. — Jakby dla potwierdzenia swych słów głośno wydymuchał nos i wytarł oczy.

Chwilę później z ekranu popłynęła wiadomość o utracie przez partię kolejnego miejsca w parlamencie — tym razem chodziło o jednego z wiceministrów transportu, który ostatnie cztery lata spędził na odwiedzaniu miejsc co większych katastrof drogowych w całym kraju i nabrał głębokiego przekonania o zdolności gatunku ludzkiego do każdej ofiary. Nie pomogło mu to jednak w zaakceptowaniu żądania wyborców, aby poświęcił sam siebie, i najwyraźniej miał spore problemy z godnym przyjęciem swej porażki.

— Kolejna niepomysłna dla rządu wiadomość — skomentował Burnet. — Już wkrótce dowiemy się, jak przyjmuje całą tę sytuację sam premier, gdyż za parę minut połączymy się z Warwickshire, aby poznać wyniki głosowania w tamtym okręgu. A tymczasem zobaczymy, jakie są aktualne prognozy naszego komputera.

Wcisnął odpowiedni przycisk i odwrócił się, by spojrzeć na potężny ekran, który miał dokładnie za plecami.

— W dalszym ciągu utrzymuje się przewaga około trzydziestu miejsc.

W studiu rozgorzał gorący spór, czy taka większość wystarczy, aby bezpiecznie przeprowadzić rząd przez całą kadencję, przerwany nagłym strumieniem napływających rezultatów. O'Neill przeprosił otaczających go biznesmenów i zaczął torować sobie przejście przez wciąż rosnący tłum wielbicieli Penny. Nie zważając na ich protesty, odciągnął ją na bok i szepnął jej coś do ucha. W tym momencie huczny bankiet ponownie przerwało

pojawienie się na ekranie czerstwej twarzy sir Alastaira. Nadeszła kolej na ogłoszenie wyniku wyborów w okręgu premiera.

Zapadła pełna szacunku, choć może nie całkowita cisza, a O'Neill wrócił do kapitanów przemysłu. Oczy wszystkich skupione były na ekranie, nikt więc nie zauważył, jak Penny chwyciła torebkę i ukradkiem wyszła.

Partia rządząca zwyciężyła po raz kolejny, lecz i tym razem niewielką przewagą głosów. Podczas gdy komentatorzy analizowali sytuację, a każdy z nich starał się jako pierwszy wygłosić pogląd, iż tych wyborów rząd w żadnym wypadku nie może uważać za udane, z ust pracowników agencji dobył się ryk aprobaty, większość z nich bowiem dawno już zdążyła zapomnieć o swych poglądach politycznych i gotowa była wykorzystać każdą okazję do świętowania. W końcu to tylko wybory.

Premier pomachał ręką z ekranu. Jego wymuszony uśmiech wskazywał, że traktuje wyniki wyborów znacznie poważniej aniżeli widzowie. Świąteczny nastrój kompletnie zagłuszył słowa podziękowania dla komisji wyborczej oraz lokalnej policji, a zanim premier opuścił mównicę, aby wyruszyć w długą drogę powrotną do Londynu, dwaj szefowie artystyczni agencji oficjalnie ogłosili zgon skatowanych fikusów.

Zebranych wokół O'Neilla dobiegło wołanie z drugiego końca sali.

— Panie O'Neill! Panie O'Neill! Telefon do pana! — Strażnik wysoko uniósł aparat i dramatycznym gestem wskazywał na słuchawkę.

— Kto dzwoni? — odrzyknął O'Neill.

— Słucham? — Strażnik był wyraźnie zdenerwowany.

— Kto? — ponownie krzyknął O'Neill.

— W ogóle pana nie słyszę! — przekrzykiwał wrzawę ochroniarz, dziko przy tym gestykulując.

O'Neill zwinął dłonie w trąbkę wokół ust i jeszcze raz zażądał informacji, kto chce z nim rozmawiać.

— Sekretariat premiera! — wrzasnął przerażony strażnik, zupełnie tracąc panowanie nad sobą i najwyraźniej nie mając pewności, czy nie powinien stanąć na baczność.

Słowa te odniosły natychmiastowy skutek. Głosy zebranych ściszyły się do szeptu, a przed O'Neillem otworzyła się szeroka aleja prowadząca do

samego telefonu. Posłusznie ruszył, starając się zachować skromny i trzeźwy wyraz twarzy.

— To jedna z jego sekretarek. Połączy pana — wyjaśnił strażnik, wyraźnie szczęśliwy, że może pozbyć się tak straszliwej odpowiedzialności.

— Halo! Halo! Tak, to ja. — Krótka pauza. — Pan premier! Dobry wieczór i najserdeczniejsze gratulacje! Uważam, że w tych okolicznościach wynik jest naprawdę dobry. Zresztą zwycięstwo ma taki sam smak niezależnie od tego, czy wynik brzmi pięć do zera, czy też pięć do czterech... Tak, tak. Naprawdę, bardzo się cieszę... Tak, jestem akurat w agencji...

Wokół zapanowała taka cisza, że niemal słysząc było płacz fikusów.

— Myślę, że spisali się na medal... Bez ich pomocy na pewno bym sobie nie poradził... Czy mogę im to powtórzyć?

Zakrył dłonią słuchawkę i zwrócił się w stronę kompletnie oczarowanej publiczności.

— Pan premier poprosił mnie, abym podziękował wam w jego imieniu za pomoc w przeprowadzeniu tak wspaniałej kampanii i przekazał, że gdyby nie wasz wkład, wynik na pewno byłby znacznie gorszy. — Ponownie przyłożył słuchawkę do ucha. — Premier pragnie was także powiadomić — odezwał się po chwili — że nie będzie się domagał zwrotu pieniędzy.

Słowa te wywołały gromki aplauz. Chcąc słyszeć swego rozmówcę, O'Neill zmuszony był z całej siły przycisnąć słuchawkę do ucha.

— Tak, panie premierze. Czuję się zaszczycony, że to właśnie do mnie zatelefonował pan natychmiast po ogłoszeniu wyników w pańskim okręgu... Tak, zjawię się na Smith Square... Oczywiście... Oczywiście... A więc do zobaczenia i jeszcze raz gratuluję. Dobranoc.

Delikatnie odłożył słuchawkę i zwrócił się w stronę sali, a gdy nagle jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, rozległy się gromkie brawa. Ciasno otoczony przez zebranych i z całej siły poklepywany po plecach, O'Neill starał się uścisnąć wszystkie wyciągnięte w jego stronę dłonie, przedzierając się do rozpromienionych kapitanów.

Dwie przecznice dalej Penny odłożyła słuchawkę zamontowanego w samochodzie telefonu i bez pośpiechu zabrała się do poprawiania makijażu.



## PIĄTEK, 11 CZERWCA

W miarę oczekiwania na przybycie premiera liczba zebranych na Smith Square dramatycznie rosła. Dawno już wybiła północ, jednak tej nocy sprężyny zegarów biologicznych miały zostać napięte do granic wytrzymałości. Na monitorach techników telewizyjnych widać było, że konwój premiera, poprzedzany przez motocyklistów, a zamykany przez samochody kamerzystów, dawno już zjechał z M1 i teraz zbliża się do Marble Arch. W ciągu niecałych dziesięciu minut powinien przybyć na miejsce, gdzie trzech młodych wodzirejów starało się rozgrzać tłum mieszanką patriotycznych pieśni i okrzyków.

Mieli dużo trudniejsze zadanie niż podczas poprzednich wyborów. Choć wiele osób ochoczo wymachiwało flagami narodowymi, pozostali, a szczególnie ci, którym wręczono opracione zdjęcia Henry'ego Collingridge'a, wykazywali dużo mniejszy zapał. Posiadacze miniaturowych odbiorników radiowych na gorąco przekazywali najbliższym aktualne informacje o wynikach wyborów. Nawet wodzireje przerywali czasami swe okrzyki, aby zapoznać się z nowinami.

Okazało się też, że mają konkurencję, ponieważ spora grupa opozycjonistów wmieszała się w tłum i teraz zaczynała wymachiwać własnymi transparentami oraz skandować własne hasła. Natychmiast zbliżyło się kilku policjantów mających za zadanie zadbać, by gorące nastroje po obu stronach nie wzięły góry, na razie jednak nie musieli interweniować.

Ostatnie przewidywania komputera mówiły o przewadze zaledwie dwudziestu ośmiu miejsc. Dwóch wodzirejów natychmiast przerwało pracę

i wdało się w gorącą dyskusję, czy taka większość ma szansę okazać się wystarczającą. Doszli do wniosku, że tak, po czym powrócili do swego głównego zajęcia. Jednakże tłum okazał się nagle obojętną widownią, a miejsce wcześniejszego entuzjazmu zajęła troska. Wodzireje postanowili zachować siły na przyjazd Henry'ego Collingridge'a.

Znajdujący się wewnątrz budynku Charles Collingridge był coraz bardziej pijany. Oczy miał szkliste i przekrwione, po jego twarzy zaś płynęły strugi potu.

— Porządny facet z tego mojego brata. I wspaniały premier — paplał, a w miarę jak zagłębiał się w dobrze wszystkim znaną historię, coraz bardziej płątał mu się język, co bez trudu mogli dostrzec ci, którzy go jeszcze słuchali. — Zawsze uważałem, że byłby jeszcze lepszym szefem rodzinnej fabryki, że mógłby z niej zrobić jeden z największych zakładów w kraju, ale on wołał politykę. Mnie co prawda też nie bawi produkcja armatury łazienkowej, ale nie chciałem sprawić ojcu przykrości. Henry mógłby rozwinąć ten interes... Czy wiecie, że obecnie sprowadza się armaturę z Polski? A może z Rumunii...?

Przerwał ten monolog, przewracając szklankę i oblewając jej zawartością swoje już i tak poplamione spodnie. Prezes Partii Konserwatywnej, lord Williams, wykorzystał zamieszanie i pośród gorących słów przeprosin oraz prośb o pomoc czym prędzej usunął się poza zasięg rażenia Charlesa Collingridge'a. Wprawdzie jego mądre oczy nie zdradzały tego, oburzało go jednak, iż musi obejmować swą gościnnością także brata premiera. Choć Charles nie był złym człowiekiem, miał wyjątkowo słabą wolę i staczał się coraz niżej, a najstarszy i najbardziej doświadczony aparatczyk partii pragnął prowadzić szczelny okręt. Przy całym swoim doświadczeniu wszakże był tylko nawigatorem i dobrze wiedział, że wyrzucenie za burtę brata admirała nie ma żadnego sensu.

Kiedyś w rozmowie z premierem poruszył problem rosnącej liczby złośliwych plotek i komentarzy na temat Charlesa Collingridge'a drukowanych w prasie bulwarowej. Jako jeden z niewielu, którzy jeszcze w czasach przed-thatcherowskich zajmowali w partii odpowiedzialne stanowiska, miał pełne prawo, aby proponować podjęcie zdecydowanych kroków, lecz na nic się to zdało. „Połowę swego czasu spędzam niszcząc ludzi — odpowiedział

premier. — Proszę cię, przynajmniej nie każ mi niszczyć własnego brata.”

Henry zgodził się zadbać, by Charles bardziej się pilnował, a właściwie pilnować go samemu. Nigdy jednak nie miał na to czasu, zdawał sobie zaś sprawę, że Charles gotów jest obiecać wszystko, tyle że coraz rzadziej udaje mu się dotrzymać słowa. Na dodatek Henry Collingridge czuł, że nie ma prawa wściekać się ani prawić bratu moralów, ponieważ dobrze wiedział, że najbardziej poszkodowanymi są zawsze członkowie rodziny polityka. Williams także to rozumiał; czyż w końcu nie rozwiódł się trzykrotnie od czasu, gdy przed prawie czterdziestu laty zajął się polityką?

Tu nie chodziło o brak miłości, lecz raczej o brak na nią czasu, o samotność kobiet i całych zaniedbanych rodzin, bardziej niż sam polityk cierpiących z powodu uprawianego przezeń zawodu. Okręt o nazwie „Polityka” zostawia w kilwaterze cierpienie i zniszczone rodziny, a wszystko to jest tym bardziej bolesne, że przypadkowe i nie zamierzone. Nawet ktoś tak zahartowany jak prezes partii poczuł w sercu bolesne ukłucie na widok Collingridge'a, który zataczając się i potykając wyszedł z pokoju. Ponieważ jednak nadmierna uczuciowość nie jest dobrym doradcą w kierowaniu partią, teraz, kiedy kampania wyborcza dobiegła końca, lord Williams postanowił odbyć kolejną poważną rozmowę z premierem.

Michael Samuel, minister środowiska, jeden z najmłodszych i z całą pewnością najbardziej telegenicznych członków gabinetu, podszedł do niego, aby się przywitać. Ze względu na wiek mógłby być synem prezesa, któremu wiele zawdzięczał. Na pierwszym szczeblu śliskiej i chybotliwej drabiny kariery politycznej stanął, gdy będąc młodym członkiem Izby Gmin, dzięki rekomendacji Williamsa został mianowany osobistym sekretarzem parlamentarnym, nie opłacanym „przynieś, wynieś” ministra, mającym szybko i bez zbędnych pytań wykonywać każde polecenie. Właśnie takie cechy robią największe wrażenie na premierach wybierających kandydatów do awansu. Pomoc Williamsa zapoczątkowała szybki i spektakularny marsz Samuela poprzez coraz wyższe stanowiska ministerialne. Od tamtego czasu obaj mężczyźni pozostawali bliskimi przyjaciółmi.

— Jakieś kłopoty, Teddy? — spytał Samuel.

— No cóż, Michael, premier może wybierać sobie przyjaciół albo członków gabinetu, ale niestety nie rodzinę.

— Tak jak my nie możemy wybierać, kto będzie członkiem partii.

Samuel skinął głową w stronę Urquharta, który wrócił właśnie wraz z żoną ze swego okręgu wyborczego. W jego oczach łatwo było dostrzec chłód. Michael Samuel nie lubił Urquharta. Chief Whip nie przyłożył ręki do jego awansu, na dodatek zaś niejedną raz określał go publicznie mianem „współczesnego Disraeliego, zbyt przystojnego i zbyt bystrego w sprawach dotyczących jego własnej kariery”.

Tradycyjny, głęboko zakorzeniony antysemityzm był momentami skrywany dość nieudolnie, Williams jednak dał młodemu błyskotliwemu prawnikowi dobrą radę: „Staraj się nie wyglądać na zbyt mądrego ani zadowolonego. Nie bądź nadmiernie liberalny w sprawach społecznych ani zanedbto zasadniczy w finansowych. I na litość boską, uważnie rozglądaj się dookoła! Znacznie częściej politycy padają ofiarą zdrady swych sojuszników, aniżeli giną od ciosów zadanych przez wrogów. Pamiętaj o tym.”

Samuel patrzył bez entuzjazmu, jak Urquhart wraz z żoną zbliża się do niego, popychany przez otaczający tłum.

— Dobry wieczór, Francis. Witaj, Mirando. — Samuel zmusił się do wyczynowego uśmiechu. — Moje gratulacje. Siedemnaście tysięcy głosów przewagi. Znam ze sześciuset członków parlamentu, którzy rano będą ci zazdrościć takiego rezultatu.

— Michael! No cóż, jestem przekonany, że po raz kolejny udało ci się przeciągnąć na swoją stronę żeńską część elektoratu okręgu Surbiton. Gdybyś jeszcze zdołał pozyskać choć część głosów ich mężów, twój wynik byłby przynajmniej tak dobry jak mój!

Roześmiali się swobodnie, przyzwyczajeni do ukrywania przed opinią publiczną, że nie lubią przebywać w swoim towarzystwie. Jednakże już chwilę później zapadła niezręczna cisza, żaden bowiem nie potrafił znaleźć odpowiedniego pretekstu do szybkiego wycofania się z rozmowy.

Uratował ich Williams, który właśnie skończył rozmawiać przez telefon.

— Nie chciałbym wam przerywać, ale Henry zjawi się lada chwila.

— Zejdę z tobą — natychmiast zaferował się Urquhart.

— A ty, Michael?

— Zaczekam tutaj. Będzie straszny ruch, kiedy przyjadą. Nie chcę, żeby mnie ktoś stratował.

Urquhart nie był pewien, czy to ostatnie zdanie nie było skierowane w jego stronę, lecz postanowił je zignorować i ruszył za Williamsem po schodach, na których roilo się od pracowników, podekscytowanych faktem, że lada moment ma przybyć sam premier. Pojawienie się prezesa i Urquharta na zewnątrz przywróciło siły wodzirejom, którzy ponowili swe próby rozentuzjasmowania tłumu. Kiedy czarny opancerzony daimler wraz z całą eskortą pojawił się na placu, przywitały go rytmiczne oklaski i wiwaty. Rozbłysły światła reflektorów telewizyjnych oraz tysięcy fleszów, gdyż zarówno zawodowi reporterzy, jak i amatorzy chcieli utrwalić moment przybycia.

Kiedy samochód się zatrzymał, wysiadł z niego Collingridge i machaniem ręki pozdrowił tłum. Urquhart trochę za bardzo starał się podejść, by uścisnąć dłoń premiera, i w efekcie zagroził mu drogę. Musiał czym prędzej się wycofać, podczas gdy z drugiej strony auta lord Williams z rycerskością i poufałością wynikającymi z wieloletniego doświadczenia pomógł wysiąść pani premierowej i dobrodusznie cmoknął ją w policzek. Nie wiadomo skąd nagle pojawił się wielki bukiet kwiatów wraz z kilkunastoma oficjelnymi i dygnitarzami, którzy nie mieli zamiaru zmarnować szansy trafienia na ekrany telewizorów i pierwsze strony gazet. W jakiś tajemniczy sposób cała ta falująca cizba zdołała przecisnąć się przez drzwi i wejść do budynku.

Podobny tłok i zamęt zapanowały wewnątrz, kiedy premier i jego świta próbowali przecisnąć się przez tłum pracowników i wejść na górę, zatrzymując się tylko po to, aby wygłosić krótkie podziękowanie, które zresztą musiało zostać powtórzone, fotoreporterzy bowiem nie zdążyli zainstalować się wystarczająco szybko.

Już na górze, w stosunkowo bezpiecznym gabinecie lorda Williama, po raz pierwszy tej nocy na twarzy premiera pojawiły się oznaki wyczerpania. Ze stojącego w kącie telewizora popłynęła prognoza dalszego spadku wielkości partii rządzącej, co Collingridge skomentował długim ponurym westchnieniem. Jego wzrok błędził powoli po gabinecie.

— Czy Charles pojawił się tu dzisiaj? — spytał cicho. Nigdzie po drodze nie widział brata. Williams spojrział premierowi w oczy.

— Przykro mi — odparł.

„Przykro ci, że co? — pomyślał Collingridge — Że mój brat się upił? Że prawie udało mi się przegrać te wybory? Że razem będziemy musieli stero-  
wać dalej tą łajbą? Tak czy owak, dziękuję za troskę.”

Teraz, kiedy adrenalina przestała już działać, ogarnęło go nagle straszne zmęczenie. Po długich tygodniach spędzonych wśród ludzi, bez ani jednej chwili dla siebie, Collingridge poczuł przemożną potrzebę samotności i odwrócił się, aby poszukać jakiegoś cichego, spokojnego miejsca. Jednak nic z tego — drogę zagroził mu Urquhart. Chief Whip wręczył premierowi białą kopertę.

— Zastanawiałem się trochę nad zmianami w rządzie — zaczął. — I choć to nie jest odpowiedni moment, na pewno będziesz o tym myślał przez weekend... Przygotowałem więc pewne propozycje. A ponieważ wiem, że interesują cię głównie konstruktywne pomysły, mam nadzieję, że niektóre z nich uznasz za nadające się do wykorzystania.

Collingridge spojrział na kopertę, po czym skierował zmęczony wzrok na Urquharta.

— Masz rację. To nie jest odpowiedni moment. Najpierw powinniśmy się chyba zastanowić nad zapewnieniem sobie większości, a dopiero później pozbywać się przyjaciół.

Złośliwość ta głęboko zraniła Urquharta, głębiej niż chciał tego premier, który zdał sobie sprawę, że się zagalopował.

— Przepraszam, Francis. Jestem trochę zmęczony. Oczywiście masz rację, myśląc o przyszłości. Słuchaj, może ty i Teddy wpadniecie do mnie w niedzielę po południu i wtedy o tym porozmawiamy? A na razie mam prośbę: zrób kserokopię tej listy i daj ją Teddy'emu, a oryginał prześlij mi jutro na Downing Street... Albo nawet dziś rano.

Urquhart stał jak wryty, speszony tą na poły publiczną reprimendą. Wiedział, że pośpieszył się ze swymi propozycjami zmian w gabinecie, i w duchu przeklinał się za to. Wrodzona pewność siebie opuszczała go, ilekroć stawał twarzą w twarz z Collingridge'em, produktem ostatniej szkoły średniej, który na gruncie towarzyskim miałby poważne problemy ze wstąpieniem do jego klubu. Bezsensowne odwrócenie ról w rządzie odbierało Urquhartowi odwagę, przez co w towarzystwie premiera często zachowywał

się nie tak, jak planował. Strasznie go to frustrowało i doprowadziło do tego, że po cichu nienawidził Collingridge'a i wszystkich jemu podobnych za podkopywanie jego pozycji. Lecz ponieważ nie nadszedł jeszcze odpowiedni moment, odparł najuprzejmiej, jak potrafił:

— Oczywiście, premierze. Zaraz przyniosę Teddy'emu odblisk.

— Lepiej będzie, jeśli zrobisz ją osobiście. Nie byłoby chyba wskazane, aby twoja lista nazwisk została tu rozkolportowana jeszcze dzisiejszej nocy — Collingridge uśmiechnął się, próbując wciągnąć Urquharta w spisek władzy, zawsze unoszący się w okolicach Downing Street. — No nic, na mnie już czas. Za cztery godziny zjawia się u mnie ci z BBC, więc muszę być rześki i świeży. Na resztę wyników zaczekam na Downing Street.

Zwrócił się do Williamsa:

— A, właśnie. Nie wiesz przypadkiem, jakie rezultaty przewiduje komputer?

— Jakieś pół godziny temu zatrzymał się na dwudziestu czterech. Tak już pewnie zostanie. — W jego głosie nie było śladu zadowolenia ani tym bardziej triumfu. Nie miał powodów do radości; od prawie dwudziestu lat partia nie osiągnęła tak złego wyniku.

— Nie przejmuj się, Teddy. Większość to większość. A przynajmniej nasz Chief Whip będzie miał do roboty coś więcej niż tylko leniwie przyglądać się głosowaniom przechodzącym większością stu głosów. Co ty na to, Francis? — To rzekłszy premier wyszedł z gabinetu, zostawiając Urquharta wściekle ściskającą kopertę.

Po odjeździe premiera tłum zarówno w środku, jak i na zewnątrz zaczął się szybko przeredzać, a Urquhart udał się do pomieszczenia na samym końcu długiego korytarza. Tam właśnie znajdowała się kserokopiarka.

Pokój 132A w żadnym wypadku nie mógł uchodzić za biuro. Była to długa, bardzo wąska kłitka, w której oprócz kserokopiarki trzymano zapasy. Urquhart otworzył drzwi i jeszcze zanim zapalił światło, jego nozdrza zaatakował ostry zapach. Zwinięty w kłębek obok metalowych półek leżał Charles Collingridge w zanieczyszczonym ubraniu. Nigdzie w pobliżu nie było widać butelki ani szklanki, jednak w powietrzu unosił się ciężki zapach whisky. Charles Collingridge wykrzesał z siebie resztki sił, aby znaleźć miejsce,

w którym bez skrepowania będzie mógł zwalić się na ziemię.

Smród był tak intensywny, że Urquhart czym prędzej wyjął z kieszeni chusteczkę i zasłonił nią nos. Następnie zbliżył się do ciała i przewrócił je na plecy. Potrząsanie za ramiona na nic się zdało. Jedynym efektem były długie przerwy w ciężkim, nierównym oddechu Collingridge'a. Gwałtowniejsze wstrząsy również nie pomogły, podobnie jak delikatne poklepywanie po twarzy.

Urquhart czuł, jak ogarnia go coraz większy wstręt. Nagle pogarda zmieszła się z myślą o głębokim poniżeniu, jakiego doznał od premiera, i przerodziła w nieodparte pragnienie zemsty. Mięśnie mu zesztyniały. Poczul przeraźliwy chłód, a włosy na karku się zjeżyły. Stanął nad nieprzytomnym i pochylił się. Powoli, z całej siły, otwartą dłońią okładał twarz Collingridge'a, raniąc ją swym wielkim sygnetem tak długo, aż z policzków pociekła krew, a z ust popłynął strumień wymiocin. Urquhart pochylił się jeszcze niżej, jakby chciał sprawdzić, czy Collingridge wciąż oddycha. Przez kilka minut stał bez ruchu niczym kot nad swą zdobyczą, z twarzą wykrzywioną nienawiścią. Nagle wyprostował się i po raz ostatni rzucił okiem na pijanego.

— A twój przeklęty brat wcale nie jest lepszy — syknął.

Podszedł do kserokopiarki, wyjął listę z kieszeni, zrobił odbitkę i nie oglądając się wyszedł.



## NIEDZIELA, 13 CZERWCA

Była powyborcza niedziela. O trzeciej pięćdziesiąt po południu służbowy samochód Urquharta skręcił z Whitehall w Downing Street, gdzie został powitany przez sztywno salutujących policjantów oraz setki fleszy. Solidna metalowa barierka oddzielała zebranych dziennikarzy od najsłynniejszych na świecie drzwi. Kiedy samochód się zatrzymał, były otwarte na oścież.

„Polityczna czarna dziura — pomyślał Urquhart — która wciąż kolejnych premierów i z której tylko nielicznym udaje się wyjść bez krępującego otoczenia bandy ochroniarzy i służących.”

W jakiś sposób budynek ten zdawał się wysysać z niektórych liderów całą polityczną żywotność.

Tego dnia Urquhart celowo usiadł po lewej stronie tylnego siedzenia, aby mieć pewność, że kiedy wysiądzie przed numerem 10, nic ani nikt nie stanie pomiędzy nim a obiektami kamer i aparatów fotograficznych. Ledwo zatrzasnął drzwi samochodu i wyprostował się, zza barierki poleciał grad wykrzykiwanych pytań, dając mu wspinały pretekst do podejścia na parę chwil do dżungli notesów i mikrofonów. Dostrzegł Charlesa Goodmana, legendarną postać ze Zjednoczenia Prasowego, który w swym sponiewieranym kapeluszu zajmował wygodne miejsce pomiędzy ekipami ITN a BBC.

— Witaj, Charles. Wygrałeś jakiś zakład o wynik wyborów? — spytał Urquhart, lecz Goodman zdążył już zadać pierwsze pytanie, podczas gdy inni dziennikarze tłoczyli się wokół niego.

— Panie Urquhart, czy jest pan tu, aby przedyskutować z premierem ewentualne zmiany w rządzie, czy też wezwał pana, by zaproponować panu nowe stanowisko?

— Cóż, powodów mojego przybycia jest kilka, ale przypuszczam, że jednym z nich mogą być zmiany w rządzie — odparł Urquhart skromnie.

— Krążą pogłoski, że oczekuje pan propozycji objęcia jakiegoś ważnego stanowiska.

— Nie mogę komentować pogłosek, Charles, a poza tym dobrze wiesz, że w tej sprawie decyzja należy do premiera. Ja jestem tu przede wszystkim po to, aby wesprzeć go moralnie.

— A więc będzie pan doradzał premierowi wspólnie z lordem Williamsem?

— Czy lord Williams już przyjechał? — Urquhart starał się ukryć wszelkie oznaki zdziwienia.

— Około czternastej trzydzieści. Zastanawialiśmy się, czy przybędzie ktoś jeszcze.

Urquhart miał nadzieję, że nikt nie zauważył dwóch stalowych sztyletów, które pojawiły się w jego oczach, kiedy zrozumiał, że premier i prezes partii już od półtorej godziny dyskutują bez niego na temat zmian w składzie gabinetu.

— A więc czas na mnie. Nie mogę kazać im dłużej na siebie czekać. — Uśmiechnął się uprzejmie, zwawo odwrócił i ruszył w stronę wejścia. Był zirytowany i przyćmiło to podniecenie, które odczuwał, ilekroć tamtędy przechodził.

Sekretarz premiera oczekiwał go na końcu korytarza, prowadzącego od wejścia do gabinetu Rady Ministrów. Urquhart natychmiast wyczuł zakłopotanie młodego człowieka.

— Pan premier oczekuje pana — zupełnie niepotrzebnie powiedział sekretarz. — Jest w gabinecie na piętrze. Powiem mu, że już pan przybył — dodał i wbiegł po schodach.

Przez bite dwanaście minut, które minęły, zanim ponownie się pojawił, Urquhart zdążył po raz setny obejrzeć portrety poprzednich premierów zdobiące słynne schody. Nigdy nie potrafił pozbyć się wrażenia, że większość ostatnio sprawujących ten urząd to osoby nijakie, banalne i nie nadające się na to stanowisko. Czasy się zmieniły. I to na gorsze. Tacy jak Lloyd George czy Churchill byli wspaniałymi urodzonymi przywódcami, lecz jeden prowadził rozwiązyły tryb życia, drugi zaś był arogancki i dużo pił, więc żaden z nich nie byłby tolerowany przez nowoczesne media, szukające taniej

sensacji. Wścibstwo i bezwzględność środków masowego przekazu sprawiły, że właściwie żaden z ostatnich premierów nie mógł uchodzić za jednostkę wybitną. Collingridge, wybrany głównie ze względu na swój sposób zachowania się przed kamerami, był żywym przykładem, jak dalece sztuczna stała się współczesna polityka. Urquhart tęsknił za wspaniałymi czasami, kiedy to politycy dyktowali reguły gry, zamiast podporządkowywać się warunkom narzucanym przez media. Powrót sekretarza przerwał te rozmyślania.

— Przepraszam, że musiał pan czekać. Pan premier przyjmie pana w swym gabinecie.

Gdy Urquhart wszedł do pokoju tradycyjnie służącego premierom jako gabinet, pomimo widocznych wysiłków uprzątnięcia bałaganu bez trudu zauważył, że w ciągu ostatniej półtorej godziny sporo szurano papierami i zrobiono wiele notatek. Z kosza na śmieci wyglądała pusta butelka po bordeaux, a na parapecie czaiły się talerze pełne okruchów i liści sałaty. Prezes partii siedział po prawicy premiera, na krytym skórą blacie biurka piętrzył się stos jego notatek. Obok nich leżała pokaźna sterta teczek personalnych posłów dostarczona przez centralę partii.

Urquhart przysunął sobie krzesło i siadł naprzeciw tamtych dwóch; ich twarze praktycznie nie widział, ponieważ przez okna wychodzące na Horse Guards Parade świeciło ostre słońce. Zmrużył oczy, kładąc swe notatki na kolanach.

Bez zbędnych ceremonii Collingridge przystąpił do rzeczy:

— Francis, byłeś tak miły i zaproponowałeś mi pewne zmiany w składzie gabinetu. Jestem ci za to bardzo wdzięczny; wiesz, jak stymulujące są dla mnie takie sugestie. Jestem pewien, że w przygotowanie tych propozycji włożyłeś sporo wysiłku. Zanim jednak przejdziemy do szczegółów, myślę, że dobrze będzie zastanowić się nad naszymi głównymi celami. To, co sugerujesz, to... jak by to nazwać?... dość radykalne zmiany na najwyższych szczeblach, a dokładnie, wprowadzenie do rządu sześciu nowych członków i wymiana sporej liczby tek wewnątrz gabinetu. Czy mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego jesteś zwolennikiem tak wielkich zmian i co, twoim zdaniem, dzięki nim osiągniemy?

Urquhartowi to się nie spodobało. Oczekiwał raczej dyskusji na temat poszczególnych propozycji, a tymczasem poproszono go o udowodnienie słuszności strategii radykalnych zmian, i to zanim jeszcze zdążył się zorientować w poglądach premiera. Wiedział, że Chief Whip błędnie odczytujący myśli szefa rządu naraża się na wielkie niebezpieczeństwo, i zaczął podejrzewać, że zastawiono na niego pułapkę.

Wyraz twarzy Collingridge'a nie stanowił dla niego żadnej wskazówki, ponieważ patrzył prosto w słońce świecące zza pleców premiera. Jakże teraz żałował, że przelał swe myśli na papier, zamiast po prostu zgłosić je w trakcie dyskusji. Ale cóż, stało się.

— To oczywiście tylko propozycje, pewne wskazówki, co można by zrobić. Generalnie uważam, że lepiej dokonać raczej więcej niż mniej zmian, po to, aby pokazać, że w pełni panujesz nad rządem i że od swoich ministrów oczekujesz wielu świeżych pomysłów i nowego sposobu myślenia. Jest to również szansa wysłania na emeryturę niektórych starszych kolegów; rzecz przykra, ale konieczna, o ile masz zamiar wpuścić trochę świeżej krwi i dać szansę awansu najbardziej obiecującym spośród młodych.

„Do diabła! — pomyślał nagle. — Nic głupszego nie mogłem powiedzieć, mając naprzeciwko tego stetryczalego skurwiela Williamsa.”

Wiedział, że powinien być bardziej ostrożny. Poczul, jak kurczy mu się żołądek. Collingridge nigdy nie wydawał się premierem prowadzącym swój gabinet twardą ręką i lubiącym podejmować decyzje, więc Urquhart był przekonany, że jeśli nie każdy, to przynajmniej większość jego pomysłów zostanie natychmiast zaakceptowana. Wszyscy, których przedstawił do awansu, byli ludźmi o niezaprzeczalnych zdolnościach i umiejętnościach. Chief Whip miał nadzieję, że nikt się nie domyśli, iż każdy z nich jest także jego dłużnikiem. Wyciągał ich z opresji, znał wszystkie ich słabości i tuszował ciemne sprawki, aby żony ani wyborcy nigdy o niczym się nie dowiedzieli.

Williams świdrował go swymi starymi chytrymi oczyma. Czyżby wiedział? Domyślił się?... W gabinecie panowała kompletna cisza i tylko Collingridge stukał ołówkiem o blat biurka, najwyraźniej mając problemy ze znalezieniem argumentów przeciwko propozycjom przedłożonym przez Urquharta.

— Jesteśmy u władzy dłużej niż jakakolwiek partia po wojnie, co stawia przed nami nowe wyzwania. Najważniejszym jest znużenie. Musimy zadbać o nowy, świeży obraz rządu — kontynuował Urquhart. — Bronić się przed zestarzeniem.

— To bardzo ciekawe, Francis, i uważam, że masz sporo racji. Teddy i ja przedyskutowaliśmy ten problem. Musimy dopuścić do głosu młodą generację, nabrać nowego rozpędu obsadzając nowych ludzi na nowych stanowiskach. Dlatego twoje propozycje zmian na niższym szczeblu uważamy za bardzo przekonujące.

— Ale one nie są najważniejsze — mruknął Urquhart pod nosem.

— Cały problem polega na tym, że zbyt wielkie zmiany na samej górze grożą poważnym zamętem. Większość nowych ministrów potrzebuje przynajmniej roku tylko na znalezienie się na nowym stanowisku. A rok to bardzo długo, szczególnie jeżeli nie można się pochwalić pozytywnymi efektami. Zamiast więc pomóc we wprowadzeniu naszego nowego programu, takie zmiany mogłyby go jedynie opóźnić. Tak przynajmniej uważa Teddy.

„Co za nowy program? — krzyczał w myślach Urquhart. — Przecież celowo wydaliśmy najbardziej nijaki i zachowawczy manifest, jaki się dało!”

Dopiero gdy odzyskał panowanie nad sobą, odpowiedział:

— Czy nie wydaje się wam, że ograniczając naszą większość w Izbie Gmin, wyborcy dają nam sygnał, że oczekują pewnych zmian?

— Ciekawe spostrzeżenie. Ale jak sam stwierdziłeś, po wojnie żadna partia nie utrzymała się przy władzy tak długo jak my. Nie chciałbym, abyś pomyślał, że popadam w samozadowolenie, ale nie wydaje mi się, że dalej byśmy pozostawiali partią rządzącą, gdyby nasi wyborcy doszli do wniosku, że zabrakło nam pary w kotłach. Dlatego też jestem zdania, że przyjmują nasze propozycje z aprobatą i wcale nie oczekują radykalnych zmian. I jeszcze jedna ważna rzecz — kontynuował. — Właśnie dlatego, że nasza większość dosyć gwałtownie spada, nie wolno nam sprawić wrażenia, że wpadliśmy w panikę. Doły partyjne i cały naród mogłyby błędnie odczytać nasze intencje i dopiero to mogłoby doprowadzić do żądania zmian, o których mówisz. Pamiętaj, że Macmillan doprowadził do upadku swego gabinetu tylko dlatego, że wpadł w panikę i wyrzucił jedną trzecią ministrów. Nazwali

to „Nocą Długich Noży”... Niecały rok później stracił urząd. Był to błąd, którego nie chciałbym powtórzyć, i dlatego zastanawiam się nad zmianami o znacznie bardziej ograniczonym zasięgu.

Położył na biurku kartkę papieru i przesunął ją w stronę Urquharta. Wydrukowano na niej listę stanowisk ministerialnych, w sumie dwudziestu dwóch, do których odręcznie dopisano nazwiska.

— Jak sam widzisz, Francis, proponuję zaniechanie jakichkolwiek zmian. Mam nadzieję, że zostanie to odebrane jako dowód wielkiej determinacji i siły. Mamy sporo roboty i moim zdaniem powinniśmy pokazać, że chcemy jak najszybciej przejść do rzeczy.

Urquhart szybko odłożył kartkę na biurko, obawiając się, że drżenie rąk może zdradzić jego uczucia.

— Skoro tego właśnie chcesz... — rzekł tonem nagle bardzo formalnym. — Ale muszę uczciwie powiedzieć, że nie mam żadnej pewności, jak zareaguje nasza frakcja parlamentarna. Nie miałem jeszcze wystarczająco dużo czasu, żeby się zorientować w powyborczych nastrojach.

— Jestem pewien, że to zaakceptują. W końcu aby ich zadowolić, proponujemy spore zmiany poza gabinetem. — Przerwał na chwilę. — Oczywiście mogę liczyć na twoje pełne poparcie? — spytał żartobliwie.

Nastąpiła kolejna, tym razem trochę dłuższa pauza, po której Urquhart usłyszał swoją odpowiedź:

— Oczywiście, że tak.

Własny głos dochodził go z oddali. Zdawał sobie sprawę, że nie ma wyjścia: albo poparcie, albo polityczne samobójstwo przez natychmiastową dymisję. Słowa potwierdzenia wypowiedział niemal automatycznie, ale bez przekonania. Ogarnęło go wrażenie, że funkcja, którą pełni, więzi go tak skutecznie jak skazańca jego cela. Po raz kolejny Urquhart poczuł się w towarzystwie premiera nieswojo, nie wiedząc, jak go rozgryźć ani w jaki sposób zareagować. Lecz nie mógł tego tak zostawić.

— Muszę powiedzieć... — zaczął drżącym głosem, czując, że zasycha mu w ustach. — Spodziewałem się pewnych zmian dotyczących mojej osoby... Jakichś nowych doświadczeń... Nowych wyzwaniań.

— Francis — odparł premier uspokajającym tonem — jeśli przesunę ciebie, będę musiał przesunąć innych. A wtedy zadziała efekt domina i cała konstrukcja zacznie się walić. Jesteś mi potrzebny właśnie jako Chief Whip, bo w tej roli jesteś wręcz wyśmienity. Poświęciłeś się wniknięciu w serca i dusze członków naszej frakcji parlamentarnej. Doskonale ich wszystkich znasz, a musimy przyjąć do wiadomości, że przy tak nieznaczonej większości w ciągu najbliższych paru lat przynajmniej kilka razy natrafimy na poważne trudności. Potrzebny mi Chief Whip, który potrafi nas przed nimi obronić. Potrzebuję ciebie, Francis. W działaniach kuluarowych nie masz sobie równych. Na scenie niech się męczą inni.

— Odnoszę wrażenie, że twoja decyzja jest nieodwołalna — powiedział Urquhart, mając nadzieję, że brzmi to raczej jak stwierdzenie faktu, a nie oskarżenie.

— Tak — odparł premier. — I jestem ci głęboko wdzięczny za zrozumienie i poparcie.

Drzwi celi zatrzasnęły się z hukiem. Urquhart wstał, podziękował i obrzuciwszy Williama niechętnym spojrzeniem, wyszedł. Williams w trakcie całej rozmowy nie odezwał się ani słowem.

Chief Whip wyszedł przez suterene, minął ruiny kortu tenisowego i doszedł do gmachu rządowego, którego okna wychodzą na Whitehall. Był poza zasięgiem wzroku czekających dziennikarzy. Nie mógł sobie pozwolić na spotkanie z nimi. Spędził u premiera niecałą godzinę i obawiał się, że nie potrafi dobrą miną uwiarygodnić kłamstw, które musiałyby im opowiadać. Poleciał strażnikowi zatelefonować po swój samochód.

Poobijane BMW od prawie kwadransa stało przed domem przy Cambridge Street w Pimlico. W chaosie porozrzucanych gazet oraz opakowań po pizzy i hamburgerach, pokrywających wolne fotele, siedziała Mattie Storin i przygryzała wargi. Od chwili gdy Downing Street wydało komunikat o zmianach w rządzie, w redakcjach gazet toczyły się gorące dyskusje mające na celu ustalenie, czy premier Collingridge jest tak genialny i śmiały, czy też po prostu wpadł w panikę. Należało koniecznie zapoznać się z poglądami osób, które brały udział w kształtowaniu decyzji. Williams, jak zawsze przekonywający, poparł premiera, natomiast Chief Whip uparcie nie odbierał telefonu.

Nie wiedząc właściwie dlaczego, Mattie postanowiła w drodze z pracy przejechać koło domu Urquharta, oddalonego o mniej więcej dziesięć minut jazdy od Izby Gmin. Spodziewała się zastać kompletne ciemności, jednak ze zdziwieniem stwierdziła, że światła w domu się palą, po ogrodzie zaś ktoś się kręci. Mimo to w dalszym ciągu nikt nie odbierał telefonu.

Zdawała sobie sprawę, że zarówno przez parlamentarzystów, jak i dziennikarzy obsługujących Izbę Gmin nie jest mile widziane, aby reporter nachodził swą ofiarę w domu. Westminster to swego rodzaju klub, w którym obowiązują pewne niepisane prawa, pilnie i solidarnie strzeżone przez polityków i dziennikarzy, a szczególnie przez dziennikarzy należących do tak zwanego „parlamentarnego lobby korespondentów”. Prawa te ściśle choć nieoficjalnie regulują zasady działania mediów w pałacu Westminsterskim. Ten lobbystyczny system ustala reguły zachowania, pozwalające zwoływać konferencje i udzielać wywiadów, o których nikt z zewnątrz nigdy się nie dowie. Gwarantując politykom pełną anonimowość, zachęca ich do niedyskrecji i ujawniania spraw objętych tajemnicą. W ten sposób dziennikarzom udaje się obejść ustawę o tajemnicy państwowej oraz zasadę kolektywnej odpowiedzialności gabinetu. Przestrzeganie tego niepisanego kodeksu jest dla dziennikarza przepustką, bez której zastanie on — czy też ona — wszystkie drzwi szczelnie zamknięte.

Mattie ponownie przygryzła wargę. Była zdenerwowana. Niełatwo przychodziło jej łamać zasady, ale dlaczego ten cholerny typ nie podnosi słuchawki?! Co on, do licha, knuje?

W jej uchu zabrzmiał mówiący północnym akcentem głos, za którym tak często tęskniła od czasu, gdy opuściła „Yorkshire Post” i jego starego, mądrego redaktora naczelnego. Jak on to mawiał? „Reguły, moja panno, stworzono, aby prowadziły ludzi mądrych, a kastrowały głupich. Dlatego nigdy mi nie mów, że z powodu czyichś kretyńskich reguł przeszedł ci koło nosa materiał na pierwszą stronę.”

— Już dobrze, ty pieprzony stary bydlaku! — odezwała się głośno.

Wcale nie miała ochoty łamać obowiązujących reguł, ale jeszcze bardziej nie chciała przepuścić takiej okazji. Przejrzała się we wstecznym lusterku,



poprawiła ręką włosy, aby choć częściowo przywrócić je do życia, po czym wysiadła z samochodu, żałując, że nie znajduje się w przyjemniejszym miejscu. Dwadzieścia sekund później rozległo się głośne stukanie ozdobnej, rzeźbionej w brązie kołatki o drzwi wejściowe.

Urquhart był w domu sam i nie spodziewał się niczyich odwiedzin. Jego żona wróciła na wieś, a służąca weekendy miała wolne. Niechętnie otworzył drzwi i nie od razu rozpoznał gościa.

— Panie Urquhart, przez cały dzień starałam się z panem skontaktować. Przepraszam, jeśli przeszkadzam, ale bardzo potrzebuję pańskiej pomocy. Otrzymaliśmy dziś komunikat z Downing Street mówiący, że nie należy się spodziewać żadnych zmian w składzie gabinetu. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby zechciał mi pan pomóc zrozumieć mechanizm tej decyzji.

„Skąd ci cholerni dziennikarze zawsze wiedzą, gdzie człowieka szukać?” — pomyślał Urquhart.

— Przykro mi, ale nie mam na ten temat nic do powiedzenia — odparł i zaczął zamykać drzwi. Zobaczył, jak dziennikarka rozpaczliwie wymachuje rękoma i robi krok naprzód. Chyba to głupie dziewczę nie zamierza wsadzić stopy między drzwi a futrynę? To by dopiero był ubaw.

— Panie Urquhart, to bardzo ciekawa historia. Ale myślę, że nie to chciał pan powiedzieć.

Zaintrygowany, ponownie uchylił drzwi. O co jej, do diabła, chodzi? Mattie dostrzegła to wahanie i czym prędzej dorzuciła następną przynętę:

— Jak by się panu podobał taki oto artykuł? „Wydaje się bardzo prawdopodobne, że wewnątrz gabinetu premiera Collingridge'a rysuje się głęboki konflikt dotyczący decyzji o nieprzeprowadzaniu żadnych zmian w jego składzie. Chief Whip, o którym już od dawna mówiono, że ma ambicję objęcia innego, ważniejszego stanowiska, odmówił komentarzy, a tym samym poparcia decyzji premiera.” I co pan na to?

Dopiero teraz Urquhart rozpoznał korespondentkę „Telegraphu”. Znał Mattie Storin raczej słabo, gdyż była stosunkowo nową twarzą w światku dziennikarzy obsługujących Izbę Gmin, lecz widział ją parę razy w akcji

i odniósł wrażenie, że nie jest głupia. Dziwił się więc, że stoi teraz w progu jego domu i próbuje go zastraszyć.

— Nie mówi pani poważnie — wycedził.

Mattie uśmiechnęła się szeroko.

— Oczywiście, że nie, proszę pana. Choć nie odbiera pan telefonów i unika osobistych kontaktów z prasą, to nawet ja nie posunęłabym się tak daleko. Ale cała ta sytuacja budzi we mnie sporo wątpliwości i wolałabym raczej poznać prawdę, aniżeli próbować wydedukować coś na podstawie faktów, których liczba jest bardzo ograniczona. A właśnie do tego zmusza mnie pańska odmowa.

Szczerze młodej dziennikarki rozbroiła Urquharta, choć właściwie powinien się wściec i natychmiast zatelefonować do jej naczelnego z żądaniem przeprosin za tak bezczelne najście. Lecz Mattie wyczuła już, że za oficjalnym komunikatem wydanym przez Downing Street może kryć się materiał na dobry artykuł. Teraz stała w drzwiach jego domu, a w rozjaśnionych korymkach jej blond włosów odbijało się światło.

Co miał do stracenia?

— Dobrze. Niech pani wejdzie, panno Storin... nie mylę się, prawda?

— Proszę mi mówić Mattie.

Ruszył pierwszy na piętro do urządzonego ze smakiem, choć bardzo tradycyjnego salonu, w którym stały stare wygodne meble, a ściany ozdabiały obrazy olejne przedstawiające konie i wiejskie pejzaże. Chief Whip nalał sobie dużą szkocką, a swemu gościowi, nie pytając, kieliszek wina, po czym rozsiadł się w fotelu. Mattie przycupnęła naprzeciwko niego na brzegu pożątej sofy. Wyjęła niewielki notes, lecz Urquhart zamachał ręką.

— Jestem zmęczony, panno Storin... Mattie. To była wyjątkowo trudna kampania i nie jestem pewien, czy powiem dokładnie to, co chcę powiedzieć. Dlatego proszę: żadnych notatek ani cytatów. — Urquhart dobrze wiedział, że musi uważać.

— Zgoda, panie Urquhart. A więc zróbmy tak: mogę wykorzystać wszystko, co pan powie, ale bez żadnych cytatów i w taki sposób, aby nikt się nie domyślił, że wiem to od pana.

— Świetnie, Mattie. Właśnie o to mi chodzi.

Ze srebrnej papierośnicy wyjął papierosa, zapalił go, zaciągając się głęboko, po czym nie czekając na pytania, rozpoczął swą obronę.

— Co ty na to, jeśli ci powiem, że zdaniem premiera to najlepsze wyjście z sytuacji? Że należy pozwolić ministrom spokojnie wykonywać ich obowiązki, a nie obarczać ich nowymi? I że po prostu wydano komendę „cała naprzód”?

— Odpowiem, że aby mi to powiedzieć, nie musiał pan zastrzegać nieoficjalności tej rozmowy.

Urquhart zachichotał. Naprawdę będzie musiał uważać.

— Powiem także — ciągnęła Mattie — że wyniki wyborów są najlepszym dowodem na to, że potrzeba wam świeżej krwi i nowego sposobu myślenia. Straciliście dużo miejsc w Izbie Gmin, a poparcie, jakie udało się wam zdobyć, nie jest zbyt wysokie.

— Spokojnie, Mattie. Powoli. Przede wszystkim chciałbym zauważyć, że w dalszym ciągu posiadamy zdecydowaną większość, a liczba oddanych na nas głosów znacznie przewyższyła liczbę głosów oddanych na główną partię opozycyjną. To chyba nie najgorszy wynik po tylu latach rządzenia?

— Ale też nie rokujący sukcesu w przyszłych wyborach, nieprawdaż? Nawet niektórzy z waszych zwolenników twierdzą, że program macie „za bardzo taki sam”. Natomiast jeden z waszych oponentów nazwał go „cała na dno”. Może pamięta pan, że byłam na jednym z pańskich wieców wyborczych. Bardzo dużo mówił pan wtedy o nowej energii, nowych pomysłach i przedsięwzięciach. Cała siła pańskich słów zasadzała się na obietnicach zmian... i wprowadzenia nowych graczy. — Przerwała, lecz Urquhart najwyraźniej nie śpieszył się z odpowiedzią. — W swoim wyborczym przemówieniu... zaraz, gdzieś mam jego tekst... — z pliku papierów, które miała w torbie, wyłowiła złożoną na pół ulotkę. Urquhart uważnie się jej przyglądał. — Proszę bardzo, mamy tu zapowiedź mających nastąpić ciekawych czasów, nowych wyzwania... Tymczasem to, co się w tej chwili dzieje, jest tak ciekawe jak zeszłotygodniowe gazety.

— Uważam, że jesteś trochę zbyt surowa — zaprotestował Urquhart, świadom, że powinien był zrobić to znacznie ostrzej. Nie miał ochoty wymyślać logicznych kontrargumentów i przypuszczał, że Mattie Storin dostrzeżęła tę niechęć.

— Pozwoli pan, że zapytam bez ogródek. Czy naprawdę uważa pan, że premier wybrał najlepsze rozwiązanie?

Urquhart nie od razu odpowiedział. Najpierw powoli uniósł szklankę do ust, przez cały czas nie spuszczać wzroku z Mattie. Oboje wiedzieli, że grają, ale żadne z nich nie znalazło jeszcze zakończenia tej sztuki.

Urquhart przez dłuższą chwilę delektował się aromatem szlachetnego trunku.

— Mattie, chyba nie oczekujesz ode mnie, że odpowiem na to pytanie? Dobrze wiesz, że jako Chief Whip jestem zobowiązany do całkowitej lojalności wobec premiera. Muszę więc popierać jego decyzje o zmianach w składzie gabinetu... A raczej o ich braku — dodał z pewną domieszką złośliwości.

— Zgadza się. Lecz mnie interesuje osobiste zdanie Francisa Urquharta, człowieka bardzo ambitnego, któremu zależy na sukcesie jego partii. Czy on popiera tę decyzję?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

— Panie Urquhart — próbowała dalej Mattie. — Obiecuję, że w moim jutrzejszym artykule znajdzie się informacja o wyrażonym przez pana całkowitym poparciu dla decyzji premiera. I to wraz z uzasadnieniem. Wiem, że nie życzy pan sobie zobaczyć w prasie czegokolwiek, co mogłoby sugerować, iż nie jest pan szczególnie zachwycony przebiegiem wypadków. Ale przypominam panu, że zawarliśmy pewną umowę. Wyczuwam, że nie jest pan zachwycony tym, co się dzieje. Chcę mieć pewność. Panu natomiast zależy na tym, by o pańskich poglądach nie dowiedzieli się ani moi, ani pańscy koledzy po fachu. Ma pan na to moje słowo. To informacja tylko dla mnie, ponieważ wiem, że może okazać się ważna w nadchodzących miesiącach. I jeszcze jedno: nikt nie ma pojęcia, że tu przyjechałam.

Proponowała układ. W zamian za prawdziwe poglądy Urquharta gwarantowała stuprocentową dyskrecję.

Urquhart bawił się w myślach kilkoma sztyletami, zastanawiając się, którym rzucić najpierw.

— A więc dobrze, Mattie. Wyjaśnię ci, na czym cała ta sprawa polega. To naprawdę bardzo proste. W rządowym kotle zawrzało od ambicji niektórych ministrów i premier musi mocno przycisnąć pokrywkę, aby cały gabinet

nie znalazł się nagle na suficie. To wrzenie narasta szczególnie w ostatnich dniach w związku ze słabym wynikiem wyborów.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że wewnątrz gabinetu ma miejsce ostra rywalizacja?

— Określmy to tak, Mattie... — przerwał na dłuższą chwilę, by zastanowić się nad doбором odpowiednich słów. — Niektórzy członkowie partii nie kryją swego niezadowolenia — mówił teraz bardzo powoli. — Uważają, że premier omal nie doprowadził do klęski w wyborach, i twierdzą, że jest zbyt słaby, a jego autorytet za bardzo nadszarpnięty, aby mógł prowadzić rząd przez następne cztery czy pięć lat. Dlatego rozważają, co może się wydarzyć w ciągu najbliższego półtora roku, dwóch lat, i starają się zapewnić sobie jak najlepszą pozycję startową w ewentualnym wyścigu po władzę. Od czwartku jest to zupełnie inna gra niż dotąd, a premier nie ma już całej drużyny po swojej stronie. To może mieć poważne konsekwencje.

— Dlaczego więc nie pozbędzie się tych najbardziej zbuntowanych?

— Dlatego, że nie może dopuścić, aby grupa zdymisjonowanych ministrów zaczęła nagle szaleć w tylnych ławach. Pamiętaj, że mamy tylko dwudziestoczeroosobową większość, która może bardzo szybko zniknąć... Na przykład w trakcie głosowania nad jakąś szczególnie niepopularną ustawą. Premier nie może sobie pozwolić na przesunięcie „grymasnej brygady” na inne stanowiska także z tego powodu, że wy, szlachetni dziennikarze, macie zwyczaj dawać nowym ministrom kilka miodowych miesięcy, a na dodatek robić im sporą reklamę. W ten sposób ich głos rozbrzmiewa ze zdwojoną siłą i może się nagle okazać, że zamiast po prostu wykonywać swoje obowiązki, biorą udział w grze o przywództwo w partii. Cała działalność gabinetu zaczyna się wtedy sypać, ponieważ każdy patrzy na ręce swych kolegów, zamiast skupić uwagę na działaniach opozycji. W efekcie rząd praktycznie przestaje funkcjonować, premier traci jakiekolwiek poparcie i wewnątrz partii rozpoczyna się kampania wyborcza.

— A więc wszyscy mają zostać na swoich miejscach. Czy to pana zdaniem rozsądna strategia?

Urquhart pociągnął długi łyk whisky.

— Gdybym był kapitanem Titanica i zobaczył tę cholerną górę lodową, z całą pewnością zamiast wydać komendę „Tak trzymać!” albo „Cała naprzód!”, postarałbym się zmienić kurs.

— Czy to właśnie powiedział pan premierowi dzisiejszego popołudnia?

— Mattie, posuwasz się za daleko! — zaprotestował i roześmiał się. — Co prawda całkowicie ufam twojej dyskrekcji, uważam jednak, że narażałbym cię na zbyt wielką pokusę, zdradzając ci szczegóły prywatnej poufnej rozmowy. Co to, to nie!

Mattie nawet nie drgnęła. W pełni zrozumiała znaczenie jego słów i była zdecydowana zrobić wszystko, aby dowiedzieć się jeszcze więcej.

— Pozwoli pan, że spytam o lorda Williama. Spędził z premierem całe popołudnie, a wszystko, co postanowili, to nic nie robić. Dosyć dziwne, nie uważa pan?

Urquhart bawił się tym sztyletem już od paru minut. Teraz rzucił nim dokładnie w cel.

— Czy słyszałaś kiedyś powiedzenie: „Uważaj na starca, który się śpieszy”?

— Nie chce pan chyba powiedzieć, że lord Williams ma nadzieję zostać liderem partii? W to nie uwierzę!

— Ależ skąd, nie jest aż takim egoistą. Ale ma jeszcze przed sobą parę lat życia i jak wielu doświadczonych mężów stanu chciałby dopilnować, aby władza trafiła w odpowiednie ręce.

— Czyje?

— Skoro nie jego własne, to jednego z jego akolitów.

— Na przykład?

— Naprawdę nic nie przychodzi ci do głowy?

— Michael Samuel?

Urquhart uśmiechnął się, widząc, że sztylet trafił dokładnie w cel.

— Musimy już kończyć, Mattie. Powiedziałem wystarczająco dużo.

Mattie niechętnie skinęła głową. Milczała przez dłuższą chwilę, starając się uporządkować elementy tej układanki. Urquhart bez słowa odprowadził swego gościa do drzwi; dopiero w progu, kiedy podawali sobie ręce, Mattie odezwała się ponownie:

— Bardzo mi pan pomógł, panie Urquhart. Mam jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie. Gdyby rzeczywiście doszło do wyborów w partii, czy zdecydowałby się pan kandydować?

— Dobranoc, Mattie — powiedział Urquhart i zamknął drzwi.

„DAILY TELEGRAPH”

PONIEDZIAŁEK, 14 CZERWCA. STRONA 1

KU ZASKOCZENIU WIĘKSZOŚCI OBSERWATORÓW PREMIER COLLINGRIDGE OGŁOSIŁ W CZORAJ, ŻE W SKŁADZIE GABINETU NIE PLANUJE ŻADNYCH ZMIAN ZWIĄZANYCH Z WYNIKIEM CZWARTKOWYCH WYBORÓW. PO KILKUGODZINNEJ DYSKUSJI, W KTÓREJ UDZIAŁ WZIĘLI PREZES PARTII KONSERWATYWNEJ, LORD WILLIAMS, I CHIEF WHIP FRANCIS URQUHART, PREMIER COLLINGRIDGE WYDAŁ KOMENDĘ „TAK TRZYMAĆ”.

WEDŁUG INFORMACJI PODANYCH PRZED DOWNING STREET CELEM TEGO POSUNIĘCIA JEST UMOŻLIWIĆ RZĄDOWI JAK NAJSZYBSZE WPROWADZENIE W ŻYCIE PROGRAMU WYBORCZEGO PARTII. NASI ROZMÓWCY W WESTMINSTERZE NIE KRYLI JEDNAK, ŻE SĄ ZDZIWIENI TĄ DECYZJĄ. W NIEKTÓRYCH KRĘGACH UWAŻA SIĘ NAWET, IŻ ZDRADZA ONA OSŁABIENIE POZYCJI PREMIERA PO ZDZIESIĄTKOWANIU WIĘKSZOŚCI PARLAMENTARNEJ ORAZ KRYTYCE SPOSOBU PROWADZENIA KAMPANII WYBORCZEJ, PRZEZ WIELU OBSERWATORÓW UZNANEJ ZA ABSOLUTNIE POZBAWIONĄ POLOTU.

POJAWIŁY SIĘ TAKŻE SPEKULACJE, ŻE RZĄD PREMIERA COLLINGRIDGE'A NIE ZDOŁA DOTRWAĆ DO NASTĘPNYCH WYBORÓW I ŻE W ZWIĄZKU Z TYM MINISTROWIE STARAJĄ SIĘ ZDOBYĆ JAK NAJLEPSZĄ POZYCJĘ WYJŚCIOWĄ W EWENTUALNYCH PRZYSPIESZONYCH WYBORACH W PARTII. JEDEN Z MINISTRÓW PORÓWNAŁ PREMIERA DO DOWÓDCY TITANICA NA CHWILĘ PRZED ZDERZENIEM Z GÓRĄ LODOWĄ.

DECYZJĘ PREMIERA O NIEPRZEPROWADZANIU PO WYBORACH ŻADNYCH ZMIAN W RZĄDZIE, CO, PRZYPOMNIJMY, ZDARZYŁO SIĘ PO RAZ PIERWSZY W NASZEJ POWOJENNEJ HISTORII, INTERPRETUJE SIĘ JAKO PRÓBĘ UTRZYMANIA POD KONTROLĄ RYWALIZACJI NARASTAJĄCEJ W GABINECIE.

WE WCZORAJSZEJ ROZMOWIE Z NASZYM REPORTEREM CHIEF WHIP W PEŁNI POPARŁ DECYZJĘ PREMIERA JAKO „NAJLEPSZE WYJŚCIE Z SYTUACJI, POZWALAJĄCE RZĄDOWI WYPEŁNIAĆ JEGO OBOWIĄZKI”. MIMO TEJ WYPOWIEDZI NIE USTAJĄ SPEKULACJE MAJĄCE NA CELU USTALENIE NAZWISK EWENTUALNYCH KANDYDATÓW DO PRZEJĘCIA STERÓW PARTII.

LORD WILLIAMS OKREŚLIŁ POGŁOSKI O BLISKICH WYBORACH JAKO „NON-SENS”. STWIERDZIŁ, ŻE „PREMIER POPROWADZIŁ PARTIĘ DO CZWARTEGO Z KOLEI HISTORYCZNEGO ZWYCIĘSTWA”, A NASTROJE W KIEROWNICTWIE OKREŚLIŁ JAKO BARDZO DOBRE. GDYBY JEDNAK DOSZŁO DO OTWARTEJ WALKI O WŁADZĘ W PARTII, SZCZEGÓLNE ZNACZENIE BĘDZIE MIAŁA WŁAŚNIE POSTAWA PREZESA, O KTÓRYM WIADOMO, ŻE JEST BARDZO BLISKO ZWIĄZANY Z MICHAELEM SAMUELEM, MINISTREM ŚRODOWISKA, JEDNYM Z POTENCJALNYCH KONKURENTÓW HENRY’EGO COLLINGRIDGE’A.

RZECZNIK PRASOWY OPOZYCJI BEZ WAHANIA ZARZUCIŁ PREMIEROWI ZUPEŁNE NIEZDECYDOWANIE. PODKREŚLAJĄC WYBORCZY SUKCES SWOJEJ PARTII, POWIEDZIAŁ TAKŻE: „W ŁONIE RZĄDU PŁONIE CORAZ WIĘKSZY PŁOMIEŃ NIEZADOWOLENIA, KTÓREGO PREMIER COLLINGRIDGE NIE POTRAFI ZDŁAWIĆ. Z PRAWDZIWĄ NIECIERPLIWOŚCIĄ OCZEKUJĘ JUŻ NA NASTĘPNE WYBORY...”



## WTOREK, 22 CZERWCA

Roger O'Neill rozsiadł się wygodnie w jednym z wielkich skórzanych foteli rozstawionych wokół stołów bilardowych w tylnej sali White's Club. Kiedy przy stołach nie ma graczy, tylna sala służy członkom klubu za ciche i spokojne miejsce poufnych rozmów. O'Neill ucieszył się i bardzo zdziwił, otrzymując od Urquharta zaproszenie do ekskluzywnego klubu w St. James's. Chief Whip traktował go dotąd raczej oziębło i O'Neill zdecydowanie bardziej przywykł do zimnych oczu drapieżnego ptaka obserwującego swą ofiarę aniżeli do zaproszeń na obiad, „abyśmy mogli uczcić efekty wspaniałej roboty, którą wykonałeś dla nas wszystkich w trakcie kampanii”.

O'Neill, jak zwykle bardzo spięty, próbował się uspokoić za pomocą dwóch mocnych wódek z tonikiem wypitych tuż przed wyjściem z domu, okazało się to jednak zupełnie niepotrzebne. Sposób bycia Urquharta, dwie butelki chateau talbot' 78 oraz dwa duże koniaki, które właśnie zamawiał przy barze, sugerowały, że O'Neill zdołał w końcu przełamać bariery stawiane przez część partyjnych tradycjonalistów przed takimi jak „on i jego kumple od reklamy, rozbijający się tymi ekstrawaganckimi, a nic niewartymi samochodami”. Choć O'Neill szydził z tradycjonalistów, zawsze bardzo pragnął zdobyć w ich oczach uznanie. Miał teraz wyrzuty sumienia, że tak niesprawiedliwie oceniał Urquharta. Na widok gospodarza niosącego srebrną tacę z kryształowymi kieliszkami szeroko się uśmiechnął i czym prędzej zgasił papierosa w nadziei na prawdziwą havane.

— Powiedz, Roger, jakie są twoje plany teraz, gdy kampania dobiegła końca? Czy zamierzasz w dalszym ciągu pracować dla partii? Nie możemy sobie pozwolić na tracenie tak dobrych ludzi jak ty...

O'Neill jeszcze raz się uśmiechnął i zapewnił swego gospodarza, że gotów jest pracować tak długo, jak będzie chciał tego premier.

— Ale czy stać cię na to? Czy mogę być z tobą brutalnie szczerzy? Dobrze wiem, jak mało partia płaci swoim pracownikom, a teraz, po wyborach, należy się spodziewać dalszego ograniczenia funduszy. Sytuacja nie poprawi się przez przynajmniej dwa lata. Twoje zarobki zostaną zamrożone, a budżet najprawdopodobniej radykalnie ograniczony. Czy nie kuszą cię bardziej intratne propozycje, które z całą pewnością otrzymujesz?

— Rzeczywiście, nie zawsze jest mi łatwo. I nie chodzi nawet o zarobki. Zająłem się polityką, ponieważ mnie fascynuje i chciałbym mieć w niej swój udział. Ale uważam, że redukcja budżetu byłaby prawdziwą tragedią. — Jego uśmiech zgasł na samą myśl o takiej perspektywie. — Musimy zabrać się za przygotowywanie następnej kampanii wyborczej już teraz, a nie za trzy lata, bo wtedy może być za późno. Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę plotki na temat możliwego rozłamu i spory o to, kto ponosi odpowiedzialność za taki, a nie inny wynik wyborów... A na skuteczną kampanię potrzebne są pieniądze.

— Czy rozmawiałeś na ten temat z prezesem?

— Tak.

— I jak zareagował? — Urquhart uniósł pytająco brwi.

— A jak mógł zareagować prezes?

— Niewykluczone, Roger, że będę mógł zrobić coś w tej sprawie. Bardzo chciałbym ci pomóc, bo uważam, że spisałeś się naprawdę dobrze. Jeśli chcesz, powalczę z prezesem o twój budżet. Ale najpierw muszę cię o coś spytać. I to bez ogródek.

Spojrzał O'Neillowi prosto w oczy, jak zwykle strasznie rozbiegane. Spokojnie czekał, podczas gdy O'Neill głośno wydmuchiwał nos. O tym nawyku Urquhart także słyszał. Można było odnieść wrażenie, że wewnątrz O'Neilla toczy się inne, niezależne od otaczającego świata życie, które objawiało się jedynie jego hiperaktywnością oraz rozbieganym wzrokiem.

— Niedawno odwiedził mnie stary znajomy, jeszcze z czasów, gdy byłem dyrektorem w City — kontynuował Urquhart. — Obecnie zajmuje się finansami agencji reklamowej partii. Był bardzo zaniepokojony. Powiedział, że

masz zwyczaj prosić ich o spore sumy na pokrycie swych wydatków.

Na krótką chwilę oczy O'Neilla zatrzymały się, a Urquhart zdał sobie sprawę, jak rzadko O'Neill siedzi nieruchomo.

— Zapewniam cię, Roger, że nie próbuję zastawić na ciebie żadnej pułapki. To, o czym rozmawiamy, pozostanie między nami. Ale jeśli mam ci pomóc, muszę mieć pewność co do faktów.

Oczy O'Neilla wznowiły swój taniec. Ponownie rozległ się także jego wyuczony śmiech.

— Zapewniam cię, Francis, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Może to głupie, ale naprawdę się cieszę, że poruszyłeś tę sprawę. Chodzi po prostu o to, że czasami ponoszę wydatki, które łatwiej mi potem odzyskać od agencji niż od partii. Na przykład kiedy stawiam dziennikarzowi drinka czy zapraszam na kolację kogoś, kto wspiera finansowo naszą kampanię... — O'Neill mówił coraz szybciej. Nie ulegało wątpliwości, że odpowiedź na to pytanie ma przeciwzoną. — Chyba wiesz, że jeśli w takiej sytuacji zapłacę z własnej kieszeni, to zwrotu pieniędzy muszę domagać się od partii. A naszej przeciążonej księgowości załatwienie takiej sprawy zajmuje mniej więcej dwa miesiące... Przy moich zarobkach po prostu nie mogę sobie na to pozwolić i dlatego wydatkami obciążam agencję, która wypłaca mi pieniądze od razu, a rachunek wysyła partii mniej więcej po miesiącu, wraz z innymi... W ten sposób partia zyskuje nieoprocentowany kredyt, a ja mogę spokojnie wykonywać swoją pracę. Poza tym to są raczej niewielkie sumy...

O'Neill sięgnął po swój kieliszek.

— Dwadzieścia dwa tysiące trzysta funtów to twoim zdaniem niewielka suma?

O'Neill omal się nie udławił. Szybko odstawił kieliszek, a jego twarz się wykrzywiła, kiedy próbował równocześnie przełknąć powietrze i wykrztusić słowa gwałtownego protestu.

— Nie może być mowy o tak dużych pieniądzach — odparł wreszcie i zamilkł, najwyraźniej nie wiedząc, co ma dalej powiedzieć.

Tej kwestii nie przećwiczył.

Urquhart odwrócił się, aby zamówić jeszcze dwa koniaki, po czym spokojnie zwrócił wzrok na O'Neilla, który przypominał teraz muchę złapaną w pajęczynę. Czas przystąpić do zagęszczania oczek.

— Roger, od początku września zeszłego roku obciążasz agencję regularnymi wydatkami, nie przedstawiając przy tym żadnych rachunków. Do dnia dzisiejszego wydałeś ni mniej, ni więcej tylko dwadzieścia dwa tysiące trzysta funtów. Początkowo rzeczywiście niewielkie sumy, urosły w ostatnim czasie do około czterech tysięcy funtów miesięcznie. Nawet w trakcie kampanii wyborczej nie da się przeżyć tylu drinków i kolacji.

— Zapewniam cię, Francis, że wszystkie moje wydatki są całkowicie legalne i uzasadnione!

Kelner postawił przed nimi kieliszki. Kiedy odszedł, Urquhart zadał ostateczny cios.

— A ja zapewniam cię, że wiem, na co wydajesz te pieniądze — powiedział cicho i pociągnął łyk koniaku. O'Neill siedział bez ruchu jak sparaliżowany. — Jako Chief Whip muszę być obeznany z każdym problemem, jaki może stanąć przed człowiekiem. Czy wiesz na przykład, że w ciągu ostatnich dwóch lat spotkałem się z przypadkami znęcania się nad żoną, cudzołóstwa, oszustwa, a także choroby umysłowej? A raz nawet z kazirodztwem. Nie może być oczywiście mowy, aby osoby zamieszane w coś takiego powtórnie kandydowały, ale nie można też od razu robić afery na skalę kraju. Dlatego sprawy te rzadko wychodzą na światło dzienne. Nieprzekraczalną granicą jest dla nas kazirodztwo, ale generalnie staramy się nie moralizować. W końcu każdy człowiek ma prawo do jakiejś słabości. Pod warunkiem, że potrafi się z nią kryć. — Przerwał. — Jeden z moich pracowników jest lekarzem — kontynuował po chwili. — Jego zadaniem jest pomagać mi w wykrywaniu wszelkiego rodzaju przypadków przemęczenia. Doszliśmy już do sporej wprawy. W końcu mamy pod opieką ponad trzysta osób stojących niemal przez cały czas na skraju wyczerpania. Nawet nie wiesz, jak wiele zdarza się w Westminsterze przypadków narkomanii. Według specjalistów, około dziesięciu procent populacji jest podatne na uzależnienia od takich czy innych środków chemicznych. To nie ich wina, tacy się urodzili i po prostu mają większe niż pozostali trudności z oparciem się pokusie nadużywania alkoholu, tabletek i tym podobnych. Niedaleko Dover mieści się przytulny i zapewniający całkowitą dyskrecję ośrodek odwykowy. Jeśli trzeba, wysyłamy tam naszych członków na parę miesięcy. Większość z nich

wraca później do normalnego życia. Także politycznego. — Ponownie prze-rwał i napił się koniaku, jednak ani na chwilę nie spuszczał wzroku z O'Ne-illa, który siedział bez ruchu, niczym skamieniały. — Ale im prędzej uda się nam namierzyć tych ludzi, tym lepiej. Dlatego jesteśmy szczególnie uczuleni na wszelkie objawy nadużywania narkotyków. Na przykład kokainy, która stała się ostatnio poważnym problemem. Podobno jest modna, cokolwiek to oznacza, i bardzo łatwa do zdobycia. Czy wiesz, że już po krótkim czasie niszczy śluzówkę nosa? Niesamowity narkotyk. Działa bardzo szybko i sprawia, że wydaje ci się, że robotę normalnie zajmującą ci pięć godzin, jesteś w stanie skończyć w pięć minut. Mówią, że z dobrego czyni geniusza. Szkoda tylko, że tak szybko uzależnia. — Kolejna pauza. — I jest strasznie droga.

W czasie całej swej przemowy Urquhart ani na chwilę nie spuścił oczu z O'Neilla, był więc świadkiem okrutnych katuszy, które ten cierpiał. Jeśli miał jakiegokolwiek wątpliwości co do słuszności swej diagnozy, to mina i ton O'Neilla całkowicie go ich pozbawiły.

— Mylisz się — odezwał się O'Neill drżącym, błagalnym głosem. — Wca-le nie jestem narkomanem. Nie biorę prochów!

— Nie, Roger, oczywiście, że nie — odrzekł Urquhart uspokajająco. — Ale musisz przyjąć do wiadomości, że niektórzy obserwując twoje zachowa-nie, mogą wyciągnąć fałszywe wnioski. A jak dobrze wiesz, premier nie lubi ryzyka. Nie chodzi oczywiście o wydawanie wyroku bez sądu, a po prostu o chęć życia w spokoju.

— Premier na pewno w to nie uwierzy! — O'Neill sapnął, jakby ubódł go szarżujący byk.

— Może masz trochę racji. Tylko że z tego, co wiem, prezes partii, nasz stary drogi lord Williams — on oczywiście o niczym nie wie — raczej nie należy do twoich wielbicieli. Osobiście słyszałem, jak niezbyt pochlebnie wypowiadał się na twój temat. Ale nie masz się czego obawiać. Poręczyłem za ciebie, więc bądź spokojny. Przynajmniej dopóki masz moje poparcie.

Urquhart słyszał o paranoi drążącej umysły kokainistów i dobrze wie-dział, jakie wrażenie na O'Neillu musiała zrobić ta wyssana z palca historyj-ka o wrogości prezesa. Wiedział też, że paranoi prawie zawsze towarzyszy żądza sławy, a tę O'Neill mógł zdobyć jedynie dzięki swym powiązaniom

politycznym, a w szczególności protekcji premiera. „Przynajmniej dopóki masz moje poparcie” — dźwięczało w uszach O’Neilla. Lecz tak naprawdę znaczyło to: „Jeden fałszywy krok i już po tobie”. O’Neill znalazł się w po-trzasku, więc nadszedł czas, by wskazać mu drogę ucieczki.

— Wiesz, Roger, plotki zniszczyły już wielu porządnym ludzi. Plotki oparte na przypadkowych poszlakach, a czasami na zwykłej ludzkiej zazdrości. Tak czy owak, korytarze Westminsteru dla niejednego polityka okazały się śmiertelną pułapką. Byłaby to prawdziwa tragedia, gdybyś miał stanąć pod pręgierzem — albo z powodu wrogości lorda Williama, albo dlatego, że ktoś błędnie zinterpretował twoje spore, przyznasz, wydatki... no i ten katar sienny.

— Co mam robić? — spytał O’Neill płaczliwie.

— Znalazłeś się w dość delikatnym położeniu, zwłaszcza teraz, gdy sytuacja w rządzie zmienia się z godziny na godzinę. Dlatego powinienś mi zaufać. Potrzebujesz silnego poparcia w partii, tym bardziej że premier ma coraz więcej problemów i musi skoncentrować się na ratowaniu samego siebie, a nie innych. — Urquhart przerwał i przez chwilę obserwował swą wierzącą się w fotelu ofiarę. — Proponuję następujący układ. Potwierdzą w agencji, że twoje wydatki są jak najbardziej legalne, i poproszę ich, by w dalszym ciągu wypłacali ci pieniądze. Wy tłumaczę im, że w ten sposób zabezpieczamy się przed zazdrością części twoich współpracowników, nie popierających przeznaczenia tak wysokich sum na reklamę, dla których twoje spore, lecz w pełni uzasadnione wydatki mogłyby stać się wymarzo-nym celem ataków. Agencja powinna to uznać za sensowną polisę ubezpieczeniową. Zadbam także, aby premier był jak najczęściej informowany o wspaniałych efektach twojej pracy. Postaram się przekonać go, by kontynu-ował kampanię reklamową na wysokim poziomie, co może mu pomóc w przetrwaniu nadchodzących trudnych miesięcy. Niewykluczone, że dzięki temu prezes nie podrze twojego budżetu na strzępy.

— Będę ci bardzo wdzięczny — wymamrotał O’Neill.

— W zamian będziesz mnie informować o wszystkim, co się dzieje w centrali partii, a zwłaszcza o zamierzeniach prezesa. To bardzo ambitny i wyjątkowo niebezpieczny człowiek. Udaje lojalność wobec premiera, a

proceedzi własną rozgrywkę. Tak między nami, Roger, to myślę, że uda się nam zabezpieczyć zarówno interesy premiera, jak i twoje. Ale musisz mnie o wszystkim informować. I to natychmiast, jak tylko usłyszysz coś o planach prezesa. Pamiętaj, że od tego może zależeć twoja przyszłość. — Na ostatnie zdanie położył szczególny nacisk, aby O'Neill nie miał żadnych wątpliwości, że to nie żarty. — Musimy ściśle ze sobą współpracować. Wiem, jak bardzo kochasz politykę, i myślę, że we dwóch zdołamy przeprowadzić partię przez te trudne czasy. Tylko musisz mi pomóc.

— Dziękuję ci — wyszeptał O'Neill.

## ŚRODA, 30 CZERWCA

Strangers Bar w Izbie Gmin to ciasny i ciemny lokal z oknami wychodzącymi na Tamizę, w którym członkowie parlamentu mogą przyjmować swoich gości. Panuje w nim zwykle tłok i gwar. Tak właśnie było tego wieczora. O'Neill oparł się jednym łokciem o kontuar, jednocześnie starając się nie wytrącić drugim drinka z dłoni swego gospodarza.

— Jeszcze po jednym, Steve? — spytał nienagannie ubranego towarzysza.

W swym szarym moherowym garniturze i nieskazitelnie białej koszuli Stephen Kendrick wyglądał trochę jak z innej bajki. Wypielęgnowane dłonie zaciskał wokół szklanki Federation bitter, ciemnego piwa beczkowego, podawanego w barach pałacu westminsterskiego.

— Przecież wiesz lepiej niż ja, że „obcy” nie mogą tu kupować napojów. A poza tym jestem tu dopiero od dwóch tygodni i nie chciałbym zrujnować sobie kariery, pozwalając, żeby ktoś zobaczył, jak ulubiony wilczur premiera upija najmłodszego i najaktywniejszego posła opozycji. Moi co bardziej dogmatyczni koledzy nazwaliby to po prostu zdradą. — Uśmiechnął się i skinął na barmankę, aby przyciągnąć jej uwagę. Chwilę później na kontuarze stało pół kwarty ciemnego piwa oraz podwójna wódka z tonikiem. — Wiesz, Rog, wciąż muszę się szczytać w rękę. Nigdy nie spodziewałem się tu znaleźć i mam wrażenie, że to sen albo jakiś cholerny koszmar. Kto by siedem lat temu pomyślał, że ty zostaniesz pierwszym zrzędą premiera, a ja wejść do Izby Gmin jako skromny, acz bardzo zdolny poseł partii opozycyjnej.



— Z całą pewnością nie ta mała blond telefonistka, którą na zmianę ob-  
racaliśmy. — Wspomnienie dawnych szalonych czasów strasznie ich rozba-  
wiło.

— Słodka mała Annie — zadumał się Kendrick.

— Annie? Chyba raczej Jennie — zaprotestował O'Neill.

— Rog, co się z tobą stało? O ile pamiętam, dawniej nie przywiązywałeś  
zbyt wielkiej wagi do imion.

Pod wpływem alkoholu i rubasznych żartów dzielące ich lody w końcu  
stopniały. Kiedy O'Neill zatelefonował do świeżo upieczonego parlamenta-  
rzysty i zaproponował, by się spotkali i wypili za dawne czasy, początkowo  
wydawało się, że obaj będą mieli spore kłopoty ze wskrzeszeniem niegdy-  
siejszej zażyłości. Starali się, być może za bardzo, nie mówić o polityce, któ-  
ra przecież dominowała obecnie w ich życiu, dlatego prowadzili rozmowę  
dość sztywną i nienaturalną. Teraz O'Neill postanowił zaryzykować.

— Wiesz co, Steve? Chyba mam ochotę się upić. Najchętniej przesie-  
działbym tutaj całą noc. Z takim szefostwem jak moje chyba nawet święty  
zostałby pijakiem.

— Rzeczywiście... Podobno macie tam teraz niezły młyn. Chodzą plotki,  
że Samuel jest wściekły na Williamsa, ponieważ ten ryzykuje jego głowę w  
konflikcie z premierem, Williams na Collingridge'a za omal nie przegrane  
wybory, a Collingridge praktycznie na wszystkich.

— Może to dlatego, że są zmęczeni po wyborach i nie mogą się doczekać  
wakacji — odparł O'Neill. — Jak rodzina przed długą podróżą kłócąca się,  
które walizki pakować najpierw, a które na końcu.

— Wiesz, co ci powiem, staruszkę? Myślę, że twój szef powinien jak naj-  
szybciej położyć kres tym awanturom. W przeciwnym razie wyjedzie na  
letnie wakacje z rodziną bardziej przypominającą stado Westminsterkich  
kotów niż rząd. Żaden premier nie może pozwolić, aby o jego gabinecie  
krążyły takie plotki, bo wkrótce zaczynają żyć swoim własnym życiem i stają  
się prawdą. I właśnie w tamtą stronę powinienes pośpieszyć z odsieczą.  
Niczym stojące na wzgórzach oddziały kawalerii.

— Chyba raczej jak Custer na ostatniej placówce — odparł O'Neill z go-  
ryczą.

— O co chodzi, Rog? Czyżby wujek Teddy gwizdnął ci twoje ołowiane żołnierzyki? — szczerze zainteresował się Kendrick.

O'Neill opróżnił szklanę, a Kendrick zamówił następną kolejkę.

— Między nami mówiąc, Steve, gwizdnął mi prawie wszystkie. Do diabła! Teraz, gdy bardziej niż kiedykolwiek potrzeba nam nowych przyjaciół, my zamiast przystąpić do ofensywy, chowamy się za barykadami.

— Coś mi się zdaje, że kazali ci na jakiś czas zwinąć cały kram...

O'Neill z irytacją uderzył pięścią w kontuar.

— Może nie powinienem ci o tym mówić, ale ponieważ i tak cała sprawa jest już nieaktualna, nie zrobię chyba nic złego. Chodzi o nowy program rozwoju szpitalnictwa, który obiecaliśmy podczas kampanii wyborczej. Wiesz, rząd ma dawać z budżetu tyle samo pieniędzy, ile uda się zebrać na ten cel władzom lokalnym. Przygotowaliśmy kapitalną kampanię promocyjną, która miała zostać przeprowadzona latem, kiedy wy, skurczybyki, siedzielibyście sobie spokojnie na Costa del Cuba czy diabli wiedzą gdzie.

Kendrick milczał nie reagując na ten oczywisty przytyk.

— Do października zdobylibyśmy serca i umysły wyborców w najdalszym nawet zakątku kraju. Cała kampania była już przygotowana! Reklamy, audycje radiowe i telewizyjne, dziesięć milionów ulotek, plakaty... „Przywróćmy zdrowie szpitalom.” Mielibyśmy piękne hasło na zjazd: „Partia, która dotrzymuje obietnic”. A on... wszystko odwołał. Po prostu odwołał.

— Dlaczego? — spytał Kendrick. — Czyżby problemy finansowe po wyborach?

— Właśnie to jest najdziwniejsze, Steve. W budżecie są pieniądze, ulotki i plakaty zostały już wydrukowane, a on wszystko odwołuje! Po prostu wrócił dziś rano z Downing Street i powiedział, że sprawa jest nieaktualna. Jeszcze miał czelność spytać, czy te ulotki zdezaktualizują się do przyszłego roku! Co za cholerna amatorszczyzna!

Pociągnął spory łyk, starając się wyglądać na przygnębitego; miał nadzieję, że w pełni udało mu się zastosować do wskazówek udzielonych przez Urquharta, by nie okazywać zbyt wielkiej nielojalności ani tym bardziej otwartości, lecz po prostu zwykle rozgoryczenie zawodowca. Nie miał pojęcia, dlaczego Chief Whip kazał mu wymyślić i puścić w obieg tę historyjkę

o odwołanej kampanii promocyjnej. Całkowicie przecież fikcyjnej. Jednak uważał, że taki drobiazg winien jest człowiekowi, od którego zależy jego los.

Dopił zawartość swej szklanki i przez jej dno zobaczył, że Kendrick z uwagą mu się przygląda.

— Ale dlaczego, Rog? Dlaczego?

— Żebym to ja wiedział... Naprawdę nie mam zielonego pojęcia.

## CZWARTEK, 1 LIPCA

Ta część budynku, w której mieści się Izba Gmin, to stosunkowo nowa konstrukcja, odbudowana po tym, jak w czasie wojny jedna z bomb Luftwaffe zabłąkała się i zamiast w doki, trafiła w „matkę parlamentów”. Jednakże pomimo tej młodości w Izbie panuje atmosfera sprzed wieków. Jeśli zajmie się miejsce w kącie pustej sali, świeżość skóry, którą obciążnięto wąskie ławy, natychmiast znika i w przejściu zaczynają spacerować duchy Chathama, Walpole'a, Foxa i Disraeliego.

Izba Gmin jest miejscem o wyjątkowym charakterze, choć raczej niewygodnym. W ławach mieści się tylko czterystu spośród sześciuset pięćdziesięciu posłów, ci zaś, którzy siedzą, nie usłyszą dźwięków płynących przez prymitywne głośniki wbudowane w oparcie ław, o ile nie osuną się na bok, a wtedy będą wyglądać, jakby spali. Co zresztą często jest prawdą.

Członków antagonistycznych partii dzieli długość zaledwie jednego miecza, przez co nieostrożni wpadają w samozadowolenie i zapominają, iż największe niebezpieczeństwo czai się właśnie w zasięgu miecza, w ławach ich własnej partii.

Przede wszystkim premierowi nie wolno zapominać, że ponad połowa członków jego własnej frakcji uważa, iż o wiele lepiej nadaje się na to stanowisko. Podczas sesji parlamentu premier staje do raportu dwa razy w tygodniu za sprawą uświęconej tradycją instytucji „interpelacji do premiera”. W założeniach daje ona członkom Izby Gmin możliwość uzyskania od szefa Rządu Jej Królewskiej Wysokości interesujących ich informacji, a w praktyce jest ćwiczeniem w sztuce przetrwania, mającym dużo więcej

wspólnego z rzymską areną Nerona i Klaudiusza aniżeli z ideałami konstytucjonalistów, którzy stworzyli ten system.

Pytania posłów opozycji nie służą zdobywaniu informacji, lecz krytykowaniu i sianiu zniszczenia, odpowiedzi natomiast nie informują, tylko odpłacają pięknym za nadobne. Ostatnie słowo należy zawsze do premiera i to właśnie daj? mu przewagę w walce, niczym gladiatorowi, któremu pozwolono zadać ostateczne pchnięcie.

Lecz premier musi także wiedzieć, że nie może sobie pozwolić na przegraną i że raczej sposób, w jaki zwycięży, a nie samo zwycięstwo zadecyduje o tym, na jak głośne poparcie stojących za nim oddziałów będzie mógł liczyć. Biada premierowi, który nie dość szybko pokona przeciwnika lub pozwoli mu na błyskotliwy kontratak. Hałaśliwy entuzjazm tylnych ław niemal natychmiast zmieni się w oburzenie i milczące potępienie, premier zaś będzie musiał uważać nie tylko na opozycję przed sobą, lecz także na konkurencję za plecami.

Właśnie ta ciągła próba sił sprawiała, że przed interpelacjami Macmillan dosłownie sztywniał z przerażenia, Wilson nie przespiał nocy, a Margaret Thatcher traciła panowanie nad sobą. A przecież Henry Collingridge nie dorównywał żadnemu z nich.

Następny dzień po wieczornym wypadzie O'Neilla do Strangers Bar okazał się dla premiera wyjątkowo trudny. Sekretarza prasowego rządu zatrzymała w domu wietrzna ospa jego dzieci, w związku z czym nie dość, że codzienna odprawa prasowa przebiegała w straszliwym chaosie, to w dodatku, co dla niecierpliwego Collingridge'a było jeszcze bardziej denerwujące, skończyła się ze znacznym opóźnieniem. Także gabinet, który zebrał się o godzinie dziesiątej, aby uchwalić zarys polityki rządu, obradował dłużej niż zwykle i w ogromnym zamieszaniu. Posiedzenie rozpoczęło wystąpienie kanclerza skarbu, który oznajmił, że z powodu bardzo złego wpływu wyniku wyborów na rynek finansowy wprowadzenie w życie szumnie reklamowanego w czasie kampanii programu reformy szpitalnictwa będzie w tym roku absolutnie niemożliwe. Premier powinien panować nad przebiegiem dyskusji, ta jednak wymknęła mu się spod kontroli i zakończyła wylaniem sporej ilości żółci.

— Wielka szkoda, że pan kanclerz nie był odrobinę ostrożniejszy, zanim zgodził się na włączenie tego programu do naszej kampanii — zauważył zjadliwie minister edukacji.

— To chyba nie moja wina, że wyniki wyborów były jeszcze gorsze, niż przewidziała tak przecież cyniczna giełda — mruknął wyzywająco kanclerz skarbu i natychmiast pożałował swego komentarza, choć dobrze wiedział, że tak samo myślą wszyscy zebrani.

Collingridge skarcił ich spojrzeniem i polecił ministrowi zdrowia przygotować odpowiednie i przekonujące wytłumaczenie nagłej zmiany planów. Miało ono zostać ogłoszone w ostatnim tygodniu przed wakacjami.

— Miejmy nadzieję — stwierdził siedemdziesięcioletni lord kanclerz — że uwaga wszystkich będzie już wtedy skoncentrowana na szaleństwach wakacyjnych, a nie na znacznie bardziej ponurym szaleństwie rządzących.

Posiedzenie przedłużyło się o dwadzieścia pięć minut, co z kolei oznaczało skrócenie odprawy przed interpelacjami w Izbie Gmin. Na domiar złego Collingridge był tak zdenerwowany, że dotarła doń zaledwie niewielka część tego, co mówili jego doradcy. Dlatego gdy kwadrans po piętnastej wszedł do Izby Gmin, był gorzej niż zwykle uzbrojony i znacznie mniej czujny.

Przez pierwsze trzynaście minut i pięćdziesiąt sekund walki nie miało to specjalnego znaczenia. Collingridge z łatwością odparowywał ciosy zadawane mu przez opozycję i z odpowiednim, choć nieszczerym uśmiechem przyjmował oklaski własnej frakcji. Spiker\* zdecydował, że niewiele ponad minutę pozostała do końca regulaminowego czasu zajmą pytania zadane przez jeszcze jedną osobę.

\* spiker — najważniejsza funkcja w Izbie Gmin; przewodniczy obradom, dba o zachowanie porządku i przestrzeganie regulaminu; jest neutralny i nie związany z żadną partią.

— Stephen Kendrick — wyczytał nazwisko kolejnego na liście posła. Ponieważ Kendrick miał zabrać głos po raz pierwszy w swej karierze parlamentarzysty, spojrzenia wielu starszych stażem członków Izby Gmin natychmiast zwróciły się w jego stronę.

— Numer sześć, sir — Kendrick wstał i podał numer pytania z listy, na które oczekiwał odpowiedzi. Brzmiało ono: „Spytać premiera o zamierzenia na dzień dzisiejszy”. Było to puste pytanie, brzmiące identycznie jak zapytania numer jeden, dwa i cztery, zadane kilka minut wcześniej. Jego celem nie było uzyskanie informacji, lecz ukrycie przed premierem, czego będzie dotyczyć pytanie dodatkowe.

Takie są reguły tej walki.

Premier podniósł się ociężale i zajrzawszy do przygotowanych przez doradców materiałów, monotonnym tonem powiedział:

— Odsyłam szanownego posła do odpowiedzi, których udzieliłem przed paroma minutami na zapytania numer jeden, dwa oraz cztery.

Ponieważ jego wcześniejsza odpowiedź informowała jedynie o tym, że zamierza spędzić dzień na spotkaniach z członkami gabinetu, wieczorem zaś podejmuje kolację premiera Belgii, nikt się nie dowiedział o jego działaniach niczego nowego. I o to mu właśnie chodziło.

Collingridge usiadł, a spiker wezwał Kendricka do zadania pytania dodatkowego. Ukłony zostały już wymienione i nadszedł czas, by rozpocząć prawdziwą walkę. Kendrick podniósł się ze swego miejsca w tylnej ławie.

Stephen Kendrick był hazardzistą, człowiekiem, który odniósł spory sukces zawodowy, a jednak zdecydował się zaryzykować pokaźne wydatki i drogie samochody, by stanąć do walki o miejsce w parlamencie, i to w okręgu, w którym zwykle zwycięża się lub przegrywa zaledwie kilkoma głosami. Wcale nie oczekiwał, że uda mu się wygrać — w końcu sondaże przedwyborcze przewidywały dość zdecydowane zwycięstwo partii rządzącej. Ale miał nadzieję, że sam udział w walce przyniesie mu rozgłos, dzięki czemu zostanie zauważony przez redakcje poczytnych czasopism. W końcu wrażliwy na krzywdy społeczeństwa człowiek sukcesu to wspinały materiał na artykuł.

Przewaga siedemdziesięciu sześciu głosów, jaką uzyskał po trzech przeliczeniach, początkowo była dla niego niemiłym zaskoczeniem, gdyż nagle stanął przed perspektywą znacznego ograniczenia dochodów oraz koniecznością poświęcania sporej ilości czasu na karierę parlamentarną. Nie odpowiadało mu powolne zdobywanie sobie uznania mrówczą pracą lojalnego posła z tylnych ław, tym bardziej że nie dawało wielkiej nadziei na ponowny

wybór. Kendrick wiedział, że musi się czymś wyróżnić. I to jak najszybciej.

Całą noc i większą część poranka spędził rozmyślając nad tym, czego dowiedział się od O'Neilla. Po co odwoływać kampanię promującą program, mogący przysporzyć rządzącym wielu zwolenników, na dodatek tak szumnie zapowiadany podczas wyborów? Z którejkolwiek strony na tę zagadkę patrzył, wszystko wskazywało na to, że problem dotyczy programu, a nie kampanii promocyjnej. Co więc powinien zrobić? Żądać informacji czy oskarżać? Pytać czy potępiać? A może podporządkować się regułom i postąpić jak przystało na młodego parlamentarzystę, czyli zachować kompletną neutralność? Dobrze wiedział, że jeśli popełni błąd, na długo przyłgnie doń etykietyka parlamentarnego błazna.

Jego trwające zaledwie moment wahanie sprawiło, że na sali zapanowała niemal zupełna cisza. „Czyżby »nowy« stchórzył?” — zastanawiali się wszyscy. Lecz Kendrick był całkiem spokojny i odprężony. Pamiętał o swym minimalnym zwycięstwie i wiedział, że musi ryzykować. Co miał zresztą do stracenia? Oczywiście poza godnością, która we współczesnej Izbie Gmin jest towarem o raczej niewielkiej wartości. Wziął głęboki oddech.

— Czy pan premier zechce wyjaśnić, dlaczego nie wprowadza w życie obiecanego programu rozwoju szpitalnictwa?

Żadnej krytyki. Żadnych popisów krasomówczych. Ani słowa komentarza, który pozwoliłby premierowi zmienić temat. Kendrick rzucił po prostu swój granat i wiedział, że jeśli czegoś nie przewidział, granat — złapany i odrzucony — eksploduje mu na kolanach.

Rozległ się pomruk zainteresowania. Kendrick usiadł. Wreszcie zaczęło się dzieć coś ciekawego. Około trzystu widzów skupiło swą uwagę na osobie Collingridge'a, który wstał, świadom, że w przygotowanej przez jego doradców czerwonej broszurze nie ma nic, z czego mógłby teraz skorzystać. Cała Izba widziała szeroki uśmiech, z jakim przyjął wyzwanie, lecz tylko ci, którzy siedzieli bardzo blisko, dostrzegli białe kłykcie jego zaciśniętych na pulpicie palców.

— Mam nadzieję, że szanowny kolega przynajmniej do lipca nie da się ponieść ogłupiającym letnim upałom. Ponieważ jest nowym członkiem Izby, pragnę mu przypomnieć, że w ciągu ostatnich czterech lat, i to właśnie



dzięki temu rządowi, wydatki na służbę zdrowia wzrosły o jakieś sześć do ośmiu procent. — Collingridge zdawał sobie sprawę, że jego ton jest stanowczo zbyt mentorski, w żaden sposób jednak nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. — Dzięki zdecydowaniu mego gabinetu w walce z inflacją służba zdrowia zyskała...

— Odpowiadaj na to pytanie, do cholery — warknął lekceważąco ktoś z ław opozycji. Natychmiast rozległo się kilka podobnych okrzyków. Kendrick nie był już sam.

— Odpowiem na pytanie w taki sposób, jaki uznam za stosowny — odparował premier. — To doprawdy żalotne, że ze strony opozycji wciąż podnoszą się głosy krytykujące działania rządu, choć przecież wiadomo, że wyborcy mają na ten temat własne zdanie, któremu zupełnie niedawno dali wyraz, głosując za polityką zdrowotną prowadzoną przez mój gabinet. I dlatego pragnę jeszcze raz potwierdzić naszą głęboką determinację w dążeniu do zapewnienia obywatelom jak najlepszej opieki lekarskiej...

Z ław zajmowanych przez opozycję dobiegały coraz bardziej obraźliwe okrzyki, w większości nie notowane przez protokolanta, za to wystarczająco głośne, by usłyszał je premier. Coraz bardziej zaniepokojeni koledzy partyjni Collingridge'a kręcili się nerwowo, nie mając pojęcia, dlaczego premier nie potwierdzi po prostu zamiaru jak najszybszego wprowadzenia planu w życie.

— Moi szanowni koledzy chyba zdają sobie sprawę, że nie jest zwyczajem rządów z wyprzedzeniem zdradzać szczegóły dotyczące planowanych przez nie wydatków. Pozostaje mi więc zapewnić, że o naszych zamierzeniach poinformujemy w odpowiednim czasie.

— Już to zrobiliście! Zrezygnowaliście z tego cholernego planu! — krzyknął znany z kontrowersyjnego zachowania poseł z Newcastle West tak gromko, że nawet protokolant nie mógł twierdzić, że nie usłyszał.

Członkowie gabinetu cieni głośno rechotali, zaczynając rozumieć, że wymuszony uśmiech premiera służy ukryciu wzburzenia. Lider opozycji, siedzący o niecałe sześć stóp od miejsca, gdzie stał Collingridge, zwrócił się do swego sąsiada i teatralnym szeptem powiedział:

— Wiesz co? Odnoszę wrażenie, że facet sfuszerował robotę.

Posłowie opozycji rzucałi teraz w stronę Collingridge'a obraźliwe uwagi, klepiąc się po udach i rechocząc niczym stare wiedźmy, stłoczone wokół gilotyny.

Napięcie i gorycz tysięcy podobnych utarczek w Izbie Gmin tym razem okazały się silniejsze od Collingridge'a. Absolutnie nie był przygotowany na taki przebieg wypadków. Nie umiał zdobyć się na powiedzenie prawdy, zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu skłamać, a nie potrafił znaleźć słów, które pokrywałyby się z tą cienką linią dzielącą prawdę od oczywistego kłamstwa. Widząc szyderstwo i samozadowolenie na twarzach siedzących naprzeciwko posłów i słuchając ich drwin, przypomniał sobie wszystkie kłamstwa, które o nim opowiadano, okrucieństwo przeciwników oraz strumienie łez płynących z oczu jego żony. Na widok lasu powiewających zaledwie kilka stóp od niego list pytań i wykrzywionych nienawiścią twarzy stracił cierpliwość. Musiał z tym natychmiast skończyć i przestało dla niego mieć znaczenie, w jaki sposób to zrobi.

— Nie mam obowiązku wysłuchiwać komentarzy stada wściekłych psów! — syknął i usiadł.

Jeszcze zanim w ławach opozycji rozległy się okrzyki triumfu i oburzenia, Kendrick zerwał się na nogi.

— Panie przewodniczący! Uważam słowa premiera za absolutny skandal! Zadałem proste krótkie pytanie, dlaczego pan premier nie dotrzymuje wyborczej obietnicy danej pacjentom i pracownikom służby zdrowia, a jedyną odpowiedzią, jaką uzyskałem, są ewidentne obelgi i wykręty. Mogę co prawda zrozumieć niechęć premiera do przyznania, że dopuścił się oczywistego oszustwa wobec wyborców, jednak pragnąłbym się dowiedzieć, czy naprawdę nie jest pan w stanie zapewnić członkom tej Izby prawa do uzyskiwania prostych odpowiedzi na proste pytania?

Z gardeł posłów opozycji dobył się ryk aprobaty i spiker miał poważne problemy z jego przekrzyczeniem.

— Szanowny poseł, choć jest w tym gronie osobą nową, zna chyba obowiązujące tu zasady i wie, że mam nie większy wpływ na treść i formę odpowiedzi udzielanych przez pana premiera niż na kierowane do niego pytania. Przechodzimy do następnego punktu porządku obrad.

Podczas gdy przewodniczący próbował prowadzić dalej posiedzenie, czerwony na twarzy Collingridge skierował się do wyjścia, nerwowo gestykulując w stronę Urquharta, aby poszedł za nim. Rozległy się bardzo nieparlamentarne okrzyki:

— Tchórz! Parszywy tchórz!

W ławach rządowych panowała kompletna cisza.

— Skąd on, do diabła, wiedział?! Skąd się ten cholerny skurwysyn dowiedział?! — Gdy tylko zamknęły się drzwi gabinetu tuż za salą obrad, natychmiast rozległ się wściekły krzyk tak zwykle opanowanego Pierwszego Ministra Jej Królewskiej Wysokości. — Francis, to jest po prostu niewiarygodne! Zaledwie wczoraj otrzymaliśmy raport kanclerza skarbu, dziś rano przedyskutowaliśmy go po raz pierwszy na posiedzeniu gabinetu, a już po południu każdy gnojek z opozycji o wszystkim wie. Całą sprawę znało raptem dwudziestu ministrów i paru urzędników. Kto zdradził, Francis, kto? Niech mnie diabli, jeśli wiem, ale jesteś Chief Whipem i żądam, żebyś się dowiedział, kto to, do cholery, był?

Urquhart odetchnął z ulgą, gdyż aż do wybuchu gniewu premiera nie miał żadnej pewności, czy oskarżycielski palec nie wskazuje przypadkiem na niego.

— Dziwi mnie, że któryś z ministrów mógł się dopuścić czegoś tak obrzydliwego — odparł Urquhart, jednoznacznie wykluczając możliwość, że przeciek był dziełem jednego z urzędników i zawężając w ten sposób krąg podejrzanych do członków gabinetu.

— Trzymają nas teraz za jaja, Francis, i to będzie bolało. Ten, kto odpowiada za przeciek, poniżył mnie i chcę go dostać w swoje ręce. Musisz znaleźć tę glistę! A wtedy ja nakarmię nią ptaki!

— Obawiam się, że po wyborach doszło do zbyt wielu niesnasek. Wielu naszych kolegów chciałoby zająć jakieś inne stanowisko.

— Przede wszystkim wszyscy chcieliby zająć moje! Ich prawo, do diabła z nimi! Ale kto mógł być aż takim kretyńcem — wypluwał słowa premier — żeby celowo zrobić coś takiego?!

— Jest za wcześnie, żebym mógł być czegokolwiek pewien...

— I nie masz żadnych sensownych podejrzeń? Na Boga, Francis...

— Mam, ale na razie wolałbym ich nie zdradzać... To by było nieuczciwe...

— W życiu nie ma miejsca na uczciwość. Mów.

— Ale...

— Żadnych „ale”, Francis. Skoro zdarzyło się to raz, to prawie na pewno zdarzy się ponownie. Oskarżaj, zgaduj, dedukuj, rób, co chcesz. Nikt tego nie protokołuje. Ale chcę znać nazwiska! — Collingridge ze złością kopnął krzesło.

— Skoro nalegasz, spróbuję pospekulować. Ale mam nadzieję, że nie dożyję chwili, gdy pożałuję tego, co za chwilę powiem. Oczywiście nie mam żadnej pewności... ale pomyślmy... Biorąc pod uwagę kryterium czasu, należy chyba przyjąć, że przeciek miał miejsce już wczoraj, po posiedzeniu komitetu. Zgadza się?

Collingridge skinął głową.

— A kto wchodzi w jego skład oprócz ciebie i mnie?

— Oczywiście kanclerz skarbu i wiceminister finansów, a także ministrowie zdrowia, edukacji, środowiska oraz handlu i przemysłu — wyrecytował z pamięci Collingridge.

Urquhart milczał, zmuszając premiera do samodzielnego wyciągnięcia logicznych wniosków.

— No cóż, ci od finansów raczej by się nie chwalili, że spieprzyli sprawę. Ale ministerstwo zdrowia jest bardzo przeciwne rezygnacji z programu, więc Peter McKenzie miał motyw. Harold Earle z kolei ma dość długi język. A Michael Samuel, jak na mój gust, trochę za bardzo lubi towarzystwo dziennikarzy.

Niewyraźne podejrzenia, które dotąd tylko czaiły się w umyśle premiera, zaczęły nabierać kształtu i Urquhart z rozkoszą przyglądał się, jak na gruncie poczucia zagrożenia zaczyna kiełkować oskarżenie.

— Są jeszcze inne możliwości — odezwał się Chief Whip — wydają mi się jednak mało prawdopodobne. Jak sam wiesz, Michael jest blisko związany z Teddym Williamsem i ma zwyczaj omawiać z nim każdy drobiazg. Dlatego istnieje prawdopodobieństwo, że do przecieku doszło w centrali partii. Oczywiście nie podejrzewam Teddy'ego, ale niektórzy urzędnicy mają języki dłuższe niż pijani Szkoci w piątkowy wieczór.

Collingridge przez dłuższą chwilę rozważał w milczeniu tę hipotezę.

— Czy to mógł być Teddy? *Et tu, Brute?* Czy to naprawdę możliwe, Francis? Nigdy nie należał do moich zagorzałych zwolenników, bo za duża jest między nami różnica wieku, ale wciągnąłem go do drużyny... To chyba niemożliwe?...

Urquhart z zachwytem obserwował działanie swych słów na zmaltretowanego premiera, który blady i zmęczony siedział na krześle i patrzył w dal, tonąc w domysłach i podejrzeniach.

— Może za bardzo mu ufałem? Myślałem, że przynajmniej on nie będzie się starał wykorzystać stanowiska do załatwienia własnych spraw... To przecież człowiek ze starej, dobrej gwardii... Czyżbym się mylił, Francis?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Prosiłeś, żebym rozważył wszystkie możliwości. Na tym etapie nic więcej nie mogę zrobić.

— Znajdź go. Chcę go dostać w swoje ręce. Kimkolwiek jest.

Tymi słowami premier otworzył sezon łowiecki, a Urquhart poczuł się tak, jakby wrócił na wrzosowiska swego dzieciństwa i ze strzelbą w dłoniach czekał na pojawienie się zwierzyny.

## PIĄTEK, 16 LIPCA — CZWARTEK, 22 LIPCA

Życie Izby Gmin jest bardzo żmudne, co mało kto potrafi docenić. Praca do wieczora, mnogość spraw do załatwienia, ciągle spotkania i brak czasu na odpoczynek sprawiają, że długie letnie wakacje są dla wszystkich jej członków tym, czym oaza dla podróżującego po pustyni. Kiedy podczas lipcowej kanikuly jest do niej coraz bliżej, pragnienie i nerwowość posłów gwałtownie rosną. A już szczególnie po wyczerpującej kampanii wyborczej.

Przez następne dwa tygodnie Urquhart krążył po korytarzach i barach Izby Gmin, starając się podbudować morale posłów i rozwiać wątpliwości wywołane wystąpieniem premiera. Morale łatwiej jest jednak zniszczyć, aniżeli odbudować, a niektórzy starzy parlamentarzyści uważali, że Urquhart trochę przesadza na każdym kroku podkreślając, że premier potrzebuje teraz wielkiego wsparcia, podczas gdy jest oczywiste, że to właśnie on powinien panować nad sytuacją. Tak czy owak, do zakończenia sesji pozostał zaledwie tydzień i już wkrótce soczyste winogrona południowej Francji miały splukać większość parlamentarnych trosk.

Wykorzystując oczywisty zawór bezpieczeństwa, jakim w życiu parlamentu jest sierpień, rządy nauczyły się ogłaszać swe co bardziej kontrowersyjne decyzje ostatniego dnia sesji, drukując je w „Hansardzie” — diariuszu parlamentarnym. Można się z niego dowiedzieć o wszystkich planach rządu, lecz tylko w okresie, kiedy większość posłów zgarnia już rzeczy z biurek, i nie ma ochoty ślęczeć nad diariuszem, tym bardziej że pozostało tak niewiele czasu na podniesienie wrzawy. Jest tam więc prawda, cała prawda i tylko prawda — oczywiście pod warunkiem, że ktoś zechce wczytać się w drobny druk.

Właśnie dlatego prawdziwym nieszczęściem można nazwać to, że na całe dziesięć dni przed zakończeniem sesji w barze „U Annie” — ulubionym miejscu spotkań dziennikarzy i posłów — pod jednym z krzeseł znaleziono kserokopię szkicu informacji ministra obrony o znacznych cięciach w budżecie Armii Terytorialnej, uzasadnionych malejącą przydatnością tego typu ochotniczych oddziałów rezerwowych w erze nuklearnej. Informacja ta miała zostać opublikowana w ostatnim przed wakacjami diariuszu. Jeszcze gorsze było to, że kserokopia trafiła pod krzesło znanego i powszechnie szanowanego dziennikarza „Independenta”, potrafiącego sprawdzić tego typu informację. Gdy cztery dni później, czyli w dniu rozpoczęcia ostatniego tygodnia sesji Izby Gmin, sprawa znalazła się na pierwszej stronie „Independenta”, wszyscy wiedzieli, że nie może być mowy o żadnej kaczce dziennikarskiej.

Afery dotyczące „cięć” nie są dla żadnego rządu niczym nowym. Jeśli utrzymuje się wydatki na dotychczasowym poziomie, mimo że znaleziono nowe, a więc droższe sposoby rozwiązania danego problemu, pojawiają się oskarżenia o „cięcia”. Kiedy postanawia się zwiększyć wydatki w najważniejszych dziedzinach, lecz nie o tyle, o ile chcieliby samozwańczy eksperci, także mówi się o „cięciach”. Wreszcie kiedy dokonuje się przesunięcia środków z jednego działu gospodarki do innego, słowo „cięcia” nie schodzi z ust opozycji. Lecz jeśli rząd ośmieli się dokonać rzeczywistych cięć w obszarze innym aniżeli własne płace, zemsta nadchodzi natychmiast.

Tym razem nadeszła z innej niż zwykle strony. Co prawda Armia Terytorialna nie płaci wysokich żołdów, za to jest bardzo liczna, przez co stanowi dla parlamentarzystów ważne źródło głosów. Co więcej, w całym kraju, głównie w okręgowych władzach Partii Konserwatywnej, można znaleźć wiele wybitnych osobistości posiadających Territorial Decoration, odznaczenie nadawane oficerom Armii Terytorialnej, a tym samym gotowych bronić jej do ostatniej kropli atramentu.

Dlatego też kiedy Izba zebrała się, aby przedyskutować z liderem porządek posiedzenia, i tak gorące powietrze ciężkie było od oskarżeń o zdradę

i pełnych emocji nawoływań do zmiany decyzji, które tym razem pochodziły z ław partii rządzącej. Przedstawiciele opozycji po prostu siedzieli niczym lwy na rzymskiej arenie, z zadowoleniem patrzące, jak chrześcijanie wykonują za nie całą robotę.

Właśnie wstał sir Jasper Grainger, sędzia pokoju, odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego oraz T. D. Mimo złego działania klimatyzacji nie zdradził swych zasad i miał na sobie ciężki trzyczęściowy garnitur z tweedu oraz krawat. Ponieważ był przewodniczącym Komisji Obrony, jego słowa miały wielką wagę.

— Chciałbym jeszcze raz powrócić do podnoszonej już tutaj sprawy niepotrzebnych i wysoce szkodliwych cięć w budżecie Armii Terytorialnej. Chyba nie ma pan wątpliwości — zwrócił się do lidera Izby — że sprawa ta jest niezwykle ważna także dla pańskich wyborców? Czy pan i pan premier w pełni zdajecie sobie sprawę ze spadku poparcia dla rządu, jaki ta decyzja spowoduje? Zwracam się z prośbą o udzielenie zgody na przeprowadzenie debaty, mającej na celu zmianę tej nieszczęsnej decyzji. Pozwolę też sobie zauważyć, że wprowadzenie jej w życie sprawi, że będziemy całkowicie bezbronni wobec oskarżeń o działanie na szkodę naszych wyborców.

Lider Izby Gmin, Simon Lloyd, wyprostował się i przygotował do ponownego wejścia na mównicę. Powoli zaczynał dochodzić do wniosku, że powinno się ją zbudować z worków z piaskiem. Przez dwadzieścia gorących minut próbował bronić decyzji rządu i był coraz bardziej poirytowany, gdyż okazało się, że barykady, które przygotowali wspólnie z premierem i ministrem obrony, nie dają żadnego zabezpieczenia przed granatami rzucanymi z ich własnej strony. Cieszył się, że zarówno Collingridge, jak i minister obrony siedzą obok niego w ławie frontowej. W końcu dlaczego niby miałby cierpieć samotnie?

— Mój szanowny przyjaciel zapomina o sprawie najważniejszej, mianowicie o tym, że dokument, który trafił do prasy, jest skradzioną własnością rządu. I dlatego uważam, że jeśli jakkolwiek debata ma w ogóle mieć miejsce, powinna raczej dotyczyć ohydneho pogwałcenia prawa. Czy mój szanowny kolega nie zgodzi się ze mną, że przede wszystkim należy potępić kradzież ważnego dokumentu rządowego? Musimy wszyscy zdać sobie sprawę, iż przeprowadzenie w obecnej chwili dyskusji nad szczegółami



tego dokumentu będzie oznaczało przejście do porządku dziennego nad faktem pospolitej kradzieży i uniewinnienie tych, którzy się jej dopuścili.

Stary żołnierz zerwał się z miejsca. Przez chwilę stał bez ruchu, wyprostowany jak struna, z twarzą czerwoną z oburzenia.

— Mój szanowny przedmówca nie zdaje sobie chyba sprawy, że to właśnie on zapomina o rzeczy najważniejszej — zagrzmiał wreszcie. — O tym mianowicie, że lepiej żyć obok pospolitego brytyjskiego złodzieja niż obok równie pospolitego, tyle że rosyjskiego żołnierza. A do tego właśnie prowadzi obecna polityka rządu.

Całą minutę zajęło spikerowi ucieszenie ryku aprobaty, który rozległ się po tych słowach. W tym czasie Simon Lloyd odwrócił się i posłał premierowi i ministrowi obrony spojrzenie pełne rozpaczy. Collingridge szepnął coś do ucha ministra, po czym lekkim skinieniem głowy dał znak liderowi.

— Panie przewodniczący — rozpoczął Lloyd i przerwał, czekając, aż dzika wrzawa ucichnie. Czuł, że ze zdenerwowania zaschło mu w gardle. — Panie przewodniczący. Ja i moi szanowni koledzy wsłuchaliśmy się uważnie w nastrój Wysokiej Izby. Zostałem upoważniony przez panów premiera oraz ministra obrony do zapewnienia, że w związku z przedstawionymi zażaleniami rząd raz jeszcze rozpatrzy możliwość rezygnacji z planowanych cięć w budżecie Armii Terytorialnej i spróbuje znaleźć inne rozwiązanie.

Wywiesił białą flagę i nie bardzo wiedział, czy powinien być wściekły czy zadowolony.

Okrzyki triumfu słyhać było w całym gmachu, a dziennikarze rozkoszowali się tą poruszającą sceną i opisywali ją w swych notesach. W ogólnym chaosie i zamieszaniu nikt nie zwracał uwagi na samotną postać Henry'ego Collingridge'a, który siedział zgarbiony i bezmyślnie patrzył przed siebie.

Kilka minut później zdyszana Mattie Storin z trudem torowała sobie drogę przez tłum polityków i dziennikarzy, tłoczących się wokół wejścia do sali obrad. Posłowie opozycji gratulowali sobie zwycięstwa, a członkowie partii rządzącej, ze znacznie mniejszym przekonaniem, próbowali ogłosić triumf zdrowego rozsądku. Oprócz naprawde nielicznych nikt nie miał

wątpliwości, że premier poniósł dotkliwą porażkę. Mattie dostrzegła wysoką sylwetkę Urquharta, który starając się uciec przed pytaniami podenerwowanych posłów, zniknął za najbliższymi drzwiami. Ruszyła za nim. Kiedy zdołała go wreszcie dogonić, Urquhart, przeskakując po dwa stopnie na raz, wbiegał po schodach prowadzących na otaczające Izbę Gmin galerie.

— Panie Urquhart — zawołała, obiecując sobie, że przestanie siedzieć po nocach i znów zacznie uprawiać jogging. — Panie Urquhart, chciałabym poznać pański pogląd na tę sprawę.

— Obawiam się, że go nie mam, panno Storin. — Urquhart nie zatrzymał się.

— Chyba nie chce pan powiedzieć, że znów rozpoczynamy zabawę pod tytułem „Chief Whip odmawia poparcia premierowi”?

Urquhart zatrzymał się i uśmiechnął, rozbawiony zuchwalstwem młodej dziennikarki.

— W porządku, Mattie. Chyba rzeczywiście macz prawo oczekiwać jakiegoś komentarza. A więc pytaj.

— Skoro premier już wcześniej miał problemy z zapanowaniem nad swym gabinetem, to teraz będzie to... piekło? Koszmar? Niemożność?

— Nie jest niczym nadzwyczajnym, że premier zmienia zdanie. Jeśli jednak musi to zrobić publicznie, dlatego że nie potrafi obronić swej decyzji, to...

Mattie czekała na dalszy ciąg. Dopiero po chwili zrozumiała, że się go nie doczeka. Chief Whip nie mógł sobie pozwolić na otwartą krytykę premiera, a już na pewno nie w gmachu parlamentu. Jasne jednak było, że wyrazów poparcia także nie będzie.

— Czy nie uważa pan, że rząd stał się ostatnio dość podatny na przecieki? To już drugi w ciągu zaledwie paru tygodni. Skąd pochodzą?

— Jako Chief Whip odpowiadam jedynie za dyscyplinę w tylnych ławach. Chyba nie oczekujesz, że będę pilnował także członków gabinetu?

— A więc przecieki pochodzą z gabinetu? Ale kto? I dlaczego?

— Nie wiem, Mattie. Po prostu nie wiem. Ale nie ulega wątpliwości, że premier poleci mi się tego dowiedzieć.

- Formalnie czy nie?
- Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć — mruknął Urquhart i ruszył po schodach.
- A więc doszliśmy do momentu, kiedy premier zamierza zarządzić śledztwo mające wyjaśnić, który z członków gabinetu jest autorem powtarzających się przecieków. Czy właśnie to chciał pan powiedzieć?
- Ależ, Mattie! Chyba i tak powiedziałem już zbyt wiele. Cholernie szybko się orientujesz. Szybciej niż większość twoich kolegów po fachu. Odnoszę wrażenie, że jest to zasługa raczej twojej logiki niż moich słów. Mam nadzieję, że moje nazwisko nie pojawi się w prasie w związku z tą sprawą.
- Oczywiście, że nie. Pamiętam o naszej umowie — zapewniła Mattie.
- Ale muszę mieć pewność. Czy może pan potwierdzić, że premier zarządzi dochodzenie w sprawie przecieków?
- Jeśli nie podasz mojego nazwiska — tak.
- O Boże! Ale będzie zadyma! — jęknęła Mattie. Wiedziała, że jej artykuł na pierwszej stronie nabiera coraz wyraźniejszych kształtów.
- A dziesiąty czerwca był przecież tak niedawno. Prawda, Mattie?

Urquhart wszedł na galerię dla publiczności, skąd widzowie tłoczący się na wąskich ławkach, wyraźnie zdziwieni tym, co się zdarzyło, obserwowali obrady Izby Gmin. Dostrzegł niskiego, nieskazitelnie odzianego Hindusa, dla którego wcześniej zdobył miejsce na galerii. Dał mu znak ręką. Hindus wstał i zaczął z trudem przeciskać się przed sterczącymi kolanami innych widzów. Wreszcie, z niejakim zakłopotaniem, minął dwie piękności w średnim wieku o rubensowskich kształtach. Zanim zdążył się odezwać, Urquhart gestem dał mu znak, by milczał. Wyszli na korytarz.

— Drogi panie Urquhart, te półtorej godziny było wysoce ekscytujące i pouczające. Jestem panu niezwykle zobowiązany za to, że zechciał pan znaleźć dla mnie tak wygodne miejsce.

Urquhart, który zdawał sobie sprawę, że nawet dla tak niewielkiego człowieczka jak Firdaus Jhabwala miejsca na galerii są wyjątkowo niewygodne, uśmiechnął się.

— Jest pan ogromnie wyrozumiały, nie skarżąc się na niewygodę. Chciałbym bardzo znaleźć dla pana bardziej komfortowe siedzenie, ale niestety...

Gawędzili tak, podczas gdy Jhabwala odbierał swój skórzany nesesor od jednego z portierów. Kiedy przybył, uparcie odmawiał oddania go w depozyt. Dopiero gdy się zorientował, że z neseserem nie będzie mógł wejść na galerię, niechętnie ustąpił.

— Jakże się cieszę, że my, Brytyjczycy, wciąż możemy ufać prostym ludziom pracy — stwierdził teraz zupełnie poważnie, z wyraźną ulgą głaszcząc swoją dopiero co odzyskaną własność.

— Rzeczywiście — odparł Urquhart, który nie ufał ani prostym ludziom pracy, ani Jhabwali. Hindus był jednak jego wyborcą, a na dodatek właścicielem kilku dobrze prosperujących przedsiębiorstw i w trakcie kampanii wyborczej wspomógł go darowizną pięciuset funtów, nie prosząc w zamian o nic, poza — zatelefonował w tej sprawie niedługo potem — osobistym spotkaniem i rozmową w cztery oczy w Izbie Gmin.

— Nie w okręgu wyborczym — wyjaśnił sekretarce Urquharta. — To sprawa o znaczeniu państwowym, a nie lokalnym.

Kiedy przechodzili pod dębowym sklepieniem Westminsteru, Jhabwala poprosił, aby na chwilę się zatrzymali.

— Pragnę, abyśmy chwilą ciszy uczcili pamięć Karola I, którego tu właśnie osądzono i skazano. Jak pan zapewne wie, także tutaj wystawiono trumnę ze zwłokami Winstona Churchilla.

Dostrzegł protekcyjny uśmiech na ustach Urquharta.

— Panie Urquhart, proszę nie uważać mego zachowania za pretensjonalne. Związki mojej rodziny z brytyjskimi instytucjami państwowymi sięgają dwóch i pół wieku wstecz, aż do czasów East India Company i lorda Clive'a, którym moi przodkowie doradzali i którym pożyczali znaczne sumy. Zarówno przedtem, jak i potem członkowie mojej rodziny zajmowali ważne stanowiska w indyjskim sądownictwie i administracji rządowej.

Jhabwala spuścił wzrok, a w jego głosie pojawiła się nuta smutku.

— Lecz od czasu ogłoszenia niepodległości, panie Urquhart, ten potężny kiedyś subkontynent cofnął się w mroki średniowiecza. Muzułmanie zwrócili się przeciwko hinduistom, robotnicy przeciwko pracodawcom, a uczniowie

przeciwko nauczycielom. Może się pan ze mną nie zgodzić, ale uważam, że dynastia Gandhich wzbudza znacznie mniej szacunku i jest dużo bardziej skorumpowana niż którakolwiek ze sprawujących władzę w czasach kolonialnych. Jestem Parsem, należę więc do mniejszości kulturowej, która pod nowymi rządami znalazła się w wyjątkowo trudnej sytuacji. Ponieważ moja rodzina podupadła finansowo, postanowiłem wyjechać do Wielkiej Brytanii, państwa, w którym kształcili się mój ojciec i dziadek. I bez cienia fałszu mogę panu powiedzieć, że czuję się dużo bardziej związany z tym krajem niż ze współczesnymi Indiami. Każdego ranka budzę się wdzięczny losowi za to, że mogę się szczycić brytyjskim obywatelstwem i kształcić swe dzieci na brytyjskich uczelniach.

Urquhart dostrzegł możliwość przerwania tego pełnego namiętności i najwyraźniej płynącego z głębi serca monologu.

— Gdzie uczą się pańskie dzieci? — spytał.

— Jeden syn kończy właśnie prawo w Jesus College w Cambridge; drugi, starszy, rozpoczyna studia na wydziale marketingu i zarządzania w Wharton Business School w Filadelfii. Mam też nadzieję, że mój najmłodszy syn dostanie się wkrótce na medycynę w Cambridge.

Zmierzała ku salkom konferencyjnym, znajdującym się dokładnie pod Great Hall, stukając obcasami o kamienne płyty, na których Henryk VIII grywał w tenisa, a od których odbijały się teraz promienie słońca, wpadające ukosem przez zabytkowe okna. Ta licząca sobie wiele wieków sceneria najwyraźniej zrobiła na Hindusie ogromne wrażenie.

— A czym pan się zajmuje? — spytał Urquhart.

— Ja, szanowny panie, jestem skromnym, niewykształconym kupcem. Zamieszanie spowodowane walką mego kraju o niepodległość sprawiło, że musiałem porzucić marzenia o ukończeniu studiów. Dlatego wszystko, co zdobyłem, zawdzięczam ciężkiej pracy rąk, a nie umysłu. I muszę powiedzieć, że chyba udało mi się odnieść spory sukces.

— A jaki dokładnie jest obszar pańskich działań?

— Posiadam kilka firm, panie Urquhart. Nieruchomości. Handel hurtowy. Lokalne finanse. Lecz nie jestem ograniczonym kapitalistą i znam

swoje obowiązki wobec społeczeństwa. I właśnie na ten temat chciałbym z panem porozmawiać.

Weszli do niewielkiej salki i usiedli w zielonych skórzanych fotelach. Jhabwala z lubością gładził złotą tłoczoną kratę zdobiacą pionowe oparcie.

— Panie Urquhart, nie urodziłem się w tym kraju i zdaję sobie sprawę, że aby zdobyć szacunek społeczeństwa, muszę pracować szczególnie ciężko. Jest to ważne nie tyle dla mnie, co dla moich dzieci. Bardzo pragnę, aby miały wszystko to, czego mój ojciec z powodu wojny domowej nie był w stanie mi zapewnić. Dlatego wspomagam klub rotariański, biorę udział w licznych akcjach charytatywnych i jak pan zapewne wie, jestem gorącym zwolennikiem premiera Collingridge'a.

— Chyba nie trafił pan na jego najlepszy dzień.

— Podejrzewam więc, że tym bardziej jest mu potrzebne wsparcie przyjaciół.

Zapanowała krótka chwila ciszy. Urquhart bezskutecznie starał się rozszyfrować ukryte znaczenie słów swego gościa. Wreszcie Jhabwala ponownie się odezwał:

— Panie Urquhart, wie pan, jak bardzo pana podziwiam. Byłem szczęśliwy, mogąc choć w niewielkim stopniu wspomóc pańską kampanię, i z chęcią będę tę pomoc kontynuował. Ponieważ szczerze podziwiam cały rząd premiera Collingridge'a, chciałbym go jakoś wesprzeć.

— Czy wolno mi zapytać, w jaki sposób?

— Zdaję sobie sprawę, że kampania wyborcza jest niezwykle kosztowna, i dlatego pomyślałem, że mógłbym wspomóc skarbiec partii. Przypuszczam, że po wyborach wasze fundusze są bardzo uszczuplone.

— Rzeczywiście, to prawda — odparł Urquhart. — Czy mogę zapytać, jaką sumę ma pan na myśli?

Jhabwala położył neseser na stole, ustawił odpowiednią kombinację zamków, podniósł wieko i przesunął go w kierunku Urquharta.

— Byłbym szczęśliwy, gdyby w dowód mego poparcia partia zechciała przyjąć sumę pięćdziesięciu tysięcy funtów.

Urquhart z trudem oparł się dzikiej pokusie, by natychmiast przystąpić do przeliczania pieniędzy. Zwrócił jednak uwagę, że zawartość nesesera stanowią paczki używanych banknotów dwudziestofuntowych, spiętych zwykłymi gumkami zamiast papierowymi opaskami.

— Jest pan... niezwykle hojny, panie Jhabwala. — Urquhart po raz pierwszy zwrócił się do swego gościa po nazwisku. — Byłoby jednak dość niezwykle, gdybym miał osobiście przyjąć tak wielki dar w imieniu partii... Tym bardziej że chodzi o gotówkę.

— Muszę panu powiedzieć, że w czasie wojny domowej w Indiach moja rodzina straciła wszystko, co miała. Zniszczono nasz dom, a my ledwo uszliśmy z życiem. W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym muzułmański motłoch podpalił nasz lokalny bank. Spłonęły wszystkie depozyty i kartoteki. Dyrekcja banku bardzo nas oczywiście przepraszała, ale nie mając żadnych dowodów świadczących o wysokości zdeponowanej sumy, nie była w stanie jej zwrócić. Od tego czasu bardziej ufam gotówce aniżeli kasjerom.

Biznesmen uśmiechnął się. Urquhart nie ufał mu ani nie wierzył w jego opowieści.

— Rozumiem. — Urquhart wziął głęboki oddech. — Czy nie pogniewa się pan, jeśli otwarcie spytam, czego oczekuje pan w zamian za pański szczodry gest? Często się zdarza, że osoby, które po raz pierwszy decydują się wesprzeć naszą partię, są przekonane, że jesteśmy w stanie w jakiś sposób im pomóc, podczas gdy tak naprawdę nasze możliwości są bardzo ograniczone.

Jhabwala uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową.

— Nie oczekuję niczego. Pragnę po prostu wspomóc pana premiera Collingridge'a oraz pana, panie Urquhart. Jako poseł z naszego okręgu rozumie pan chyba, że przy okazji starania się o zezwolenie na rozpoczęcie budowy bądź też stając do przetargu, niejednokrotnie spotykam się z przedstawicielami władz lokalnych. Nie mogę gwarantować, że nie natknie się pan w prasie na moje nazwisko ani że nigdy nie poproszę pana o pomoc w przedostaniu się przez labirynt lokalnych instytucji, lecz zapewniam, że nie oczekuję żadnych dowodów wdzięczności. Jedyne, o co ośmielam się prosić dla mnie i dla mojej żony, to możliwość spotkania z premierem. Oczywiście w dogodnym dla niego czasie, a najlepiej wtedy, gdy odwiedzi nasz okręg

wyborczy. Moja żona byłaby zachwycona mogąc go poznać.

Urquhart dobrze wiedział, że dla Jhabwali zdjęcie z premierem opublikowane w lokalnej lub etnicznej gazecie będzie nie lada reklamą. Nie spodobała mu się natomiast aluzja dotycząca zezwoleń na budowę oraz przetargów. Ponieważ jednak miał sporą wprawę w radzeniu sobie z tego typu prośbami o protekcję, odprężył się i odwzajemnił uśmiech.

— Jestem przekonany, że to się da załatwić. Może zechciałby pan wraz z małżonką zjawić się na którymś z przyjęć przy Downing Street?

Hindus skinął głową.

— Byłby to dla mnie prawdziwy zaszczyt, gdybym mógł zamienić z panem premierem parę słów, aby osobiście złożyć mu wyrazy poparcia.

— To także powinno być możliwe, ale musi pan zrozumieć, że premier nie mógłby przyjąć od pana tych pieniędzy. Mieszanie go w tego typu sprawy byłoby dość... jak by to powiedzieć... niedelikatne.

— Ależ oczywiście, panie Urquhart! Dlatego właśnie będę panu niesłychanie wdzięczny, jeśli zechce pan przyjąć te pieniądze w imieniu premiera.

— Obawiam się jednak, że mogę dać panu jedynie odręcznie napisane pokwitowanie. Może więc wolałby pan wręczyć te pieniądze bezpośrednio skarbnikowi partii?

Jhabwala gwałtownie zamachał rękoma.

— Ależ, proszę pana! Nie potrzebuję żadnego pokwitowania. Darzę pana całkowitym zaufaniem i właśnie z panem, posłem z mojego okręgu, chciałem rozmawiać... A nie z jakimś urzędnikiem. Pozwoliłem sobie także polecić wygrawerowanie pańskich inicjałów na tym neseserze. Mam nadzieję, że zechce pan go przyjąć w dowód wdzięczności za pańską sumienną pracę w Surrey.

„Ty chytry przymilny sukinsyn” — pomyślał Urquhart, przez cały czas szeroko się uśmiechając i zastanawiając się, kiedy może oczekiwać pierwszego telefonu w sprawie zezwolenia na rozpoczęcie budowy. Właściwie powinien był wyrzucić Hindusa wraz z jego neseserem, lecz ponieważ w



jego głowie zrodził się pewien plan, wyciągnął rękę i przyjaźnie uściśnął dłoń Jhabwali.

— Cieszę się, że wreszcie mogłem pana poznać, panie Jhabwala.

Nawet jak na koniec lipca noc była gorąca i parna. Mattie wzięła długi, chłodny prysznic i otworzyła szeroko wszystkie okna, ale ciężkie nieruchome powietrze nie dawało żadnej ulgi. Leżała w ciemnościach, czując, jak włosy kleją się jej do karku. Nie mogła zasnąć, a w jej głowie wciąż kotłowały się wspomnienia zamieszania w parlamencie, którego była świadkiem. Jednakże było coś jeszcze, nie w jej umyśle, lecz w ciele, coś, co niepokoilo ją i sprawiało, że nie mogła zasnąć.

Leżała na plecach w swym pustym zimnym łóżku i czuła krople potu płynące pomiędzy łopatkami. Nie potrafiła zapomnieć, że po raz pierwszy od wyjazdu z Yorkshire zdarzyło jej się spocić. Z jakiegokolwiek powodu...

## PIĄTEK, 23 LIPCA

Następnego ranka młoda atrakcyjna Murzynka weszła do dość podłego sklepu z gazetami, mieszczącego się niedaleko Praed Street w Paddington, i spytała o koszt wynajęcia adresu korespondencyjnego, reklamowanego w oknie wystawowym. Wyjaśniła, że pracuje w pobliżu i potrzebny jest jej adres, na który mogłyby przychodzić do niej listy. Był upalny letni dzień, lecz z powodu grubych zasłon i brudnych szyb w sklepie było ciemno i śmierdziało stęchlizną. Łysawy sprzedawca początkowo nawet nie uniósł wzroku znad „Playboya”. Znajdowali się przecież w rozrywkowej dzielnicy Londynu i widok młodej kobiety albo faceta w wytartym ubraniu chcących wynająć adres korespondencyjny nie był niczym nadzwyczajnym. Jednakże ta dziewczyna była wyjątkowo atrakcyjna i sprzedawca zaczął się zastanawiać, gdzie może mieć swój rejon. Jego żona planowała wyjechać na weekend do matki, toteż odrobina rozrywki byłaby czymś znacznie bardziej interesującym niż zajmowanie się niecierpiącymi zwłoki pracami domowymi.

Zgarnął popiół, który spadł mu z papierosa na ladę, i uśmiechnął się zachęcająco, lecz bez żadnego odzewu. Dziewczyna bez słowa zapłaciła za trzy miesiące z góry, starannie złożyła i schowała do torebki pokwitowanie, po czym odwróciła się i wyszła.

Sprzedawca zdążył tylko rzucić okiem na jej śliczny tyłeczek, gdyż jakaś emerytka zwróciła się do niego z pretensjami, że jeszcze nie otrzymała zaprenumerowanej gazety porannej. Dlatego nie zauważył, że dziewczyna wsiadła do stojącej po drugiej stronie ulicy taksówki.

- W porządku, Pen? — spytał czekający w środku mężczyzna.
- Tak, Roger — odparła jego sekretarka. — Ale dlaczego nie mógł sam tego załatwić?
- Już ci mówiłem, że ma jakieś delikatne kłopoty osobiste, które musi rozwiązać, i dlatego potrzebny mu jest jak najbardziej poufny adres korespondencyjny. Jakies pornosy, o ile się orientuję. Dlatego żadnych pytań i ani słowa nikomu. Jasne?

Urquhart zobowiązał go do całkowitej dyskrecji i prawdopodobnie byłby wściekły, gdyby się dowiedział, że O'Neill skorzystał z pomocy swej sekretarki. Lecz Roger wiedział, że może zaufać Penny. A poza tym od czego są sekretarki?

Kiedy taksówka ruszyła, Penny po raz kolejny pomyślała, że O'Neill ostatnio zachowuje się co najmniej dziwnie.

Było jeszcze bardziej gorąco, kiedy do mieszczącego się przy Seven Sisters Road północnolondyńskiego oddziału Union Bank of Turkey wszedł mężczyzna w sportowej marynarce i filcowym kapeluszu. Siedzący za ladą Cypryjczyk zawsze twierdził, że Brytyjczycy mają tylko jeden komplet odzieży, który noszą przez cały rok, niezależnie od temperatury. Ten najwyraźniej musiał mieć jeszcze pieniądze, ponieważ chciał otworzyć konto. Mówił z lekkim, choć zauważalnym akcentem, którego urzędnik nie potrafił jednak bliżej określić. Wyjaśnił, że mieszka w Kenii, gdzie prowadzi biuro turystyczne, i do Wielkiej Brytanii przyjechał w interesach, chce bowiem zainwestować w hotel, budowany właśnie w pobliżu Antalya, na południowym wybrzeżu Morza Śródziemnego.

Urzędnik odparł, że wprawdzie nigdy nie był w Antalya, ale słyszał, że to piękne miejsce. Bank oczywiście z wielką chęcią pomoże w załatwieniu formalności. Wręczył potencjalnemu klientowi prosty formularz, zawierający rubryki dotyczące danych personalnych, banków, z których usług wcześniej się korzystało, oraz paru innych drobiazgów.

Pięć minut później klient wrócił do okienka z wypełnionym formularzem. Wyjaśnił, że jedyne referencje, jakie posiada, pochodzą z Banku Kenijskiego, gdyż przyjechał do Londynu po raz pierwszy od wielu lat. Urzędnik zapewnił go, że to żaden kłopot.

„Tak ci się tylko wydaje” — pomyślał klient, który dobrze wiedział, że sprawdzenie referencji zajmie co najmniej cztery tygodnie, zaś ostateczne upewnienie się, że są fałszywe, najprawdopodobniej następne cztery. A do tego czasu konto zostanie zlikwidowane, wszelkie opłaty uiszczone i już nic nikogo nie będzie obchodzić.

— Jaką sumę chce pan wpłacić? — spytał urzędnik, nie sprawdzając prawdziwości pozostałych danych.

— Na początek pięćdziesiąt tysięcy funtów. Gotówką.

To powiedziawszy, mężczyzna otworzył swą brązową sztruksową torbę i zaczął kłaść na ladzie pliki banknotów dwudziestofuntowych. Był szczęśliwy, że nie musi ich liczyć, bo minęło wiele lat od dnia, gdy przestał nosić okulary, które miał teraz na nosie, a w tym czasie lekarz już dwukrotnie zwiększył siłę jego szkielek kontaktowych. Dlatego prawie nic nie widział i bardzo bolały go oczy. Urquhart jednak był pewien, iż to proste przebranie pozwoli mu uniknąć rozpoznania przez wszystkich z wyjątkiem bliskich znajomych. Pomyślał, że chociaż ten jeden raz status najbardziej anonimowego ministra Rządu Jej Królewskiej Wysokości na coś się przydał.

Wspomagany przez innego pracownika banku urzędnik skończył wreszcie liczenie pieniędzy i wziął się za wypisywanie pokwitowania. „Z bankiem jest tak samo jak z hydraulikiem — pomyślał Urquhart. — Gotówka do ręki i żadnych pytań.”

— Zamiast trzymać te pieniądze leżące bezczynnie na koncie, wolałbym ulokować je w jakichś akcjach. Czy jesteście w stanie to załatwić?

Zaledwie pięć minut zajęło wypełnienie zamówienia na zakup dwudziestu tysięcy akcji Renox Chemical Company po dwa funty i czterdzieści pensów za sztukę. Zapewniono go, że zostanie zrealizowane jeszcze tego samego dnia, co będzie kosztować czterdzieści dziewięć tysięcy dwieście osiemdziesiąt osiem funtów, łącznie z prowizją i wszelkimi innymi opłatami. Tak więc na koncie zostało mu siedemset dwanaście funtów. Urquhart złożył na wskazanych dokumentach zamaszty nieczytelny podpis.

— Dziękuję bardzo. Do widzenia — powiedział i skierował się do wyjścia.

— My także dziękujemy. Do widzenia panu, panie Collingridge — odparł urzędnik i szeroko się uśmiechnął.

## PONIEDZIAŁEK, 26 LIPCA — ŚRODA, 28 LIPCA

Trzy doby później Izba Gmin rozpoczęła ostatni przed wakacjami tydzień obrad. Na sali było stosunkowo niewielu posłów, ponieważ większość opuściła już Londyn. Nie starano się ich zatrzymać, gdyż napięcie panujące wokół Westminsteru było i tak wystarczająco duże i nikt nie widział potrzeby, aby je powiększać. Jako że ci, którzy przybyli na obrady, myśleli już tylko o zbliżających się wakacjach, tego dnia zrobiono bardzo niewiele. Natomiast „Hansard” był wyjątkowo opasły, a wypełniały go głównie odpowiedzi na zapytania poselskie, których rząd postanowił udzielić w momencie, gdy parlamentarzyści myślą już o czym innym, lecz zanim ministrowie i urzędnicy wyjadą na urlopy. Tego dnia minister i wiceministrowie zdrowia jak ognia unikali pokazywania się na korytarzach Izby Gmin, pośród odpowiedzi rządu zawarto bowiem od dawna spodziewaną zapowiedź czasowej rezygnacji z wprowadzenia w życie programu rozwoju szpitalnictwa.

Nic więc dziwnego, że tylko nieliczni zwrócili uwagę na inną informację ministerstwa zdrowia, dotyczącą wprowadzenia do rejestru leków trzech nowych środków. Jednym z nich był Cybernox, medykament wyprodukowany przez Renox Chemical Company, który podawany w małych dawkach uzależnionym szczurom i psom, okazał się wysoce skuteczny w likwidowaniu głodu nikotynowego. Równie dobre rezultaty osiągnięto podczas zakrojonych na szeroką skalę testów na ludziach. Lek został dopuszczony do sprzedaży na receptę. Informacji ta spowodowała natychmiastowe działania Renox Chemicals. Na następnny dzień zwołano konferencję prasową, szef marketingu ogłosił rozpoczęcie przygotowanej wcześniej akcji rozsyłania

ulotek reklamowych do wszystkich prywatnych gabinetów w kraju, a makler firmy powiadomił o uzyskaniu zezwolenia Giełdę Papierów Wartościowych.

Reakcja była natychmiastowa. Udziały Renox Chemical Company skończyły z dwóch funtów czterdziestu czterech pensów do dwóch funtów dziewięćdziesięciu pięciu pensów za akcję. Wartość dwudziestu tysięcy udziałów zakupionych poprzedniego dnia przez maklerów tureckiego Union Banku wynosiła więc teraz dokładnie pięćdziesiąt dziewięć tysięcy funtów.

Wczesnym popołudniem tego samego dnia bank otrzymał telefoniczne polecenie natychmiastowej sprzedaży akcji i przelania całej sumy na wcześniejsze otwarte konto. Rozmówca wyjaśnił także, że sprawa inwestycji w Antalya jest, niestety, nieaktualna, w związku z czym prosi o likwidację konta oraz przygotowanie pieniędzy do wypłaty jeszcze tego samego dnia.

Tuż przed piętnastą do banku przy Seven Sisters Road wszedł ten sam mężczyzna w marynarce, filcowym kapeluszu i okularach, podjął pięćdziesiąt osiem tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt dwa funty w banknotach dwudziestofuntowych, po czym umieścił je w swej brązowej sztruksowej torbie. Żachnął się na siedemset pięćdziesiąt funtów opłaty, której bank zażądał za wszystkie operacje, lecz zgodnie z przewidywaniami zastępcy dyrektora, postanowił nie ryzykować awantury. Poprosiwszy o przesłanie wyciągu z konta na adres w Paddington, mężczyzna podziękował i wyszedł.

Następnego ranka, w niecały tydzień po spotkaniu z Firdausem Jhabwalą, Urquhart wpłacił do kasy partii pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Choć poważne darowizny w gotówce nie są czymś wyjątkowym, skarbnicy partii wyrazili zachwyt na wieść o tym nowym źródle pieniędzy. Chief Whip zaproponował, aby jak zwykle w takich wypadkach, skarbnicy postarali się o zaproszenie dla ofiarodawcy i jego żony na jedno lub dwa dobroczynne przyjęcia na Downing Street. Prosił o poinformowanie go, kiedy to nastąpi, pragnie bowiem z sekretarzem politycznym premiera ustalić okoliczności krótkiej rozmowy w cztery oczy państwa Jhabwalów z szefem rządu. Jeden ze skarbników zanotował dokładny adres ofiarodawcy, obiecał, że

natychmiast wysłał nieoficjalny list z podziękowaniami, i schował pieniądze do sejfów.

Francis Urquhart był prawdopodobnie jedynym z całego grona ministrów, który wyjechał na wakacje spokojny i zupełnie odprężony.

Część druga

**PRZEŁOŻENIE**



## SIERPIEŃ

Przez cały sierpień w prasie wypisywano okropne rzeczy. Politycy i najbardziej znani korespondenci parlamentu rozjechali się na wakacje, a do boju o wypełnienie powstałej próżni ruszyli dziennikarze z drugiej linii. Wszyscy chcieli, by ich nazwiska znalazły się na pierwszej stronie, więc chwyтали się każdej plotki i pogłoski. Co we wtorek było zaledwie nieśmiałym domysłem na piątej stronie „Guardiana”, w piątek trafiało na pierwszą stronę „Daily Mirror” jako wiadomość stuprocentowo pewna. Wakacje to dla młodych dziennikarzy jedyna szansa na zabłyśnięcie. Tego lata zdecydowana większość z nich postanowiła wybić się kosztem reputacji Henry'ego Collingridge'a. Także pomniejsi posłowie, zdecydowawszy dla kariery poświęcić wakacje, mieli szanse na swoje „wielkie pięć minut”. Prasa cytowała dziesiątki ich wypowiedzi krytykujących działania rządu, a także autorytatywnie stwierdzających, w którą stronę powinny pójść zmiany. Plotki o niezadowoleniu oraz utracie zaufania premiera Collingridge'a do niektórych ministrów nasiliły się, a ponieważ nie było w Londynie nikogo, kto mógłby im oficjalnie zaprzeczyć, milczenie przyjęto za potwierdzenie. Domysły zaczęły żyć własnym życiem, powodując spore zamieszanie. Pogłoski z początku lipca o „oficjalnym dochodzeniu” w sprawie przecieków zostały zastąpione w połowie miesiąca przewidywaniami, że na jesieni dojdzie jednak do poważnych zmian w rządzie. W Westminsterze mówiło się teraz, że premier Collingridge jest coraz bardziej zmęczony całą tą sytuacją, mimo że w rzeczywistości przebywał na wcześniej zaplanowanych wakacjach w swej prywatnej posiadłości w pobliżu Cannes, a więc setki mil od Londynu.

Także brat premiera został bohaterem mnóstwa artykułów, głównie w kolumnach „Plotki”. Biuro prasowe Downing Street, niemal codziennie proszone o ustosunkowanie się do pogłosek, że premier chroni „drogiego Charliego” przed rosnącą liczbą wierzycieli, w tym także przed urzędem skarbowym, konsekwentnie odmawiało jakiegokolwiek komentarza. To formalne „nie mam nic do powiedzenia”, będące jedyną odpowiedzią na najbardziej dziwaczne zarzuty, cytowano w prasie na ogół z bardzo nieprzychylnym komentarzem.

W miarę upływu czasu, przy niewielkich tylko staraniach Urquharta, prasa coraz częściej pisała o premierze w kontekście kłopotów finansowych jego brata. Nie dlatego, że Charlie mówił coś głupiego. Miał wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, by trzymać się na uboczu, lecz anonimowy telefon do redakcji pewnej szukającej taniej sensacji gazety umożliwił wytropienie go w tanim hoteliku w Bordeaux. Natychmiast wysłano tam reportera, którego zadaniem było wlać odpowiednią dawkę wina w gardło ulubieńca prasy i sprowokować go do wypowiedzenia odpowiedniej ilości „charlismów”. Jednak nie doszło do tego, gdyż wcześniej Charlie zwymiotował na reportera i jego notes, po czym spokojnie zasnął na stole. Nie zrażony tym dziennikarz czym prędzej zapłacił pięćdziesiąt funtów imponująco zbudowanej dziewczynie w mocno wydekoltowanej sukience, aby czule pochyliła się nad śpiącym. Dzięki obecności fotografa scena została utrwalona i zachowana dla potomnych oraz jedenastu milionów czytelników gazety.

„Jestem goły i wycyckany — mówi Charlie” — krzyczał nagłówek, a w numerze, po raz Bóg raczy wiedzieć który, opisano rozpaczliwą sytuację finansową brata premiera, jego załamanie po rozpadzie małżeństwa oraz stres spowodowany sławą brata. Downing Street zareagowało słowami „Absolutnie bez komentarzy”, co w tej sytuacji wydawało się jeszcze bardziej bezduszne niż zwykle.

Tydzień później ponownie opublikowano to samo zdjęcie, lecz tym razem obok zamieszczono fotografię premiera wypoczywającego na południu Francji — a więc w oczach Anglików zaledwie o rzut kamieniem od miejsca pobytu chorego brata — i najwyraźniej nie mającego zamiaru pośpieszyć mu z pomocą. To, że tydzień wcześniej ta sama gazeta szeroko opisywała głębokie

zaangażowanie premiera w rozwiązywanie kłopotów finansowych Charliego, było najwyraźniej bez znaczenia. Lecz nie dla biura prasowego Downing Street, które głęboko oburzone, zażądało wyjaśnień.

— O co Wam właściwie chodzi? — padła odpowiedź. — Musimy być obiektywni. Broniliśmy go w czasie kampanii, więc teraz nadszedł czas, by przywrócić sprawę do równowagi.

Zaiste, przez cały sierpień w prasie wypisywano okropne rzeczy.

## WRZESIEŃ — PAŹDZIERNIK

Wrzesień był jeszcze gorszy. Na samym początku miesiąca lider opozycji ogłosił, że składa rezygnację, aby zrobić miejsce dla „młodych silnych rąk, które wyżej wzniosą nasze sztandary”. Zawsze miał tendencje do nadmiernego krasomówstwa, kiedy opowiadał o swoich czynach.

Jak większość politycznych liderów, został zmuszony do ustąpienia w wyniku działań młodych, bardziej od niego energicznych i ambitnych działaczy, którzy już od dłuższego czasu knuli za jego plecami. Kiedy się wreszcie zorientował, w czym rzecz, było już za późno na jakikolwiek kontratak. W udzielonym któregoś wieczora wywiadzie zapowiedział więc złożenie rezygnacji. Przez chwilę wydawało się jeszcze, że pod wpływem swej wyjątkowo ambitnej małżonki rozmyśli się, lecz ponieważ się okazało, że nie może już w ogóle liczyć na lojalność gabinetu cieni, w końcu złożył dymisję. Oczywiście wszyscy dawni współpracownicy wyrażali się o nim bardzo ciepło. Jak to często bywa, wyznawców bardziej zjednoczyła jego śmierć aniżeli dokonania.

Wiadomość ta zelektryzowała media, a Mattie, zresztą ku swej uldze, została ściągnięta z Zakynthos, gdzie beczynn timer wylegiwała się na plaży i z coraz większym smutkiem i nostalgią obserwowała kąpiące się w jońskim słońcu zakochane pary. Była samotna, bardzo samotna, a ci wszyscy zakochani sprawiali, że ani na chwilę nie mogła o tym zapomnieć. Kiedy odebrała telefon i dowiedziała się, że ma natychmiast wracać do Londynu, bez słowa sprzeciwu spakowała walizki i wsiadła do najbliższego samolotu.

W Londynie stwierdziła, że partia opozycyjna jest bardziej niż kiedykolwiek skonsolidowana. Zdające się nie mieć końca spory i podziały zostały nagle zażegnane i partia przystąpiła do natychmiastowego ataku na rząd, którego członkowie w większości wciąż przebywali na wakacjach. Realna perspektywa przejęcia władzy już po najbliższych wyborach, nawet jeśli miały się odbyć dopiero za cztery lata, bardzo pomogła w zjednoczeniu wszystkich frakcji.

— Lepiej być jednym z dwudziestu ministrów w rządzie aniżeli jedynym nawet przywódcą partii opozycyjnej — wyjaśnił któryś z czołowych działaczy.

Tak więc do czasu, kiedy na kilka dni przed rozpoczęciem corocznego kongresu partii wybrano wreszcie jej nowego lidera, opozycja i jej działalność skupiały na sobie uwagę wszystkich mediów. Październikowy kongres, odbywający się pod buńczucznym hasłem „ZWYCIĘSTWO”, zmienił się w zjednoczony salut na cześć nowego lidera i w niczym nie przypominał zjazdu ugrupowania, które zaledwie parę miesięcy wcześniej przegrało wybory.

Natomiast rozpoczęty tydzień później kongres Partii Konserwatywnej przebiegał w atmosferze wewnętrznego rozbitcia. Gdyby salę konferencyjną wypełniły cztery tysiące rozentuzjasmowanych zwolenników, nastrój mógłby być dużo radośniejszy, lecz w obecnej sytuacji gołe ceglane ściany i chromowane meble tylko podkreślały ponury nastrój uczestników.

Jako szef promocji partii, O'Neill miał za zadanie dbać o odpowiednią oprawę kongresu. Ponieważ jednak misja podnoszenia zebranych na duchu okazała się praktycznie niewykonalna, coraz częściej widywano go, jak gorączkowo dyskutuje z dziennikarzami — przeprasząc, usprawiedliwiając, wyjaśniając i obwiniając. A obwinał głównie lorda Williamsa. Prezes obciął budżet, opóźniał podejmowanie decyzji, nie panował nad sytuacją. Po głównej kwaterze partii krążyła plotka, że specjalnie ograniczył do minimum budżet kongresu, mając nadzieję, że w ten sposób zafunduje premierowi ciężką przeprawę z wiernymi. „Partia podaje w wątpliwość przywództwo Collingridge'a” — brzmiał tytuł pierwszej relacji „Guardiana” z Bournemouth.

W sali konferencyjnej debaty toczyły się według ściśle ustalonego planu, a nad mównicą wisiał olbrzymi transparent: „ZNALEŹĆ WŁAŚCIWĄ DROGĘ”.

Mówcy — w oślepiającym świetle telewizyjnych reflektorów i przy denerwującym gwarze w sali, nad którym nawet służby porządkowe nie potrafiły zapanować — za wszelką cenę starali się to hasło realizować. W kątach sali i w pobliżu wyjść zbierały się niewielkie grupki delegatów, dziennikarzy oraz polityków — część składowa każdego zgromadzenia politycznego i żyzna gleba dla bezzasadnych plotek.

Szum panujący na sali był szumem niezadowolenia. Dziennikarze wszędzie, gdzie się pojawiali, słyszeli słowa krytyki. Byli posłowie, którzy nie zostali ponownie wybrani, krytykowali, ale pragnęli zachować anonimowość, ponieważ liczyli, że w następnych wyborach zostaną kandydatami na bezpieczniejsze fotele. Przewodniczący partii okręgowych rad nie byli tak powściągliwi w słowach. Oni nie tylko stracili swych przedstawicieli w parlamencie, lecz także stanęli przed perspektywą kilkuletnich rządów opozycji i nominowanych przez nią burmistrzów, co w konsekwencji oznaczało utratę dostępu do owoców władzy.

Istniały także coraz większe obawy, że zapowiedziane na czwartek wybory uzupełniające nie przyniosą partii tak wielkiego sukcesu, jakiego się spodziewała. Poseł z Dorset East, sir Anthony Jenkins, na cztery dni przed wyborami doznał zawału serca. Wybrano go, gdy przebywał na oddziale intensywnej terapii, niestety, zmarł trzy tygodnie później.

Jego okręg wyborczy, oddalony zaledwie o kilka mil od Bournemouth, był okręgiem całkowicie bezpiecznym, z prawie dwudziestotysięczną większością, dlatego też premier zdecydował się przeprowadzić wybory uzupełniające w czasie trwania zjazdu. Starano się odwieść go od tego zamiaru, on jednak twierdził, że warto zaryzykować. Postanowił wykorzystać rozgłos towarzyszący zjazdowi jako element kampanii wyborczej, a dodatkowo wysłać pełne autobusy delegatów na spotkania z wyborcami w najodleglejsze nawet zakątki okręgu. Ponadto liczył na to, że wiele osób odda głos na kandydata partii z czystej sympatii do zmarłego parlamentarzysty. Sam natomiast planował wygłosić krótkie przemówienie na cześć zwycięskiego kandydata, co byłoby dobrym chwytem reklamowym.

Jednakże uczestnicy kongresu, powracający autobusami ze zwyczajowych porannych wizyt w domach wyborców, opowiadali o niechęci, z jaką się spotykali. Było oczywiste, że mandat zostanie utrzymany — znajdował się w rękach partii od wojny — lecz przytłaczające zwycięstwo, którego domagał się Collingridge, z każdym dniem wydawało się coraz bardziej odległe.

Zapowiadał się ciężki tydzień, nie mający wiele wspólnego z zaplanowaną huczną fetą na cześć zwycięstwa.

## ŚRODA, 13 PAŹDZIERNIKA

Wiał zimny wilgotny wiatr od morza, kiedy we wczesny środowy poranek Mattie Storin obudził przeraźliwy ból głowy. Jako wysłanniczka jednej z największych w kraju gazet, należała do niewielkiej grupy szczęściarzy, których zakwaterowano w tym samym hotelu co delegatów. Dzięki temu mogła swobodnie obcować z najbardziej prominentnymi politykami i dygnitarzami partyjnymi. Poprzedniego wieczora obcowała z nimi trochę nazbyt swobodnie, w wyniku czego swą poranną gimnastykę rozpoczęła z obolałymi członkami i całkowitym brakiem entuzjazmu. Całe jej ciało krzychało, że to zupełnie idiotyczny sposób leczenia kaca, szybko też zmieniła zdanie i postanowiła szeroko otworzyć okno. Ten ruch okazał się już drugą błędną decyzją podjętą tego dnia. Niewielki hotel stojący na szczycie wysokiego urwiska, wspaniale łapiący promienie letniego słońca, w takie wietrzne jesienne poranki był całkowicie nie osłonięty. Przegrzany pokój szybko zmienił się w lodówkę i Mattie obiecała sobie przynajmniej do śniadania nie podejmować żadnych nowych decyzji.

Usłyszała szelest papierów pod drzwiami, zarzuciła więc na ramiona koc i wyjrzała na korytarz. Na podłodze leżała świeża praca, czyli sterta porannych gazet. Mattie podniosła je i rzuciła na łóżko: Gazety rozsypały się bezładnie po zmiętej pościeli, a spomiędzy stron jednej z nich wysunęła się osobna kartka i powoli opadła na ziemię. Jęcząc z bólu, Mattie schyliła się, by ją podnieść, i przez poranną mgłę, która zdawała się otaczać jej głowę, przeczytała nagłówek: „Wyniki sondażu opinii publicznej. Nr 40, 6 października. TAJNE”.



Przetarła oczy i szerzej je otworzyła.

„To chyba nie jest nowy dodatek do «Daily Mirror»” — pomyślała. Wiedziała, że partia przeprowadza cotygodniowe badania opinii publicznej, ale ich wyniki były przecież tajne i dostęp do nich mieli jedynie członkowie gabinetu oraz sama góra partii. Mattie kilkakrotnie miała okazję zapoznać się z nimi, jednak tylko i wyłącznie wtedy, gdy zawierały pomyślne wieści, na których opublikowaniu partii szczególnie zależało. Normalnie utrzymywano je w ścisłej tajemnicy. Zastanawiało ją, jaką też dobrą wiadomość mógł przynieść ostatni sondaż i dlaczego otrzymała zawiniętą w gazetę, niczym solone śledzie.

Przeczytała wyniki i po raz kolejny przetarła oczy. Partia, która wygrała wybory z czterdziestojednoprocentowym poparciem, teraz mogła liczyć jedynie na trzydzieści jeden procent, o czternaście mniej niż główne ugrupowanie opozycyjne. Jeszcze bardziej dotkliwą klęskę poniósł sam premier. Tylko co czwarty badany zadeklarował się jako jego zwolennik, podczas gdy popularność lidera opozycji wynosiła sporo ponad pięćdziesiąt procent. Mattie nie pamiętała, by jakikolwiek inny premier cieszył się tak niskim poparciem.

Z wrażeń usiadła na łóżku. Już nie zadawała sobie pytania, po co podzuczono jej te wyniki. To był prawdziwy dynamit. Dosłownie czuła, jak papier parzy jej dłoń. „Sondaże opinii publicznej zapowiadają totalną klęskę rządu” — rozpoczęła w myślach swój artykuł. Ktoś chciał, aby rzuciła tę bombę w sam środek zjazdu. To był zamierzony sabotaż, który miał szansę zmienić się w doskonały artykuł. Jej artykuł — oczywiście pod warunkiem, że jest pierwsza...

Złapała za telefon.

— Halo! Pani Preston? Mówi Mattie Storin. Czy jest Grev?

Minęła dłuższa chwila, zanim naczelny podszedł do aparatu. Jego ochrypły głos sugerował, że wyrwano go z głębokiego snu.

— Kto umarł?

— Co?

— Kto umarł, do cholery? Z innego powodu nie dzwoniłabyś chyba o tak kretyńskiej porze?

— Och, nikt... To znaczy... Przepraszam. Zapomniałam, że jest tak wcześnie.

— O jasna dupa!

- Przepraszam, Grev.
  - Dobrze już. Ale coś musiało się chyba stać, na litość boską?
  - Tak, dostałam to z poranną prasą.
  - To ci dopiero ulga. Jesteśmy więc zaledwie o jedną dobę do tyłu.
  - Nie, Grev. Posłuchaj, dobrze? Dostałam ostatnie wyniki sondaży partii. Są sensacyjne!
  - Skąd je masz?
  - Leżały pod drzwiami mojego pokoju.
  - Owinięte wstążką, no nie? — Naczelnym miał najwyraźniej trudności z zapanowaniem nad swą złośliwością.
  - Ale... One są naprawdę sensacyjne, Grev.
  - A kto ci je sprezentował? Święty Mikołaj?
  - Eee... Nie wiem. — Po raz pierwszy w jej głosie dała się słyszeć nuta wątpliwości. Proces budzenia się następował teraz bardzo gwałtownie.
  - No cóż, nie przypuszczam, żeby Henry Collingridge osobiście pofatygował się pod twoje drzwi i zostawił ci pod nimi te wyniki. Więc w takim razie kto jest autorem przecieku?
- Milczenie nie mogło ukryć zakłopotania Mattie.
- Czy ty przypadkiem nie poszłaś wczoraj w tango z jakimiś znajomymi?
  - Grev! Co to w ogóle ma do rzeczy?
  - A czy nigdy jeszcze tak zwani przyjaciele nie próbowali wpuścić cię w kanał?
  - Ale skąd możesz to wiedzieć?
  - Nie mogę i nie wiem, księżniczko. Ale ty też nie, do jasnej cholery!
- Znów nastąpiła chwila pełnego zakłopotania milczenia. Wreszcie Mattie zdecydowała się podjąć ostatnią desperacką próbę odzyskania pewności siebie i przekonania swego szefa.
- Czy nie chcesz wiedzieć, jakie są te wyniki?
  - Nie. Jeśli nie wiesz, skąd pochodzą, i nie masz pewności, że to nie jest tylko kretyński kawał, to nie chcę. I pamiętaj, że im bardziej są sensacyjne, tym bardziej pewne jest, że ktoś próbuje cię nabrać.

Trzask rzuconej słuchawki eksplodował w jej uchu. Nawet gdyby nie miała kaca, czułaby się potwornie. Ależ z niej idiotka! Gdy już nagłówek sensacyjnego artykułu kompletnie rozplynął się w jej myślach, powrócił ból głowy, i to jeszcze bardziej dokuczliwy niż przedtem. Musiała koniecznie napić się mocnej gorącej kawy.

Dwadzieścia minut później Mattie ostrożnie zeszła po szerokich schodach i wśliznęła się do restauracji hotelowej. Wciąż było bardzo wcześnie, więc przy stolikach siedziało zaledwie paru rannych ptaszków. Usiadła samotnie i modliła się, by nikomu nie wpadło do głowy dosiąść się do niej. Ukryła głowę w „Expressie” i miała nadzieję, że wszyscy będą przekonani, że pracuje, a nie walczy z kacem.

Pierwsza kawa w ogóle nie podziałała, lecz już druga trochę pomogła. Ból głowy powoli zwalniał swój stalowy uchwyt i otaczający świat znów wydał się Mattie interesujący. Pomyślała nawet, że może będzie w stanie znieść odrobinę porannych plotek.

Rozejrzała się po przytulnej wiktoriańskiej sali. Dostrzegła innego korespondenta pogrążonego w gorącej dyskusji z jednym z ministrów. Ten na pewno nie chciałby, żeby mu przeszkadzać. Twarze dwóch innych mężczyzn wydały się jej znajome, ale nie była pewna. Za to na pewno nie знаła młodego mężczyzny siedzącego przy sąsiednim stoliku. Postanowiła już, że samotnie dokończy śniadanie, kiedy zauważyła stos dokumentów i teczek leżących na krześle obok sąsiada. Papiery oraz dość akademicka szpetota stroju sugerowały, że młody człowiek jest jednym z wielu urzędników partyjnych, których Mattie nie zdążyła jeszcze poznać. Zauważyła nazwisko nabazgrołone na leżącej na wierzchu teczce. K. J. Spence.

Dzięki bombardowaniu kofeiną instynkt dziennikarski Mattie Storin zaczął powracać do życia. Z torebki, z którą starała się nigdy nie rozstawać, wyjęła kopię listy wewnętrznych numerów telefonicznych urzędników partii. Wyżebrała ją kiedyś, a może ukradła — dokładnie nie pamiętała.

Spence. Kevin. Wewnętrzny 371. Biuro badania opinii publicznej.

Jeszcze raz przeczytała nazwisko na teczce, mając już tego ranka zdecydowanie dość kłopotów z sondażami i ich autorami. Złośliwość szefa zdołała niemal całkowicie zniszczyć jej wiarę w prawdziwość podrzuconych

wyników badań, ale pomyślała, że może warto spróbować dowiedzieć się, jakie są prawdziwe cyfry. Spojrzała w jego stronę i uśmiechnęła się.

— Kevin Spence, prawda? Jestem Mattie Storin z „Telegraphu”. Pracuję tam od niedawna, ale jednym z moich obowiązków jest poznać wszystkich ważnych urzędników partii. Czy mogę się dosiąść?

Kevin Spence, lat trzydzieści dwa, choć wygląda na więcej, kawaler, partyjny biurokrata niemal od kołyski, zarobki: dziesięć tysięcy dwieście funtów rocznie (napiwków brak), skinął przyzwalająco głową i po chwili pograżeni byli w dyskusji. Spence okazał się człowiekiem raczej nieśmiałym i sprawiał wrażenie przyjemnie zaskoczonego, że ktoś z prasy go rozpoznał. Nie minęła nawet minuta, a już z zapalem opowiadał Mattie o szczegółach sondaży opinii publicznej, które przeprowadzał w czasie kampanii. Przyznał, że liderzy partii, wbrew temu, co mówili w telewizji, traktowali wyniki badań poważnie. Spence pozwolił sobie na uwagę, że niektórzy nawet zbyt poważnie.

— Jak to, zbyt poważnie? Przecież to twoja praca.

Cokolwiek pedantycznie Spence zaczął tłumaczyć, na czym polegają słabe punkty sondaży: spory margines błędu, o którym nie wolno zapominać, wciąż zdarzające się przypadki złego sformułowania pytań, a także ewidentnie sfałszowane wyniki badań.

— Na przykład te, które dziś dostałam — wtrąciła Mattie z niewyraźną miną. Wciąż miała do siebie pretensje o swą naiwność.

— To znaczy jakie? — spytał Spence.

Mattie spojrzała na niego i stwierdziła, że uprzejmy urzędnik zaczerwienił się nagle od szyi aż po czubek nosa, jego oczy zaś zmatowiały. Spence nie był wytrawnym politykiem, potrafiącym głęboko skrywać swe uczucia, więc już na pierwszy rzut oka widać było, że jest bardzo zmieszany.

„Co go tak wzburzyło? — zastanawiała się Mattie. — Chyba te cholerne liczby nie są prawdziwe?”

Młoda dynamiczna dziennikarka fiknęła już tego ranka parę koziołków i stwierdziła, że jeden więcej nie powinien dużo bardziej poobijać jej obolałej dumy zawodowej.

— O ile się orientuję, ostatnie wyniki są dość niepokojące. Ktoś nawet mówił o zaledwie trzydziestu jeden procentach poparcia.

Spence, którego policzki stawały się coraz bardziej czerwone, sięgnął po filiżankę z herbatą, chcąc dać sobie czas na poukładanie myśli. Jednakże ręce drżały mu tak bardzo, że miał poważne problemy z jej uniesieniem.

— A popularność premiera spadła do dwudziestu czterech procent — szarżowała dalej Mattie. — Nie pamiętam, żeby którykolwiek premier cieszył się tak niskim poparciem.

W tym momencie herbata zaczęła wylewać się z filiżanki, więc Spence czym prędzej odstawił ją na spodek.

— Nie wiem, o czym mówisz — mruknął w stronę serwetki, którą starał się zebrać rozlaną herbatę.

— A więc to nie są ostatnie wyniki twoich sondaży? — spytała Mattie, wyjmując z torebki tajemniczą kartkę. Dopiero teraz zwróciła uwagę na inicjały KJS w jej dolnej części.

Spence starał się odepchnąć kartkę jak najdalej od siebie.

— Skąd ty to masz? — Popatrzył rozpaczliwie po sali, by się zorientować, czy ktoś nie zwrócił uwagi na ich rozmowę.

Mattie wzięła kartkę do rąk i zaczęła czytać na głos:

— Wyniki sondażu opinii publicznej. Numer czterdziesty, szósty października... To twoje, prawda?

— Tak, ale... Proszę, panno Storin!

Spence nie potrafił grać. Był wyraźnie wstrząśnięty i nie widząc żadnej drogi ucieczki, postanowił zdać się na łaskę swej rozmówczyni. Ściszoną głosem, przez cały czas rozglądając się nerwowo po sali, rzekł:

— Nie wolno mi z nikim rozmawiać na temat wyników tych sondaży. Są ściśle tajne.

— Ależ, Kevin, przecież to tylko kartka papieru.

— Nie wiesz, jak to jest... Jeśli te liczby przedostaną się do prasy, a ja zostanę oskarżony o ich ujawnienie, będzie po mnie. Teraz każdy szuka kozła ofiarnego. Premier nie ufa prezesowi, prezes nam. Wszyscy mówią, że prędzej czy później muszą polecieć głowy. A ja lubię swoją pracę. I nie mogę dopuścić, by oskarżono mnie o ujawnienie tych liczb.

— Nie wiedziałam, że wasze morale jest tak słabe.

Spence wyglądał teraz żałośnie.

— Chyba nigdy dotąd nie było słabsze. Wszyscy mają dość po kampanii, na dodatek nastroje są fatalne z powodu gorszego niż oczekiwaliśmy wyniku wyborów. Do tego jeszcze te przecieki i pogłoski o konfliktach w gabinecie... W efekcie zamiast wysłać nas na długie wakacje, lord Williams trzyma wszystkich na miejscu. Szczerze mówiąc, to większość nie robi nic innego, tylko trzyma głowy jak najniżej, żeby nie dostać przez przypadek odłamkami, kiedy już się to wszystko rozsypie. — Po raz pierwszy spojrzął Mattie w oczy. — Proszę cię, nie pakuj mnie w to.

— Kevin, to nie ty dałeś mi ten dokument i potwierdzą to, jeśli będzie trzeba. Ale jeżeli mam ci pomóc, sama będę potrzebować niewielkiej pomocy. To są najnowsze wyniki sondaży, prawda?

Podala mu kartkę. Przyjrzał się jej boleściwie i skinął głową.

— I tylko nieliczni mają do nich dostęp, zgadza się?

Ponownie potwierdził.

— Chcę wiedzieć, kto? To chyba nie jest tajemnica państwowa?

Spence nie miał już siły walczyć. Zanim odpowiedział, na dłuższą chwilę wstrzymał oddech.

— Ponumerowane kopie otrzymują w zalakowanych kopertach wyłącznie członkowie gabinetu oraz pięciu najwyższych urzędników partyjnych. — Chciał zwilżyć usta herbatą, lecz okazało się, że prawie całą rozlał. — Ale skąd ty je, do diabła, wzięłaś?

— Powiedzmy, że ktoś był odrobinę nieostrożny.

— Ale nikt z moich pracowników? — wyraźnie się zaniepokoił.

— Nie, Kevin. Podaleś mi właśnie nazwiska prawie trzydziestu osób mających dostęp do wyników sondaży. Razem z sekretarkami daje to około pięćdziesięciu możliwych źródeł przecieku. — Posłała mu uspokajający uśmiech. — Nie obawiaj się. Nie będziesz w to zamieszany. Ale pozostawmy w kontakcie.

Mattie wstała i wyszła. Właściwie powinna była czuć podniecenie na samą myśl o sensacyjnym artykule, jednak zastanawiała się, czy i w jaki sposób uda się jej wykręć zdrajcę.

Pokój 561 z całą pewnością nie zasługiwał na miano pięciogwiazdkowego. Należał do najmniejszych w całym hotelu i znajdował się daleko od głównego wejścia, na samym końcu korytarza na najwyższym piętrze. Nie zajmował go żaden z partyjnych dygnitarzy; był to zdecydowanie pokój dla zwykłych urzędników.

Penny Guy nie usłyszała kroków, więc kiedy drzwi się otworzyły, kompletnie zaskoczona siedziała na łóżku, wystawiając na pokaz swe wspaniałe, jędrne piersi.

— Kurczę, Roger, może byś tak łaskawie pukał, kiedy wchodzisz? — Rzuciła w intruza poduszką. — A poza tym, do diabła, co tu robisz o tak wczesnej porze? Przecież normalnie nie wstajesz aż do lunchu.

O'Neill usiadł na łóżku. Penny nawet nie przyszło do głowy, żeby się czymś okryć. W towarzystwie Rogera czuła się zupełnie swobodnie i wiedziała, że nic jej z jego strony nie grozi. Co prawda O'Neill niemal przez cały czas z nią flirtował, jednak dwukrotnie, kiedy miał okazję się z nią przespać, był wprawdzie bardzo czuły i ciepły, lecz wymówił się zbyt dużym zmęczeniem. Penny przypuszczała, że jej szef cierpi na jakieś zahamowania seksualne, które stara się maskować za pomocą pochlebstw i insynuacji. Od innych kobiet spędzających sporo czasu z O'Neillem słyszała, że często tłumaczy się zmęczeniem. Owszem, jest czuły i pozornie chętny, ale nie potrafi całkowicie się zaangażować. Penny bardzo go lubiła i chętnie użyłaby swych długich delikatnych palców, by pomóc mu pokonać wszelkie zahamowania, wiedziała jednak, że Roger nigdy nie pozwoli jej posunąć się tak daleko. Pracowała dla niego już od trzech lat i zachodzące w nim zmiany nie uszły jej uwagi. W miarę jak zwiększało się jego zaangażowanie w politykę, stawał się trudniejszy we współżyciu.

Ci, którzy go nie znali, twierdzili, że jest zabawnym, czarującym, pełnym energii i nowych pomysłów ekstrawertykiem. Ale Penny obserwowała go i zdawała sobie sprawę, że staje się coraz większym dziwakiem. Rzadko zdarzało mu się zjawić w pracy przed południem; odbywał dziesiątki prywatnych rozmów telefonicznych, po których, bardzo podniecony, gdzieś znikał. Jego katar sienny i ciągle kichanie nie robiły miłego wrażenia, lecz Penny była mu zbyt oddana, by zwracać na nie uwagę. Nie potrafiła zrozumieć wielu z jego dziwactw, a szczególnie nie mogła pojąć, dlaczego nie chce z nią

sypiać. Jednakże nawet jeśli nie miał na nią ochoty, to z całą pewnością potrzebował jej przez praktycznie całą resztę dnia. Trudno byłoby nazwać to miłością, ale na pewno nie była to także obojętność. Penny gotowa była zrobić dla O'Neilla niemal wszystko.

— Wstałeś tak wcześnie specjalnie po to, żeby tu przyjść i mnie uwieść? A więc jednak nie potrafisz mi się oprzeć — droczyła się z nim.

— Zatkaj się, mała dziwko, i przykryj czymś te wspaniałe cycki. To nie fair.

Figlarnie się uśmiechając, wypięła piersi w jego stronę.

— Nie potrafisz się im oprzeć. A ja przecież nie śmiem sprzeciwiać się woli szefa!

Zrzuciła prześcieradło ze swego nagiego ciała i przesunęła się, robiąc miejsce dla niego. O'Neill nie potrafił się powstrzymać przed spojrzeniem na jej długie szczupłe nogi i po raz pierwszy, od kiedy się poznali, poczerwieniał. Penny zachichotała, widząc, jak — niczym zahipnotyzowany — gapi się na jej nagie ciało. Sięgnął po prześcieradło, chcąc ją przykryć, lecz stracił równowagę i wpadł prosto w jej długie brązowe ramiona. Kiedy uniósł głowę, w odległości zaledwie paru centymetrów spostrzegł ciemnobrązowy sterczący sutek. Musiał wyżyć wszystkie siły, by wyrwać się z rąk Penny. Stał w drugim końcu małego pokoju. Drżał.

— Pen, proszę! Przecież dobrze wiesz, że o tej porze nie jestem w najlepszej formie.

— W porządku, Roger. Nie bój się. Nie zgwałcę cię — roześmiała się i przykryła prześcieradłem. — Ale zdradź mi tajemnicę, co tu robisz o tak wczesnej porze.

— Właśnie wyszedłem od tej pięknej gimnastyczki z Brazylii. Przez całą noc uczyła mnie nowych układów. A ponieważ nie mieliśmy kólek, skorzystaliśmy z żyrandola. Może być?

Pokręciła stanowczo głową.

— Jak taka młoda i piękna dziewczyna może być tak cyniczna? — zaprotestował O'Neill. — No dobrze. Musiałem coś dostarczyć do jednego z pokoi na tym piętrze i postanowiłem wpaść, żeby ci powiedzieć dzień dobry.

Zapomniał dodać, że Mattie Storin omal nie złapała go na gorącym uczynku i że postanowił wykorzystać pokój swej sekretarki jako kryjówkę.



Wciąż cieszył się kłopotami, w jakich w wyniku tego przecieku znajdzie się prezes partii, który w ostatnich tygodniach nawet nie starał się kryć wrogości wobec niego. Umiejętnie przez Urquharta podsycana paranoja nie pozwalała O'Neillowi zauważyć, że prezes zachowuje się wrogo właściwie wobec wszystkich.

— W porządku, ale gdy następnym razem wpadniesz powiedzieć mi dzień dobry, bądź łaskaw najpierw zapukać. I rób to po wpół do dziewiątej.

— Nie znęcaj się nade mną. Przecież wiesz, że nie potrafię żyć bez ciebie.

— Dobra, starczy już tych czułości, Roger. Gadaj, czego chcesz. Bo przecież czegoś chcesz. A skoro nie mojego ciała, to czego?

— Rzeczywiście... Chciałbym cię o coś poprosić. To dość delikatna sprawa...

— Wal śmiało. Nie masz się czego obawiać. Przecież widziałeś, że w łóżku nie ma nikogo oprócz mnie. — Znów się roześmiała.

— Pen, pamiętasz Patricka Wooltona, ministra spraw zagranicznych, prawda? Przepisywałaś kilka jego przemówień podczas kampanii. On ciebie także pamięta. Rozmawiałem z nim wczoraj i odniosłem wrażenie, że się w tobie zadurzył. Wypytywał mnie o ciebie i... zastanawiał się, czy nie zechciałabyś zjeść z nim kolacji. A ponieważ bał się, że możesz poczuć się urażona, jeśli zaprosi cię osobiście, zgodziłem się szepnąć ci słówko w jego imieniu...

— W porządku, Roger.

— Co w porządku, Pen?

— Pójdę z nim na kolację. To przecież żaden problem.

— No tak, ale... on jest strasznym babiarzem. I może chce czegoś więcej...

— Roger, od czasu jak skończyłam czternaście lat, każdy facet, który zaprasza mnie na kolację, chce czegoś więcej. Poradzę sobie. Zresztą to może być zupełnie ciekawe. Może podciągnę się z francuskiego? — Znów wybuchnęła śmiechem i rzuciła w niego ostatnią poduszką. O'Neill pośpiesznie się wycofał, gdy Penny rozglądała się za czymś, co mogłoby posłużyć jako kolejny pocisk.

Pięć minut później był już u siebie i telefonował do Urquharta.

— Przesyłka doręczona, kolacja umówiona.

— Wspaniale, Roger. Gratuluję i mam nadzieję, że minister spraw zagranicznych też będzie zadowolony.

— Ale w dalszym ciągu nie rozumiem, w jaki sposób chcesz go skłonić, żeby zaprosił Penny na kolację?

— Cały dowcip w tym, że wcale nie będzie musiał jej zapraszać. Będzie u mnie dziś wieczorem na przyjęciu. Przyprorowadzisz Penny, która, jak właśnie ustaliłeś, jest więcej niż chętna, by poznać go i spędzić z nim trochę czasu. Przedstawię ich sobie i zobaczymy, co dalej. O ile znam Patricka Woltona, a jako Chief Whip mam obowiązek go znać, nie minie więcej niż dwadzieścia minut, a już zaproponuje jej... na przykład przedyskutowanie w jego sypialni szczególnie skomplikowanych aspektów stosunków... międzynarodowych.

— Albo lekcję francuskiego — mruknął O'Neill. — Ale w dalszym ciągu nie rozumiem, do czego zmierzamy.

— Cokolwiek się wydarzy, Roger, ty i ja będziemy o tym wiedzieć. A wiedza zawsze może się przydać.

— Wciąż nie rozumiem, do czego.

— Zaufaj mi, Roger. Musisz mi ufać.

— Tak. Muszę. Chyba nie mam innego wyjścia.

— Zgadza się, Roger. Widzę, że zaczynasz rozumieć. Wiedza to potęga.

Urquhart odłożył słuchawkę. O'Neillowi wydawało się, że rozumie, lecz nie był całkiem pewien. Wciąż nie wiedział, czy jest partnerem Urquharta, czy tylko więźniem. Otworzył szafkę nocną i wyjął z niej niewielkie pudełko. Zażył dwie tabletki nasenne i kompletnie ubrany padł na łóżko.

— Dzięki, że znalazłeś dla mnie czas, Patrick.

— Odniosłem wrażenie, że to coś poważnego. Kiedy Chief Whip chce się z tobą pilnie spotkać, na ogół chodzi mu o to, że co prawda trzyma zdjęcia pod kluczem, lecz niestety negatywy są w posiadaniu „News of the World”!

Urquhart uśmiechnął się i wszedł do domku zajmowanego przez szefa dyplomacji. Nie miał zbyt daleko, zaledwie parę kroków, ponieważ mieszkał w sąsiednim bungalowie przy, jak ją nazywała miejscowa policja, „Alej

Nadgodzin”. Był to rząd luksusowych domków będących częścią hotelu, które w czasie zjazdu zajmowali najwyżsi urzędnicy państwowi i których przez całą dobę, oczywiście na koszt nieszczęsnych podatników, strzegły tłumy policjantów.

— Napijesz się? — zaproponował gospodarz.

— Chętnie, Patrick. Kropelkę szkockiej.

Patrick Woolton, szef dyplomacji w rządzie Jej Królewskiej Wysokości, podszedł do niewielkiego barku, który najwyraźniej był już tego popołudnia używany, i zajął się przygotowywaniem drinków, podczas gdy Urquhart postawił swój czerwony kuferek w kącie obok czterech takich samych, należących do przepracowanego gospodarza. Obciążone jaskrawoczerwoną skórą kufarki są nieodłącznym atrybutem brytyjskich ministrów i służą do przechowywania ważnych dokumentów. Jeżdżą ze swoimi właścicielami w każdą podróż, także na wakacje. Ponieważ teleksy, depeche, instrukcje, streszczenia oraz wszelkie inne przedmioty, które minister Woolton musiał przez cały czas mieć przy sobie, zajmowały w sumie cztery takie kufarki, niemal wszędzie towarzyszył mu tłumek mający za zadanie je nosić. Chief Whip nie musiał wygłaszać przemówień ani rozwiązywać ważnych problemów międzynarodowych, dlatego w swoim kufierku przywiózł do Bournemouth trzy butelki dwudziestoletniej whisky.

— Ceny w hotelach są oszalamiające — tłumaczył swej żonie. — Do tego nie zawsze można tam dostać to, czego się szuka.

Usiadł naprzeciw Wooltona przy zawalonym papierami stoliku i powiedział:

— Patrick, muszę zasięgnąć twojego zdania na pewien temat. Ale sprawa jest ściśle poufna. Najlepiej będzie, jeśli uznamy, że ta rozmowa w ogóle się nie odbyła.

— Jezu Chryste! Ty naprawdę masz jakieś zdjęcia! — wykrzyknął Woolton, teraz już tylko półzartem. O jego słabości do młodych atrakcyjnych kobiet wiedzieli prawie wszyscy, ale Woolton z reguły, a już szczególnie za granicą, zachowywał wszelkie niezbędne środki ostrożności. Zbyt dobrze pamiętał, jak dziesięć lat wcześniej, na samym początku swej kariery ministerialnej, musiał przez parę godzin odpowiadać na pytania zadawane przez amerykańskich policjantów, a dotyczące upojnego weekendu spędzonego w

jednym z moteli w Nowym Orleanie w towarzystwie Amerykanki, która wyglądała na dwadzieścia, zachowywała się, jakby miała trzydzieści, a okazała się mieć zaledwie szesnaście lat. Sprawę zatuszowano, lecz Woolton nigdy nie zapomniał, jak niedaleko jest od błyskotliwej kariery politycznej do oskarżenia o gwałt.

— Sprawa jest o wiele poważniejsza. W ostatnich dniach daje się zauważyć znaczny spadek popularności Henry'ego. Chyba zresztą sam to zauważyłeś, choćby podczas posiedzeń rządu. Także media jakby przestawały go kochać. Trudno było oczekiwać przedłużonego miodowego miesiąca po wyborach, ale sprawy zaczynają wymykać nam się z rąk. Dopiero co rozmawiałem z dwoma wpływowymi działaczami lokalnymi. Twierdzą, że nasza popularność gwałtownie spada. Poza tym straciliśmy dwa pozornie pewne mandaty w wyborach uzupełniających i w najbliższych tygodniach najprawdopodobniej stracimy kilka następnych. Także jutro nasze zwycięstwo w Dorset będzie przypuszczalnie bardzo nikłe. Szczerze mówiąc, Patricku, niepopularność premiera stawia partię w bardzo trudnej sytuacji. Sprawy mają się tak, że dzisiaj nie byłibyśmy chyba w stanie wygrać konkursu na lokalnego hycła. Jest naprawdę cholernie źle. — Przerwał, by napić się whisky. — Problem polega na tym — kontynuował po chwili — że to, co się dzieje, nie wydaje się przejściową utratą popularności. Jeśli chcemy wygrać następne wybory, będziemy musieli wykazać się ogromnym wigorem. W przeciwnym razie elektorat może zażądać zmiany, choćby ze zwykłego znużenia. Spora część posłów, szczególnie z niepewnych okręgów, zaczyna zachowywać się dość nerwowo. Mając zaledwie dwudziestoczeromandatową przewagę, możemy nie mieć wystarczająco dużo czasu. Jeśli przegramy wybory uzupełniające w jeszcze paru okręgach, być może będziemy zmuszeni ogłosić przyśpieszone wybory.

Ponownie uniósł szklanke do ust, splatając wokół niej palce, jakby liczył, że ciepły torfiasty płyn da mu siły na wykonanie czekającego go zadania.

— Przejdę do rzeczy, Patricku. Jako Chief Whip zostałem poproszony... Zwróć uwagę, starszku, na formalny ton wypowiedzi. Nie chodzi o nic, ale to naprawdę nic, osobistego... Otóż kilku wysokich urzędników partyjnych poprosiło, żebym się zorientował, jak głęboko sięga ten problem. Krótko

mówiąc, Patrick, a rozumiesz chyba, że nie jest to dla mnie łatwe... — Nie jest, ale to i tak nie może powstrzymać ani nawet opóźnić ostatecznego ciosu. — ...poproszono mnie o zorientowanie się, na ile zła jest, twoim zdaniem, sytuacja, w której się znajdujemy. I czy uważasz, że Henry w dalszym ciągu powinien być naszym liderem. — Wziął głęboki oddech i wygodnie usadowił się w fotelu.

Bezpośredniość, z jaką Urquhart zadał to pytanie, najwyraźniej zaskoczyła Wooltona. Przez ponad minutę zwlekał z udzieleniem odpowiedzi. Wyjął z kieszeni fajkę, kapciuch na tytoń oraz pudełko Swan Vestas. Bez pośpiechu nabił fajkę, kciukiem ugniatając świeży tytoń. Trzask zapalanej zapalniczki zabrzmiał w tej ciszy niezwykle głośno. Urquhart poruszył się niespokojnie. Po chwili wokół Wooltona powstała gęsta chmura niebieskiego dymu, niemal całkowicie zasłaniająca jego twarz. Machnął ręką, by ją rozproszyć, spojrzawszy Urquhartowi prosto w oczy i cicho się roześmiał.

— Wybacz, Francis. Przez te cztery lata, które przepracowałem w MSZ-cie, odzwyczaiłem się od stawianych wprost pytań. Chyba w ogóle odwykłem od ludzi tak szybko przechodzących do rzeczy. Mam nadzieję, że wybaczysz mi problemy w dorównaniu twej bezpośredniości.

Była to oczywista bzdura. Woolton słynął z bardzo bezpośredniego, często nawet wyzywającego stylu uprawiania polityki, przez co często miewał kłopoty w swym ministerstwie. Po prostu grał teraz na zwłokę, starając się poukładać myśli.

— Spróbujmy odłożyć na bok wszelkie subiektywne poglądy... — Wydmuchał kolejną chmurę dymu, aby ukryć oczywistą nieszczerłość tej uwagi. — ...i przeanalizujmy ten problem bezstronnie, jak zrobiłby szary urzędnik.

Urquhart starał się wyglądać na zdenerwowanego, lecz w duchu się uśmiechnął. Znał poglądy Wooltona i dobrze wiedział, do jakich wniosków dojdzie jego hipotetyczny urzędnik.

— A więc, po pierwsze: czy problem w ogóle istnieje? Tak, i jest poważny. U mnie, w Lancashire, nastroje są okropne, przed nami wybory uzupełniające w kilku okręgach, które prawie na pewno przegramy, a wyniki sondaży są po prostu fatalne. To wystarczające podstawy, by zastanawiać się

nad ewentualnymi poważnymi zmianami. Po drugie: czy istnieje bezbolesne rozwiązanie tego problemu? Nie wolno nam zapominać, że Henry przeprowadził nas bezpiecznie przez cztery kolejne kampanie wyborcze i że wyborcy poparli partię, której liderem jest właśnie on. Moim zdaniem trudno tak krótko po wyborach rozważać możliwość rezygnacji z osób bądź też programów, dzięki którym zostało się wybranym. — Woolton najwyraźniej zaczynał rozkoszować się tą analizą. — A więc przemyślimy to. Jeśli zdecydujemy się na zastąpienie go, a o tym przecież mówimy... — Urquhart zdołał skrzywić się ze smutkiem na taką bezpośredniość, po czym jeszcze raz zbałał zawartość swej szklanki. — ...niewątpliwie mocno zachwieje to partią, podczas gdy opozycja jeszcze bardziej okrzepnie. Będzie to wyglądać na źle przygotowany przewrót pałacowy i akt desperacji. Choćbyśmy nie wiem jak się starali, nie zdołamy przekonać opinii publicznej, że jest to przemyślana decyzja dojrzałej i godnej zaufania partii. Poskładanie wszystkiego do kupy zajmie nowemu liderowi przynajmniej rok. Dlatego nie łudźmy się, że zastąpienie Henry'ego byłoby prostym i bezbolesnym rozwiązaniem.

— Wreszcie po trzecie: skoro wiemy już tyle, zastanówmy się, czy Henry jest w stanie zaproponować jakiegokolwiek logiczne rozwiązanie naszych problemów. Znasz mój pogląd na ten temat. Po odejściu Margaret byłem jego kontrkandydatem i w dalszym ciągu uważam jego wybór za poważny błąd.

Urquhart już wiedział, że nie pomylił się w ocenie swego rozmówcy. Wprawdzie Woolton nigdy otwarcie nie wyraził niezadowolenia z faktu, że wybrano właśnie Collingridge'a, lecz przecież tego typu lojalność rzadko jest czymś więcej aniżeli tylko niezbędną przykrywką dla własnych ambicji, a minister Woolton zawsze robił tyle, ile trzeba było, by tę przykrywkę utrzymać.

Nie przerywając swej analizy, Woolton napenił szklanki.

— Margaret umiała zachować wyjątkową równowagę pomiędzy bezwzględnością a wyczuciem sytuacji. Kiedy było trzeba, potrafiła być bezlitosna. Zresztą kiedy nie było trzeba, również. Zawsze tak się śpieszyła, że nie miała czasu na branie jeńców. Traktowanie przyjaciół także nie było dla niej czymś nie do przyjęcia. Ale to nie miało większego znaczenia, ponieważ zawsze była na czele. Natomiast Henry nie ma żadnego wyczucia sytuacji,

a jedynie uwielbia swój stół. A ponieważ brakuje mu wyczucia, to gdy stara się być zdecydowany, jest po prostu niemiły, wręcz arogancki. Próbuje naśladować Margaret, lecz niestety, nie czarujmy się, Henry to facet bez jaj. W związku z tym sprawy wyglądają następująco: jeśli spróbujemy się go pozbyć, znajdziemy się w niezłych tarapatkach; jeśli nie, już po nas.

Zajął się swą fajką, wściekle pykając, aby ponownie rozniecić w niej żar. Wreszcie udało mu się zniknąć za gęstą chmurą.

Urquhart nie odzywał się od dobrych dziesięciu minut. Teraz ponownie się wyprostował, siadł na brzegu fotela i powiedział:

— Tak, rozumiem. Ale nie rozumiem. Czy zechcesz mnie łaskawie oświecić, Patricku?

Woolton ryknął śmiechem.

— Przepraszam, Francis. To te cholerne dyplomatyczne frazesy. Ja już naprawdę nie potrafię poprosić własnej żony o podanie mi talerza z płatkami, nie wprawiając jej przy tym w zakłopotanie. A więc chcesz bezpośredniej odpowiedzi? W porządku. Dwudziestoczwor mandatowa większość to po prostu za mało i jak tak dalej pójdzie, następne wybory przegramy z kretelem. Musimy coś zrobić.

— Widzisz jakieś rozwiązanie?

— Zaczekajmy. Potrzeba nam czasu, prawdopodobnie kilku miesięcy, na urobienie opinii publicznej i przygotowanie odpowiedniego nacisku na Henry'ego. Dzięki temu kiedy już poda się do dymisji, zostanie to odebrane jako pozytywna reakcja na żądania zmian, a nie jakieś wewnętrzpartyjne prywatne gierki. To, jak nas będą postrzegać, jest rzeczą nie do przecenienia, Francis. Dlatego potrzebujemy trochę czasu na przygotowanie opinii publicznej.

„A ty potrzebujesz go na ustawienie się w dogodnej pozycji przed ostateczną rozgrywką — pomyślał Urquhart. — Ty stary oszuście. Wciąż liczysz na to, że uda ci się zdobyć ten stół.”

Wiedział, że Woolton potrzebuje czasu, by w korytarzach i barach Izby Gmin umocnić swe stosunki z posłami, zwiększyć liczbę spotkań w okręgach wyborczych i stworzyć sobie odpowiedni wizerunek w prasie. Było więcej niż pewne, że kalendarz ministra spraw zagranicznych stanie się nagle bardzo przejrzysty i że miejsce większości podróży za granicę zajmą podróże po

kraju, z przemówieniami dotyczącymi wyzwania stojących przed państwem u progu dwudziestego pierwszego wieku.

— Masz bardzo trudne i wyjątkowo delikatne zadanie, Francisie. To właśnie ty musisz zdecydować, czy Henry ma jeszcze wystarczająco dużo siły, by wyprowadzić partię z kryzysu, czy też należy przystąpić do działania. Jeśli się pośpieszymy, okrzyczą nas mordercami. Jeśli zaczniemy działać zbyt późno, partia po prostu się rozleci. Musisz więc być bardzo czujny. Oczywiście prowadzisz podobne rozmowy także z innymi?

Urquhart skinął głową.

„A więc mianował mnie Kasjuszem, wcisnął mi sztylet w dłoń i do mojej decyzji pozostawił moment ogłoszenia id marcowych.”

Z pewnym rozbawieniem Urquhart stwierdził, że nie ma nic przeciwko temu.

— Dziękuję ci, Patrick, że postawiłeś sprawę tak jasno. Najbliższe miesiące będą dla nas wszystkich bardzo trudne, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, będę się do ciebie zwracał po rady. Oczywiście możesz być pewien, że ani słowo z tego, co tu powiedzieliśmy, nie wyjdzie poza ten pokój.

Wstał, kończąc w ten sposób rozmowę.

— Moi chłopcy z oddziałów specjalnych wciąż mi powtarzają, że ściany mają uszy. Dlatego cholernie się cieszę, że to właśnie ty jesteś moim sąsiadem! — wykrzyknął Woolton i radośnie grzmotnął w plecy cofającego się po swój kuferek Urquharta.

— Mam nadzieję, Patricku, że zjawisz się dziś na przyjęciu? Tylko nie zapomnij.

— Pewnie, że nie zapomnę. Zawsze lubiłem twoje przyjęcia. Poza tym byłoby z mojej strony niegrzecznie, gdybym nie napił się szampana na twój koszt.

— A więc do zobaczenia wieczorem — pożegnał się Urquhart i wziął swój kuferek.

Woolton zamknął drzwi za gościem i nalał sobie jeszcze jednego drinka. Postanowił opuścić popołudniowe obrady, wziąć prysznic i godzinkę się przespać, aby mieć siły na wieczorne szaleństwo. Analizując dopiero co zakończoną rozmowę, zaczął się zastanawiać, czy aby whisky nie stępiła trochę jego czujności. Próbował sobie przypomnieć, jakimi słowami Urquhart



wyraził swój sprzeciw wobec Collingridge'a, jednak bezskutecznie.

„Cwany skurwiel. Całe gadanie mnie zostawił” — pomyślał.

Siedział tak i zastanawiał się, czy przypadkiem nie był odrobinę zbyt szczerzy wobec swego gościa. Nie zauważył, że Urquhart pomylił kufferki.

Mattie przez cały dzień była we wspaniałym nastroju. Zaraz po lunchu przesała do Londynu swój artykuł i przez większość popołudnia rozmyślała o tych wszystkich nowych drzwiach, które się przed nią otwierały. Pracowała w „Daily Telegraphie” dopiero od roku, lecz powoli zaczynało doceniać jej zdolności. Chociaż była jedną z najmłodszych osób w redakcji, jej artykuły coraz częściej trafiały na pierwszą stronę. I były to dobre artykuły, tego Mattie była pewna. Jeszcze rok takich postępów i będzie gotowa do następnego kroku — awansu na stanowisko asystentki redaktora albo przynajmniej zajęcia się pisaniem bardziej szczegółowych analiz politycznych, a nie tylko codziennych artykułów. Oczywiście nie miała powodów, by się skarżyć. Trzeba by wybuchu wojny, żeby jej najnowszy artykuł spadł z pierwszej strony. Miała to być mocna historia o rządzie, który się zagubił i stracił panowanie nad sytuacją — dobrze napisana i dająca nadzieję na to, że inni redaktorzy i wydawcy dostrzegą jej autorkę.

Ale to jej nie wystarczało. Mattie powoli zaczynała zdawać sobie sprawę, że czegoś jej brakuje. Co prawda jej kariera rozwijała się bardzo pomyślnie, lecz Mattie stopniowo odkrywała otaczającą pustkę, atakującą ją, kiedy wychodziła z biura, a najbardziej dokuczliwą, gdy stawała w drzwiach swego pustego zimnego mieszkania. A miała nadzieję, że uda się jej zostawić ten ból w Yorkshire. Cholerni mężczyźni! Czy nie mogą dać jej spokoju?! Dobrze jednak wiedziała, że jeśli może kogoś winić, to tylko siebie. W końcu to jej własne potrzeby zżerały ją od środka. Czowała, że dłużej już nie może ich ignorować.

Tak samo nie mogła zignorować wiadomości, którą otrzymała tuż po siedemnastej. Miała pilnie skontaktować się z redakcją. Właśnie skończyła jeść podwieczorek z ministrem spraw wewnętrznych, któremu zależało, aby „Telegraph” zareklamował jego przewidziane na następny dzień

przemówienie, i który najwyraźniej szukał ucieczki od wysłuchiwania przez całe popołudnie popisów swoich partyjnych towarzyszy. W holu hotelowym panował tłok, ponieważ ludzie zaczęli wymykać się z sali konferencyjnej w poszukiwaniu czegoś do picia oraz chwili odpoczynku. Okazało się jednak, że jeden z telefonów jest wolny. Mattie zdecydowała, że jakoś zniesie panujący wokół hałas, i wykreśliła numer. Telefon odebrała sekretarka Prestona. Powiedziała, że szef rozmawia przez drugi aparat, i połączyła Mattie z jego zastępcą, Johnem Krajewskim — miłym olbrzymem, z którym Mattie spędzała ostatnio sporo czasu, łączyła ich bowiem miłość do dobrego wina oraz to, że jego ojciec, podobnie jak jej dziadek, był wojennym emigrantem z Europy. Przywitała się z nim ciepło, lecz jego odpowiedź podziałała na nią niczym kubeł zimnej wody.

— Cześć, Mattie. Słuchaj, nie będę owijać w bawełnę i powiem ci krótko: nie puścimy... to znaczy on nie puści twojego artykułu. Przykro mi.

Mattie przez chwilę nie odpowiadała, z niedowierzaniem powtarzając w myślach to, co właśnie usłyszała, niepewna, czy słuch jej nie myli.

— Co ty, do cholery, gadasz? Jak to nie puścicie?

— Po prostu nie, Mattie. — Nie ulegało wątpliwości, że dla Krajewskiego nie jest to łatwa rozmowa. — Przykro mi, ale nie jestem w stanie powiedzieć ci nic bliższego. Decyzję podjął Grev. Osobiście. Ja nie mam z nią nic wspólnego. Ale najwyraźniej chodzi o to, że Grev uważa tę historię za zbyt mocną, żeby można było ją wydrukować, nie mając absolutnej pewności co do wiarygodności źródła. Twierdzi, że zawsze byliśmy lojalni wobec tego rządu i że nie widzi żadnego powodu, aby rezygnować z takiej polityki dla jakiegoś anonimowego świstka. Powiedział, że nie puści twojego artykułu, dopóki nie będzie na sto procent pewien, a nie będzie, dopóki się nie dowie, skąd ten papier pochodzi.

— Na litość boską! To, skąd ten papier pochodzi, nie ma przecież najmniejszego znaczenia! Ktokolwiek mi go podrzucił, z całą pewnością nie chciał, żeby jego nazwisko znalazło się w związku z tą sprawą na pierwszych stronach gazet. Liczy się prawdziwość danych, o której osobiście się przekonałam.

— Posłuchaj, Mattie, wiem, co czujesz, i wierz mi, że wolałbym nie mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Próbowałem przekonać Greva, żeby ci to puścił, ale nie ustąpił. Nie ma żadnych szans.

Mattie miała ochotę wrzeszczeć. Nagle pożałowała, że zdecydowała się dzwonić z zatłoczonego holu, gdzie nie mogła przedstawić odpowiednich argumentów, ponieważ jakiś dziennikarz z konkurencyjnej gazety mógłby coś podsłuchać, obecność kobiet zaś nie pozwalała użyć słów, które cisnęły się jej na usta.

— Połącz mnie z Grevem.

— Niestety, rozmawia teraz przez telefon.

— Poczekam!

— Ale... — W głosie zastępcy naczelnego słychać było zakłopotanie. — On będzie rozmawiać bardzo długo i dlatego mnie kazał, żebym ci wszystko wyjaśnił. Wiem, że chce z tobą porozmawiać, ale dopiero jutro. Nie ma sensu, byś próbowała zmusić go krzykiem do ustąpienia.

— Aha! Więc nie puści mi artykułu, a ponieważ jest zbyt wielkim tchórzem, żeby mnie o tym osobiście poinformować, brudną robotę zwałił na ciebie. Gdzie my pracujemy, Johnnie?!

Zastępca szefa odchrząknął, wyraźnie nie potrafiąc znaleźć odpowiednich słów. Krajewski dobrze wiedział, jak bardzo Mattie jest sfrustrowana, nie tylko dlatego, że szef odrzucił jej artykuł, lecz także dlatego, że użył swego zastępcy jako buforu. Zastanawiał się, czy nie powinien spróbować jeszcze trochę powalczyć w imieniu Mattie, lecz doszedł do wniosku, że ponieważ od kilku tygodni jego uwagę coraz bardziej rozprasza jej oczywisty, choć nie narzucający się seksualizm, być może nie jest w stanie w pełni obiektywnie ocenić jej postępowania.

— Przykro mi, Mattie.

— Pocałuj mnie gdzieś! — warknęła i z hukiem odwiesiła słuchawkę.

Była potwornie wściekła, zarówno na Prestona i politykę, jak i na samą siebie, za to, że nie zdołała znaleźć bardziej przekonujących argumentów na swoją korzyść albo nie potrafiła odpowiednio ich wyłożyć.

Ignorując krzywe spojrzenie stojącego przy sąsiednim aparacie pracownika hotelu, ruszyła przez hol.

— Muszę się napić — głośno wyjaśniła sobie oraz przebywającym w zasięgu słuchu osobom i skierowała się do baru.

Barman podnosił właśnie kratę, kiedy Mattie weszła i rzuciła na kontuar swą torbę i banknot pięcioletni. Robiąc to, uderzyła łokciem innego klienta, który najwyraźniej czekał przy fornirowanym szynkwasie na pierwszego tego wieczora drinka.

— Przepraszam — powiedziała Mattie z irytacją. Nie zabrzmiało to zbyt szczerze. Mężczyzna zwrócił się w jej stronę.

— Widzę, młoda damo, że koniecznie musi się pani napić. Co prawda mój lekarz twierdzi, że nie ma czegoś takiego jak potrzeba napicia się, ale co on tam wie? Czy zgodzi się pani, by ktoś, kto mógłby być pani ojcem, dotrzymał pani towarzystwa? Aha, nazywam się Collingridge. Charles Collingridge.

— Z przyjemnością, panie Collingridge, pod warunkiem, że nie będziemy rozmawiać o polityce. Pozwoli pan, że mój naczelny postawi panu dużą whisky?

Pokój był przestronny, lecz niski i wypełniony ludźmi. Gorąco tej masy ciał i centralne ogrzewanie tworzyły razem wyjątkowo duszną atmosferę. Goście przeklinali w duchu nadgorliwość architektów, dzięki którym wszystkie bungalowy przy „Alej Nadgodzin” miały wysokiej klasy izolację oraz podwójne okna. W efekcie schłodzony szampan roznoszony przez sekretarkę Urquharta cieszył się olbrzymią popularnością i wydawało się pewne, że przyjęcie będzie jednym z najbardziej hucznych podczas tego zjazdu.

Jednak Urquhart nie mógł krążyć po pokoju i przyjmować podziękowań gości. Stał w kącie, dociśnięty do ściany olbrzymim cielskiem Benjamina Landlessa. Magnat prasowy strasznie się pocił, pomimo że zdążył już zdjąć marynarkę i rozpiąć kołnierzyk koszuli. Jego obszerne, luźno spływające spodnie przytrzymały grube zielone szelki przypominające taśmy spadochronu. Dla Landlessa panujący w pokoju żar wydawał się nie mieć żadnego znaczenia, a cała jego uwaga skupiona była na uwięzionej w kącie ofercie.

— Przecież to kompletne bzdury, Frankie, i ty dobrze o tym wiesz. W czasie ostatniej kampanii wszystkie moje gazety były za wami. Co więcej, przenieśliśmy do Londynu swoją centralę. Zainwestowałem w tym kraju

grube miliony. I jeśli teraz wy nie raczycie ruszyć dup i wziąć się do roboty, to po następnych wyborach cały mój interes trafi jasny szlag! Jak te skurwysyny z opozycji dorwą się do stołków, to mnie ukrzyżują za to, że byłem wobec was tak lojalny. Tymczasem wy się zachowujecie, jakbyście mieli zamiar oddać im władzę zupełnie za darmo.

Przerwał na chwilę, z przepastnej kieszeni spodni wyjął jedwabną chusteczkę do nosa i otarł nią czoło, Urquhart zaś podjął nieśmiałą próbę udobruchania go:

— Na pewno nie będzie tak źle, Ben. Wszystkie rządy miewają słabsze okresy. Nam także już się to przytrafiało. Ale wyjdziemy z tego!

— Przestań pieprzyć, Frankie! Dobrze wiesz, że opowiadasz kompletne pierdoły! Chyba nie będziesz mi wmawiać, że nie znasz wyników waszego ostatniego sondażu? Miałem dziś po południu telefon. Wasza popularność spadła o dalsze trzy procent, czyli licząc do wyborów w sumie o dziesięć. Gdyby wybory odbywały się dzisiaj, byłoby już, do jasnej cholery, po was!

Urquhart pomyślał o szykującym się na następny dzień artykule w „Telegraphie” i miał ochotę się roześmiać. Wiedział jednak, że nie może sobie na to pozwolić.

— Do diabła! Skąd znasz te wyniki? Możemy przez nie przegrać jutrzejsze wybory uzupełniające!

— Nie martw się. Artykuł miał pójść w jutrzejszym numerze „Telegraphu”, ale kazałem Prestonowi go zdjąć. Oczywiście prędzej czy później te liczby i tak wyjdą na jaw i zacznie się gadanie o politycznych naciskach na prasę, ale będzie już po wyborach i dzięki temu wasz zjazd nie zmieni się w arenę walki wściekłych niedźwiedzi. — Westchnął. — Właściwie to zasłużyliście sobie na taką karę — powiedział cicho i Urquhart wiedział, że nie żartuje.

— Premier będzie ci bardzo wdzięczny — odparł, z trudem kryjąc głęboki zawód.

— Pewnie, że będzie, ale wdzięczność najbardziej niepopularnego premiera w historii sondaży nie jest czymś, co można ulokować w banku.

— Jak mam to rozumieć?

— Popularność polityka to gotówka. W czasie, kiedy cieszyacie się wysokim poparciem i jesteście u władzy, ja mogę robić to, co umiem najlepiej, czyli zarabiać pieniądze. Po to właśnie was poparłem. Ale jak tylko wasza popularność zaczyna maleć, cały biznes diabli biorą. Obroty na giełdzie spadają. Ludzie boją się inwestować. Związki zawodowe się bolszewizują. Skoro nie mam pojęcia, co się wydarzy w najbliższych miesiącach, nie mogę niczego zaplanować. I tak jest już od czerwca. Ten premier nie byłby w stanie zorganizować nawet zawodów w pierdzeniu w przetwórni fasoli. Jego niepopularność ciągnie na dno całą partię, a razem z nią mój biznes. Jeśli czegoś nie zrobicie, wkrótce wszystko trafi szlag.

— Naprawdę tak myślisz?

Landless przez chwilę nie odpowiadał, jakby chciał pokazać Urquhartowi, że to bynajmniej nie szampan przemawia.

— Oczywiście — odparł wreszcie.

— A więc wygląda na to, że mamy problem.

— Pewnie, że macie. Dopóki on nie zmieni swojego postępowania.

— A jeśli nie zmieni?

— To się go pozbądźcie!

Urquhart z niedowierzaniem uniósł brwi, lecz Landless nie zareagował.

— Życie jest zbyt krótkie, by można było promować nieudaczników. Nie po to przez ostatnie dwadzieścia lat wypruwałem sobie flaki, żeby teraz pozwolić waszemu szefowi wszystko mi rozpierdolić!

Wielkie palce Landlessa mocno zacisnęły się na ramieniu Urquharta. Od tego olbrzyma biła ogromna siła i Chief Whip zaczynał powoli rozumieć, jak to się dzieje, że Landless zawsze umie dopiąć swego. Jeśli nie mógł nad kimś zapanować za pomocą swego bogactwa oraz potęgi handlowej, w ruch szły jego siła fizyczna i ostry język. Urquhart nie znosił, kiedy mówiono do niego Frankie, a tylko Landless spośród wszystkich jego znajomych upierał się tak właśnie go nazywać. Lecz tego wieczora Chief Whip nie zamierzał się temu sprzeciwić. Była to chyba jedyna dyskusja w jego życiu, którą z premedytacją miał przegrać.

— Dam ci jeden przykład, Frankie, dobrze? Tylko nikomu ani słowa. — Jeszcze mocniej przyparł Urquharta do ściany. — Najprawdopodobniej

w najbliższym czasie United Newspapers zostanie wystawione na sprzedaż. Jeśli tak się stanie, chcę je kupić. Prawdę mówiąc, przeprowadziłem już wstępne rozmowy. Ale prawnicy twierdzą, że ponieważ jestem już właścicielem jednej grupy gazet, rząd nie pozwoli mi na zakup drugiej. Pytam ich więc, jak to możliwe, że nie mogę zostać najpotężniejszym magnatem prasowym w kraju, skoro wszystkie moje gazety są prorządowe? — Po jego twarzy płynęły teraz strumienie potu, lecz on to ignorował. — I wiesz, co oni na to, Frankie? Powiedzieli, że cały problem polega właśnie na tym, że moje gazety popierają ten rząd! Jeśli przejmę United Newspapers, opozycja narobi straszного smrodu wokół całej sprawy. A wtedy nie będzie chętnych, by stanąć w mojej obronie. Sprawa na długie miesiące trafi do Urzędu Antymonopolowego, a ja zamiast zarabiać, będę musiał opłacać bandę cholernie drogich prawników. Nie wspominam już nawet o tym, że jakaś zgraja urzędników Jej Wysokości będzie mnie pouczać, jak mam prowadzić własny interes. W końcu i tak niezależnie od wszelkich argumentów rząd stchórzy i odmówi udzielenia zgody na przeprowadzenie transakcji. — Dmuchiłam dymem z cygara prosto w nos Urquharta. — Innymi słowy, panie Chief Whip, tylko dlatego, że rządowi, którego jesteś pan członkiem, brakuje odwagi na sprzeciwienie się opinii publicznej, moja firma przejdzie przez wyżymaczkę. Pieprząc swoją robotę, spieprzycie także i moją!

Ostatnie słowa wypowiedział ze szczególnym naciskiem i jednocześnie jeszcze mocniej przycisnął Urquharta do ściany. Nie był to może zbyt subtelny sposób wywierania wpływu na ministra, lecz Landless zawsze uważał środki bezpośrednie za bardziej skuteczne od półsłówek i aluzji. Tak jak każdego człowieka, polityka też można zastraszyć. Teraz milczał, pociągając z kieliszka i czekając na odpowiedź.

Urquhart wreszcie się odezwał. Mówił powoli, chcąc podkreślić, że podobnie jak Landless nie żartuje:

— Byłoby rzeczywiście bardzo źle, gdyby do tego doszło, Ben. Zawsze byłeś wielkim przyjacielem naszej partii i uważam, że masz prawo oczekiwać czegoś za tę przyjaźń. Nie mogę jednak mówić w imieniu premiera. Szczególnie w ostatnich tygodniach. Ale obiecuję ci, że zrobię wszystko co w mojej mocy, aby ci pomóc.

— Miło mi to słyszeć, Frankie. I doceniam to. Bardzo. Gdyby Henry był tak zdecydowany... Ale to nie leży w jego naturze. Prawdę mówiąc, gdybym miał na to jakikolwiek wpływ, Henry zostałby odwołany...

— A nie masz?

— Ja?

— Oczywiście. Przecież masz gazety, a to bardzo wiele. Jednym nagłówkiem można zniszczyć każdego polityka. Sam przed chwilą mówiłeś, że wyniki sondaży wskazują, że niepopularność premiera podkopuje pozycję całej partii.

Landless w milczeniu skinął głową.

— A jednak twierdzisz, że nie pozwolisz ich opublikować, ponieważ boisz się, że w ten sposób doprowadzisz do awantury w partii. A czy myślisz, że uda się rozwiązać całą tę cholerną sprawę bez jednej wielkiej bitwy?

Tyran, jakim jeszcze parę chwil wcześniej wydawał się Landless, ustąpił nagle miejsca wyrafinowanemu politykowi, rozumiejącemu każdy niuans proponowanego rozwiązania.

— Chyba wiem, o co ci chodzi, Frankie. I odnoszę wrażenie, że obaj dobrze się rozumiemy.

— Ja też tak myślę.

Podali sobie ręce. Urquhart o mało nie zawył, kiedy jego dłoń zniknęła w potężnym łapsku Landlessa. Zdawał sobie sprawę z dwuznaczności tego uścisku — był wyrazem przyjaźni, lecz jednocześnie zapowiedzią starcia na pył w wypadku zdrady.

— W takim razie mam jeszcze trochę roboty, Frankie. Pierwsze wydanie „Telegraphu” zamykają za niecałe pół godziny. Muszę jak najszybciej zatelefonować.

Chwytał marynarkę i zarzucił ją sobie na ramię.

— Dzięki za zaproszenie. Było bardzo miło.

Urquhart patrzył w milczeniu, jak przemysłowiec w mokrej, przyklejonej do pleców koszuli przepycha się przez zatłoczony pokój, a następnie znika za drzwiami.

Po przeciwnej stronie pokoju, za tłumem dygnitarzy, reporterów oraz stałych bywalców, Roger O'Neill gniotł się na sofie z młodą i atrakcyjną



dziewczyną. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest podekscytowany i zdenerwowany. Wiercił się bezustannie i wyrzucał z siebie nieprzerwane potoki słów. Dziewczyna z Rotgerham, najwyraźniej pod wrażeniem mnóstwa znanych nazwisk, które wymienił, i jego pełnego pasji sposobu mówienia, przyglądała mu się szeroko otwartymi z podziwu oczyma.

— Premier jest pod stałą ochroną naszych służb specjalnych. Zawsze istnieje jakieś zagrożenie. Irlandczycy. Arabowie. Czarne bojówki. Mnie też próbują załatwić. I to od dobrych paru miesięcy. Dlatego podczas kampanii wyborczej chłopcy z oddziałów specjalnych upierali się, żebym miał całodobową obstawę. Widocznie dorwali gdzieś listę celów. Skoro premier był zbyt dobrze strzeżony, terroryści prawdopodobnie upatrzyli sobie kogoś z jego otoczenia, na przykład mnie. Dlatego dostałem ochronę. Oczywiście o tym się raczej nie mówi, ale wszyscy dziennikarze wiedzą...

Zaciągnął się wściekle papierosem i zaczął kaszleć. Wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa, głośno wydmuchał w nią nos i zanim schował ją do kieszeni, przyjrzał się jej zawartości.

— Ale dlaczego ty, Roger? — zdobyła się na pytanie jego rozmówczyni.

— Łatwy cel, małe ryzyko, a duży rozgłos — wyterkotał. — Skoro nie mogą załatwić premiera, spróbują dostać kogoś takiego jak ja.

Rozejrzał się nerwowo, dziko mrugając powiekami.

— Potrafisz dotrzymać tajemnicy? — spytał i znów się zaciągnął. — Przypuszczalnie od ponad tygodnia jestem śledzony. A dziś rano zorientowałem się, że ktoś majstrował przy moim samochodzie, więc ochroniarze sprawdzili go cal po calu. Okazało się, że wszystkie śruby jednego przedniego koła były obluzowane. Grzałbym sobie prostą szosą do domu, koło by odpadło i nie byłoby czego zbierać! Uważają, że to celowa robota. Podobno chłopaki z wydziału zabójstw są już w drodze, żeby mnie przesłuchać.

— Roger, to straszne — wyszeptała dziewczyna.

— Tylko nikomu nic nie mów. Nasze służby specjalne nie chciałyby sfliszyć tych typków.

— Nigdy nie przypuszczałam, że jesteś tak blisko premiera — odrzekła z rosnącym podziwem. — Co za ciężkie czasy dla... — Przerwała. — Czy

wszystko w porządku, Roger? Wyglądasz na bardzo zdenerwowanego. Twoje... twoje oczy... — wyjąkała.

Wzrok O'Neilla błędził dziko po całym pokoju, a w jego głowie rodziły się coraz bardziej ponure halucynacje. Jego uwaga skierowała się teraz w zupełnie inną stronę. Nie był już z dziewczyną, lecz w zupełnie innym świecie i rozmawiał z kim innym. Przez krótką chwilę patrzył na nią niewidzącym spojrzeniem, a jego przekrwione oczy zaczęły nagle łzawić. Wyraźnie nie był w stanie na niczym skupić wzroku. Kapało mu z nosa jak starcowi w zimie. Starał się wytrzeć go wierzchem dłoni, jednak minął się z celem.

Jego twarz zrobiła się szarzielona, ciało zaczęło drżeć. Zerwał się z miejsca. Wydawał się przerażony, jakby nagle runęły na niego wszystkie ściany. Dziewczyna rozejrzała się bezradnie. Zbyt zakłopotana, by poprosić kogoś o pomoc, zupełnie nie wiedziała, co robić. Zbliżyła się do niego, chcąc chwycić go za ramię i podtrzymać, on jednak w tym momencie odwrócił się do niej i stracił równowagę. Złapał ją za bluzkę i szarpnął. Trzasnął guzik.

— Zejdź mi z drogi, zejdź mi z drogi — charczał.

Popchnął ją gwałtownie do tyłu. Zanim upadła z powrotem na sofę, zaważyła jeszcze o zastawiony kieliszkami stół. Brzęk tłuczonego szkła przerwał wszystkie rozmowy i przyciągnął uwagę gości. Puściły następne trzy guziki i spomiędzy poszarpanego jedwabiu wyłoniła się lewa pierś dziewczyny.

Zapadła absolutna cisza. O'Neill, potykając się i roztrącając stojących mu na drodze, ruszył w stronę wyjścia. Po chwili zniknął w mroku. Dziewczyna, zasłaniając rękoma swoją nagość, z trudem powstrzymywała łzy ponizienia. Jakaś starsza kobieta pomogła jej doprowadzić strój do względnego porządku, po czym zaprowadziła ją do łazienki. Kiedy zniknęły za drzwiami, rozległy się szepty. Szmer domysłów przerodził się szybko w falujące od ściany do ściany morze plotek. Tak było już do samego końca przyjęcia.

Penny Guy nie przyłączyła się do tych dyskusji. Chwilę przed całym zajęciem śmiała się radośnie, rozbawiona dowcipem oraz ujmującym urokiem Patricka Wooltona. Urquhart przedstawił ich sobie mniej więcej godzinę wcześniej i zadbał o to, by szampan płynął równie szybko jak ich słowa. Lecz przez to zajęcie cały czar prysnął. Gdy Penny spostrzegła zataczające się

O'Neillę oraz podartą bluzkę łkającej dziewczyny, w jej oczach pojawiła się rozpacz. Stoczyła przegraną walkę o powstrzymanie łez, których strumienie popłynęły po jej policzkach, a choć Woolton natychmiast podał jej chusteczkę i starał się jakoś ją pocieszyć, smutek na jej twarzy był zbyt prawdziwy.

— On naprawdę nie jest zły. Potrafi być bardzo delikatny — tłumaczyła Penny. — Ale czasami coś w niego wstępuje i wtedy zaczyna szaleć. — Łzy popłynęły jeszcze szybciej.

— Tak mi przykro, Penny. Słuchaj, myślę, że lepiej będzie, jeśli stąd wyjdziemy. Mieszkam obok. Może wpadniesz do mnie i spróbujemy osuszyć te łzy?

Z wdzięcznością skinęła głową i ruszyli przez tłum. Nikt nie zwrócił uwagi na ich wyjście. Oprócz Urquharta. Jego zimne oczy śledziły, jak powoli przepychają się do drzwi, przez które wyszli wcześniej Landless i O'Neill.

„To będzie niezapomniane przyjęcie” — pomyślał.

## CZWARTEK, 14 PAŹDZIERNIKA

— Chyba, do cholery, nie zamierzasz wpaść w nawyk wyciągania mnie każdego ranka z łóżka? — Ton, jakim Preston wypowiedział te słowa, nie pozostawiał wątpliwości, że nie są one pytaniem, lecz poleceniem.

Po kilku godzinach spędzonych w towarzystwie Charlesa Collingridge'a na wlewaniu w siebie strumieni alkoholu, Mattie czuła się jeszcze gorzej niż poprzedniego ranka i miała poważne problemy z pojęciem, co się, do licha, dzieje.

— Do diabła, Grev! Kładę się spać, mając ochotę cię zabić, bo nie chcesz mi puścić artykułu, a budzę się i na pierwszej stronie znajduję jego skurwioną wersję! Teraz już wiem, że chcę cię zabić. Ale najpierw chciałabym się dowiedzieć, dlaczego nagle zmieniłeś zdanie, kto ci pozwolił grzebać w moim tekście i kim, do diabła, jest ten tajemniczy „nasz komentator polityczny”, skoro nie jestem nim ja?

— Spokojnie, Mattie. Weź głęboki oddech i pozwól, że ci to wyjaśnię. Gdybyś wczoraj siedziała u siebie, zamiast włóczyć się po nocach i mizdrzyć do jakiegoś parlamentarzysty lub innej dobrej partii, może zdołałbym się do ciebie dodzwonić i w porę cię o wszystkim poinformować.

Powoli i jak przez mgłę Mattie zaczynała przypominać sobie wydarzenia ostatniej nocy, a chwila, którą dała swjej pamięci na dojście do siebie, pozwoliła Prestonowi kontynuować monolog. Zaczął teraz uważniej dobrać słowa:

— Jak już chyba Krajewski ci mówił wczoraj wieczorem, część redakcji uznała, że twój artykuł o wynikach sondaży nie ma wystarczającego

pokrycia w faktach, żeby można go było dziś wydrukować.

Mattie mruknęła, żeby przestał odwracać kota ogonem, lecz Preston wiedział, że jeśli teraz da sobie przerwać, za nic w świecie nie zdoła dokończyć wytłumaczenia.

— Prawdę mówiąc, twój tekst spodobał mi się, ale byłem zdania, że aby pozwolić ci zetrzeć premiera na pył w dniu wyborów uzupełniających, muszę mieć więcej dowodów, że to wszystko prawda. Anonimowa kartka papieru to za mało.

— To nie ja starałam premiera na pył, a wy! — próbowała wtrącić Mattie. Preston nie dał się jednak wybić z rytmu.

— Dlatego wykorzystałem swe znajomości w partii i późnym wieczorem, tuż przed zamknięciem numeru, otrzymaliśmy potwierdzenie. Ze względu na nowe informacje artykuł trzeba było przeredagować, starałem się więc do ciebie dodzwonić, ale ponieważ mi się to nie udało, przeredagowałem go osobiście. Nie chciałem, żeby zrobił to ktokolwiek inny. Tak więc „nasz komentator polityczny” to w tym wypadku ja.

— Ale to, co się ukazało, nie ma nic wspólnego z moim artykułem! Ja napisałam o fatalnych wynikach sondaży i kłopotach, przed jakimi staje w tej sytuacji partia. A ty najnormalniej w świecie ukrzyżowałeś Collingridge'a. I jeszcze wsadziłeś jakieś cytaty „z wiarygodnych źródeł”, krytykę i potępienie... Chciałabym wiedzieć, kto oprócz mnie pracuje dla ciebie na tym zjeździe?

— Moje źródła to moja sprawa — warknął Preston.

— A gównu, Grev! Skoro mam być twoją korespondentką i skoro kazałeś mi obsługiwać tę imprezę, mam prawo wiedzieć. Kompletnie przeinaczyłeś sens mojego artykułu, a do tego jakoś dziwnie zmieniłeś swój stosunek do premiera. Jeszcze kilka dni temu był dla ciebie zbawcą narodu, a teraz... jak to było?... „katastrofą grozącą rządowi praktycznie w każdej chwili”? Jak ja się dziś pokażę na konferencji? Przecież nikt nie zechce ze mną gadać! Musisz mi powiedzieć, co jest grane!

Ponieważ jego starannie przygotowane tłumaczenie legło w gruzach, Preston zrobił się nagle nadęty i agresywny.

— Jako redaktor naczelny nie mam obowiązku tłumaczyć się przed jakąś smarkatą dziennikarką! Będziesz robić, co ci każe i jak ci każe! Jasne?

Mattie miała go właśnie zapytać, kim, do diabła, jest ten, który ma prawo jemu rozkazywać, kiedy połączenie zostało przerwane. Z wściekłością zmieszaną z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Nie mogła i nie miała zamiaru więcej tego znosić. Nowe szeroko otwarte drzwi? Preston zatrzęsął je z hukiem, boleśnie przycinając jej palce. A do tego wysłał kogoś, żeby niezależnie od niej węszył na zjeździe.

Jakieś pół godziny później, kiedy pijąc kolejną kawę starała się uspokoić i uporządkować myśli, dostrzegła olbrzymie cielsko Benjamina Landlessa, który stąpał ciężko w kierunku stolika przy oknie, aby uciąć sobie pogawędkę z lordem Petersonem, skarbnikiem partii. Widząc, jak właściciel gazety sadowi swe cielsko na stanowczo dla niego za małym krześle, Mattie zmarszczyła nos. Nie spodobało jej się to, co poczuła.

Sekretarz polityczny premiera skrzywił się. Po raz trzeci sekretarz prasowy przesunął w jego stronę poranną gazetę, a on po raz trzeci ją odsunął. Już wiedział, jak musiał się czuć święty Piotr.

— Na litość boską, Grahamie! — Sekretarz prasowy mówił teraz podniesionym głosem, mocno poirytowany tą pingpongową rozgrywką. — Nie zdołamy przecież ukryć każdego cholernego egzemplarza „Telegraphu” dostępnego w Bournemouth. On musi się dowiedzieć, a ty musisz mu to pokazać. Natychmiast!

— Dlaczego to musiało zdarzyć się właśnie dziś? — jęknął.

— Akurat w dniu wyborów uzupełniających. Całą noc przygotowywaliśmy jego jutrzejsze przemówienie. Teraz będzie chciał je pisać od nowa. Ciekawe, kiedy zdążymy to zrobić? A niech to wszyscy diabli!

— Z nietypową dla siebie wściekłością zatrzęsnał nesenser. — Tyle tygodni bezustannych kłopotów, a teraz jeszcze to. Czy to się wreszcie kiedyś uspokoi?

Jego rozmówca nie odpowiedział. Wolał podziwiać widoczną z okna zatokę. Znowu padało.

Sekretarz polityczny chwycił gazetę, zgniółł ją i rzucił do stojącego w drugim kącie pokoju kosza na śmieci, który pod wpływem uderzenia

wywrócił się. Jego zawartość — podarte kartki ze szkicem przemówienia, niedopałki, popiół oraz kilka pustych puszek po piwie i soku pomidorowym — znalazła się na dywanie.

— Powiem mu po śniadaniu.

To nie była najszcześniejsza decyzja.

Henry Collingridge był w dobrym nastroju i z apetytem jadł śniadanie. Nad ranem skończył pisać swe przemówienie i położył się spać, podczas gdy jego pracownicy zostali jeszcze, żeby je przepisać i posprzątać w biurze. Po raz pierwszy od rozpoczęcia zjazdu premier spał spokojnie, choć krótko.

Przemówienie zamykające kongres zawsze wisiało nad jego głową jak czarna chmura. Nienawidził zjazdów, całego tego gadania, tygodnia poza domem, folgowania sobie przy stole i przemówień. A przede wszystkim nienawidził ostatniego przemówienia. Poprzedzały je długie, szarpiące nerwy dyskusje, jakie ze swymi współpracownikami toczył w szarym od dymu pokoju hotelowym. Gdy się zdawało, że osiągną postępy, od pracy odrywało ich jakieś idiotyczne przyjęcie lub inna równie bzdurna okazja. Tracili potem wiele czasu, by przypomnieć sobie, w którym miejscu przerwali, a wówczas byli już bardzo zmęczeni i zniechęceni. Jeśli przemówienie było dobre, przyjmowano to za rzecz całkiem naturalną. Jeśli natomiast było złe, także bito brawo, lecz w kularach szeptało, że zmęczenie funkcją zaczyna być coraz bardziej widoczne. Pieprzone prawo.

Lecz teraz było już niemal po wszystkim, gdyż pozostało tylko wygłosić przemówienie. Premier jadł z żoną śniadanie, uważnie obserwowany przez członków swej obstawy. Głośno zastanawiał się, czy lepiej będzie wyjechać na wakacje zimowe do Sri Lanki, czy też do Antiguy.

— W tym roku proponowałbym Sri Lankę — powiedział. — Jeśli zechcesz, będziesz mogła wylegiwać się na plaży. Ja wolałbym raczej położyć trochę po górach. Podobno jest tam sporo zabytkowych klasztorów buddyjskich i przepiękne rezerwy przyrody. Opowiadał mi o nich w zeszłym roku prezydent Sri Lanki. Brzmiało to naprawdę... Kochanie, ty mnie w ogóle nie słuchasz!

— Przepraszam, Henry. Po... po prostu zaciekawiała mnie gazeta, którą czyta ten mężczyzna...

— Jest ciekawsza niż ja? A cóż takiego piszą?

Poczuł się trochę nieswojo, gdyż nagle dotarło do niego, że jeszcze nie dostał codziennej porcji wycinków prasowych. Ale przecież gdyby zdarzyło się coś naprawdę ważnego, ktoś na pewno by mu już o tym powiedział.

W gruncie rzeczy nigdy nie był całkiem pewien, czy dobrze zrobił dając się przekonać, że nie powinien marnować czasu na lekturę całych gazet, tylko czytać streszczenia oraz wycinki przygotowane przez specjalny zespół. Czy to rzeczywiście było takie dobre wyjście? W końcu urzędnicy mają własne wąskie poglądy na to, co jest ważne dla premiera. A te ich streszczenia były wyjątkowo skąpe. Szczególnie o wiadomościach niepomysłnych premier często dowiadywał się z opóźnieniem albo przypadkiem, od osób postronnych. Zaczął się zastanawiać, czy nie dojdzie w końcu do tego, że partia znajdzie się w ogromnych tarapatkach, jego zaś będą trzymać w błogiej nieświadomości. Wiedział, że współpracownicy starają się go chronić, lecz obawiał się, że kokon, który wokół niego przędą, prędzej czy później go uduśi.

Pamiętał dzień, kiedy po raz pierwszy jako premier przyjechał na Downing Street. Gdy masywne czarne drzwi zamknęły się za nim, zobaczył coś niezwykłego.

Po jednej stronie wielkiego holu zebrało się około dwustu urzędników, teraz już jego urzędników, witających go gromkimi brawami — takimi samymi, jakimi witali Thatcher, Callaghana, Wilsona czy też Heatha i jakimi przywitają jego następcę. Po drugiej stronie holu, naprzeciw tłumowi urzędników, stali jego współpracownicy polityczni, którzy poparli go w walce o sukcesę po Margaret Thatcher, zaproszeni, aby wspólnie z nim uczcić tę historyczną chwilę. Było ich raptem siedmiu — czterech doradców oraz trzech sekretarzy, w tym nowym otoczeniu prawie niewidocznych.

Jak opowiadał później żonie, miał wrażenie, że jest to jakiś dziwny, pozabawiony jasnych reguł mecz, do którego rozpoczęcia szykują się dwie nierówne drużyny i w którym on ma być równocześnie piłką i nagrodą. Poczuł prawdziwą ulgę, gdy trzech urzędników otoczyli go i zaprowadzili do sali obrad



Rady Ministrów na pierwsze krótkie posiedzenie, przerywając w ten sposób całe to zebranie. Jeden z zaproszonych urzędników partyjnych stwierdził, że wyglądało to jak Wniebowstąpienie: znikający w innym świecie premier w asyście aniołów stróżów — mających odtąd chronić go i wspomagać najlepszych z najlepszych urzędników państwowych oraz ministrów. W tym orszaku nie było już miejsca dla innych. Współpracownicy z okresu kampanii wyborczej w ciągu następnych paru miesięcy widzieli premiera zaledwie dwa czy trzy razy, gdyż z jego otoczenia wycisnęła ich niezwykle skuteczna machina urzędnicza.

Collingridge skupił swą uwagę na gazecie czytanej dwa stoliki dalej. Z tej odległości nie potrafił rozróżnić liter, sięgnął więc po okulary, założył je na czubek nosa i wytrzymał wzrok, starając się jednocześnie nie zwrócić na siebie uwagi mężczyzny. Z wielką trudnością zachował wyuczoną obojętność, kiedy przeczytał nagłówek. „Fatalne wyniki sondaży zagrażają rządowi” — krzyczały wybite tłustym drukiem zdania. — „Przyszłość premiera pod znakiem zapytania.” „Groźba klęski w wyborach uzupełniających.”

I to wszystko w podobno najbardziej lojalnej wobec rządu gazecie.

Collingridge rzucił swą serwetkę na stół i zerwał się z miejsca. Jego żona wciąż jeszcze mówiła o zaletach zimowych wakacji w Antigua, kiedy on był już za drzwiami.

Z całą pewnością nie poprawił mu się nastrój, kiedy zmuszony był wyciągać fatalny numer „Telegraphu” z kosza na śmieci, spomiędzy papierów, niedopalków i pustych puszek.

— Przy stole, podczas cholernego śniadania, Grahamie! Jakiemuś facetowi przez ramię! Czy chociaż czasami mógłbym nie być najgorzej poinformowaną osobą w kraju?

— Przepraszam, premierze. Przykro mi. Mieliśmy to panu pokazać zaraz po śniadaniu.

— To nie jest żadne tłumaczenie... A w ogóle co to za chłam?

Czytając, stwierdził, że gdzieś w połowie artykułu twarde fakty — o ile wyniki sondaży można w ogóle nazwać twardymi faktami — zostały zastąpione przez zwykłe spekulacje oraz wątpliwe hipotezy.

„Gwałtowny spadek poparcia, wynikający z rezultatów ostatniego cotygodniowego tajnego sondażu przeprowadzonego przez Partię Konserwatywną, stawia premiera Collingridge'a — na którego jutrzejsze wystąpienie z niecierpliwością oczekują wszyscy uczestnicy zjazdu w Bournemouth — w niezwykle trudnej sytuacji. Wątpliwości co do stylu oraz skuteczności polityki prowadzonej przez premiera narastają gwałtownie od czasu zakończenia kampanii wyborczej, w której według części polityków premier «zawiódł wszystkich i we wszystkim».

Wątpliwości te nasilą się zapewne w związku z wynikami najnowszego sondażu, wykazującymi, że Henry Collingridge jest najbardziej niepopularnym premierem od czasu, gdy prawie czterdzieści lat temu przeprowadzono pierwsze badania opinii publicznej.

Jeden z ministrów, poproszony wczoraj o komentarz, stwierdził: «Coraz bardziej zauważalny staje się brak osoby będącej w stanie zapanować nad gabinetem oraz Izbą Gmin. W partii wzmagają się niepokoje, a jej nie najlepszej pozycji coraz bardziej zagraża słabość premiera».

Niektórzy członkowie partii wygłaszają znacznie ostrzejsze opinie. Jeden z wyższych urzędników partyjnych powiedział nam, że partia znalazła się na rozstajach i «trzeba jak najszybciej postanowić, czy decydujemy się na nowy początek, czy skazujemy się na powolną utratę popularności i klęskę w najbliższych wyborach. Od czasu ostatnich doznaliśmy zbyt wielu niepowodzeń i w żadnym wypadku nie możemy sobie pozwolić na następne».

Inny nasz rozmówca wyraził się jeszcze mniej powściągliwie i stwierdził, że Collingridge «jest katastrofą grożącą rządowi praktycznie w każdej chwili».

Jak dowiedzieliśmy się z wiarygodnych źródeł, na dalsze losy premiera wielki wpływ będzie miał wynik dzisiejszych wyborów uzupełniających w Dorset East, okręgu uważanym za tradycyjnie bezpieczny dla partii.”

Collingridge zatrząsł się ze wściekłości. Jego twarz poczerwieniała, a pięści zacisnęły się na gazecie, jednak lata doświadczenia w okopach polityki pomogły mu zapanować nad nerwami.

— Chcę wiedzieć, kto za tym stoi, Grahamie. Kto jest autorem tego paszkwila i kto z naszych ludzi z nim rozmawiał. A przede wszystkim, kto jest sprawcą przecieku. Jutro chcę dostać na śniadanie tosta z jego jajami!

— Czy mam zatelefonować do lorda Williamsa? — nieśmiało zasugerował sekretarz polityczny.

— Do lorda Williamsa?! Przecież sondaże to jego działka! Nie chcę przeprosin, żądam jasnych odpowiedzi! Sprowadź Urquharta. Znajdź go i bez względu na to, co robi, natychmiast sprowadź!

Sekretarz zebrał całą odwagę i zaryzykował jeszcze jedną sugestię:

— Czy nie byłoby dobrze, gdybyśmy przejrzeni pańskie jutrzejsze przemówienie, zanim Chief Whip się zjawi? Może w związku z tym, co opublikowano, chciałby pan dokonać jakichś zmian? Nie zostało nam już zbyt wiele czasu...

— Przemówienie zostaje takie, jakie jest! Nie będę majstrować przy dobrym, dopracowanym tekście tylko po to, żeby uciec przed atakami dziennikarskiej swołoczy. Właśnie tego by chcieli, bo w ten sposób zupełnie byśmy się odsłonili. Możemy przejrzeć je później, ale teraz naszym głównym celem jest powstrzymać te cholerne przecieki. Dlatego znajdź Urquharta i natychmiast go tu sprowadź!

Ze zrezygnowaną miną sekretarz polityczny podniósł słuchawkę.

Urquhart siedział w swym bungalowie i czekał na telefon. Jako pierwszy zadzwonił minister spraw zagranicznych. Słyszając jego chichot, Urquhart poczuł ulgę.

— Ty cholerny głupku! Następnym razem doleję ci więcej wody do whisky. Zamiast swojego zabrałeś wczoraj jeden z moich kufrów. Wygląda na to, że ja mam teraz twoje kanapki, a ty kopie najnowszych tajnych planów inwazji na Papuę Nową Gwineę czy jakiejś innej cholernej głupoty, do której próbują mnie w tym tygodniu przekonać. Proponuję, żebyśmy się wymienili, zanim mnie posadzą za zgubienie ściśle tajnych dokumentów państwowych. Będę za dwadzieścia sekund.

Po niecałej minucie Chief Whip z uśmiechem przeproszał Wooltona, który chwilę później, cały czas w świetnym humorze, wyszedł, dziękując za — jak się wyraził — niezwykle inspirujący wieczór.

Natychmiast po jego wyjściu nastrój Urquharta uległ gwałtownej zmianie. Chief Whip zmarszczył brwi, zamknął drzwi na zamek i naciskając klamkę sprawdził, czy nie da się ich otworzyć. Następnie starannie zaciągnął zasłony i dopiero wtedy, bardzo podekscytowany, postawił czerwony kuferek na biurku.

Najpierw obejrzał go dokładnie ze wszystkich stron, a kiedy stwierdził, że nikt nie próbował go otworzyć, z wielkiego pęku kluczy wybrał odpowiedni i wsunął w zamek. Ukazał się duży kawał polistyrenu, całkowicie wypełniający wnętrze kufra. Urquhart wyjął go, odłożył na bok, po czym położył kufer na boku i ostrożnie podważył paznokciem róg przyklejonego do jednej ze ścianek plastra, który następnie delikatnie odkleił, odkrywając niewielki otwór w drewnie, sięgający aż do pokrywającej kufer skóry.

Z zewnątrz w ogóle nie było widać, że pod skórą znajduje się cokolwiek oprócz drewna. Urquhart pogratulował sobie zręczności w operowaniu dłutem, którą nabył jeszcze w szkole, przed prawie pięćdziesięcioma laty. W otworze mierzącym nie więcej niż cztery centymetry kwadratowe znajdował się maleńki nadajnik radiowy oraz miniaturowe baterie z najlepszymi życzeniami od japońskiego producenta.

Właściciel sklepu z urządzeniami tego typu, który Chief Whip odwiedził dwa tygodnie wcześniej, nie zdradził ani cienia zainteresowania opowieściami o nieuczciwym pracowniku i konieczności śledzenia jego każdego kroku, za to z ogromnym entuzjazmem opisał zakres możliwości polecanego przez siebie sprzętu. Zaproponował Urquhartowi najprostszy, a zarazem jeden z najczulszych nadajników dostępnych na rynku, posiadający mikrofon o zasięgu pięćdziesięciu metrów i gwarantujący przekazanie dźwięku do specjalnie przystosowanego odbiornika z automatycznie włączającym się magnetofonem, który również serdecznie polecił.

— Wystarczy, że ustawi pan mikrofon mniej więcej w kierunku źródła dźwięku, a gwarantuję, że nagranie będzie brzmiało niczym symfonia Mahlera.

Urquhart podszedł do szafy i wyjął z niej drugi czerwony kufer. Jak wszystkie inne, tak i ten zaopatrzony był w precyzyjny, bardzo trudny do sforsowania wolframowy zamek, do którego klucze miał tylko Urquhart.

W środku, także w polistyrenie, znajdował się przenośny radiomagnetofon, dostrojony do długości fal nadajnika. Urquhart stwierdził z satysfakcją, że taśma jest przewinięta prawie do końca. Nadajnik stał oczywiście w pokoju Wooltona, a mikrofon skierowany był w stronę łóżka.

— Mam nadzieję, że powodem nie jest jego chrapanie — głośno zażartował Chief Whip. Magnetofon włączył się jeszcze raz, działał przez dziesięć sekund, po czym zatrzymał się.

Urquhart wcisnął przewijanie i przyglądał się wirującym szpulkom, kiedy zadzwonił telefon, wzywając go do premiera na kolejne — jak je nazywał — „zajęcia z hydrauliki”.

— Nie ma sprawy. Zaczekasz — szepnął, starannie zamknął oba kufry, a następnie schował je do szafy. Na nowo przeżywał podniecenie, które czuł, gdy pewnego letniego wieczora po raz pierwszy z pomocą łowczego zastawił w posiadłości swego ojca pułapkę na króliki. Nie zdołał wówczas zapanować nad niecierpliwością i przed świtem wrócił samotnie do lasu, gdzie zobaczył bezradnego zwierzątko uwięzionego w pułapce.

— Mam cię! — wykrzyknął triumfalnie.

## SOBOTA, 16 PAŹDZIERNIKA

Nie tylko „Telegraph” nazwał zamykające zjazd przemówienie premiera Collingridge'a totalną klęską. Tak samo określiły je wszystkie inne gazety, część posłów partii, a także lider opozycji. Szczególnie on. Jego komentarz został przez cały świat odebrany jako ujadanie psa, który wyczuł pierwsze oznaki słabnięcia swej ofiary.

Wiadomość o porażce w wyborach uzupełniających w Dorset East w pierwszej chwili wprawiła członków i zwolenników partii w osłupienie. Już około południa wszakże każdy z nich zaczął wyładowywać swą złość i zniechęcenie oczywiście na jednej tylko osobie: Henrym Collingridge'u.

Wszyscy korespondenci prasowi i telewizyjni zostali nagle obłożeni przez tłumy bezimiennych wysokich urzędników partyjnych, bez wyjątku twierdzących, że osobiście przestrzegali premiera przed wyznaczeniem terminu wyborów uzupełniających akurat na ten dzień, i w związku z tym czują się zwolnieni z jakiegokolwiek odpowiedzialności za klęskę. Z kolei biuro premiera odwzajemniło się — naturalnie bez podawania żadnych nazwisk — oświadczeniem, że prawdziwym powodem porażki są niedociągnięcia organizacyjne w centrali partii, a za to oczywiście odpowiada lord Williams. Nikt jednak nie chciał słuchać tych wyjaśnień. Zarówno prasę, jak i lidera opozycji opanował instynkt stadny, na co wyraźnie wskazywał niezbyt powściągliwy artykuł w jednej z gazet uchodzących dotąd za prorządowe.

„Swym kończącym zjazd w Bournemouth przemówieniem premier nie zdołał stłumić narastających w partii wątpliwości co do celowości jego dalszego pozostawania przy władzy. Jeden z ministrów określił jego wystąpienie jako «nietrafne i niestosowne». Po nie wyjaśnionym przecieku informacji na temat fatalnego wyniku tajnego sondażu opinii publicznej oraz poniżającej klęsce w wyborach uzupełniających w okręgu Dorset East delegaci oczekiwali wyjaśnienia przyczyn gwałtownego spadku poparcia dla polityki partii.

Zamiast tego otrzymali, jak to określił jeden z delegatów, «nieświeżą przeróbkę przemówienia znanego już z kampanii wyborczej».

Rozczarowanie działalnością premiera nie jest już wyrażane tak oględnie jak dotąd, szczególnie przez posłów z okręgów mniej bezpiecznych aniżeli Dorset East. Peter Bearstead, poseł z Leicester North, powiedział wczoraj wieczorem: «W ostatnich wyborach dostaliśmy od elektoratu ostrzegawczego przymykać oczy i w związku z tym powinniśmy wystąpić z nowymi, świeżymi inicjatywami, a przede wszystkim sprawić, by nasza polityka wydała się wyborcom bardziej klarowna. A nie robimy nic, z godnym pozazdroszczenia samopoczuciem powtarzając stare, wytarte slogany. Uważam, że nadszedł czas, aby premier Collingridge rozważył możliwość złożenia rezygnacji.»

W biurze na południowym brzegu Tamizy, niedaleko miejsca, gdzie sześćset lat wcześniej Wat Tyler zebrał zbuntowanych chłopów, aby rozpocząć swą próbę obalenia panującego porządku, producent „Weekend Watch”, popularnego programu publicystycznego, zapoznał się z najnowszymi wiadomościami i pośpiesznie zwołał zebranie całej redakcji. Dwadzieścia minut później planowany na następną noc program o nieuczciwości właścicieli domów mieszkalnych został przesunięty o tydzień, a jego miejsce zajęła dyskusja zatytułowana „Collingridge — czas odejść?” Do udziału zaproszono Bearsteada, kilku ankierów oraz sporą liczbę ekspertów.

Ze swego domu na zielonych przedmieściach Epsom starszy makler giełdowy Barclays de Zoete Wedd zatelefonował do dwóch współpracowników. Postanowili, że w poniedziałek zjawią się w biurze najwcześniej, jak tylko dadzą radę.

— Przez ten polityczny nonsens na rynku zapanuje straszny bałagan. Nie możemy dać się zaskoczyć i zostać z akcjami w ręce, kiedy wszyscy inni będą się ich pozbywać.

Do przebywającego w swej wspaniałej posiadłości w New Forest Urquharta telefonowało wielu zmartwionych ministrów i posłów. Żaden nie miał ochoty wyjść z ukrycia, za to wszyscy wyrażali swe głębokie zaniepokojenie, podobnie jak niektórzy terenowi działacze partii.

— W normalnych warunkach skontaktowałbym się z prezydium — powiedział jeden z nich, jowialny przewodniczący z Yorkshire — ale ponieważ stosunki między Downing Street a lordem Williamsem są bardzo napięte, wolę nie ryzykować znalezienia się w samym centrum konfliktu.

Z pokonanym kandydatem z Dorset East skontaktowali się dziennikarze „Mail on Sunday”. Po lunchu spędzonym na topieniu rozpaczy kandydat bez wahania napadł na premiera:

— Kosztował mnie fotel w parlamencie. Niech więc nie będzie zbyt pewien swojego.

W Chequers, oficjalnej wiejskiej rezydencji premiera, położonej pośród falujących łąk Buckinghamshire, zniechęcony Collingridge siedział bezczynnie, kompletnie ignorując wszystkie nadsyłane dokumenty. Lawina ruszyła, a on nie miał pojęcia, jak ją zatrzymać.

Wiadomość, która nadeszła późnym popołudniem, zaskoczyła wszystkich, nawet Urquharta. Oczekiwał, że przynajmniej kilka tygodni zajmie „Observerowi” sprawdzenie prawdziwości przesłanych im przez niego dokumentów i fotostatów, a następnie skonsultowanie sprawy z prawnikami. Widocznie jednak obawiali się, że w tej narastającej wrzawie wyprzedzi ich konkurencja.

— Opublikujemy, może być źle. Nie opublikujemy, będzie jeszcze gorzej. A więc ryzykujemy! — postanowił naczelny.

Urquhart właśnie regulował gaźnik swego rovera speed pilot z 1933 roku, którym jeździł po drogach New Forest, kiedy rozległo się wołanie Mirandy:

— Francis! Telefon z Chequers!

Pośpiesznie wytarł ręce w tłustą szmatę i podniósł słuchawkę wiszącego na ścianie garażu aparatu.



- Urquhart, słucham?
- Proszę czekać, łączę z premierem.

Ledwo rozpoznał głos, który po chwili zabrzmiał w słuchawce: było w nim tyle wigoru, jakby dochodził z zaświatów.

— Francis? Mam złe wieści. Do mojego biura prasowego zatelefonowali przed chwilą z „Observera”, aby poinformować nas o artykule, który jutro opublikują. Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale najprawdopodobniej mój brat kupował akcje firm tuż przed tym, jak w wyniku decyzji rządu ich ceny szły w górę, i w ten sposób zarabiał spore sumy. Podobno mają całą dokumentację — wyciągi z banków, rachunki wystawiane przez maklerów... wszystko. Kupił akcje Renoxu za prawie pięćdziesiąt tysięcy na kilka dni przed ogłoszeniem dopuszczenia do sprzedaży ich nowego leku. Dzień później sprzedał je ze sporym zyskiem. Podobno posługiwał się fałszywym adresem w Paddington. Chcą to puścić na pierwszej stronie. — Premier przerwał, najwyraźniej bardzo wyczerpany, i dopiero po dłuższej chwili odezwał się ponownie: — Francis, wszyscy będą mnie posądzać, że brałem w tym udział. Na Boga, co mam robić?

Urquhart rozsiadł się wygodnie w fotelu kierowcy, w którym często podejmował błyskawiczne ryzykowne decyzje, i dopiero wtedy zastanowił się nad odpowiedzią.

— Co powiedziałeś tym z „Observera”?

— Nic. Odniosłem wrażenie, że nie oczekują komentarza. Chcieli się skontaktować z Charliem.

— Gdzie on jest?

— Mam nadzieję, że zapadł się pod ziemię. Udało mi się go odnaleźć. Był... pijany. Kazałem mu odłączyć telefon, zamknąć drzwi i nie ruszać się z domu.

Urquhart mocno ścisnął kierownicę i zamyślony patrzył przed siebie. Czuł jakąś dziwną obojętność. Po raz pierwszy dotarło do niego, że uruchomił potężną maszynę, nad którą nie jest w stanie zapanować. Przez długie tygodnie manipulował, analizował i starał się przewidzieć każdą możliwość, lecz teraz już wiedział, że pomimo misternych planów sprawy wymknęły mu się z rąk. Wyobraził sobie, że pędzi po wiejskiej drodze swym roverem, gotowym posłusznie wykonać każde jego polecenie, przyspiesza na zakręcie i

wie, że bez reszty zatracił się w tej prędkości. Drży na myśl o wspaniałej pracy silnika; czuje zapach niebezpieczeństwa i jeszcze mocniej przyciska pedał gazu, zupełnie nie wiedząc, co czeka go za następnym zakrętem. Jest jednak za późno, by się zastanawiać. Teraz liczy się już tylko instynkt, a nie intelekt.

— Gdzie on jest?

— W domu. W Londynie.

— Tak, wiem. Musisz koniecznie wysłać kogoś, żeby się nim zaopiekował. Słuchaj... Wiem, że to dla ciebie trudne, jesteś w końcu jego bratem, ale... pod Dover znajduje się klinika odwykowa, do której czasami wysyłamy naszych posłów. Zapewniają całkowitą dyskrecję, a doktor Christian, dyrektor kliniki, jest wspaniałym specjalistą. Zadzwoń do niego i poproszę, żeby natychmiast pojechał do Charlesa. Ale musi się tam zjawić ktoś z twojej rodziny na wypadek, gdyby Charles sprawiał trudności. Może twoja żona? Wyślę też kogoś ze swego biura, żeby wszystkiego dopilnował. Musimy działać szybko, bo za pięć godzin, kiedy ten numer „Observera” znajdzie się na ulicach, dom twojego brata będzie dosłownie obleżony przez dziennikarzy. Musimy ich wyprzedzić, bo nie wiadomo, co w swym obecnym stanie Charles może im naopowiadać.

— A co potem? Przecież nie możemy go ukrywać przez całe życie. Prędzej czy później będzie się musiał ujawnić.

— Jest winny?

— Nie wiem. Po prostu nie wiem — odparł premier tonem pełnym wątpliwości i rezygnacji. — Po tym telefonie kazałem wszystko sprawdzić. Rzeczywiście, parę miesięcy temu dopuściliśmy do sprzedaży nowy lek wyprodukowany przez Renox. I rzeczywiście dzień później ceny akcji gwałtownie podskoczyły. Każdy, kto je posiadał, zarobił sporą sumę. Ale Charliemu wciąż brakuje pieniędzy, więc nie przypuszczam, by było go stać na kupowanie akcji. A poza tym skąd by wiedział o Renoxie?

— Później będziemy się nad tym zastanawiać — rzekł Urquhart. — Na razie musimy go gdzieś wywieźć. W miejsce, w którym prasa go nie odnajdzie. Charles potrzebuje pomocy, nieważne, czy jej chce, czy też nie, a tobie potrzebna jest chwila oddechu. Musisz się dobrze zastanowić nad tym, jak zareagować. — Zrobił krótką pauzę, aby następne zdanie zabrzmiało jak

najbardziej przekonywająco. — W żadnym wypadku nie możesz sobie pozwolić na popełnienie błędu.

Collingridge tylko westchnął. W normalnych warunkach jego duma, a przede wszystkim powaga sprawowanego przezeń urzędu kazałyby mu surowo skarcić Urquharta za tak autorytatywny ton. Teraz jednak nie miał na to ani siły, ani ochoty. Spojrzał przez witrażowe okno na otaczające Chequers pola i stary las bukowy, licząc, że widok wspaniałych, złocistych drzew doda mu sił. Zawsze były dla niego inspiracją i przypominały mu, że każdy problem kiedyś się kończy. Tego wieczora wszakże nic nie było w stanie mu pomóc. Czuł się pusty i zniechęcony.

— Co jeszcze mam zrobić?

— Nic. Poczekajmy na ten artykuł. Kiedy już poznamy dokładnie jego treść, zastanowimy się, co dalej. Na razie poinstruuuj swoje biuro prasowe, żeby nie udzielało żadnych informacji.

— Dziękuję ci, Francis. Jak już ten numer się ukaże, zatelefonuję jeszcze raz. Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś skontaktował się z doktorem Christianem. Zaraz zadzwonię do Sary. Jeśli wyjedzie natychmiast, powinna być u Charlesa za niecałe dwie godziny. — Collingridge starał się przybrać jak najbardziej formalny ton, chcąc stłumić zdenerwowanie, mimo to Urquhart dobrze słyszał drżenie jego głosu.

— Nie martw się, Henry. Wszystko będzie w porządku. Zaufaj mi.

Charles Collingridge nie oponował, kiedy szwagierka otworzyła zapasowym kluczem drzwi jego mieszkania. Nie oponował, ponieważ chrapał głośno w fotelu, pośród porzrzuconych po całym pokoju rzeczy. Zaczął odrobinę protestować, kiedy Sara, po mniej więcej pięciu minutach spędzonych na bezskutecznych próbach obudzenia go, postanowiła odwołać się do argumentu w postaci zawiniętego w ręcznik lodu. Sprzeciw Charlesa przybrał na sile, gdy zaczęło wreszcie do niego docierać, że Sara próbuje go przekonać, iż powinien na jakiś czas wyjechać. Kiedy jednak zaczęła go wypytywać o udział, rozmowa znów przestała się kleić. Sara nie była w stanie wycisnąć z niego ani jednego sensownego zdania. Niepowodzeniem skończyły się też próby skłonienia go, by wstał.

Trzeba było dopiero przybycia doktora Christiana w towarzystwie jednego z pracowników Urquharta, co nastąpiło po mniej więcej godzinie, aby sprawa posunęła się o krok dalej. Pośpiesznie spakowano najbardziej niezbędne rzeczy i już parę minut później cała trójka z wysiłkiem wpychała wciąż opierającego się Charlesa do stojącego za domem samochodu doktora. Szczęśliwie ruchy Collingridge'a były zbyt nieskoordynowane, by jego sprzeciw był w stanie powstrzymać zdeterminowaną trójkę.

Na nieszczęście jednak cała akcja zajęła znacznie więcej czasu, niż można było przypuszczać. Kiedy granada doktora Christiana z Sarą i Charlesem na tylnym siedzeniu wyjechała z domu i znalazła się na High Street, na ulicy czekała już ekipa ITN, która przybyła jako pierwsza.

Taśmę wideo, przedstawiającą Charlesa Collingridge'a uciekającego w towarzystwie żony premiera i najwyraźniej starającego ukryć się za siedzeniem, odtworzono na antenie w ostatnich wieczornych wiadomościach wraz ze szczegółowymi informacjami o oskarżeniach wysuniętych przez „Observera”. Zanim redaktor prowadzący zdecydował się na puszczenie tej taśmy, zatelefonował do szefa prosząc o zgodę na emisję. Nie miał zamiaru nadstawiać tyłka i wolał zrzucić ewentualną odpowiedzialność na kogo innego.

— Jeśli to pójdzie na antenę, premier nikogo już nie przekona, że nie siedzi w tej aferze po samą szyję — wyjaśnił.

## NIEDZIELA, 17 PAŹDZIERNIKA

Zdjęcia rejterującego Charlesa Collingridge'a w dalszym ciągu królowały na antenie, kiedy w południe rozpoczęto nadawanie programu „Weekend Watch”. Przygotowania kończono w straszliwym pośpiechu, w związku z czym sporo w nim było przerw i niestarannych cięć. Kiedy się wreszcie rozpoczął, w reżyserce czuć było napięcie i ostry odór potu. Nie zdążono przeprowadzić prób, większa część programu szła na żywo, a gdy prowadzący witał widzów, scenariusz ostatniej części nie był jeszcze skończony.

Znalezienie ministra, który zgodziłby się wystąpić w programie, okazało się absolutnie niemożliwe, na dodatek nie zjawił się jeden z zaproszonych ekspertów. Instytut Gallupa zlecił przeprowadzenie specjalnego sondażu opinii publicznej. Jego wyniki odczytał na antenie sam Gordon Heald, szef firmy, która przeprowadziła badania. Od wczesnych godzin rannych katował swój komputer i teraz, lekko zarumieniony, siedział w świetle reflektorów. Wyniki sondażu były jednoznaczne: poparcie dla premiera coraz bardziej spada.

— Tak, to znaczny spadek — przyznał Heald. — I rzeczywiście jeszcze żaden premier nie zdołał wygrać wyborów po tak ogromnej utracie popularności.

Te przygnębiające prognozy zostały w pełni potwierdzone przez dwóch doświadczonych prezenterów, a także przez ekonomistów, przewidujących spore zamieszanie na rynku finansowym. Później prowadzący zwrócił się do Petera Bearsteada. W normalnych warunkach rozmowa z gadatliwym posłem z Leicester North została by wcześniej nagrana, tym razem jednak zabrakło czasu i maleńki Peter Bearstead wystąpił na żywo. Reżyser

przewidział dla niego tylko dwie minuty pięćdziesiąt sekund, lecz prowadzący już po krótkiej chwili ze zdumieniem spostrzegł, że polityk wziął sprawę w swoje ręce i praktycznie zapanował nad programem.

— Tak, panie Bearstead, ale w jak głębokich kłopotach znajduje się według pana partia?

— To zależy.

— Od czego?

— Od tego, jak długo jeszcze będziemy musieli firmować działania obecnego premiera.

— A więc podtrzymuje pan swoje twierdzenie z początku tygodnia, że premier Collingridge powinien rozważyć możliwość podania się do dymisji?

— Nie całkiem. Twierdzę, że premier bezwarunkowo powinien zrezygnować. Jego obecna niepopularność niszczy partię, w dodatku teraz jest zamieszany w coś, co wygląda na skandal. Tak dłużej być nie może!

— Lecz czy wydaje się panu prawdopodobne, że premier Collingridge zrezygnuje? W końcu do najbliższych wyborów zostało prawie pięć lat. To sporo czasu na odrobienie nawet tak dotkliwych strat.

— Z obecnym premierem nie przetrwamy tych pięciu lat! — Wyraźnie wzburzony poseł kiwał się na krześle do przodu i tyłu. — Nadszedł czas na zmiany. Do głosu muszą wreszcie dojść ludzie młodszy, zdecydowani i pełni inwencji. Jeśli premier nie zrezygnuje, zgłoszę swą kandydaturę na lidera partii.

— Zamierza pan stanąć do wyborów przeciwko premierowi? — wybelkotał zaskoczony prezydent. Był zdenerwowany, ponieważ musiał jednocześnie słuchać rozprawiającego ze swadą posła i coraz gorętszych instrukcji, płynących do jego ucha z niewielkiej słuchawki. — Ale chyba nie ma pan szans na zwycięstwo?

— Oczywiście, że nie. Ale w ten sposób zmuszę bardziej wpływowych członków partii do przejęcia inicjatywy i rozwiązania tego problemu. Wszyscy wciąż o tym mówią, lecz brakuje im odwagi, by przejść do rzeczy. Skoro nie chcą działać, ja to zrobię. Nie wolno pozwolić, aby ten wrzód ropiał dalej, bez dostępu świeżego powietrza, za zamkniętymi drzwiami.

— Chciałbym, żeby to było w stu procentach jasne, panie Bearstead. Domaga się pan rezygnacji premiera, a jeśli do tego nie dojdzie, zgłosi pan swoją kandydaturę na lidera partii...?

— Wybory i tak muszą się odbyć jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Postaram się, by tym razem były to prawdziwe wybory, a nie tylko formalność. W ten sposób zmuszę pozostałych do działania.

Na twarzy prowadzącego pojawił się wyraz dezorientacji. Przez słuchawkę, którą miał w uchu, słyszał straszliwą kłótnię. Reżyser domagał się, by prowadzić dalej wywiad, i do diabła z wszystkimi rozkładami i harmonogramami, natomiast naczelny wrzeszczał, że trzeba go natychmiast przerwać, zanim ten cholerny głupiec rozmyśli się i wszystko zepsuje.

— A teraz krótka przerwa na reklamy. Spotkamy się ponownie za parę minut — ogłosił prowadzący.

## PONIEDZIAŁEK, 18 PAŹDZIERNIKA — PIĄTEK, 22 PAŹDZIERNIKA

Niedługo po północy czasu londyńskiego, tuż po otwarciu giełdy tokijskiej, notowania funta szterlinga zaczęły gwałtownie spadać. O dziewiątej, po doniesieniach porannej prasy o wyzwaniu rzuconym premierowi Collingridge'owi, londyński indeks giełdowy spadł o sześćdziesiąt trzy punkty, o pierwszej zaś, gdy stało się jasne, że Bearstead nie zamierza cofnąć swych słów, nastąpił spadek o dalsze trzydzieści trzy punkty. Rynek pieniężny nie lubi niespodzianek.

Premier także nie był w swej szczytowej formie. Od soboty prawie nie spał ani się nie odzywał. Jego żona stwierdziła, że lepiej będzie, jeśli zamiast wracać na Downing Street, zostaną na razie w Chequers. Postanowiła też wezwać lekarza. Doktor Wynne-Jones, oddany i lojalny lekarz państwa Collingridge, stwierdził przemęczenie, przepisał środki uspokajające i zalecił wypoczynek. Pastylki przyniosły natychmiastową ulgę w postaci pierwszego dłuższego snu od dnia rozpoczęcia zjazdu, czyli od tygodnia. Jednak premier nawet wtedy nie był w stanie się odprężyć i nerwowo zaciskał dłonie na pościeli.

W poniedziałek późnym popołudniem, gdy ocknął się z tego narkotycznego snu, skontaktował się z obłożonym biurem prasowym Downing Street i polecił ogłosić, że oczywiście stanie do walki o przywództwo w partii i jest głęboko przekonany o swoim zwycięstwie. Kazał też poinformować dziennikarzy, że jest zbyt zajęty, aby udzielać wywiadów, lecz w tygodniu niewątpliwie będzie im miał coś do powiedzenia. Stworzył w ten sposób wrażenie, że w pełni panuje nad rządem. Niestety, wszelkie próby wyciągnięcia jakichkolwiek sensownych informacji od Charlesa w dalszym ciągu nie przynosiły



rezultatów i w związku z tym biuro prasowe nie było w stanie odeprzeć oskarżeń o sprzeczne z prawem spekulacje akcjami.

Podczas gdy Downing Street starało się wszystkich przekonać, że sprawy idą zwykłym torem, lord Williams zarządził jak najszybsze przeprowadzenie kolejnego sondażu opinii publicznej. Chciał wiedzieć, co naprawdę sądzą Brytyjczycy.

Reszta partyjnej maszyny pracowała znacznie wolniej. Przez czterdzieści osiem godzin wszyscy milczeli, kompletnie oszołomieni ostatnimi wydarzeniami, które potoczyły się w zupełnie nieoczekiwanym kierunku. Zarówno w prasie, jak i w centrali partii odkurzono przepisy dotyczące wyborów lidera po wyborach powszechnych. Stwierdzono — dla wielu osób była to zupełna nowość — że sam proces kontroluje przewodniczący frakcji parlamentarnej partii, sir Humphrey Newlands, natomiast wyznaczenie terminu wyborów zależy od Henry'ego Collingridge'a. Jak się okazało, przepis ten znakomicie przystawał do obecnej sytuacji, gdyż całkowicie pozbawiony wyczucia sir Humphrey wyjechał dwa dni wcześniej, aby spędzić dziesięciodniowe wakacje na prywatnej wyspie na Karaibach, gdzie nikt nie potrafił się z nim skontaktować. Niektórzy przypuszczali, że celowo chowa głowę w piasek i czeka, aż wpływowe czynniki partii skłonią Bearsteada do wycofania się. Uważano, że nie minie nawet miesiąc, a rebeliant zajmie wysokie stanowisko w jakiejś dobrze prosperującej firmie, fotel wiceministra albo zostanie uciszony w inny, równie lukratywny sposób.

Jednak już w środę dziennikarze „The Sun” zlokalizowali sir Humphreya na srebrzystej plaży w pobliżu St. Lucia, gdzie w towarzystwie przyjaciół — między innymi trzech skąpo ubranych, młodszych o przynajmniej pół wieku kobiet — zażywał kąpieli słonecznych. Ogłoszono, że najbliższym samolotem wraca do Londynu, aby omówić z premierem sprawę wyborów.

Collingridge wrócił już na Downing Street, jego nastrój wszakże nie uległ poprawie. Każdy dzień przynosił coraz bardziej pikantne artykuły na temat zamieszania w partii. W miarę napływu nowych informacji o nieporozumieniach pomiędzy Downing Street a centralą partii, u Collingridge'a pogłębiało się wrażenie, że dryfuje odcięty teraz od informacji, których chytry i przebiegły prezes tak chętnie mu dawniej udzielał.

W zasadzie nie miał powodów, by nie ufać Williamsowi, lecz wciąż nowe doniesienia o narastającym konflikcie pomiędzy premierem a prezesem partii sprawiły, że nieodpowiedzialna i raczej mało pomysłowa plotka stała się z biegiem czasu rzeczywistością. Nieufność zależy od umysłu, a nie od faktów; prasa, opisując rzekomy konflikt, nie przebiegała w środkach. W tych okolicznościach wiekowy i dumny prezes uważał, że nie może nie prozany ofiarować pomocy, premier zaś interpretował jego milczenie jako oczywisty dowód nielojalności.

„Tak czy owak — rozmyślał Collingridge — centrala pozostawiła mnie własnemu losowi, prawdopodobnie celowo. A kto ponosi za to odpowiedzialność?”

Sara udała się z wizytą do Charlesa. Wróciła bardzo późno zupełnie zalamana. Dopiero w łóżku zdecydowała się porozmawiać z mężem na ten temat:

— Charlie wygląda okropnie, Henry. Nie zdawałam sobie sprawy, w jak straszną chorobę się wpędza, choć wydaje się, że to wszystko stało się nagle, w ciągu ostatnich paru dni. Lekarze w dalszym ciągu próbują go odtruć, usunąć cały alkohol z jego organizmu. Twierdzą, że od śmierci dzielił go tylko krok.

Ukryła twarz w ramionach męża.

— To moja wina. Mogłem go powstrzymać. Gdybym tylko nie był tak bardzo zajęty... Czy mówił coś o tych akcjach?

— Charlie w dalszym ciągu jest półprzytomny. Powtarzał tylko: „Pięćdziesiąt tysięcy? Jakie pięćdziesiąt tysięcy?” I przysięgał, że nigdy nawet nie przechodził obok tego banku. — Siedziała teraz wyprostowana. — Czy on jest winny?

— Nie wiem, kochanie. Ale przecież nie mam wyboru. On musi być niewinny. Jeśli rzeczywiście kupił te akcje, to czy znajdzie się ktoś, kto uwierzy, że nie miałem z tym nic wspólnego? Jeśli Charles jest winny, ja także będę.

Kiedy wyraźnie przerażona Sara chwyciła go za ramię, uśmiechnął się uspokajająco.

— Nie martw się. Jestem przekonany, że nigdy do tego nie dojdzie — rzekł, lecz jego zmęczony głos nie zabrzmiał zbyt przekonująco.

— Czy nie możesz powiedzieć, że Charles był chory, nie wiedział, co robi, i że... bez twojej wiedzy wszedł w posiadanie tych informacji?... —

Umilkła, zdając sobie nagle sprawę, jak bardzo grubymi nićmi szyte byłoby takie wytłumaczenie.

Henry wziął ją w ramiona, mocno przytulił i pocałował w czoło. Czuł, jak jej lzy płyną mu po klatce piersiowej. Sam był bliski płaczu i wcale się tego nie wstydził.

— Nie, Saro, nie będę tym, który go wykończy. Bóg wie, że od dawna sam próbuję to zrobić, lecz przecież jestem bratem. I albo uda nam się oczyścić z zarzutów, albo nie. Ale jesteśmy rodziną i będziemy razem.

Mattie planowała wziąć sobie cały tydzień wolnego, aby wyleczyć kaca po udziale w tym dziennikarskim cyrku, który nie chcąc opuścić dorocznych zjazdów największych partii, przez większą część ostatnich sześciu tygodni podróżował po najgorszych barach i najtańszych hotelach w kraju. Była to wyczerpująca podróż i dlatego Mattie postanowiła spędzić cały weekend na delektowaniu się egzotycznymi chilijskimi winami oraz wylegiwaniu się w wannie. Jednak nadzieje na relaks okazały się złudne. Oburzenie na sposób, w jaki Preston nie tylko przerobił jej artykuł, lecz także zranił jej dziennikarską dumę, sprawiło, że wino wydawało się cierpkie, a woda w wannie za zimna.

Postanowiła więc spróbować wypalić swą złość poprzez wyteżoną pracę fizyczną, ale po trzech dniach traktowania stolarki swego wiktoriańskiego mieszkania papierem ściernym i farbą Mattie nie była w stanie dłużej tłumić gniewu. We wtorek o dziewiątej trzydzieści rano usadowiła się w skórzanym fotelu stojącym naprzeciw biurka naczelnego i twardo postanowiła, że nie wstanie, dopóki nie rozmówi się z Prestonem. Tym razem nie będzie mógł odłożyć słuchawki.

Siedziała tak już prawie od godziny, kiedy w drzwiach stanęła sekretarka naczelnego i ze współczuciem powiedziała:

— Przykro mi, Mattie. Szef przed chwilą dzwonił i powiedział, że jest umówiony na mieście. Przyjdzie najwcześniej po lunchu.

Mattie wydało się, że cały świat sprzysiągł się przeciwko niej. Miała ochotę wrzeszczeć, stłuc coś albo przynajmniej napchać naczelnemu gumy do zucia w szczotkę do włosów. Cokolwiek, byleby tylko się zemścić. Dlatego nie był to odpowiedni moment, aby się na nią natknąć. A to właśnie

przytrafiło się Krajewskiemu, który akurat wtedy postanowił sprawdzić, czy szef jest u siebie.

— Nie wiedziałem, że tu jesteś!

— Bo nie jestem — odparła przez zaciśnięte zęby. — W każdym razie już niedługo.

Wstała i ruszyła w kierunku drzwi. Krajewski był wyraźnie zakłopotany. Rozejrzał się, chcąc sprawdzić, czy są sami.

— Słuchaj... Kilkanaście razy podnosiłem słuchawkę, żeby do ciebie zadzwonić, ale...

— Ale co? — warknęła.

— Bałem się, że nie znajdę słów, które powstrzymają cię od odgryzienia mi głowy — odparł łagodnie.

— I miałeś rację! — Powiedziała to tonem odrobinę miększym, gdyż nagle zdała sobie sprawę, że przez te ostatnie wydarzenia kompletnie straciła poczucie humoru. Johnnie nic jej nie zrobił, nie było więc sensu wyżywać się na nim tylko dlatego, że akurat się nawinął. Zaslugiwał na lepsze traktowanie.

Od czasu gdy dwa lata wcześniej zmarła jego żona, Krajewski stracił sporo pewności siebie, zarówno w stosunkach z kobietami, jak i w pracy. W tym niezwykle wymagającym zawodzie zdołał przetrwać dzięki swym niewątpliwym kwalifikacjom, natomiast jeśli chodzi o kobiety, to dopiero w ostatnich miesiącach zaczął stopniowo kruszyć grubą skorupę, powstałą po śmierci żony. Wiele kobiet, na których jego sylwetka, ciemne włosy i smutne oczy robiły piorunujące wrażenie, próbowało mu w tym pomóc, on jednak potrzebował czegoś więcej niż współczucie i powoli zaczynał zdawać sobie sprawę, że pragnie Mattie. Początkowo nie pozwalał sobie na okazywanie jakiegokolwiek zainteresowania jej osobą, ograniczając się do należącego jej jako koleżance po fachu szacunku, który dopiero po pewnym czasie, spędzonym głównie nad plastikowymi kubkami z kawą z automatu, zmienił się w coś mniej oficjalnego. Do jego pustego życia powrócił wreszcie towarzyszący polowaniom dreszczyk emocji, dzięki któremu Krajewski z łatwością znosił cięży język Mattie. A teraz wyczuł, że jej nastrój nieco złagodniał.

— Mattie, porozmawiajmy o tym. Ale nie tu. Nie w tym gabinecie, tylko przy kolacji.

Nerwowym ruchem wskazał na biurko szefa.

— Czyżbyś szukał pretekstu, żeby mnie poderwać? — W kącikach jej ust pojawił się ledwo widoczny ślad uśmiechu.

— A muszę?

Chwyliła torebkę i zarzuciła ją sobie na ramię.

— Punkt ósma — powiedziała, na próżno starając się przybrać srogi wyraz twarzy, po czym minęła go i wyszła.

— Przyjdę — krzyknął za nią. — Chyba jestem masochistą, ale przyjdę.

I rzeczywiście przyszedł. Punktualnie o ósmej. Poszli do znajdującej się niedaleko mieszkania Mattie bangladeskiej restauracji „Ganges”, słynącej z wielkiego glinianego pieca oraz właściciela, który w przerwach pomiędzy kolejnymi próbami obalenia rządu swego kraju serwował wspaniałe potrawy.

Czekali na kurczaka *tikka*, kiedy Mattie powiedziała:

— Johnnie, przez całe popołudnie dosłownie spalał mnie gniew. Wydaje mi się, że popełniłam straszny błąd. Z całego serca chcę być dziennikarką, dobrą dziennikarką. I wierzę, że stać mnie na to. Ale nie mogę pracować dla kogoś takiego jak Preston. Nie po to wszystko rzuciłam i przyjechałam do Londynu. Nie mam zamiaru dłużej tego znosić. Odchodzę.

Przyjrzał się jej uważnie i zanim odpowiedział, przez dłuższą chwilę się zastanawiał. Mattie próbowała uśmiechnąć się wyzywająco, lecz Krajewski wiedział, że za tym uśmiechem kryje się dręczące ją uczucie gorzkiej porażki.

— Nie śpiesz się. I nie odchodź do czasu, dopóki nie znajdziesz pracy gdzie indziej. Nie powinnaś robić sobie przerwy akurat teraz, kiedy cały świat polityczny wydaje się rozpadać na drobne kawałki.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Szczerze mówiąc, Johnnie, zadziwiasz mnie. Od zastępcy naczelnego spodziewałam się usłyszeć coś zupełnie innego.

— Nie mówię jako zastępcy naczelnego, Mattie. Znaczysz dla mnie więcej. — Nastąpiła krótka chwila kłopotliwego, bardzo angielskiego milczenia. Krajewski z wyjątkową starannością przełamał na pół kromkę chleba *nan*.

— Rozumiem, co czujesz. Ze mną jest dokładnie tak samo.

— Też chcesz odejść? — zdziwiła się Mattie.

W jego ciemnych oczach oprócz smutku dało się dostrzec gniew.

— Pracuję w tej gazecie od ośmiu lat. I zawsze byłem z tego dumny, przynajmniej do czasu gdy Preston został naczelnym. Lecz to, co zrobiono tobie i co robi się praktycznie wszystkim innym, jest całkowicie sprzeczne z moim wyobrażeniem o dziennikarstwie. — Wbił zęby w gorący kawałek aromatycznego chleba, zastanawiając się, co powiedzieć dalej. — Jako zastępca naczelnego ponoszę część odpowiedzialności za materiały, które ukazują się w gazecie. Może nie powinienem ci opowiadać, co wydarzyło się tamtego wieczora, ale zrobię to, ponieważ mam dość obwiniania mnie o wszystko, co się obecnie dzieje. Chcesz znać historię swego artykułu?

Mattie nie musiała odpowiadać. Kurczak *tikka* i *curry* pojawiły się na stole, jednak ani John Krajewski, ani ona nie zdradzali żadnego zainteresowania jedzeniem.

— Tamtego wieczoru, tuż przed zamknięciem numeru, byłem akurat w redakcji. Zapowiadała się wyjątkowo spokojna noc. Nagle sekretarka Greva krzyknęła, że jest do niego telefon, szef poszedł więc do swojego biura, żeby go odebrać. Po mniej więcej dziesięciu minutach wrócił bardzo podniecony. „Przerwać pracę! — wrzasnął. — Zaczynamy od nowa. „Jezu! — pomyślałem. — Musieli zastrzelić prezydenta Stanów.” Ale Preston kazał dać twój artykuł na jeden z ekranów. Powiedział, że puścimy go na pierwszej stronie, tylko najpierw musimy nad nim trochę popracować. Wzmocnić go.

— Przecież twierdził, że zatrzymał mi go właśnie dlatego, że był zbyt ostry!

— Zgadza się. Ale poczekaj, to dopiero początek. A więc stał za plecami jednego z reporterów i dyktował mu zmiany. Wykreślał całe zdania, inne przerabiał, tu zmieniał jedno słowo, tam dwa... W każdym razie zrobił z twojego artykułu bezpośredni atak na premiera. A pamiętasz te informacje z wiarygodnych źródeł? Sam je sobie wymyślił. Na miejscu. Każdą z nich. To była fikcja, od początku do końca. Powinnaś się cieszyć, że wyciął także twój podpis.

— Ale dlaczego? Po jaką cholerę było wymyślać całą tę historię i tak nagle zmieniać linię polityczną gazety? Co go skłoniło do tak nagłej zmiany

poglądów? — Przerwała na chwilę i niecierpliwie przygryzła wargę. — Poczekaj...Z kim on właściwie rozmawiał przez telefon? I kto był jego „informatorem z Bournemouth”?... Jasne! Teraz już wszystko rozumiem. — Westchnęła głęboko. — Pan Benny Bunter Landless. — Krajewski potwierdził skinieniem głowy — A więc dlatego Grev majstrował przy moim artykule! Powinnam była się tego domyślić. Pan treser strzelił z biczem!

— I dlatego właśnie też chcę odejść, Mattie. To już nie jest gazeta. To, co obecnie robimy, kojarzy mi się raczej z prywatnym wydaniem „Prawdy”.

Lecz ciekawość Mattie zaczynała już górować nad gniewem. Gdzieś tu czał się materiał na dobry artykuł i myśl o nim bardzo ją ekscytowała.

— A więc Landless zwrócił się nagle przeciwko premierowi. Podczas kampanii wszystkie jego gazety miały do Collingridge'a stosunek wiernopoddańczy, a teraz, nie wiadomo dlaczego, szykują lincz. Dlaczego, Johnnie, dlaczego?

— To dobre pytanie, Mattie, ale niestety nie znam na nie odpowiedzi. Nie może chodzić o politykę, bo Landless zawsze miał ją gdzieś. Zresztą trzyma w garści polityków z każdej partii. Przypuszczam, że to raczej osobista niechęć.

— A skoro tak, to w grę muszą wchodzić pieniądze. Tak naprawdę tylko one interesują Landlessa.

— Nie bardzo rozumiem, dlaczego Collingridge miałby być dla niego niewygodny.

— A ja chciałabym wiedzieć, kto jest jego wtyczką w rządzie.

— Co masz na myśli?

— Bez materiału na temat sondaży Grev nie byłby w stanie spłodzić tego paszkwilu. Musiał mieć najpierw mój artykuł. Z kolei ja, gdyby nie doszło do przecieku wyników ankiety, nigdy nie napisałabym tego tekstu. A jednocześnie okazuje się, że pan Landless nabrał nagle ochoty na pogrzebanie Collingridge'a. Trochę za dużo tych zbiegów okoliczności jak na jeden raz, nie uważasz? — Z pasją walnęła pięścią w stół. — To nie może być sam Landless. Musi być ktoś wewnątrz, ktoś, kto doprowadził do przecieku i pociąga Sa sznurki.

— I to właśnie on jest autorem poprzednich przecieków.

— Tych, które Chief Whip próbował wyjaśnić? Bardzo prawdopodobne. Nic nie udało mu się znaleźć i aż do dziś byłam przekonana, że chodzi raczej o niedbalstwo, a nie celowe działanie...

— Ale teraz...?

— Teraz mam tylko dwa pytania, Johnnie. Kto i dlaczego?

Wydzielająca się adrenalina spowodowała, że miejsce wcześniejszego przygnębienia zajęły wstrząsy elektryczne, od których Mattie czuła mrowienie w całym ciele. Była podekscytowana. Czuła niemal zwierzęcą żądzę tropienia ofiary, znalezienia jej i złapania w pułapkę. Po to właśnie przyjechała na południe. To wszystko wreszcie zaczynało mieć sens.

— Johnnie, słodziutki. Ty masz jednak głowę! Coś tu cuchnie i mam zamiar dowiedzieć się, co to takiego. Jak tylko zobaczyłam Landlessa myszkującego po Bournemouth, od razu zaczęłam coś podejrzewać. Masz rację. To rzeczywiście nie jest odpowiednia chwila, by rzucić ręcznik i poddać się. Rozgryzę tę zagadkę, nawet gdybym musiała kogoś zabić. Pomożesz mi?

— Jeśli tego chcesz, to oczywiście.

— Jest jeszcze jedna rzecz, której chcę. — Była podniecona i płonął w niej ogień, o którym myślała, że zgasł już na zawsze. — Skończmy jeść i chodźmy do mnie. Mam w lodówce wspaniałe rocznik sauterne i bardzo dziś potrzebuję towarzystwa. Na całą noc. Czy masz coś przeciwko temu?

— Mattie, ja bardzo długo...

— Ja też, Johnnie. Zbyt długo.

Oświadczenie — a właściwie konferencja prasowa, ponieważ nie było to oświadczenie, które prasa mogłaby po prostu zacytować — zostało wydane w środę. Jego treść była bardzo prosta. Jak to ujął sekretarz prasowy Downing Street: „Premier nigdy nie udostępnił swemu bratu żadnych informacji, mogących pozwolić mu na osiągnięcie korzyści materialnych. Nigdy też nie rozmawiał z nim na temat Renox Chemicals. Charles Collingridge jest ciężko chory i znajduje się pod intensywną opieką lekarską. Według lekarzy stan jego zdrowia nie jest jeszcze na tyle dobry, żeby pacjent mógł udzielać wywiadów lub odpowiadać na pytania. Mogę jednak zapewnić, że katagorycznie



odrzuca oskarżenia o kupno akcji Renox Chemicals, wynajęcie fałszywego adresu w Paddington i jakikolwiek inny związek z całą tą sprawą. To wszystko, co mam państwu w tej chwili do powiedzenia. Dziękuję.”

— Zaraz, zaraz, Freddie — roześmiał się jeden z reporterów. — Tak łatwo nie uda ci się nas splawić. Skoro Collingridge jest niewinny, to w jaki sposób wyjaśnisz artykuł „Observera”?

— Nie potrafię tego zrobić. Może pomylili go z jakimś innym Charlesem Collingridgem? Nie mam pojęcia. Ale znam Henry'ego Collingridge'a przynajmniej tak długo, jak wy mnie, i nie mam żadnych wątpliwości, że nigdy nie posunąłby się do czegoś tak plugawego i idiotycznego. Henry Collingridge jest niewinny. Ręczę wam za to.

Mówił z zapalczywością zawodowca ryzykującego dobre imię dla ratowania honoru swego szefa. Szacunek, jakim cieszył się pośród swych byłych kolegów po fachu, sprawił, że następnego dnia ataki prasy na premiera niemal ustały. I tylko tyle.

„Jesteśmy niewinni!” — krzyczał nagłówek na pierwszej stronie „Daily Mail”. Podobnie można było zobaczyć w prawie wszystkich gazetach. Nie potrafiąc znaleźć żadnych innych obciążających informacji, zarówno media, jak i partia postanowiły odpocząć i skoncentrować się tego dnia na innych katastrofach.

Francis Urquhart został po raz kolejny poproszony o złożenie wizyty na Downing Street numer 10.

— Jesteś jedyną znajomą mi osobą, która jeszcze umie się uśmiechać, Francis, i tylko ty potrafisz podnieść mnie na duchu.

Siedzieli w sali obrad Rady Ministrów i przeglądali prasę. Po raz pierwszy od wielu dni na twarzy Collingridge'a pojawił się uśmiech. Wyglądało na to, że mgła zaczyna się wreszcie przersedzać.

— Co o tym myślisz, Francis?

— Możliwe, że najgorsze mamy już za sobą.

— Nie, niekoniecznie. Ale przynajmniej dali nam chwilę spokoju, a chyba wiesz, że była mi potrzebna bardziej niż cokolwiek innego. Ta presja... — Pokręcił głową. — Zresztą sam rozumiesz... — Collingridge wziął głęboki oddech, aby zebrać świeże siły. — Ale to tylko chwila spokoju, Francis. — Machnął ręką w stronę pustych krzeseł. — Nie wiem, na jak duże poparcie

członków gabinetu mogę obecnie liczyć, ale uważam, że powinienem dać im jakiś punkt podparcia. Nie mogę sobie pozwolić na ucieczkę. Muszę pokazać, że nie mam nic do ukrycia, i na nowo przejąć inicjatywę.

— Co zamierzasz zrobić?

Premier siedział w milczeniu pod olbrzymim obrazem przedstawiającym Roberta Walpole'a, jego najdłużej urzędującego poprzednika, który przetrwał niezliczone skandale oraz kryzysy i którego wspaniały portret był w godzinie próby inspiracją dla wielu następców. Gdy zamyślony Collingridge spojrział przez okno na St. James Park, promienie słońca zdołały przebić się przez ciężkie jesienne chmury i zalały swym światłem gabinet. Rozległy się okrzyki bawiących się w parku dzieci. A więc życie jeszcze się nie kończyło.

Spojrzał na Urquharta.

— Redakcja „Weekend Watch” zaprosiła mnie do udziału w najbliższym programie. Chcą dać mi szansę wyłożenia swoich racji i w ten sposób przywrócić równowagę. Myślę, że mam obowiązek przyjąć to zaproszenie. Muszę wystąpić i dać z siebie wszystko! Obiecali, że tym bzdurem „Observera” poświęcą nie więcej niż dziesięć minut, a resztę czasu zajmie dyskusja na temat polityki rządu i naszych zamierzeń na czwartą kadencję. Co o tym myślisz?

Urquhart postanowił powstrzymać się od wyrażania jakiegokolwiek opinii. Cieszyło go, że Collingridge uczynił go swym powiernikiem i doradcą, przez co właśnie na nim wypróbować swe argumenty. Dzięki temu znał na bieżąco każdy jego ruch.

— W takich sytuacjach człowiek powinien sam podejmować decyzję — odparł.

— Świetnie! — wykrzyknął Collingridge i roześmiał się. — Cieszę się, że tak uważasz, ponieważ już przyjąłem to zaproszenie. Stawka jest wysoka, Francis. I wiem, że nie ma łatwych wyjść. Ale czuję, że szczęście zaczyna się do nas uśmiechać.

Tym razem to Chief Whip wyjrzał przez okno. Gdy to uczynił, słońce ponownie skryło się za chmurami, a o szyby zaczęły uderzać krople deszczu.

Penny połączyła Urquharta z gabinetem O'Neilla. Parę sekund później Roger starannie zamknął drzwi. Penny słyszała jego podniesiony głos, lecz nie udało się jej zrozumieć ani słowa z tego, co mówił.

Kiedy na aparacie zapaliła się czerwona lampka sygnalizująca, że rozmowa została skończona, drzwi do gabinetu wciąż pozostawały zamknięte. Zaciekawiona i zaniepokojona Penny delikatnie zastukała i ostrożnie je otworzyła. O'Neill siedział za biurkiem z twarzą ukrytą w dłoniach. Gdy Penny weszła, uniósł głowę i spojrzał na nią dzikim, przerażonym wzrokiem.

— On... on mi grozi — wychrypiał. — Powiedział, że jeśli tego nie zrobię, wszyscy się dowiedzą. Odmówiłem, ale... muszę wpisać te dane...

— Jakie dane, Roger? O co chodzi? — Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie. — Czy mogę ci jakoś pomóc?

— Nie, Pen, nie możesz. Nie tym razem... Cholerne komputery! — Powoli odzyskiwał panowanie nad sobą. — Penny, musisz zapomnieć o tym, co ci powiedziałem. Teraz pójdziesz do domu i już tu dziś nie wrócisz. Daję ci wolne. Muszę... zaraz wyjść. Proszę, nie czekaj na mnie, natychmiast idź do domu.

— Ale... Roger, ja...

— Żadnych pytań, Penny. Idź już!

Kompletnie zdezorientowana, wyszła i zaczęła zbierać swe rzeczy, a O'Neill zatrzaskał za nią drzwi i zamknął je na zamek.

## NIEDZIELA, 24 PAŹDZIERNIKA

W miarę trwania programu Collingridge coraz bardziej się uspokajał. Przez poprzednie dwa dni przeprowadzał wielogodzinne próby i teraz, ponieważ zadawano mu pytania, których się spodziewał, z wielkim wigorem mówił o nadchodzących latach. Nie zgodził się, aby rozpoczęto od dyskusji na temat oskarżeń wysuniętych przez „Observera”, po pierwsze dlatego, że obawiał się, iż „Weekend Watch” nie dotrzyma obietnicy ograniczenia jej do dziesięciu minut, a po drugie dlatego, że chciał do niej przystąpić już dobrze rozgrzany i w pełni panując nad sytuacją. Miał nadzieję, że po czterdziestu pięciu minutach rozmowy na temat wspaniałych perspektyw kraju pytania dotyczące tej rzekomej afery wydadzą się wszystkim podłe i niestosowne.

Kiedy rozpoczęła się ostatnia przerwa na reklamy, Sara uśmiechnęła się do niego z drugiego końca studia. W odpowiedzi, zupełnie już zrelaksowany, Henry Collingridge uniósł do góry kciuk. W tym momencie reżyser dał znak, że wracają na wizję.

— Panie Collingridge, ostatnie dziesięć minut programu chcielibyśmy poświęcić wysuniętym w zeszłym tygodniu przez „Observera” oskarżeniom o niezgodny z prawem obrót akcjami, którego rzekomo miał się dopuścić pański brat, Charles Collingridge.

Collingridge skinął głową w stronę kamery, chcąc pokazać, że nie ma powodów, aby obawiać się tych pytań.

— W tym tygodniu Downing Street wydało oświadczenie zaprzeczające jakimkolwiek związkom pańskiej rodziny z tą sprawą i sugerujące, że w grę może wchodzić przypadkowa zbieżność nazwisk. Czy tak?

— O ile wiem, taka zbieżność jest rzeczywiście możliwa, nie umiem jednak wyjaśnić tej niezwykłej historii. Mogę tylko z całą stanowczością stwierdzić, że żaden z członków mojej rodziny nie miał z nią nic wspólnego. Macie na to państwo moje słowo honoru. — Dla mocniejszego efektu powiedział to powoli, pochylając się lekko do przodu i nie spuszczać wzroku z prowadzącego.

— Rozumiem, że pański brat zaprzecza, jakoby kiedykolwiek korzystał z adresu sklepiku z gazetami w Paddington?

— Tak. Z całą stanowczością.

— Panie premierze, na początku tego tygodnia jeden z naszych reporterów wysłał do siebie list na adres Charlesa Collingridge'a w Paddington, czyli na ten sam adres, który podała osoba otwierająca konto w tureckim Union Bank. Nasz reporter użył jaskrawoczerwonej koperty, żeby jak najbardziej rzuciła się w oczy. Proponuję, abyśmy wspólnie z widzami obejrzeli film nakręcony wczoraj, kiedy zgłosiliśmy się w Paddington po odbiór przesyłki. Przepraszam za bardzo słabą jakość obrazu, ale, niestety, musieliśmy skorzystać z ukrytej kamery, ponieważ właściciel sklepu nie wydawał się chętny do współpracy.

Prowadzący odwrócił swe krzesło, aby widzieć ciemny i nieostry, jednak w miarę wyraźny obraz wyświetlany na olbrzymim ekranie za jego plecami. Collingridge posłał Sarze pełne niepokoju spojrzenie, po czym powoli obrócił się na krześle. Patrzył, jak reporter podchodzi do lady, wyciąga z portfela karty kredytowe i jakieś dokumenty i tłumaczy sprzedawcy, że jego znajomy, Charles Collingridge, wynajął tam jedną z przegródek i pozwolił mu z niej korzystać. Gruby łysiejący sprzedawca, ten sam, który parę miesięcy wcześniej obsługiwał Penny, wyjaśnił, że aby odebrać list, należy okazać specjalne pokwitowanie.

— Na ten adres przychodzi wiele ważnych listów — powiedział. — Nie mogę wydawać ich byle komu.

— Ale niech pan popatrzy. On tam jest. Ta czerwona koperta. Widzę ją nawet stąd.

Nie bardzo wiedząc, co ma robić, sprzedawca odwrócił się i wyjął z przegródki trzy koperty. Położył je na ladzie, czerwoną pośrodku, a dwie pozostałe po bokach. Kiedy sprawdzał, czy nazwisko adresata jest zgodne z tym na kartach kredytowych, kamera pokazała kolejno zbliżenia dwóch białych

kopert. Ustawienie ostrości zajęło operatorowi parę sekund, jednak w końcu wszystkie umieszczone na nich napisy stały się czytelne. Jedna miała nadruk Union Bank of Turkey, zaś drugą, większą, wysłano z prowadzonego przez partię biura sprzedaży wysyłkowej wydawnictw politycznych, mającego swą siedzibę na Smith Square.

Prowadzący zwrócił się w stronę Collingridge'a. Premier nie mógł już mieć żadnych wątpliwości, że triumfalny wywiad zmienił się w otwartą konfrontację.

— Pierwsza koperta zdaje się potwierdzać, że podczas kupna i sprzedaży akcji Renox Chemicals za pośrednictwem Union Bank of Turkey rzeczywiście korzystano z tego adresu. Ale zdziwiła nas przesłana na ten sam adres korespondencja z centrali partii. Zadzwoniliśmy do biura, którego adres widniał na kopercie, podając się za dostawcę przesyłki do Charlesa Collingridge'a, nie mogąc odczytać zamazanego adresu.

Collingridge chciał właśnie ostro zaprotestować przeciwko tak niemoralnym i podstępным metodom, kiedy studio wypełniły dźwięki odtwarzanej z taśmy rozmowy telefonicznej:

— Czy mógłby pan po prostu podać nam ten adres, abyśmy mogli jak najszybciej dostarczyć panu Collingridge'owi przesyłkę?

— Proszę chwileczkę poczekać — odparł młody mężczyzna. — Zaraz sprawdzę.

Rozległ się stukot klawiatury.

— O, jest. Charles Collingridge, 216 Praed Street, Paddington, Londyn.

— Bardzo panu dziękuję. Do widzenia.

Prowadzący spojrział na Collingridge'a.

— Czy chce pan to skomentować, panie premierze?

Collingridge gwałtownie pokręcił głową, zupełnie nie wiedząc, co robić. Zdziwiło go, że Charles trafił do komputera biura wysyłkowego. Przecież dotąd interesowały go jedynie towarzyskie aspekty polityki. Ale podejrzewał, że to najmniejsza z czekających go niespodzianek.

— Oczywiście potraktowaliśmy poważnie pańską sugestię, że być może było to zwykłe nieporozumienie i pańskiego brata pomyłono z innym Charlesem Collingridge'em.

Collingridge chciał sprostować, że taką możliwość sugerował nie on, lecz jego sekretarz prasowy, i że było to tylko przypuszczenie, jednak wiedząc, że byłaby to strata czasu, zachował milczenie.

— Czy wie pan, panie premierze, ile osób o nazwisku Charles Collingridge znajduje się w londyńskiej ksiąźce telefonicznej?

Collingridge nie odpowiedział. Siedział ponury, a jego twarz miała kolor popiołu.

Prowadzący postanowił przyjść milczącemu gościowi z pomocą:

— W londyńskiej ksiąźce telefonicznej jest tylko jedna osoba o tym nazwisku. Co więcej, nasze źródła w Telekomunikacji Brytyjskiej podały, że w całej Wielkiej Brytanii zarejestrowano tylko jednego abonenta o tym nazwisku. Jest nim pański brat.

Znów zapanowało pełne wyczekiwania milczenie, premier wszakże uparcie milczał.

— Ponieważ wydaje się pewne, że nasz Charles Collingridge wykorzystał wewnętrzne informacje Ministerstwa Zdrowia na temat Renox Chemical Company, sprawdziliśmy, czy osoba o takim nazwisku pracuje albo kiedykolwiek pracowała w Renox Chemicals lub w Ministerstwie Zdrowia. W Renoksie poinformowano nas, że ani sama firma, ani żaden z jej kooperantów nigdy nie zatrudniał nikogo takiego. Ministerstwo Zdrowia było znacznie mniej skore do współpracy. Wprawdzie obiecało przesłać nam odpowiedź, lecz tego nie uczyniło. Zwróciliśmy się więc do ich związku zawodowego, którego bardziej rozmowny przedstawiciel potwierdził, że w żadnym z pięciuset ośmiu rozsianych po całym kraju urzędów ministerstwa nie pracuje nikt o nazwisku Collingridge. — Prowadzący zajrzał do swych notatek.

— Wprawdzie w urzędzie w Coventry pracowała kiedyś niejaka Minnie Collingridge, jednak dwa lata temu zwolniła się i wróciła na Jamajkę.

„Drwią ze mnie! — krzyczał w myślach premier. — Uznali mnie winnym, skazali, a teraz przystąpili do wykonywania wyroku!”

Widział Sarę i lzy, które niczym rzeki krwi płynęły po jej policzkach.

— Panie premierze, nasz program już się kończy. Czy chciałby pan jeszcze coś powiedzieć?

Collingridge siedział bez ruchu i patrzył na Sarę. Pragnął podbiec do niej, wziąć ją w ramiona i skłamać, że nie ma powodu, by płakać, że wszystko będzie dobrze. Siedział tak przez ponad minutę, aż wreszcie panującą w studiu niesamowitą ciszę przerwała muzyka kończąca program. Powoli gasły światła, a kiedy na ekranach telewizorów pojawiła się „lista płac”, widzowie zobaczyli, jak premier wstaje, podchodzi do swej łkającej żony, przytula ją i zaczyna szeptać wszystkie te kłamstwa.

Gdy wrócili na Downing Street, Collingridge udał się prosto do sali obrad Rady Ministrów. Wszedł do niej prawie jak gość, podziwiając eleganckie meble, piękną klasyczną architekturę i historyczne obrazy. Przede wszystkim jednak jego wzrok przyciągnął olbrzymi stół, przy którym zbierała się Rada Ministrów — symbol charakterystycznego dla Wielkiej Brytanii rządu kolektywnego. Collingridge obszedł stół dookoła, wodząc palcami po pokrywającym go zielonym rypsie. Zatrzymał się na chwilę przy miejscu, które zajmował, kiedy dziesięć lat wcześniej został najmłodszym wiekiem i rangą członkiem gabinetu. Uniósł wzrok i spojrzał prosto w oczy Roberta Walpole'a.

— A ty co byś zrobił, staruszkule? — wyszeptał. — Pewnie byś walczył. A gdyby nie udało ci się zwyciężyć, walczyłbyś dalej. No cóż, zobaczymy.

Podszedł do swego krzesła i powoli usiadł. Siedząc przy tym wielkim stole zupełnie sam, poczuł się nagle bardzo zagubiony.

— Proszę mnie połączyć z kanclerzem skarbu — polecił dyżurującej telefonistce.

Po niecałej minucie kanclerz był już na linii.

— Colin? Widziałeś program? Jak bardzo zła będzie reakcja rynku?

Odpowiedź kanclerza była szczerą, choć pełną zakłopotania:

— Obawiam się, że bardzo zła. Ale zobaczę, czy da się coś zrobić. Będę przez cały czas w kontakcie.

Następnym rozmówcą premiera był minister spraw zagranicznych.

— Jakie straty, Patrick?

Woolton bez żadnych ogródek odparł, że mając tak złą reputację, rząd na pewno nie zdoła przepchnąć zmian w budżecie Wspólnoty Europejskiej,



które postulował już od dłuższego czasu i które podczas kampanii wyborczej uznał za sprawę priorytetową.

— Jeszcze miesiąc temu mieliśmy to w zasięgu ręki. Po raz pierwszy od tylu lat. Lecz teraz mamy siłę przebicia mniej więcej taką jak osioł O'Reilly'ego. Przepraszam, Henry, ale prosileś, żebym był szczery.

Trzecim rozmówcą był prezes partii. Williams od razu zwrócił uwagę na bardzo oficjalny ton premiera i odwzajemnił się takim samym.

— W ciągu ostatniej godziny telefonowano do mnie z siedmiu spośród naszych jedenastu oddziałów regionalnych. Przykro mi to mówić, ale wszyscy uważają, że obecna sytuacja jest niezwykle niekorzystna i grozi partii zupełną klęską. Panuje pogląd, że partia znalazła się w punkcie, z którego nie ma już odwrotu.

— Nie, Teddy — odparł Collingridge. — To ja, a nie partia, znalazłem się w punkcie, z którego nie ma już odwrotu. A to coś zupełnie innego.

Zadzwoił jeszcze do swego sekretarza osobistego, polecając mu skontaktować się z Buckingham Palace i poprosić o spotkanie z królową, najlepiej następnego dnia około południa. Po czterech minutach sekretarz odzwoił i powiedział, że Jej Wysokość oczekuje premiera jutro o godzinie trzynastej.

Collingridge poczuł nagłą ulgę, jakby olbrzymi ciężar spadł mu z ramion. Po raz ostatni skierował wzrok na Walpole'a.

— Tak, wiem. Ty byś walczył. I pewnie byś wygrał. Ale to stanowisko zniszczyło już mojego brata, a teraz zaczyna niszczyć mnie. Nie mam najmniejszego zamiaru unieszczęśliwiać Sary, więc jeśli pozwolisz, pójdę już i powiadomię ją o swej decyzji.

Czterdziesty dziewiąty następca Walpole'a podszedł do drzwi i trzymając dłoń na klamce, raz jeszcze spojrzął za siebie.

— I jeszcze jedno. Od razu lepiej się czuję.

Część trzecia

ROZDANIE

## PONIEDZIAŁEK, 25 PAŹDZIERNIKA

Następnego ranka krótko przed dziesiątą rząd zebrał się w sali posiedzeń Rady Ministrów. Ponieważ wszyscy otrzymali wezwania na osobistą rozmowę, zdziwili się bardzo na widok pozostałych członków gabinetu. W atmosferze niepewności ministrowie niecierpliwie czekali na przybycie premiera, prowadząc niezwykle jak na nich przytłumione rozmowy.

Kiedy Big Ben wybił dziesiątą, drzwi otworzyły się i do sali wszedł Collingridge.

— Dzień dobry, panowie — odezwał się wyjątkowo łagodnym tonem. — Dziękuję bardzo, że zechcieliście przyjść. Nie zajmę wam zbyt wiele czasu.

Usiadł i z obciążonego skórą segregatora wyjął pojedynczą kartkę papieru. Położył ją przed sobą i rozejrzał się po obecnych. Panowała zupełna cisza.

— Przepraszam, że nie mogłem was zawiadomić, iż dzisiejsze spotkanie będzie posiedzeniem Rady Ministrów w pełnym składzie, ale jak się wkrótce przekonacie, konieczne było przedsięwzięcie kroków gwarantujących, że będziemy mogli się zebrać bez towarzystwa dziennikarzy.

Wydał głębokie westchnienie — sam nie wiedział, przygnębienia czy ulgi.

— Przeczytam wam teraz krótkie oświadczenie, które zamierzam ogłosić dziś po południu. O trzynastej udam się do pałacu, aby zapoznać z jego treścią Jej Wysokość. Muszę was prosić, byście przysięgli na swój urząd, że nie ujawnicie treści tego oświadczenia przed jego oficjalnym opublikowaniem.

Muszę mieć pewność, że Jej Wysokość dowie się o nim ode mnie, a nie za pośrednictwem radia lub prasy.

Ponownie spojrzął na zebranych, a kiedy wszyscy skinęli twierdząco głowami, uniósł kartkę i zaczął powoli czytać. Był zupełnie spokojny. Zdusił w sobie cały żal, który być może czuł.

— Od pewnego czasu trwa, rozpętana przez środki masowego przekazu, bezwzględna i wydająca się nie mieć końca kampania przeciwko mnie oraz członkom mojej rodziny. Wielokrotnie już oświadczałem i pragnę powtórzyć to jeszcze raz, że nie zrobiłem nic, czego musiałbym się wstydzić, i że zawsze postępowałem tak jak, moim zdaniem powinien postępować premier. Stawiane mi zarzuty należą do najpoważniejszych, z jakimi może się spotkać urzędnik państwowy, i dotyczą wykorzystania poufnych informacji w celu uzyskania korzyści materialnych. Ponieważ nie potrafię wyjaśnić opisanych w prasie niezwykłych okoliczności, które dały początek oskarżeniom, złożyłem prośbę o wszczęcie formalnego niezależnego śledztwa.

— Ze względu na naturę stawianych mi zarzutów nie jestem obecnie w stanie dowieść swej niewinności, ufam jednak, że oficjalne śledztwo doprowadzi do ostatecznego wyjaśnienia sprawy i całkowitego oczyszczenia mnie z zarzutów. — Z trudem przełknął ślinę. Miał coraz bardziej sucho w ustach i najwyraźniej ciężko mu było wymawiać niektóre słowa. — Wydaje się jednak nieuniknione, że śledztwo zajmie sporo czasu, a narastające wątpliwości co do mojej uczciwości bardzo utrudniają pracę rządowi, a także mojej partii. Rząd powinien poświęcić cały czas i uwagę na wprowadzenie w życie programu, dzięki któremu zostaliśmy ponownie wybrani, tymczasem obecna sytuacja zupełnie to uniemożliwia. Uczciwość premiera została publicznie podana w wątpliwość, a moim pierwszym obowiązkiem jest bronić powagi sprawowanego urzędu. Dlatego też w dniu dzisiejszym złożyłem na ręce Jej Królewskiej Wysokości prośbę o przyjęcie mej rezygnacji.

Ktoś wziął głęboki oddech, lecz poza tym panowała absolutna cisza. Na chwilę przestały nawet bić wszystkie serca. Collingridge odchrząknął i czytał dalej:

— Całe dojrzałe życie poświęciłem realizacji swych politycznych ideałów i rezygnacja ze stanowiska premiera w takich okolicznościach jest dla mnie

niesłuchanie trudna. Nie próbuję uciec przed oskarżeniami, raczej staram się stworzyć warunki do całkowitego i jak najszybszego ich wyjaśnienia oraz przywrócenia mojej rodzinie minimum koniecznego spokoju. Wierzę, że historia wykaże, iż podjąłem słuszną decyzję.

Collingridge włożył kartkę z powrotem do segregatora.

— Dziękuję, panowie — powiedział i natychmiast wyszedł.

Oślupiały Urquhart siedział bez ruchu. Wokół rozległy się szepty i sztumione okrzyki zdziwienia, jednak on się do nich nie przyłączył. Nie mógł. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w pusty fotel premiera, rozkoszując się swą bezgraniczną potęgą.

Udało się. Zupełnie sam zniszczył najbardziej wpływowego człowieka w państwie, dzierżył więc potęgę pozostającą co najwyżej w sferze marzeń tych wszystkich maluczkich, zgromadzonych wokół stołu. I wiedział, że jest jedynym z nich, który ma pełne prawo zająć zwolnione miejsce. Pozostali to pigmeje, mrówki.

Ogarnęło go takie samo podniecenie jak czterdzieści lat wcześniej, gdy jako rekrut szykował się dwa tysiące pięćset stóp nad polami Lincolnshire do swego pierwszego skoku ze spadochronem. Żaden kurs na całym świecie nie mógł przygotować go na lodowate podniecenie, które poczuł siedząc w otwartym luku dwusilnikowego islandera z nogami dyndającymi w strudze zaśmigłowej i patrząc na odległe zielono-żółte pola.

Był przytwierdzony do spadochronu, a ten do liny desantowej, która, tak przynajmniej zapewniali instruktorzy, gwarantowała bezpieczne lądowanie. Logiczne. Lecz logika tu się nie liczyła. To był akt wiary, ufności w przeznaczenie, gotowości zaakceptowania ryzyka, skoro tylko ono może zapewnić samospelnienie, do którego dąży każdy mężczyzna. Pomimo logiki liny desantowej czasami nawet najodważniejsi zamierali w otwartym luku, gdy nagle opuszczała ich wiara, a struga zaśmigłowa zrywała z nich poczucie godności. Urquhart jednak czuł się wszechmocny, niczym Bóg patrzący z wysokości na swe królestwo. Gardził zarówno logiką, jak i strachem rządzącymi życiem otaczających go zwykłych śmiertelników.

Patrząc teraz na opustoszałe krzesło wiedział, że nie ma czasu na wątpliwości. Musiał zaufać sobie i swemu przeznaczeniu. Już wyskoczył i z coraz większą prędkością zbliżał się do punktu, w którym miało się okazać, jaki czeka go los. W myślach uśmiechał się przewidująco, lecz na zewnątrz starał się wyglądać na równie zszokowanego jak reszta ministrów.

Wciąż drżąc z podniecenia, Urquhart wszedł do swego biura. Starannie zamknął drzwi na zamek i jeszcze przed dziesiątą dwadzieścia zatelefonował w dwa miejsca.

Tuż po wpół do jedenastej Roger O'Neill zwołał pilne zebranie biura prasowego partii.

— Przykro mi, ale muszę was prosić o odwołanie wszystkich dzisiejszych spotkań. Otrzymałem właśnie wiadomość, że tuż po trzynastej należy się spodziewać niezwykle ważnego komunikatu z Downing Street. Sprawa jest absolutnie tajna, nie mogę więc zdradzić żadnych szczegółów, ale musimy być przygotowani na prawdziwą bombę.

Parę minut później pięciu dziennikarzy, którzy umówili się wcześniej na lunch z pracownikami biura prasowego, otrzymało wiadomość, że niestety spotkania będą musiały zostać przełożone. Wszystkich ich, oczywiście pod warunkiem zachowania całkowitej dyskrecji, poinformowano, że „na Downing Street dzieje się coś ważnego”.

Charles Goodman ze Zjednoczenia Prasowego, wykorzystując budowany przez lata potężny system kontaktów i zależności, szybko się dowiedział, że rano odbyło się posiedzenie Rady Ministrów. Chociaż biuro prasowe Downing Street nie miało na ten temat nic do powiedzenia, to przełożono zbyt wiele zaplanowanych na dziesiątą rano oficjalnych spotkań, aby sprawę dało się ukryć. Powodowany niezawodnym instynktem Goodman natychmiast zatelefonował do biura prasowego Pałacu Buckingham. Tam także nie udzielono mu żadnych informacji — przynajmniej oficjalnie, chociaż zastępca sekretarza prasowego, który wiele lat wcześniej pracował z Goodmannem w „Manchester Evening News”, nieoficjalnie i pod warunkiem zagwarantowania całkowitej anonimowości potwierdził, że królowa przyjmie Collingridge'a o pierwszej po południu.

O jedenastej dwadzieścia pięć na taśmie Zjednoczenia Prasowego znajdowała się już wiadomość o utrzymanym w tajemnicy posiedzeniu rządu oraz mającym wkrótce nastąpić nie zapowiedzianym spotkaniu premiera z królową.

Cała sprawa stała się głównym tematem południowych wiadomości lokalnego radia IRN.

— Jak się właśnie dowiedzieliśmy, Henry Collingridge uda się w najbliższych godzinach na tajne spotkanie z Jej Wysokością. Po pałacu westminsterskim krążą plotki, że zamierza on albo usunąć z rządu kilku ministrów i poinformować królową o poważnych zmianach w składzie gabinetu, albo przyznać się do udziału w nielegalnym obrocie akcjami Renox Chemicals, o czym było w ostatnich tygodniach bardzo głośno. Inna pogłoska mówi, że to królowa wezwała premiera w celu wręczenia mu dymisji. Niezależnie od tego, jak potoczą się sprawy, wydaje się oczywiste, że już za niecałą godzinę ktoś w rządzie straci humor.

W rzeczywistości minęły zaledwie dwie, może trzy minuty, a już Henry Collingridge nie tyle stracił humor, co prawie wpadł w furję, gdy wyjrawszy przez okno, zobaczył las kamer telewizyjnych oraz armię dziennikarzy i fotoreporterów tłoczących się po drugiej stronie ulicy.

Czerwony ze wściekłości wybiegł ze swego gabinetu, z całej siły trzaskając drzwiami. Świadcami tego wybuchu gniewu byli dwaj przechodzący akurat korytarzem posłańcy.

— Co on tam mruczał? — zaciekał się jeden z nich.

— Dokładnie nie słyszałem, Jimmy. Coś o jakiejś „przysiędze na urząd”.

O dwunastej czterdzieści pięć Collingridge wyszedł z budynku i wsiadł do samochodu, kompletnie ignorując okrzyki dochodzące z drugiej strony ulicy. Kiedy wjechali w Whitehall, goniące ich auto wiozące kamerzystę omal nie zderzyło się z jednym z samochodów eskorty premiera. Także przed bramami Pałacu Buckingham kłębił się tłum fotoreporterów. Tak więc próba złożenia godnej rezygnacji zmieniła się w cyrk na trzech arenach.

Obserwując te szalone sceny na ekranie swego telewizora Benjamin Landless, którego Urquhart ostrzegł o wszystkim ponad dwie godziny

wcześniej, uśmiechnął się szeroko i otworzył drugą butelkę szampana.

Premier poprosił, aby mu nie przeszkadzano, chyba że byłoby to absolutnie konieczne. Wróciwszy z pałacu udał się do swego prywatnego apartamentu, pragnąc najbliższe parę godzin spędzić z Sarą. Po złożeniu dymisji przygnębienie, które czuł, znacznie zelżało.

— Przepraszam bardzo, panie premierze — tłumaczył się jego sekretarz osobisty — ale dzwoni doktor Christian. Powiedział, że to bardzo ważne.

— Łącz. — W słuchawce rozległo się ciche brzęczenie. — Doktor Christian? W czym mogę panu pomóc? A przede wszystkim, jak tam Charles?

— Dzwonię właśnie w jego sprawie, panie premierze. Tak jak wcześniej ustaliliśmy, starałem się trzymać go jak najdalej od gazet, żeby nie dotarły do niego wszystkie te oskarżenia. Ale niestety mamy problem. Normalnie przed wiadomościami wyłączamy telewizor i staramy się zająć Charlesa czym innym, lecz nie spodziewaliśmy się tego nadzwyczajnego wydania, w którym poinformowano o pańskiej dymisji. A propos, jest mi bardzo przykro, że musiał pan złożyć rezygnację, ale mimo wszystko najbardziej martwię się o Charlesa. Rozumie pan chyba, że dla mnie, jako lekarza, to on jest najważniejszy.

— Oczywiście, doktorze. To przecież zupełnie zrozumiałe.

— Charles dopiero dziś dowiedział się o stawianych jemu i panu zarzutach oraz o tym, że doprowadziły one do pańskiej dymisji. Jest całkiem zalamany, panie Collingridge. To był dla niego ogromny szok. Uważa, że ponosi za wszystko winę, i boję się, że może próbować zrobić sobie coś złego. A już się wydawało, że stan jego zdrowia zaczyna ulegać widocznej poprawie i że niedługo będzie mógł opuścić szpital. Ale teraz... Ta sprawa może nie tylko cofnąć go do poprzedniego stanu, lecz spowodować poważny kryzys. Nie chciałbym niepotrzebnie pana alarmować, ale uważam, że Charles bardzo potrzebuje pańskiej pomocy. Bardzo.

Widząc wyraz udręki na twarzy męża, Sara podeszła, usiadła obok i chwyciła jego drżącą dłoń.



— Jak mogę mu pomóc? Proszę powiedzieć, zrobię wszystko, co w mojej mocy.

— Musimy pomóc mu odzyskać wiarę w siebie. Jest strasznie załamany.

Nastąpiła chwila milczenia. Collingridge mocno przygryzł dolną wargę, mając nadzieję, że w ten sposób zdoła stłumić ból palący jego duszę.

— Czy mogę z nim porozmawiać?

Minęło kilka minut, zanim Charles podszedł do telefonu.

— Charlie? Jak się masz, staruszk?

— Henry, co ja narobiłem! Zniszczyłem cię, zrujnowałem ci życie! — Był to głos człowieka starego, ogarniętego histerią.

— Uspokój się, Charlie. Nic nie zrobiłeś. To nie ty mnie zniszczyłeś, więc nie ma najmniejszego powodu, żebyś czuł się winny.

— Ale przecież widziałem w telewizji, jak jechałeś do królowej, żeby złożyć rezygnację. Mówili, że to przeze mnie i przez jakieś akcje. Nic z tego nie rozumiem. Wszystko spieprzyłem, Henry. Nie tylko swoje życie, lecz także twoje... i Sary. Nie zasługuję na to, żeby być twoim bratem. Nic już nie ma sensu... — Przerwał i wybuchnął głośnym płaczem.

— Charlie, chcę, żebyś uważnie mnie wysłuchał, zgoda? To nie ty mnie powinieneś prosić o przebaczenie, ale ja ciebie. I to na kolanach. Nie! Słuchaj mnie, Charlie! — wykrzyknął, kiedy brat próbował zaprotestować. — Zawsze razem przezwyciężaliśmy nasze kłopoty. Pamiętasz, jak prowadziłem firmę tego roku, kiedy o mało nie zbankrutowaliśmy? Wszystko się waliło, Charlie, i to z mojej winy. A wtedy ty ściągnąłeś tego nowego klienta i w ten sposób nas uratowałeś. Oczywiście, że to nie było największe zamówienie, ale właśnie dzięki niemu firma nadal istnieje. Ocaliłeś firmę, Charlie, a tym samym i mnie. Tak samo jak wtedy, gdy w Boże Narodzenie kierowałem po pijaku. Ten sierżant, który mnie złapał, był twoim kumplem z drużyny rugby. Twoim, a nie moim, Charlie. I to ty zdołałeś go przekonać, żeby nie zabierał mi prawa jazdy. Gdybym je wtedy stracił, nie miałbym żadnych szans w wyborach i całą moją karierę diabli by wzięli. Nie tylko mnie nie zniszczyłeś, Charlie, ale dzięki tobie udało mi się cokolwiek osiągnąć. Zawsze byliśmy razem i chcę, żeby tak zostało.

— Ale teraz... To przeze mnie musiałeś podać się do dymisji...

— Nieprawda. To tylko i wyłącznie moja wina, Charlie. Zaszedłem za wysoko i zapomniałem, że tak naprawdę liczą się tylko ci, których się kocha. Kiedy byłeś mi potrzebny, zawsze mogłem na ciebie liczyć. Zawsze. A później, kiedy Mary odeszła, wiedziałem, jak cierpisz. Powinienem być ci jakoś pomóc, ale wciąż byłem zbyt zajęty. Potrzebowałeś mnie, tymczasem wciąż było coś ważniejszego, nie cierpiącego zwłoki. Zawsze sobie obiecywałem, że jutro z tobą porozmawiam. Albo pojutrze. I wciąż nie miałem czasu, Charlie, wciąż obiecywałem sobie, że jutro. — Pod wpływem emocji głos Collingridge'a zaczął się łamać. — Miałem swoje pięć minut, Charlie, ale nie sprawdziłem się, bo byłem zbyt wielkim egoistą. Robiłem rzeczy, które ja chciałem robić. Bezczyinnie przyglądałem się, jak stajesz się alkoholikiem i praktycznie się zabijasz.

Po raz pierwszy którykolwiek z nich odważył się powiedzieć prawdę. Przedtem Charlie czuł się źle z powodu pogody, był przemęczony albo bardzo podenerwowany — ale nigdy nie był pijanym alkoholikiem. Teraz obaj wiedzieli, że nie ma już tajemnic. Ani odwrotu.

— Odchodzę z Downing Street. I dobrze, baba z wozu, koniom lżej. Ale chciałbym w dalszym ciągu móc nazywać cię swoim bratem. A boję się, że jest za późno, żeby prosić cię o przebaczenie, że zbyt długo byłeś sam, by chcieć wyzdrowieć. Ale... — Po jego policzkach płynęły teraz łzy szczerzej rozpaczy. Sara mocno go przytuliła. — Charlie, jeśli mi nie przebaczysz, wszystko, co się wydarzyło, nie będzie miało żadnego sensu.

Po drugiej stronie linii panowała zupełna cisza.

— Powiedz coś, Charlie!

— Kocham cię, braciszku!

Henry wydał głośne westchnienie ulgi i radości.

— Ja ciebie też, starszku. Jutro do ciebie przyjadę. Teraz obaj będziemy mieli więcej czasu, no nie?

Śmiali się przez łzy. A razem z nimi Sara. Henry Collingridge już od lat nie czuł się taki szczęśliwy.

Powoli sączyła drinka, podziwiając Londyn nocą, którego panorama roz-  
taczała się z okna mieszkania na poddaszu, kiedy Johnnie zaszedł ją od tyłu  
i mocno przytulił.

— Hola! Zdawało mi się, że przyszliśmy tu pogadać — powiedziała, nie  
stawiając oporu.

Są rzeczy, których nie potrafię przekazać słowami — odparł, zatapia-  
jąc twarz w jej blond włosach i rozkoszując się ich świeżością. Odwróciła się  
i spojrzała mu prosto w oczy.

— Za dużo gadasz — stwierdziła i namiętnie go pocałowała.

Cieszyła się, że to właśnie on zrobił pierwszy ruch; tej nocy pragnęła być  
uległa, wolna i nieskomplikowana. Chciała być po prostu kobietą.

Nie zaprotestowała ani słowem, kiedy zdjął z niej jedwabną bluzkę, ob-  
nażając nieskazitelnie gładkie ciało, którego nie powstydziliby się modelka.  
Miała wspaniałe piersi — małe, lecz bardzo kobiece i wrażliwe. Ich sutki pod  
delikatną pieczęcią jego palców natychmiast się wyprężyły. Mattie aż zasy-  
czała. Rozpięła pasek swych spodni, pozwoliła im opaść na podłogę, po  
czym jednym ruchem pozbyła się i ich, i butów. Wysoka i bezwstydną, stała  
naga na tle migocących świateł Londynu.

Krajewski przez chwilę napawał się tym widokiem. Boże, jak dawno nie  
czuł się tak cudownie!

— Mattie, wyglądasz wspaniale.

— Mam nadzieję, Johnnie, że nie ograniczysz się do patrzenia — odpar-  
ła.

Wziął ją za rękę, poprowadził do kominka, którego płomień migotały  
zapraszająco, mocno przytulił i modlił się, by ta chwila trwała całe wieki.

Później przez dłuższą chwilę, mocno objęci, leżeli w milczeniu, każde za-  
gubione w swoich myślach. Pierwsza odezwała się Mattie:

— Czy to wszystko jest zbiegiem okoliczności, Johnnie?

— Spróbujmy jeszcze raz, to się przekonamy.

— Nie to, ty głupku — roześmiała się. — Czas już porozmawiać.

— Aha! Zastanawiałem się, ile też czasu minie, zanim sobie o tym przy-  
pomnisz — odparł zrezygowany.

Wstał i przyniósł dwa koce, którymi się owinęli.

— Mamy więc jakiś plan, spisek... nazywaj to, jak tam sobie chcesz,

Johnnie, w który zamieszana jest nasza gazeta. Jego celem jest zniszczenie Collingridge'a. I z tego, co wiemy, ciągnie się to już od paru miesięcy. A teraz Collingridge składa rezygnację. Czy jest to wynik tego spisku, czy tylko zbieg okoliczności?

— Mattie, przecież premiera zmusili do ustąpienia nie jego oponenci, tylko jakieś pokretnie manipulacje akcjami, których dopuścił się jego brat. Chyba nie sugerujesz, że był uczestnikiem spisku?

— Musisz przyznać, Johnnie, że to cholernie dziwny zbieg okoliczności. Tak się składa, że podczas konferencji poznałam Charlesa Collingridge'a i spędziłam z nim ładnych parę godzin nad butelką. Zrobił na mnie wrażenie prostego, sympatycznego pijaczyny, którego majątek nie przekracza w sumie dwustu funtów. A już z całą pewnością nie wyglądał na kogoś, kto może wyłożyć kilkadziesiąt tysięcy funtów na rozpoczęcie spekulacji na giełdzie.

Zagryzła usta i przymknęła oczy, starając się poukładać myśli.

— Może to ci się wydać naiwne, ale choć wiem, że alkoholicy często nie panują nad swymi czynami, odnoszę wrażenie, że za nic nie naraziłby na szwank kariery swego brata dla głupich paru tysięcy funtów. A poza tym czy wydaje ci się prawdopodobne, że Henry Collingridge, premier Zjednoczonego Królestwa, łamie prawo i udziela swemu bratu porad giełdowych, aby sfinansować jego pijaństwo?

— A czy bardziej prawdopodobne wydaje ci się, że rzeczywiście istnieje jakiś spisek, w który zamieszani są wysocy urzędnicy państwowi, właściciel naszej gazety i Bóg jeden wie, kto jeszcze? I że celem spiskowców jest zniszczenie Henry'ego Collingridge'a? Znacznie prostszym wyjaśnieniem jest to, że Charles Collingridge to niezdolny zapanować nad swoimi czynami alkoholik, który zrobił coś tak cholernie głupiego, że jego brat był zmuszony podać się do dymisji.

— Chyba tylko jedna osoba jest w stanie to wyjaśnić. Charles Collingridge.

— Ale on siedzi zamknięty w jakiejś klinice albo czymś takim, prawda? I o ile się nie mylę, miejsce jego pobytu jest ściśle strzeżoną tajemnicą rodzinną.

— Zgadza się, ale tylko on może nam pomóc wyjaśnić całą tę sprawę.

— A jak nasza Reporterka Roku zamierza się z nim skontaktować?

Była zbyt skoncentrowana, żeby zareagować na tę oczywistą drwinę. Owinięta wielkim żółtym kocem siedziała pogrążona w myślach na dywanie ku leżącym przed kominkiem. Krajewski wstał i poszedł napełnić szklanki. Kiedy przyniósł drinki, Mattie odwróciła się w jego stronę.

— Kiedy po raz ostatni widziano Charlesa Collingridge'a? — spytała.

— Dlaczego... Ponad tydzień temu, kiedy wywożono go z domu.

— Kto z nim był?

— Sara Collingridge.

— I...?

— Kierowca.

— Kto był kierowcą, Johnnie?

— Niech mnie diabli, jeśli wiem. Nigdy przedtem go nie widziałem. Ale poczekaj... Jako sumienny zastępca redaktora naczelnego trzymam na taśmie wszystkie wieczorne wiadomości z ostatnich dwóch tygodni. Powinienem więc gdzieś mieć tę scenę.

Przez dłuższą chwilę szperał w kasetach, aż wreszcie włożył odpowiednią do magnetowidu i zaczął przewijać ją do przodu. Po kilku sekundach za śnieżną zamiecią spowodowaną szybkim przewijaniem pojawiły się sceny ucieczki Charlesa Collingridge'a.

— Cofnij! — poleciła Mattie. — Na sam początek.

Na samym początku materiału, przez niecałą sekundę, kiedy samochód wyjeżdżał zza rogu, widać tyło wyraźnie twarz kierowcy.

Krajewski wcisnął klawisz „stop-klatka”. Przez dłuższą chwilę oboje uważnie przyglądali się łysiejącemu okularnikowi.

— A to co za jeden, do jasnej cholery? — mruknął Krajewski.

— Ustalmy najpierw, kim nie jest — odparła Mattie. — Nie jest kierowcą rządowym. To nie jest rządowy samochód, a poza tym kierowcy to straszni plotkarze, więc coś byśmy już wiedzieli. Nie jest też na pewno politykiem, bo byśmy go rozpoznali... — Klasnęła w dłonie. — Johnnie, dokąd oni jechali?

Na pewno nie na Downing Street. Do hotelu ani w żadne miejsce publiczne także nie. Przypuszczam, że do kliniki.

— No więc właśnie! To ktoś z kliniki! Jeśli uda się nam ustalić, kto to taki, dowiemy się, gdzie jest Charles!

— W porządku, Sherlocku. Chyba masz rację. Posłuchaj, każe zrobić zdjęcie tej klatki i pokażę je paru znajomym. Możemy na przykład spróbować z Freddie, jednym z naszych fotoreporterów. On nie tylko ma wspinałką pamięć do twarzy, ale na dodatek jest alkoholikiem, który parę lat temu wyszedł z nalogu. W dalszym ciągu regularnie, co tydzień, chodzi na spotkania Klubu Anonimowych Alkoholików, więc może będzie w stanie jakoś nam pomóc. W końcu ośrodków odwykowych nie jest zbyt wiele. Ale i tak w dalszym ciągu nie wierzę w tę twoją spiskową teorię. Moim zdaniem to po prostu dziwny zbieg okoliczności.

— Ty cyniczny bydlaku, co jeszcze mam zrobić, żeby cię przekonać?

— Chodź tu i jeszcze raz wykaż się swą kobiecą intuicją — mruknął.

Prawie dokładnie w tym samym czasie w niewielkiej wynajętej sali modnej i strasznie drogiej restauracji w zachodniej części Londynu Landless i Urquhart także siedzieli razem, tyle że łączący ich związek miał dużo bardziej interesowny charakter.

— Ciekawe czasy, Frankie, ciekawe czasy — zadumał się Landless.

— O ile wiem, Chińczycy uważają życie w ciekawych czasach za przekleństwo.

— Założę się, że Collingridge w pełni się z nimi zgadza — odparł Landless, wybuchając gburowatym śmiechem.

Strząsnął popiół ze swego hawańskiego cygara, pociągnął spory łyk koniaku i dopiero wtedy ponownie się odezwał:

— Słuchaj, Frankie, zaprosiłem cię tutaj, aby zadać ci jedno pytanie. Nie będę owijał w bawełnę i byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś ty też zechciał być ze mną całkiem szczery. Czy zamierzasz stanąć do wyborów? — Patrzył Urquhartowi prosto w oczy, jakby próbował go zahipnotyzować i zmusić do całkowitej szczerości.

— Jeszcze nie wiem. Sytuacja jest bardzo niejasna, będę więc musiał wstrzymać się trochę z ostateczną decyzją.

— W porządku, Frankie, zapytam inaczej. Czy chcesz zostać premierem? Bo jeśli tak, to mogę być ci bardzo pomocny.

Urquhart nie starał się uciec przed wzrokiem gospodarza. Patrzył prosto w jego wylupiaste, przekrwione oczy.

— Chcę. Bardzo — odparł.

Po raz pierwszy przyznał się przed kimkolwiek, że jego największym pragnieniem jest zająć fotel premiera. Lecz przecież Landlessowi, który ambicję miał wypisaną na czole, mógł się z tego zwierzyć bez zażenowania.

— To dobrze. A więc zacznijmy od tego, że „Telegraph” przedstawi jutro dość szczegółową analizę obecnej sytuacji. Jej autorką jest niejaka Mattie Storin. Śliczna długonoga blondynka. Duże niebieskie oczy... Może ją znasz?

— Tak — odparł Urquhart. — Tylko z kontaktów służbowych — dodał natychmiast, widząc, że mięsiste wargi jego rozmówcy układają się już do jakiegoś lubieżnego komentarza. — Jest bardzo bystra. Ciekawe, jak ocenia to, co się teraz dzieje?

— Twierdzi, że zaczął się wyścig po władzę, w którym szanse mają praktycznie wszyscy, a to dlatego, że dymisja Collingridge'a była nagła i nieoczekiwana, w związku z czym żaden z jego potencjalnych następców nie był w stanie przygotować się do kampanii.

— Chyba ma rację — zgodził się Urquhart. — I to mnie właśnie martwi. Cała kampania wyborcza może zakończyć się w ciągu niecałych trzech tygodni, a wiadomo, że najlepszy start będą mieli uładowani, błyskotliwi kandydaci. Nurt — oto, co w tych zawodach jest najważniejsze. Jeśli dobrze trafisz, poniesie cię do celu. Ale jeśli masz go przeciwko sobie, to choćbyś był najlepszym pływakiem, już po tobie. Idziesz na dno.

— A których uładowanych, błyskotliwych kandydatów masz na myśli?

— Na przykład Michaela Samuela.

— Mmmm... Młody, robiący wrażenie, zasadniczy, chyba inteligentny. Nie podoba mi się. Do wszystkiego się miesza, chciałby zmienić cały świat. Jest zbyt delikatny i zbyt mało doświadczony, żeby stać go było na podejmowanie męskich decyzji.

— Więc co zrobimy?

Landless chwycił kieliszek w obie dłonie, pociągnął spory łyk, po czym zachichotał.

— Frankie, prądy mają to do siebie, że często zmieniają kierunek. W jednej minucie możesz spokojnie płynąć w stronę plaży, a już w chwilę później znaleźć się z powrotem na otwartym morzu...

Dopił koniak, uniósł dłoń, aby zamówić następną kolejkę, jeszcze wygodniej rozsiadł się w fotelu i dopiero wtedy ponownie się odezwał:

— Frankie, dziś po południu kazałem paru zaufanym ludziom z „Telegraphu” skontaktować się w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin z możliwie największą liczbą posłów partii i spytać ich, jak zamierzają głosować. W najbliższym numerze opublikują wyniki, które — jestem o tym głęboko przekonany — wykażą niewielką, lecz nie ulegającą wątpliwości przewagę pana Samuela nad resztą ewentualnych kandydatów.

— Co? — wykrzyknął przerażony Urquhart. — Przecież sondaż nie został jeszcze skończony. Więc skąd...?

— Frankie, wiem, jakie będą jego wyniki. W końcu jestem właścicielem tej choleralnej gazety.

— Więc będą sfałszowane? W takim razie dlaczego właśnie Samuel?

— Ponieważ sondaż wykaże jednocześnie dosyć wysokie poparcie dla twojej kandydatury. W tej chwili jest oczywiste, że nie mógłbyś wygrać. Jako Chief Whip nie bardzo masz skąd wygłaszać swe kazania. Jeśli w tym wysiłku wystartują wszyscy chętni, po prostu cię stratują.

Urquhart musiał uznać słabość swej pozycji najbardziej pozbawionego twarzy członka rządu.

— A więc promujemy Samuela, robimy z niego faworyta, a przez to także cel ataków wszystkich innych zainteresowanych. Za tydzień lub dwa ze zdziwieniem stwierdzi, że ma w partii zdecydowanie więcej wrogów niż przyjaciół, i będzie musiał cofnąć się do defensywy. Walczyć z prądem — dokończył Landless.

Klarowność przeprowadzonej przez Landlessa analizy zadziwiła Urquharta, który zaczynał powoli rozumieć, dlaczego ten pochodzący z robotniczej rodziny londyńczyk odniósł tak wielki sukces w świecie finansów.

— A na czym ma polegać moja rola?



— Musisz znaleźć sposób na sprzedanie swej osoby. Coś, dzięki czemu będziesz bardziej atrakcyjny niż pozostali kandydaci.

— Na przykład? — spytał oszołomiony Urquhart.

— Frankie, jesteś wręcz archetypem kandydata kompromisowego. Podczas gdy te wszystkie skurwiele będą do siebie strzelać i publicznie podkładać sobie świnię, ty po cichu wślizgniesz się jako ktoś, kogo najmniej nienawidzą.

— Na coś takiego liczyli socjaldemokraci. I nieźle się przejechali. A poza tym nie jestem przekonany, czy rzeczywiście nadają się na kompromisowego kandydata.

— Socjaldemokraci nie mieli poparcia mojego ani moich gazet. A ty będziesz je miał. Wiem, że ryzyko jest wysokie, Frankie. Ale stawka również.

— Co mam zrobić?

— Płynąć z prądem. Musisz wejść do akcji w odpowiednim momencie. Szczerze mówiąc, byłbym dużo spokojniejszy, gdybyśmy mieli chociaż odrobinę więcej czasu, na przykład miesiąc. W ten sposób pozostali kandydaci zdążyliby się zmęczyć, ich kampanie straciłyby impet, a wszyscy mieliby ich po prostu dość. Wtedy zaczyna się potężna kampania promująca twoją ewentualną kandydaturę. Ty nieoczekiwanie stajesz do walki i w ten sposób wprowadzasz element ożywienia. Zaczynasz płynąć z prądem, Francis.

Urquhart zwrócił uwagę, że Landless po raz pierwszy powiedział «Francis», nie „Frankie”. Ten człowiek mówił zupełnie poważnie.

— A więc mam się postarać, by cała procedura wyborów została odrobinę spowolniona?

— A potrafisz to zrobić?

— Co prawda za wybory odpowiada Humphrey Newlands, ale zgodnie ze statutem partii ostateczny termin głosowania wyznacza premier. A on z całą pewnością nie będzie chciał pomóc kandydatowi popieranemu przez Teddy'ego Williama. Więc może da się coś zrobić...

## WTOREK, 26 PAŹDZIERNIKA

— Od wczoraj nie udało mi się z tobą porozmawiać. Nawet nie wiesz, jak bardzo byłem zszokowany i... przygnębiony.

— Dziękuję ci, Francis. Ale proszę, żadnego współczucia. W sumie jestem zadowolony, zresztą nie mam nawet czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Za dwadzieścia minut przyjdzie Humphrey Newlands, żeby ustalić szczegóły dotyczące wyborów. Resztę dnia mam zamiar spędzić z bratem. Wspaniale jest znów mieć czas na takie rzeczy!

Urquhart ze zdziwieniem stwierdził, że Collingridge mówi całkiem szczerze.

— Odnoszę wrażenie, że zupełnie nie masz ochoty na łzawe wspomnienia, więc nie będę tracił na nie czasu. Ale chcę, żebyś wiedział jak bardzo jestem zasmucony tym, co się wydarzyło. Kiedy słuchałem wczoraj twojego oświadczenia, poczułem się, jakbym... jakbym spadał z nieba. Ale dość już. Patrzmy w przyszłość, nie w przeszłość. Odnoszę wrażenie, że w ostatnich miesiącach niektórzy z naszych kolegów zachowywali się wobec ciebie nie tak, jak powinni, i nie udzielili ci należnego poparcia. Spodziewam się więc, że choć oświadczyłeś, że nie będziesz się mieszać do kampanii wyborczej i nie udzielisz bezpośredniego poparcia żadnemu z kandydatów, to jednak masz wyrobiony pogląd na to, komu nie chciałbyś przekazać władzy. W obecnej sytuacji nie planuję zgłoszenia swojej kandydatury, pomyślałem więc, że może zechcesz, żebym cię informował o przebiegu, kampanii, a w szczególności o nastrojach we frakcji parlamentarnej. Wiem, że nie zamierzasz mieszać się do wyborów, ale to chyba nie oznacza, że cię one nie interesują...

Obaj wiedzieli, że nawet przegrany lider partii ma w ostatnich dniach urzędowania wystarczające wpływy, by kształtować nastroje wewnątrz frakcji parlamentarnej. I nie chodzi nawet o wdzięczność, której może oczekiwać od partyjnych karierowiczów, lecz raczej o nie pozbawioną znaczenia sprawę nominacji do tytułów szlacheckich, których odchodzący premier ma prawo dokonać, a które dla wielu starszych wiekiem posłów mogą być ostatnią szansą na wybicie się ponad parlamentarny tłum i podniesienie swego statusu społecznego, czego od tak dawna spodziewają się ich żony.

— To chyba całkiem logiczne, Francis — odparł Collingridge, wyraźnie odprężony i bardzo ufny. — Rozumiesz chyba, że premier ma obowiązek wiedzieć, co się dzieje, a ja przekonałem się ostatnio na własnej skórze, jak łatwo zostać odizolowanym od informacji i stracić jakikolwiek wpływ na bieg wypadków. Obawiam się, że poczciwy stary Humphrey nie jest już w stanie orientować się w nastrojach panujących we frakcji, i dlatego byłbym ci bardzo wdzięczny za ewentualne rady. Jak to delikatnie ująłeś, nie jest dla mnie bez znaczenia, kto zostanie moim następcą. A więc jak mają się sprawy na dzień dzisiejszy?

— Jest zbyt wcześnie, by cokolwiek powiedzieć. Prasa sugeruje, że praktycznie każdy ewentualny kandydat ma szanse. Ja natomiast spodziewam się, że sprawy będą się toczyć bardzo szybko i już niedługo poznamy faworytów.

— A więc na razie ich jeszcze nie ma?

— No, może tylko jeden wydaje się mieć lekką przewagę już na starcie. Michael Samuel.

— Michael! Dlaczego tak myślisz?

— Po prostu dlatego, że zapowiada się szybki wyścig i nie będzie czasu na racjonalną argumentację. W takich okolicznościach ci, którzy potrafią odpowiednio wykorzystać telewizję, dobrze się w niej pokazać, już na początku zdobędą sporą przewagę. Do tego dochodzi jeszcze mocne, choć z pewnością trudne do wykazania poparcie Teddy'ego i centrali partii.

Twarz Collingridge'a spochmurniała.

— Chyba rozumiem. — Bębniąc palcami o skórzane poręcze fotela, starannie dobierał słowa. — Będę konsekwentnie powstrzymywał się od

faworyzowania któregośkolwiek z uczestników tego wyścigu. Chcę, żeby to były wolne i uczciwe wybory, w których każdy zagłasuje zgodnie z własnym sumieniem. Lecz z tego, co mówisz, wynika, że wybory mogą wcale nie być tak wolne i uczciwe, ponieważ centrala partii próbuje mieć na nie zbyt wielki wpływ. — Collingridge mówił teraz jeszcze wolniej i jeszcze staranniej dobierał słowa. — Nie podoba mi się to. Moim zdaniem Teddy i jego ludzie nie popisali się ostatnio. Słabe wyniki wyborów do Izby Gmin, później te cholerne przecieki... Dowiedziałem się też, że wiadomość o mojej wizycie w Pałacu Buckingham również wypłynęła tylnymi drzwiami Smith Square. — W jego głosie pojawiła się nuta wrogości. — Nie mogę tego wybaczyć, Francis. Członkowie gabinetu przysięgli na swój urząd, że dochowają tajemnicy. Chciałem złożyć swą rezygnację z godnością, a nie jako kłown w cholernym dziennikarskim cyrku. Nie będę tego tolerować. Nie pozwolę centrali manipulować wyborami! — Pochylił się w stronę Urquharta. — Przypuszczam, że nie pałasz szczególną sympatią do Teddy'ego Williama, zwłaszcza po tym, jak doprowadził do odrzucenia twoich propozycji zmian w rządzie. Chyba się tego domyśliłeś...?

Urquhart bardzo się ucieszył, słysząc potwierdzenie swych podejrzeń. Pomyślał, że może w dniu Sądu Ostatecznego będzie miał usprawiedliwienie dla przynajmniej niektórych ze swych ostatnich poczynań.

— Co więc, twoim zdaniem, powinienem zrobić, aby mieć pewność, że wybory zostaną przeprowadzone w odpowiedni sposób? — spytał Collingridge.

Urquhart uśmiechnął się w myślach. „Odpowiednio przeprowadzone wybory” zostały zdefiniowane jako takie, w których Michael Samuel w pełni odczuje siłę zemsty premiera.

— Podobnie jak ty, ja również chciałbym, aby te wybory zostały przeprowadzone uczciwie. Ani ty, ani ja nie mamy zamiaru się w nie mieszać. Martwi mnie jednak, że może zabraknąć czasu na dojrzałą refleksję i w pełni świadomy wybór. W przeszłości kampania wyborcza trwała zwykle siedem do dziesięciu dni, a Ted Heath został wybrany w zaledwie pięć dni po tym, jak Alee Douglas-Home podał się do dymisji. Jednak w tamtych wypadkach

rezygnacje nie były nieoczekiwane i dlatego ludzie mieli czas, by się dobrze zastanowić. Tym razem tak nie będzie. Obawiam się, że wszystko przebiegnie w strasznym pośpiechu i wybory staną się jeszcze jedną częścią prasowo-telewizyjnego cyrku.

— A więc?

— Daj ludziom trochę więcej czasu do namysłu. Zwolnij całą procedurę. Nie śpiesz się bez potrzeby i przekaż władzę temu, kto zostanie wybrany przez partię, nie przez media.

— To, co mówisz, wydaje się dość sensowne. Nie chciałbym niepotrzebnie przedłużać okresu niepewności, ale jestem przekonany, że tydzień więcej nie powinien zaszkodzić. — Wyciągnął dłoń w stronę Urquharta. — Przepraszam, Francis, ale naprawdę musimy kończyć. Humphrey chyba już czeka. Mam obowiązek skonsultować się z nim, ale ostateczna decyzja co do terminu głosowania zależy tylko ode mnie. Muszę sobie to wszystko dokładnie przemyśleć. Rano powiadomię cię o swej decyzji. — Odprowadził Urquharta do drzwi. — Jestem ci ogromnie wdzięczny, Francis. Bardzo krzepiąca jest świadomość, że ma się tak bezinteresownego doradcę.

„DAILY TELEGRAPH”

ŚRODA, 27 PAŹDZIERNIKA. STRONA 1

### SAMUEL LIDEREM W WYŚCIGU PO WŁADZĘ

MICHAEL SAMUEL, MŁODY MINISTER ŚRODOWISKA, ZWYCIĘŻYŁ WE WCZORAJSZYM SONDAŻU PRZEPROWADZONYM PRZEZ NAS WŚRÓD POSŁÓW.

W SONDAŻU WZIĘŁO UDZIAŁ 212 SPOŚRÓD 337 POSŁÓW PARTII KONSERWATYWNEJ. 24 PROCENT ANKIETOWANYCH ZADEKLAROWAŁO WYBÓR SAMUELA, CO DAŁO MU WYRAŻNĄ PRZEWAGĘ NAD POZOSTAŁYMI EWENTUALNYMI KANDYDATAMI.

CHOĆ SAMUEL NIE ZGŁOSIŁ JESZCZE SWEJ KANDYDATURY, OCZEKUJE SIĘ, ŻE UCZYNI TO JUŻ WKRÓTCE. CO WIĘCEJ, PANUJE POWSZECHNE PRZEKONANIE, ŻE MICHAEL SAMUEL MOŻE LICZYĆ NA POPARCIE WIELU WPŁYWOWYCH DZIAŁACZY PARTII, PRZEDĘ WSZYSTKIM PREZESA, LORDA WILLIAMSA.

ŻADNE INNE NAZWISKO NIE ZDOBYŁO WIĘCEJ NIŻ 18 PROCENT, A WŚRÓD EWENTUALNYCH KANDYDATÓW WYMIENIA SIĘ MINISTRÓW: SPRAW ZAGRANICZNYCH — PATRICKA WOOLTONA, SPRAW WEWNĘTRZNYCH — ARNOLDA DOLLISA,

EDUKACJI — HAROLDA EARLE'A, ZDROWIA — PETERA MCKENZIEGO ORAZ CHIEF WHIPA — FRANCISA URQUHARTA.

JAKO SPORĄ NIESPODZIANKĘ OKREŚLA SIĘ W WESTMINSTERZE WYSOKĄ POZYCJĘ URQUHARTA, KTÓRY UZYSKAŁ W NASZYM SONDAŻU AŻ CZTERNASTOPROCENTOWE POPARCIE, NIE BĘDĄC NAWET PEŁNOPRAWNYM CZŁONKIEM GABINETU. JAKO CHIEF WHIP MA DUŻE WPŁYWY WE FRAKCJI PARLAMENTARNEJ I MOŻE MIEĆ SPORE SZANSE W GŁOSOWANIU. JEDNAKŻE JEGO BLISCY WSPÓŁPRACOWNICY PODKREŚLAJĄ, ŻE PRZYNAJMNIEJ NA RAZIE NIE ZGŁOSIŁ SWEJ KANDYDATURY. JEGO DECYZJI W TEJ SPRAWIE MOŻNA SPODZIEWAĆ SIĘ NAJWCZEŚNIEJ DZIŚ PO POŁUDNIU.

— Mattie, chyba mam!

Krajewski pędził przez biuro, jakby odkrył w swej kieszeni płonący ogień. Był strasznie podekscytowany. Gdy wreszcie dobiegł do biurka Mattie, z szarej koperty, którą ścisnął w dłoniach, wyjął kolorową fotografię formatu 10x12. Spoglądała z niej twarz kierowcy, trochę wprawdzie zamazana z powodu poziomych linii na ekranie telewizora, niemniej w pełni rozpoznawalna.

— Freddie spisał się na medal. Wczoraj wieczorem wziął to zdjęcie na spotkanie Klubu AA i szef grupy natychmiast rozpoznał tego człowieka. To doktor Robert Christian, znany autorytet w dziedzinie leczenia alkoholizmu i narkomanii. Prowadzi prywatną klinikę na południowym wybrzeżu, w Kent. Najprawdopodobniej tam właśnie należy szukać Charliego.

Krajewski uśmiechnął się triumfalnie.

— Johnnie, chętnie bym cię pocałowała. Ale nie w biurze!

Jego twarz wykrzywiło udawane cierpienie.

— A już miałem nadzieję, że zechcesz przespać swą drogę na szczyt.

Premier przeczytał tego ranka wszystkie gazety. Uśmiechał się ponuro, czytając komentarze, które jeszcze niedawno nie zostawiały na nim suchej nitki; teraz, z podziwu godną niekonsekwencją, chwaliły jego odpowiedzialną i godną prawdziwego męża stanu postawę, dającą rządowi szansę odzyskania poparcia, choć „oczywiście konieczne jest wyjaśnienie stawianych premierowi oraz członkom jego rodziny zarzutów” — grzmiał „The Times”.

Jak zwykle prasa uważała grę po obu stronach naraz za rzecz zupełnie naturalną.

Dwukrotnie i ze szczególną uwagą przeczytał „Telegraph”. Przeprowadzając sondaż popularności ewentualnych kandydatów na stanowisko premiera, redakcja wyprzedziła inne tytuły, które zmuszone były odnieść się do jego wyników. Wszyscy wydawali się zgodni, że co prawda każdy z kandydatów ma szansę, lecz zdecydowanym faworytem jest Michael Samuel.

Collingridge wezwał swego sekretarza.

— Grahamie, chcę, żebyś przekazał lordowi Williamsowi instrukcję. Kopię wyślij do sir Humphreya Newlandsa. Dokładnie o dwunastej trzydzieści centrala partii ma przekazać prasie komunikat, że termin zgłaszania kandydatur na stanowisko lidera partii upływa za trzy tygodnie, to znaczy w czwartek, osiemnastego listopada. Pierwsze głosowanie odbędzie się we wtorek, dwudziestego trzeciego. Jeśli zajdzie taka konieczność, to zgodnie ze statutem partii głosowanie zostanie powtórzone tydzień później, czyli trzydziestego listopada, a ostateczne głosowanie odbędzie się dwa dni później. Wszystko jasne?

Dostrzegł ponurą minę sekretarza. Rozmawiali po raz pierwszy od złożenia przez Collingridge'a rezygnacji.

— To oznacza, że za dokładnie sześć tygodni i jeden dzień ty i ja stracimy pracę. Ale nie martw się. Uważam cię za bardzo dobrego współpracownika i chcę, żebyś wiedział, że jestem ci bardzo wdzięczny.

Sekretarz szurnął nogami w pełnym zakłopotania ukłonie.

— Czas, abyś zaczął się zastanawiać nad swą przyszłością. O ile wiem, sporo osób z City chętnie zaoferowałoby ci dobre warunki pracy. Zastanów się przez kilka dni, co najbardziej by ci odpowiadało, i daj mi znać. Mam jeszcze parę długów wdzięczności do odebrania.

Sekretarz wymamrotał słowa podziękowania i z uśmiechem ulgi na twarzy ruszył w kierunku drzwi.

— I jeszcze jedno, Grahamie. Może się zdarzyć, że lord Williams będzie się starał ze mną skontaktować, aby skłonić mnie do przyspieszenia głosowania. Powiedz mu, że mnie nie ma, i zadbaj, aby nie miał żadnych wątpliwości, że nie zgłosiłem propozycji do dyskusji, lecz wydałem polecenie, które

ma być wykonane. O wpół do pierwszej prasa ma zostać poinformowana o terminie głosowania. — Przerwał na chwilę. — Powiedz mu, że w przeciwnym razie będę musiał sam zorganizować przeciek.

Mówi się, że czas nie czeka na nikogo. Z całą pewnością nie zaczekał tego dnia na Michaela Samuela. Tak jak pozostali ministrowie, Samuel nie ukrywał zdziwienia, natomiast starał się maskować podniecenie wywołane nagłą decyzją Collingridge'a. Jego wrodzony entuzjazm kazał mu skupić się na pozytywnych aspektach całej sprawy i możliwościach, które się przed nim otwierały. Oceniał, że na starcie nie ma faworytów i że jeśli przyjmie odpowiednią taktykę, jego szanse będą nie mniejsze niż pozostałych.

Skonsultował się z potężnym lordem Williamsem, który potwierdził jego ocenę sytuacji.

— Cierpliwości, Michaelu — poradził. — Z całą pewnością będziesz najmłodszym kandydatem, więc będą o tobie mówić, że jesteś zbyt młody, zbyt niedoświadczony i zbyt ambitny na to stanowisko. Dlatego nie wolno ci stworzyć wrażenia, że bardzo ci na nim zależy. Wykaż się odrobiną powściągliwości i na razie raczej unikaj dziennikarzy. Poczekaj, aż sami do ciebie przyjdą.

Rada zaiste wspinała, lecz nie w tej sytuacji. Dla mediów był to bardzo pracowity dzień. Ledwo w kioskach i na ulicach pojawił się promujący Samuela numer „Daily Telegraphu”, a już w telewizji wystąpił Urquhart i oświadczył, że nie zamierza stawać do wyborów, gdyż jego zdaniem interes partii wymaga, aby Chief Whip nie angażował się w ten wyścig. W rezultacie obu tych wydarzeń media zaczęły z pewną ukrytą niechęcią odnosić się do przyszłych kandydatów, natomiast bardzo wychwalały odpowiedzialną i lojalną postawę Urquharta. Ogłoszony o wpół do pierwszej szczegółowy terminarz wyborów dołał tylko oliwy do ognia. Wszystko to z całą pewnością nie pomogło Michaelowi Samuelowi.

Kiedy dziennikarze zdołali wreszcie go dopaść przy wejściu do położonego w pobliżu Hyde Parku hotelu Intercontinental, w którym umówił się na spotkanie, nie mieli już ochoty na wysłuchiwanie wymijających odpowiedzi. Nie mógł powiedzieć „nie”, „może” ich nie satysfakcjonowało, więc w końcu



zmuszony był niechętnie przyznać, iż rzeczywiście zamierza zgłosić swą kandydaturę.

W efekcie w nadanych o pierwszej wiadomościach ukazano jaskrawy kontrast pomiędzy Urquhartem, który z godnością dojrzałego męża stanu odmówił kandydowania, a młodym, najwyraźniej pełnym entuzjazmu Samuelem, który na zaimprovizowanej na ulicy konferencji prasowej jako pierwszy, na prawie miesiąc przed wyborami, zgłosił swą kandydaturę.

Zadowolony Urquhart oglądał właśnie wiadomości, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i natychmiast rozpoznał niski głos Landlessa. Magnat prasowy powiedział:

— Możesz otworzyć Morze Czerwone. Ciekawe, czy Michael zdąży przejść?

Roześmiali się i Landless odłożył słuchawkę.

## SOBOTA, 30 PAŹDZIERNIKA

Ponieważ tej soboty Mattie miała wolne, wsiadła do swego BMW, zatanowała do pełna i ruszyła w stronę Dover. Przepchawszy się wreszcie przez zatłoczone ulice Greenwich, z ulgą wyjechała na A2 — starą, zbudowaną jeszcze przez Rzymian drogę prowadzącą z Londynu do serca Kentu. Dojechała do Canterbury, minęła słynną katedrę, przejechała jeszcze parę mil, po czym w Barham, niewielkiej malowniczej wiosce, zjechała w boczną drogę. Bezskutecznie szukała na mapie jeszcze mniejszej wsi o nazwie Norbington, lecz dzięki pomocy miejscowych zdołała wreszcie odnaleźć ukryty w niewielkim zagajniku stary wiktoriański budynek, mieszczący ośrodek odwykowy.

Na podjeździe stało kilka samochodów, drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Ze zdziwieniem stwierdziła, że pacjenci spacerują po dworze zupełnie nie pilnowani, a wokół nie ma nawet śladu groźnych, ubranych na biało sanitariuszy patrolujących teren w poszukiwaniu ewentualnych uciekinierów. Zaparkowała na drodze i ruszyła powoli w kierunku wejścia.

Kiedy spostrzegła idącego w jej stronę potężnego, ubranego w garnitur z tweedu mężczyznę z siwym wojskowym wąsem, jej serce zamarło. To z całą pewnością ochroniarz, który rozpoznał w niej niepożądanego gościa.

— Przepraszam bardzo — odezwał się, przecinając jej drogę tuż przed drzwiami. — Czy nie widziała pani przypadkiem kogoś z lekarzy? Zawsze podczas wizyt starają się być jak najmniej widoczni. W efekcie nawet kiedy są potrzebni, nie można ich znaleźć.

Mattie uśmiechnęła się z ulgą. A więc miała szczęście i trafiła do ośrodka akurat w dzień odwiedzin. Pomyślała, że nie będzie jej trudno wmieszać się w tłum gości.

Wzięła jedną z leżących na stole w holu broszurek, znalazła wolne krzesło w kącie, usiadła i zagłębiła się w lekturze. Już po chwili wiedziała, że ośrodek prowadzony jest w sposób daleko odbiegający od jej wyobrażeń o centrach odwykowych: żadnych kaftanów bezpieczeństwa ani zamków w drzwiach, a jedynie dwadzieścia trzy wszechstronnie przygotowane osoby, gotowe służyć pacjentom całym swym doświadczeniem. Atmosfera tu panująca przywołała na myśl raczej urlop na wsi niż klinikę. Ku radości Mattie, w broszurze wydrukowano także plan budynku, który wykorzystała podczas poszukiwań.

Charlesa Collingridge'a znalazła przed budynkiem. Siedział na ławce, rozkoszując się widokiem doliny i blaskiem późnopaździernikowego słońca. Nie miała ochoty oszukiwać tego człowieka, ale przecież właśnie po to tu przyjechała.

— Och, Charles! Co za niespodzianka!

Aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

— Prze... przepraszam, ale nie poznaję pani...

— Jestem Mattie Storin. Nie pamięta pan? Dwa tygodnie temu spędziliśmy razem wieczór w Bournemouth.

— Bardzo panią przepraszam, panno Storin, ale nie pamiętam. Jestem alkoholikiem — dlatego właśnie tu trafiłem — i obawiam się, że dwa tygodnie temu byłem w takim stanie, że nie bardzo wiem, co się ze mną działo.

Jego szczerłość sprawiła, że Mattie dosłownie zapomniała języka w ustach. Charles Collingridge uśmiechnął się ze smutkiem.

— Proszę się nie przejmować. Najważniejszy krok, który musiałem zrobić, polegał właśnie na przyznaniu się przed samym sobą, że jestem alkoholikiem. Dawniej miałem miliony wymówek. Dopiero od chwili gdy zdołałem spojrzeć prawdzie w oczy, mogę na nowo potykać się z otaczającym światem.

Mattie się zaczerwieniła. Zrozumiała, że bez pukania wkroczyła w prywatny świat chorego człowieka. Było jej wstyd.

— Charles, skoro mnie nie pamiętasz, na pewno nie pamiętasz też, że jestem dziennikarką.

Uśmiech zniknął, a jego miejsce zajął wyraz rezygnacji.

To się chyba musiało wreszcie zdarzyć, choć Henry miał nadzieję, że będą miał tu choć trochę spokoju.

— Charles, pozwól, że ci wyjaśnię. Nie przyjechałam, żeby utrudniać ci życie, a kiedy wyjadę, twoja prywatność będzie szanowana tak samo jak dotąd. Przynajmniej przeze mnie. Uważam, że prasa jest ci to winna.

— Chyba tak...

— Ale potrzebuję twojej pomocy. Więc proszę, przez chwilę nic nie mów. Po prostu słuchaj. Zgoda?

Pokiwał głową.

— Twój brat zmuszony był podać się do dymisji, ponieważ oskarżono go, że pomógł ci w spekulacjach akcjami. — Charles zamachał nerwowo ręką, chcąc jej przerwać, jednak Mattie nie zareagowała. — Charles, wszystkie te zarzuty są moim zdaniem idiotyczne. Ryzykować stanowisko dla nędznych kilku tysięcy funtów? To nieprawdopodobne. Poza tym wiem, że ktoś już od dłuższego czasu starał się zagrozić pozycji twojego brata, zdradzając prasie szkodzące mu informacje. Nie wiem, kto to taki, choć mam pewne podejrzenia. Przyjechałam tu, bo pomyślałam, że może ty będziesz w stanie mi pomóc.

— Panno Storin... A raczej Mattie, skoro jesteśmy starymi znajomymi... Jestem alkoholikiem i nawet cię nie pamiętam, więc jak miałbym ci pomóc? Poza tym nikt nie uwierzy w to, co powiem.

— Nie jestem ani sędzią, ani prokuratorem, Charles. Po prostu próbuję poukładać te tysiące porzucanych fragmentów w logiczną całość.

Patrzył przed siebie na odległe wzgórze i ledwo za nimi widoczny kanał La Manche.

— Mattie, wierz mi, że naprawdę starałem się cokolwiek sobie przypomnieć. Nawet nie wiesz, jak trudno mi żyć z myślą, że zhańbiłem Henry'ego i doprowadziłem do jego dymisji. Ale nic nie wiem na temat żadnych akcji. Nic. I nie mam pojęcia, jak było naprawdę. Obawiam się, że nie będę w stanie ci pomóc.

— Czy nie pamiętałbyś chociaż jakichś pojedynczych szczegółów, gdybyś rzeczywiście kupił te akcje?

— Przez ostatni miesiąc byłem bardzo chory... — roześmiał się cicho. — Bardzo pijany. Wielu rzeczy w ogóle nie pamiętam.

— Ale czy nie zapamiętałbyś, skąd wzięłeś pieniądze na zakup akcji albo co zrobiłeś z zyskiem?

— Przyznaję, że to bardzo mało prawdopodobne, żebym miał gdzieś niewielką fortunę i nie pamiętał o niej lub, co bardziej prawdopodobne, nie wydał jej na alkohol. I nie mam pojęcia, co się stało z tymi pieniędzmi. W końcu nawet ja nie zdołałbym przepić pięćdziesięciu tysięcy funtów w parę tygodni.

— A co z fałszywym adresem w Paddington?

— To dopiero zagadka. Nawet na trzeźwo nie wiem, gdzie jest Praed Street w Paddington, więc wydaje się niepojęte, że mogłem tam trafić po pijanemu. Tym bardziej że mieszkam na dokładnie przeciwnym krańcu Londynu.

— Ale przecież właśnie ten adres podałeś, składając zamówienie w biurze sprzedaży wysyłkowej literatury partyjnej.

Charles Collingridge wybuchnął gromkim śmiechem.

— Mattie, zaczynasz mi przywracać wiarę w siebie. Nieważne, jak bardzo byłem pijany, to po prostu nieprawdopodobne, że mogłem się zainteresować literaturą polityczną. Szlag mnie trafia, kiedy w czasie kampanii wyborczej wrzucają mi do skrzynki ulotki propagandowe, więc podejrzewanie mnie o to, że zechciałbym coś takiego zaprenumerować, jest dla mnie zwyczajną obrazą!

— I nigdy nie wpłaciłeś ani pensa na konto biura wysyłkowego?

— Nigdy!

Słońce zaczynało już zachodzić, a jego ciepłe czerwone światło rozjaśniało twarz Charlesa, który wydawał się szybko powracać do zdrowia.

— Nie potrafię tego udowodnić, ale nie wierzę, że jestem winien tego, o co się mnie oskarża. I bardzo bym chciał, żebyś ty mi uwierzyła.

— Wierzę, Charles. Naprawdę. I mam zamiar to udowodnić.

Wstała.

— Dziękuję za wizytę, Mattie. Mam nadzieję, że jako stara znajoma jeszcze mnie odwiedzisz?

— Oczywiście, że tak. Ale na razie muszę trochę poszperać.

Był późny wieczór, kiedy wróciła do Londynu. Pierwsze wydania niedzielnych gazet były już w sprzedaży. Mattie kupiła tyle różnych tytułów, że miała poważne kłopoty z doniesieniem ich do samochodu. Rzucając je na tylne siedzenie, zwróciła uwagę na nagłówek w „Sunday Timesie”.

„A cóż takiego się stało, że Harold Earle strzepi sobie język w obronie środowiska?” — pomyślała.

Minister edukacji, który nigdy nie darzył Greenpeace szczególną sympatią, zgłosił swą kandydaturę na przywódcę partii, a jednocześnie wygłosił przemówienie pod tytułem „Oczyśćmy ten kraj”.

„Bez końca rozmawiamy o problemach dręczących nasze miasta, podczas gdy mieszkańcy każdego dnia obserwują ich obumieranie. Na dodatek pogarszającej się sytuacji w miastach towarzyszy ubolewania godna degeneracja ogromnych terenów wiejskich — cytował «Sunday Times». — Zbyt długo zaniedbywaliśmy te sprawy i teraz przyjdzie nam za to zapłacić. Powtarzanie zapewnień o prawdziwej trosce nie może zastąpić rzeczywistych działań. Nadszedł czas, by słowa poprzeć czynami. Wyniki sondaży opinii publicznej wykazują, że zdaniem wyborców ochrona środowiska jest najważniejszą nieekonomiczną sprawą, w której zawiedliśmy. Na to wyzwanie mamy więc obowiązek odpowiedzieć.”

— Ależ ze mnie idiotka — powiedziała głośno Mattie. — Tępieję na stare lata. Kto odpowiada za sprawy środowiska, a tym samym ponosi winę za tak fatalną sytuację?

W ten sposób rozpoczęła się kampania mająca na celu wyeliminowanie Michaela Samuela.

## ŚRODA, 3 LISTOPADA

W ciągu następnego tygodnia Mattie wielokrotnie próbowała skontaktować się z Kevinem Spence'em, lecz on wciąż był poza biurem. Pomimo zapewnień, powtarzanych przez jego wylewnie grzeczną sekretarkę, Mattie wiedziała, że Spence jej unika. Nie okazał więc nadmiernego zadowolenia, kiedy zdesperowana, zadzwoniła któregoś wieczora i została połączona przez nocnego stróża bezpośrednio z jego numerem wewnętrznym.

— Nie, wcale cię nie unikam — zapewnił ją Spence. — Po prostu byłem strasznie zajęty. Sama widzisz, że pracuję do bardzo późna.

— Kevinie, znów potrzebuję twojej pomocy.

— Jeszcze nie zapomniałem ostatniego razu, kiedy ci pomogłem. Twierdziłaś, że chcesz pisać o sondażach, a napisałaś historyjkę, która zniszczyła premiera — mówił ze szczerym smutkiem. — To porządny człowiek i uważam, że prasa potraktowała go wyjątkowo okrutnie.

— Kevin, daję ci słowo, że nie odpowiadam za tamten artykuł. Może tego nie zauważyłeś, ale nawet nie było pod nim mojego nazwiska, a jego treść oburzyła mnie nie mniej niż ciebie. Dzwonię właśnie w sprawie dymisji premiera Collingridge'a. Osobiście nie wierzę w prawdziwość stawianych jemu i jego bratu zarzutów i bardzo chciałabym się przyczynić do wyjaśnienia całej tej afery.

— Nie wiem, w czym miałbym ci pomóc — odparł tonem pełnym nieufności. — A poza tym nikomu spoza biura prasowego nie wolno rozmawiać z prasą. Aż do zakończenia kampanii wyborczej. To polecenie prezesa.

— Kevin, stawka jest wysoka. Nie chodzi tylko o to, kto zostanie przywódcą partii i czy uda wam się wygrać następne wybory, ale także o to, czy Henry Collingridge przejdzie do historii jako oszust i złodziej, czy też zostanie oczyszczony z zarzutów. Chyba jesteśmy mu to winni?

Spence milczał przez dłuższą chwilę. Mattie wyczuła, że jego wrogość powoli topnieje.

— Gdybym zdecydował się ci pomóc, czego dokładnie byś oczekiwała?

— To dość prosta sprawa. Znasz się na systemie komputerowym w centrali partii?

— Oczywiście. Przecież korzystam z niego, ilekroć analizuję wyniki ankiety. Mam swój terminal podłączony bezpośrednio do głównej sieci.

— Przypuszczam, że ktoś włamał się do waszego systemu.

— Włamał się? To niemożliwe. System jest bardzo dobrze zabezpieczony. Nikt z zewnątrz nie ma do niego dostępu.

— Nie z zewnątrz, Kevinie.

Zapadła cisza. Spence był tak oszołomiony, że zapomniał języka w ustach.

— Jestem teraz w Izbie Gmin — odezwała się Mattie. — Mogę być u ciebie za niecałe dziesięć minut. O tej porze chyba nie kręci się tam zbyt wielu twoich kolegów. Nikt się o niczym nie dowie, Kevinie. Jadę.

Zanim zdążył wymamrotać słowa protestu, Mattie odłożyła słuchawkę. Po siedmiu minutach była już na miejscu.

Siedzieli w jego ciasnym, zagraconym i zawalonym papierami gabinecie na poddaszu ze wzrokiem utkwionym w zielonym monitorze.

— Kevin, Charles Collingridge zaprenumerował jakieś materiały w waszym biurze sprzedaży wysyłkowej i polecił dostarczać je na adres w Paddington. Zgadza się?

— Tak. Sprawdziłem to zaraz po tamtym programie. Wszystko się zgadza. Zresztą sama zobacz.

Wcisnął kilka klawiszy i po chwili na ekranie ukazał się dowód winy Charlesa Collingridge'a: „Chas Collingridge Esq 216 Praed St Paddington London W2 — 0001A/01.0091.”

— Co znaczą wszystkie te znaczki?



— Te pierwsze oznaczają, że zaprenumerował pełen zestaw wydawnictw, a następne, że nie zalega z opłatami. Gdyby chciał otrzymywać tylko najważniejsze wydawnictwa albo też był członkiem naszego klubu książki, cyfry byłyby inne.

— Czy te informacje są dostępne w każdym komputerze w tym budynku?

— Tak. To żadna tajemnica.

— A gdybyś nabrał nagle ochoty na złamanie przepisów i wpisanie mnie na listę subskrybentów, byłbyś w stanie to zrobić? Czy mógłbyś wprowadzić moje dane?

— To znaczy teraz, bez dokonywania żadnych wpłat? No... tak. — Spence zaczynał rozumieć, do czego Mattie zmierza. — Myślisz, że dane Charlesa Collingridge'a zostały wprowadzone do komputera przez kogoś, kto chciał mu zaszkodzić? Tak, to możliwe. Popatrz.

Po paru sekundach na ekranie pojawił się następujący napis: „M Mouse Esq, 99 Disneyland Miami.”

— Ale nie jestem w stanie antydatować tego aż do początku roku, ponieważ... Boże, ale ze mnie dureń! Oczywiście! — wykrzyknął.

— Przecież jeśli wie się jak, to wszystko można sprawdzić! — Tak mocno stuknął w klawisze, że prawie nie było słyhać, co mówi.

— Dobrze. W ten sposób udało nam się dostać do nieco tajniejszych danych finansowych. Możemy teraz sprawdzić, czy wpłaty dokonano gotówką, czy też czekiem, a także kiedy to zrobiono.

Wcisnął odpowiednie klawisze.

— Te dane mogą zostać wprowadzone albo zmienione tylko przez pracowników księgowości. Nikt inny nie zna hasła.

Uważnie przestudiował informacje wyświetlone na monitorze, wcisnął jeszcze kilka klawiszy, po czym zwrócił się do Mattie:

— Z danych wynika, że Charles Collingridge nigdy nie wpłacił ani funta na rzecz biura wysyłkowego. Jego nazwisko widnieje w kartotece prenumeratorów, a nie w kartotece wpłat!

— A czy jesteś w stanie sprawdzić, kiedy go wpisano?

Jeszcze kilka uderzeń w klawisze.

— Jezus Maria! Dokładnie dwa tygodnie temu!

— A więc ktoś w tym budynku, i na pewno nikt z księgowości, sfalszował dwa tygodnie temu dane i wprowadził do komputera nazwisko Charlesa Collingridge'a?

— To straszne... — Spence pobrał.

— Kevin, czy istnieje jakakolwiek możliwość ustalenia, kto to zrobił? A przynajmniej z którego terminalu wprowadzono fałszywe dane?

— Niestety, nie. Mógł to być praktycznie każdy. Program komputerowy nam ufa... — Pokręcił z niedowierzaniem głową, zupełnie jakby oblał najważniejszy egzamin w życiu.

— Nie martw się, Kevinie. Jesteśmy na tropie. Ale muszę cię prosić o zachowanie całkowitej dyskrecji. Nikt nie może się niczego dowiedzieć. Bo jeśli ten ktoś zorientuje się, że coś wiemy, zatrze ślady. Dlatego proszę cię, pomóż mi raz jeszcze i trzymaj język za zębami.

— I tak nikt by mi nie uwierzył — mruknął.

## NIEDZIELA, 7 LISTOPADA

Przeglądając w ten weekend gazety, łatwo było dostrzec poirytowanie dziennikarzy. Specyfika kampanii wyborczej spowodowała, że kandydaci unikali bezpośredniej agitacji oraz osobistych ataków na rywali. Tak jakby najlepszy kandydat miał się wyłonić w jakiś tajemniczy sposób, zupełnie bez swego w tym udziału, i raczej w rezultacie consensusu aniżeli otwartej walki. Toteż dziennikarzom zostały na następne dziesięć dni jedynie bardzo zawoalowane wypowiedzi, które nie interesowały opinii publicznej i nie mogły zaowocować oczekiwaną dżunglą sensacyjnych nagłówków. Kampania nie tyle straciła impet, co po prostu nigdy go nie nabrała.

W efekcie prasa zaczęła atakować kandydatów — nie miała wyboru. „Pozbawiona polotu kampania rozczarowuje. Wciąż czekamy na kandydata, który tchnie w nią choć odrobinę życia” — pisał „Observer”. „Irytująco nudna” — narzekał „Sunday Mirror”. Nie chcąc zostać w tyle „Sun” w charakterystycznym dla siebie stylu napisał, że kampania jest „niemrawa niczym wieczorna bryza”.

Wcale nie zmuszając do rzeczowej, racjonalnej argumentacji, co w rozmowie z premierem zapowiadał Urquhart, przedłużona kampania była po prostu nudna, na co zresztą Chief Whip w głębi duszy liczył.

Nie bardzo pocieszało to Mattie, równie przekonanej o szykującym się grubym oszustwie, co niezdolnej posunąć się choćby o krok ze swym śledztwem. Praca dziennikarza jest znacznie trudniejsza, kiedy nie dzieje się nic sensacyjnego, więc niemrawa kampania wyborcza spędzała sen z oczu niemal wszystkim reporterom, którzy nie bardzo mieli czym zapełniać centymetry kwadratowe swych gazet.

— Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, Mattie. Ta sprawa w dalszym ciągu nie istnieje — stwierdził Johnnie. — Machlojki z komputerem to fascynujący dowód pośredni, ale co z udziałami, z kontem w banku, z Paddington?

Wyplątała się z jego ramion, w których przespała większą część niedzielnego popołudnia. Ponieważ pogoda była wstrętna nie potrzebowali specjalnej zachęty do pozostania przez całe popołudnie w łóżku.

— Akcje kupił ten, kto otworzył konto i wynajął skrytkę w Paddington — zaczęła Mattie, chcąc uporządkować posiadane informacje.

— To jedyny logiczny wniosek, do jakiego można dojść. Ale bardzo trudno iść tym śladem. Bank zdradził jedynie, że konto zamknięto po niecałych dwóch tygodniach od założenia, natomiast stanowczo odmówił pokazania podpisu złożonego przez założyciela na dokumentach. Sprzedawca z Paddington jest jeszcze mniej skłonny do współpracy. Prawdopodobnie cały ten rozgłos bardzo zaszkodził ciemnym interesom, które prowadzi na zapleczu swego sklepu.

— Ale co ty właściwie chcesz udowodnić? Musisz ustalić nie to, czy Charles Collingridge naprawdę kupił te akcje, tylko czy mógł zrobić to kto inny? Jeśli tak, to razem ze sprawą tego komputera możesz mieć zupełnie niezły początek artykułu.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Ty wciąż nie wierzysz, że te oskarżenia sfabrykowano, prawda?

— Przecież nawet jeszcze nie dowiodłaś, że popełniono przestępstwo, nie mówiąc już o jakichkolwiek hipotezach, kto je popełnił — zaczął, jego głos złagodniał jednak na widok zniecierpliwienia w jej oczach. — Bądź realistką, Mattie. Jeśli zdecydujesz się ogłosić publicznie swą teorię wielkiego spisku, musisz być przygotowana na bardzo sceptyczny odbiór. W kółko powtarzając „może”, nikogo nie przekonasz. Jeśli się mylisz, twoja kariera stanie pod znakiem zapytania. Jeśli natomiast masz rację, będziesz miała potężnych wrogów, którzy mogą zaszkodzić ci nawet bardziej. Skoro są w stanie poradzić sobie z premierem, co to dla nich za problem pozbyć się ciebie? — Poglądził ją po głowie. — Nie chodzi o to, czy wierzę w prawdziwość twojej teorii, a o to, że zależy mi na tobie i nie chcę, żebyś wplątała się w coś, czemu nie będziesz miała szans podołać. Jeśli mam być szczerzy, to boję

się, że możesz posunąć się odrobinę za daleko. Zastanów się, czy naprawdę warto?

Natychmiast zrozumiał, że powiedział coś, czego nie powinien. Nie miał pojęcia, o co chodzi, lecz wyczuł, jak ciało Mattie sztywnieje i staje się niewrażliwe, zupełnie jakby otoczyła je twarda, zimna skorupa.

— Do diabła, Johnnie, przede wszystkim należałoby się bać, gdyby okazało się, że to wszystko prawda, a nikt by nie zareagował — warknęła. — A poza tym sam mnie przecież zachęcałeś, żebym zajęła się tą cholerną sprawą.

— Ale to było przedtem, Mattie... Zanim trafiłaś do mojego łóżka i życia. Teraz to już nie jest dla mnie po prostu artykuł. To sprawa osobista. Zależy mi na tobie, Mattie.

— A więc o to chodzi! Mam wszystko rzucić i skoncentrować się na rozkładaniu nóg! Dziękuję ci uprzejmie. Prosiłam cię, żebyś mnie wziął, Johnnie, ale nie na własność.

Odwróciła się na drugi bok, żeby nie widział jej twarzy. Wyczuła jego oszołomienie i cierpienie, ale nie wiedziała, jak ma mu to powiedzieć. Jak wytłumaczyć panikę, którą poczuła w chwili, gdy się zorientowała, że będzie musiała wybrać pomiędzy nim a karierą. O Boże! Znowu to samo!

— Posłuchaj, Johnnie... — miała straszne problemy ze znalezieniem odpowiednich słów. — Mnie także na tobie zależy. Bardzo. I ty dobrze o tym wiesz. Ale najważniejsza jest dla mnie moja kariera. I ta sprawa. Nie pozwolę, by cokolwiek mnie powstrzymało. — Na chwilę przerwała. — Może popełniliśmy błąd.

— Co?! Tak po prostu mówisz „do widzenia”? Zaciągnęłaś mnie do łóżka, jakbym był ostatnim jaskiniowcem na kuli ziemskiej, a teraz, po kilku gorących nocach, mówisz „odpieprz się”, tak? O to chodzi? A więc mam być po prostu jeszcze jednym nacięciem na poręczu twojego łóżka?

Jego złośliwość głęboko ją zraniła.

— Potrzebowałam cię, Johnnie. Potrzebowałam mężczyzny, a nie zaangażowania na całe życie. Chciałam znów poczuć się kobietą. Już od tak dawna...

— Wspañiale! Miliony fiutów dookoła, a ty musiałaś wybrać akurat

tego! Nie wiedziałem, że o to chodziło, Mattie. Niepotrzebnie robiłaś sobie kłopot — odparł z goryczą i wściekłością.

— Johnnie, przestań! To nie w porządku. Nie zmuszaj mnie, żebym powiedziała coś, czego wcale nie myślę. Naprawdę bardzo cię lubię. I w tym cały kłopot.

— Aha, kłopot! A więc cieszę się, że masz go już za sobą — roześmiał się ponuro i utkwiał wzrok w suficie.

Mattie ukryła twarz w poduszce. Nie chciała go zranić, ale co miała zrobić, żeby zrozumiał? Od przyjazdu do Londynu nie rozmawiała z nikim na ten temat, więc może nadeszła już odpowiednia pora?

— Był ktoś inny — zaczęła słabym, drżącym głosem. — W Yorkshire. Ktoś bardzo mi bliski. Zналиśmy się od dzieciństwa i wszyscy uznali, że nasz związek jest... trwały. Nikt mnie nie pytał o zdanie. Po prostu wszystkim wydawało się to oczywiste. Ale ja pragnęłam czegoś więcej i kiedy zmusił mnie do wyboru pomiędzy nim a karierą, wybrałam karierę. Nie mogłam zrobić inaczej, Johnnie! — wykrzyknęła, jakby bojąc się, że nie zrozumie ani nie zaakceptuje jej decyzji.

Jego zimne spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, że się nie myliła.

— Ale... on się zupełnie załamał. Zaczęły się błagalne listy, nocne telefony... Godzinami, czasami przez całą noc stał na rogu mojej ulicy. — Wzięła głęboki oddech, jakby wyczerpały ją te wspomnienia. — A... a potem zdarzył się ten wypadek. Długi prosty odcinek szosy, mały ruch... a on wpadł na drzewo. Musieli ciąć karoserię, żeby go wyciągnąć. Kiedy się o tym dowiedziałam, poczułam się, jakby to wszystko była moja wina, jakbym to ja rozbiła ten samochód. Czułam się winna, a jednocześnie byłam na siebie wściekła właśnie za to, że się tak czuję. Przecież nie zrobiłam nic złego!

Rozpaczliwie próbowała się usprawiedliwić i przekonać go, że jest niewinna, lecz jej oczy wypełniły łzy udręczenia i samooskarżenia, które po chwili zaczęły płynąć po policzkach.

— Musiałam zebrać całą siłę woli, żeby zmusić się do odwiedzenia go w szpitalu. Czekać w holu, spędziłam najbardziej samotne godziny w swoim życiu. A później... przyszła pielęgniarka i powiedziała, że on nie chce mnie nigdy więcej widzieć, po czym natychmiast odeszła, zostawiając mnie samą w tym cholernym pustym holu. Poczułam się zupełnie bezwartościowa. — Za wszelką cenę starała się teraz zapanować nad emocjami. — On uznawał

albo wszystko, albo nic, Johnnie. Naprawdę mi na nim zależało, ale udało mi się jedynie sprawić mu ból i zmienić jego miłość w nienawiść. To... to prawie go zabiło. Dlatego właśnie wyjechałam z Yorkshire. Żeby poprzez pracę odzyskać wiarę w siebie i poczucie własnej wartości. A teraz... zjawiłeś się ty i zaczyna mi za bardzo na tobie zależeć. Nie chcę ryzykować, że to wszystko się powtórzy.

Ich spojrzenia ponownie się spotkały. W miarę słuchania z jego oczu powoli zniknął gniew, kiedy się jednak odezwał, w jego głosie nadal obecna była pewna doza wrogości:

— Wierz mi, że wiem, co znaczy stracić kogoś, kogo się kocha. Wiem, jaki smutek i samotność się wtedy czuje. Ale to nie ty prowadziłaś ten samochód. Nie zmienisz faktów po prostu przed nimi uciekając. A właśnie to robisz: uciekasz przed faktami! — Pokręciła przecząco głową, lecz nie dała sobie przerwać. — Możliwe, że kiedy przyjechałaś do Londynu, goniłaś swą przyszłość. Ale także chowałaś się przed wszystkim, co w przeszłości cię zraniło. A to nie ma sensu, Mattie! Czy ty tego nie rozumiesz? Ucieczka w dziennikarstwo nie jest żadnym wyjściem. Śledzenie, ujawnianie afer czy też niszczenie ludzi w imię dochodzenia prawdy nie ma żadnego sensu, jeśli nie stać cię później, by spojrzeć im w oczy i przyjąć do wiadomości ich cierpienie.

— To nieuczciwe... — próbowała protestować.

— Czyżby? Chciałbym, żeby tak było, ale jeśli nie potrafisz pogodzić się z tym, że twoja praca może wielu niewinnym ludziom sprawić cierpienie, nigdy nie będziesz dobrą dziennikarką. Jeśli ci się wydaje, że możesz niczym motyl przeskakiwać z tematu na temat, żadnemu nie poświęcając wystarczająco wiele czasu, by dostrzec zniszczenie, które twoja wersja prawdy może spowodować, to jakie, do diabła, masz prawo twierdzić, że twoja praca ma jakąkolwiek wartość? Wolno ci krytykować zarozumiałych polityków, ale jakie masz prawo krytykować czyjeś zaangażowanie, skoro sama nie potrafisz się zaangażować? Twierdzisz, że się boisz. Ale w tym wszystkim chodzi właśnie o zaangażowanie, Mattie. I nie możesz uciekać przed nim przez całe życie!

Lecz ona już uciekała. Łkając, wpadła do łazienki i szybko się ubrała. Po chwili wybiegła z domu, zostawiając za sobą jedynie echo swego szlochu.

## PONIEDZIAŁE, 8 LISTOPADA — PIĄTEK, 12 LISTOPADA

Sobotnio-niedzielną zmasowaną krytykę poskutkowało i już w poniedziałek kampania nabrała nowych barw. Zachęceni przez przedstawiony w mediach pogląd, że ten najlepszy kandydat jeszcze się nie wyłonił, do walki o władzę stanęli dwaj następni ministrowie — Peter McKenzie i Patrick Woolton.

Obydwu dano spore szanse. McKenzie zdobył dużą popularność dzięki programowi rozwoju szpitalnictwa. Co więcej, skutecznie zadbał, by opóźnienia w jego wdrażaniu obciążęły wyłącznie konta Ministerstwa Finansów oraz premiera.

Woolton już od rozmowy z Urquhartem na konferencji w Bournemouth prowadził ożywioną działalność zakulisową. Nie było chyba na Fleet Street redaktora naczelnego, którego w ciągu ostatniego miesiąca nie gościł na lunchu. Podkreślając swe północnoangielskie pochodzenie, miał nadzieję zdobyć opinię kandydata narodowego. Liczył też, że zdoła maksymalnie odwlec zgłoszenie swej kandydatury, gdyż chciał najpierw poobserwować, jak będą się zachowywać jego rywale. Jednak po lekturze sobotnio-niedzielnej prasy doszedł do wniosku, że nie może już dłużej czekać. Zwołał konferencję prasową na lotnisku w Manchesterze, chcąc złożyć oświadczenie na własnym boisku, jak to określił, i mając nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na to, że aby się tam znaleźć, musiał najpierw przylecieć do Londynu.

Sobotnio-niedzielną prasę pobudziła do działania także tych, którzy już wcześniej zgłosili swe kandydatury. Dla Michaela Samuela czy Harolda Earle'a stawało się powoli jasne, że ich dżentelmeńskie kampanie z niejasnymi, zawoalowanymi aluzjami prowadzą donikąd. Wobec pojawienia się



nowych kandydatów należało czym prędzej zastanowić się nad odświeżeniem swych wizerunków, a przede wszystkim zacząć używać znacznie ostrzejszych argumentów.

Pod presją wydłużonej kampanii kandydaci stawali się coraz bardziej nerwowi — toteż prasa dostała wreszcie to, czego chciała. Kiedy Harold Earle ponownie, lecz tym razem już po imieniu, zaatakował osiągnięcia Michaela Samuela jako ministra ochrony środowiska, ten podjął rękawicę i oskarżył Earle'a o karygodne i nie licujące z funkcją ministra edukacji zachowanie, z całą pewnością nie nadające się do naśladowania przez młodzież. W tym samym czasie Woolton podczas konferencji prasowej w Manchesterze obcesowo stwierdził, że „tylko kandydat angielskiego pochodzenia jest w stanie doprowadzić do przywrócenia tradycyjnych angielskich wartości”, co spowodowało gwałtowny sprzeciw McKenziego, który pośpiesznie starał się odkryć na nowo swe celtyckie korzenie i oświadczył, że wypowiedź ta jest obelgą dla pięciu milionów Szkotów. Jak zawsze oryginalny „The Sun” zinterpretował słowa Wooltona jako podły antysemitki atak na Samuela, co z kolei spowodowało zalanie prasy, radia i telewizji wypowiedziami oburzonych działaczy żydowskich. Rabin z okręgu wyborczego Samuela wezwał Komisję do Spraw Zwalczania Dyskryminacji Rasowej do wszczęcia postępowania w sprawie „tego wystąpienia niegodnego wysokiego urzędnika i najbardziej ohydneho od czasów Mosleya”. Wooltona te histeryczne reakcje wcale nie zmartwiły.

— Przez najbliższe dwa tygodnie będą przyglądać się kształtowi jego uszu, zamiast słuchać, co mówi — wyjaśnił jednemu ze swych bliskich współpracowników.

W środę po południu Urquhart uznał, że sprawy posunęły się wystarczająco daleko, i wydał oficjalne oświadczenie nawołujące do „powrotu do wzorców zachowań, z których słynie nasza partia, a bez których stworzenie rządu kolektywnego stanie się niemożliwością.” Odbiło się ono głośnym echem w komentarzach redakcyjnych, choć na pierwszych stronach gazet w dalszym ciągu królowały pojedynki na obelgi.

Nic dziwnego więc, że gdy w piątek po południu Mattie weszła do gabinetu Prestona i spytała, czy interesuje go świeży punkt widzenia na kampanię, jego reakcja nie była zbyt entuzjastyczna.

— Chryste, będę szczęśliwy, kiedy wreszcie zaczniemy na nowo zajmować się prawdziwymi wiadomościami — odparł niechętnie.

— Nie jestem pewien, czy możemy sobie pozwolić na poświęcenie jeszcze więcej miejsca całemu temu skrytobójstwu.

— Skrytobójstwo, o którym mówię, jest zupełnie innego gatunku — odparła wyzywająco.

Preston wciąż patrzył na szcztokę pierwszej strony najbliższego numeru gazety, ewidentnie lekceważąc Mattie, która mimo to nie miała zamiaru rezygnować.

— Wybory są wynikiem dymisji Collingridge'a, a tę z kolei spowodowały postawione jemu i jego bratu zarzuty nielegalnego handlu akcjami za pośrednictwem podrzędnego tureckiego banku oraz sklepiku z gazetami w Paddington. Myślę, że jesteśmy w stanie udowodnić, że oskarżenia zostały sfabrykowane.

Preston uniósł w końcu wzrok.

— O czym ty, do cholery, mówisz?

— Twierdzą, że Collingridge został wrobiony. I chyba potrafię to udowodnić.

Preston nie potrafił znaleźć słów, aby wyrazić swoje zdziwienie, szczeka zaś opadła mu tak nisko, że Mattie natychmiast przyszło do głowy, iż w swych okularach naczelny wygląda jak złota rybka.

— Oto, co udało mi się zebrać, Grev.

Cierpliwie wyjaśniła, jak sprawdziła kartotekę komputerową w centrali partii i odkryła, że dokonano fałszerstwa.

— Zrobiono to, aby powiązać adres w Paddington bezpośrednio z osobą Charlesa Collingridge'a. Skrytkę pocztową w tamtym sklepie mógł wynająć praktycznie każdy. Podobnie jak otworzyć konto w banku. Nie przypuszczam, żeby Charles Collingridge odwiedził kiedykolwiek Paddington. Ktoś inny zrobił to w jego imieniu — ktoś, kto próbował go wrobić!

Preston słuchał teraz uważnie.

— Dziś rano osobiście udałam się do Paddington. W tym samym sklepie wynajęłam skrytkę na fikcyjne nazwisko. Następnie pojechałam taksówką do Union Bank of Turkey przy Seven Sisters Road, gdzie na to samo fikcyjne nazwisko otworzyłam konto. Oczywiście nie wpłaciłam pięćdziesięciu tysięcy funtów, a tylko sto. Cała sprawa, od początku do końca, zajęła mi

niecałe trzy godziny. Tak więc mogę teraz zacząć zamawiać pisma pornograficzne na adres w Paddington, płacić za nie za pośrednictwem Union Bank of Turkey i w ten sposób zepsuć reputację pewnemu Bogu ducha winnemu politykowi.

— Komu? — spytał Preston, wciąż nie bardzo rozumiejąc.

Roześmiała się i rzuciła na biurko naczelnego pokwitowanie z Paddington oraz papiery z banku. Preston przyjrzał się im uważnie.

— Lider opozycji! — wykrzyknął. — Czyś ty oszalała?!

— Nie — odparła Mattie i uśmiechnęła się triumfalnie. — Po prostu dowiedziałam, że Charlie Collingridge niemal na pewno został wrobiony. Że prawie na pewno nigdy nawet nie przechodził koło tego sklepu ani banku i w związku z tym nie mógł kupić tych akcji.

Preston trzymał wręczone dokumenty na odległość ramienia, jakby się bał, że za chwilę eksplodują.

— To oznacza, że Henry Collingridge nie zdradził bratu informacji dotyczących Renox Chemicals... — Jej intonacja sugerowała, że zdanie ma dalszy ciąg.

— I co? I co?! — Preston zerwał się z miejsca.

— Nie musiał składać rezygnacji.

Naczelnny opadł z powrotem na krzesło, a po czole popłynęły mu strugi potu, skleijając włosy w kosmyki. Wyglądał na strasznie przygnębionego. Czuł się wewnętrznie rozdarty. Jednym okiem widział korzyści płynące z opublikowania tak wyjątkowego artykułu, dzięki któremu przy odpowiedniej promocji, niski ostatnio nakład dziennika mógł znacznie wzrosnąć. Nie miało specjalnego znaczenia, czy wszystkie fakty zostały dokładnie sprawdzone. Prawnicy gazety zadbaliby, aby artykuł nikogo nie zniesławił.

Drugim okiem jednakże dostrzegał ogromny wpływ, jaki opublikowanie takiego materiału wywarłoby na przebieg wyścigu po władzę, oraz nie dającą się opanować falę uderzeniową, która mogłaby zmieść z powierzchni ziemi niewinnych widzów, w tym również jego. A przecież Landless powiedział mu przez telefon, że na ogniu kampanii wyborczej zamierza upiec jeszcze jedną pieczeń...

Preston odgarnął do tyłu kosmyk włosów, który przykleił mu się do okularów, to jednak wcale nie pozwoliło mu widzieć lepiej. Nie miał pojęcia, na którym obrazie powinien się skupić. Otrzymał wyraźne polecenie uzgadniania

z Landlessem treści wszystkich artykułów mogących mieć wpływ na przebieg kampanii, więc w tak ważnej sprawie bał się podjąć jakąkolwiek decyzję. Musiał grać na zwłokę.

— Mattie, nie bardzo wiem, co powiedzieć. Zdaję sobie sprawę, że sporo się napracowałaś. — Przeglądał w myślach swój leksykon frazesów, które do niczego nie zobowiązują, a jednocześnie nie zniechęcają słuchacza. Było to opasłe tomisko, lecz Preston zamknął je nagle z hukiem. — Rzeczywiście, wykazałaś, że ktoś mógł krążyć po Londynie i otwierać rachunki w imieniu Collingridge'a, ale nie udowodniłaś, że nie był to on sam. A takie wyjaśnienie wydaje się najbardziej prawdopodobne.

— A co z fałszerstwem danych w kartotece komputerowej? Nie doszłoby do niego, gdyby Charles Collingridge był winny.

— Czy nie przyszło ci do głowy, że fałszerstwa dokonano nie po to, żeby obciążyć Collingridge'a, lecz by zapewnić mu alibi, zaciemniając całą sprawę już po jego zdemaskowaniu? Jest bardzo prawdopodobne, że sfalszowano dane nie w kartotece subskrybentów, tylko w księgowości. Po to, żeby sprowadzić cię na fałszywy trop.

— Ale tylko bardzo nieliczni znają hasło dające dostęp do danych księgowości — gwałtownie zaprotestowała Mattie. — Poza tym w jaki niby sposób Charles Collingridge miałby to zrobić? Przecież jest w ośrodku odwykowym.

— Ma brata.

Mattie nie wierzyła swym uszom.

— Chyba nie myślisz, że premier podjąłby tak wielkie ryzyko i kazał zmienić dane po to, aby sfalszować dowody?! I to już po złożeniu rezygnacji.

— Mattie, przypomnij sobie aferę Watergate, kiedy prezydent zniszczył taśmy i spalił dokumenty. Albo Irangate... Obciążające materiały podarła i wyniosła w bieliznie sekretarka. Tylko w ostatnich latach do więzienia trafiło kilkunastu ministrów i doradców prezydentów. A u nas? Jeremy Thorpe stanął przed sądem pod zarzutem próby zabójstwa, John Stonehouse poszedł siedzieć za sfingowanie swego samobójstwa, a Lloyd George sprzedawał tytuły para, pieprząc jednocześnie na stole swą sekretarkę. W polityce

dzieją się rzeczy dużo dziwniejsze niż w książkach. — Preston się ożywił. — Władza to narkotyk, Mattie. Działa na ludzi jak płomień świecy na ćmy. Człowiek gotów jest zaryzykować wszystko, nawet życie, aby ją zdobyć. Dlatego jest dużo bardziej prawdopodobne, że Charles i Henry Collingridge wpadli z rękoma w kasie i że starają się teraz wszystko zatuszować, niż że jest to jakiś wielki spisek przeciwko premierowi.

— A więc nie wydrukujesz mi tego!

— Tego nie powiedziałem — odrzekł Preston z uśmiechem, w którym nie było odrobiny sympatii. — Ale uważam, że nie udało ci się zebrać wystarczająco przekonujących dowodów. A przecież musimy uważać, żeby nie zrobić z siebie idiotów. Musisz nad tym jeszcze trochę popracować.

Uważał rozmowę za skończoną, Mattie jednak miała już dość takiego traktowania. Od swej ucieczki od Johnniego praktycznie cały czas spędziła na próbach rozwiązania tej zagadki. Starła się stłumić cierpienie, wiedząc, że tylko wyjaśnienie tej sprawy może przynieść jej ulgę. Nie mogła więc teraz tak łatwo ustąpić. Miała ochotę wrzeszczeć ze wściekłości, lecz przecież obiecała sobie, że za nic nie straci panowania. Wzięła głęboki oddech, spuściła na chwilę wzrok, odprężyła się i po chwili, prawie się uśmiechając, ponownie spojrzała na Prestona.

— Słuchaj, Grev. Może zechcesz mi coś wytłumaczyć? Albo ktoś wrobił premiera i jego brata, albo też Henry Collingridge potwierdził swą winę, fałszując dane w partyjnym komputerze. Tak czy owak, materiału wystarczy nam na cały tydzień.

— No tak. Ale nie mamy pewności, jak było. A musimy ją mieć. Szczególnie w samym środku kampanii nie możemy sobie pozwolić na pomyłkę w tak istotnej sprawie.

— Czy Collingridge nie zasługuje na próbę udowodnienia jego niewinności? Czy chcesz powiedzieć, że cała ta sprawa ma zaczekać aż do zakończenia kampanii, kiedy będzie już za późno?

Preston zaczął tracić panowanie nad sobą. Po raz kolejny stwierdził, że ta niedoświadczona dziewczyna, jedna z najmłodszych pracownic „Daily Telegraphu”, jest w stanie obalić każdy jego argument.

Tak jak przypuszczała, nie potrafiąc jej przekonać, sięgnął do arsenału pogróżek:

— Słuchaj no! — syknął, oskarżycielsko wyciągając w jej stronę palec. — Pakujesz mi się do gabinetu z tą fantastyczną historią, żądając, żebym wsadził ją na pierwszą stronę... A przecież to nawet jeszcze nie jest tekst. Więc skąd mam, do diabła, wiedzieć, czy naprawdę masz dobry materiał?

Jej niebieskie oczy lśniły niczym lód, a w głowie kłębiła się mnogość obelg, które miała ochotę rzucić w jego stronę. Zachowała jednak niezmałcony spokój.

— Za pół godziny dostaniesz ten tekst — powiedziała i wyszła.

Z trudem oparła się pokusie trzaśnięcia drzwiami.

Po prawie czterdziestu minutach wróciła. Weszła bez pukania, ściskając w dłoniach sześć stron maszynopisu. Bez słowa rzuciła je na biurko i stanęła naprzeciwko Prestona, dając jasno do zrozumienia, że nie ruszy się, zanim nie otrzyma odpowiedzi.

Preston nie zaproponował jej, by usiadła. Czytał powoli, starając się sprawić wrażenie, że zastanawia się nad decyzją. Było to jednak tylko myślenie oczu. Decyzja zapadła już parę minut po wyjściu Mattie i raptem kilka sekund po tym, jak udało mu się dodzwonić do właściciela gazety.

— Jest zdeterminowana, panie Landless. Wie, że ma materiał na dobry artykuł, i nie da się odprawić z kwitkiem. Co mam robić?

— Wytlumaczyć jej, że się myli. Przenieść do działu przepisów kulinarnych. Wysłać na wakacje. Mianować swoim zastępcą. Zrób pan co chcesz, byleby tylko siedziała cicho.

— To nie takie proste. Jest cholernie uparta. A poza tym to jeden z najlepszych mózgów w dziale politycznym.

— Preston, pamiętaj pan, że najlepszym mózgiem w dziale politycznym jestem ja! A pan masz trzymać swoich redaktorków za pyski! A może nawet tego nie potrafisz?! Zostały niecałe dwa tygodnie do końca kampanii, której stawką jest przyszłość tego kraju, moje interesy, a także twoja praca. Dlatego zrób pan co trzeba, żeby ją uciszyć. I nie spieprz chociaż tego!

Słowa właściciela wciąż brzmiały w uszach Prestona, kiedy przeglądał kartkę po kartce, już ich nawet nie czytając, lecz koncentrując się na tym, co ma powiedzieć. Świadomość władzy zawsze sprawiała mu przyjemność, lecz zdawał sobie sprawę, że Mattie Storin zupełnie nie pasuje do wzoru skamłającej

ofiary. Nie bardzo wiedział, w jaki sposób ma sobie z nią poradzić.

W końcu odłożył maszynopis i rozparł się na krześle. Czuł się pewniej, mając pod plecami oparcie.

— Nie wydrukujemy tego. To zbyt ryzykowne. Nie mam zamiaru wysadzić całej kampanii w powietrze, opierając się jedynie na domysłach.

Tego się właśnie spodziewała. Odpowiedziała szeptem, lecz jej słowa podziałały na Prestona niczym cios zadany rękawicą bokserską.

— Nie dam się odprawić z kwitkiem.

Do diabła! Dlaczego po prostu nie pogodziła się z tym, nie podarła kartek na strzępy albo nie wybuchnęła płaczem? Ta jej spokojna bezczelność oraz to, że nie wiedział, jak na nią zareagować, strasznie go denerwowały. Zaczął się pocić, a świadomość, że Mattie to zauważyła, sprawiła, iż zaczął się jąkać.

— Nie... nie mogę tego wydrukować... To... to ja jestem naczelnym i taka jest moja decyzja. — Nie był w stanie przekonać o tym nawet siebie samego. — Musisz się z nią pogodzić albo...

— Albo co, Grev?

— ...albo przyjąć do wiadomości, że nie będziesz już pracować w dziale politycznym.

— Zwalniasz mnie? — To ją zdziwiło. Jak mógł sobie pozwolić na pozbycie się jej, szczególnie w samym środku kampanii?

— Nie. Przenoszę cię do działu kobiecego. Od dzisiaj. Prawdę mówiąc, uważam, że nie sprawdziłaś się w dziale politycznym.

— Kto za tym stoi, Grev?

— Co masz, do diabła, na myśli...?

— Zwykle nie potrafisz się zdecydować, czy masz ochotę na kawę, czy herbatę. Decyzję o zwolnieniu mnie podjął kto inny, może nie?

— Nie zwalniam cię, tylko przenoszę...

Tracił panowanie nad sobą. Z wściekłości wytrzeszczył oczy, a jego twarz miała taki kolor, jakby od trzech minut wstrzymywał oddech.

— W takim razie, drogi panie naczelnym, mam dla pana złą wiadomość. Odchodzę!

Tego z kolei on się nie spodziewał. Musiał koniecznie odzyskać inicjatywę. Zatrzymać Mattie w „Telegraphie”, bo tylko w ten sposób mógł ją

zmusić do milczenia. Ale co, do diabła, miał robić? Zmusił się do uśmiechu i szeroko rozłożył ramiona w imitacji gestu wspaniałomyślności.

— Posłuchaj, Mattie. Nie działaj nierozważnie. Chcę, żebyś nabrała większego doświadczenia. Masz niewątpliwy talent, choć osobiście uważam, że nie powinnaś zajmować się polityką. Ale chcę, żebyś dalej dla nas pisała, więc zastanów się przez weekend, który dnia najbardziej by ci odpowiadał. — Jej nieugięta, wroga mina nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że nic z tego. — Ale jeżeli rzeczywiście uważasz, że musisz odejść, nie śpiesz się. Najpierw przemyśl dokładnie, co chciałabyś dalej robić, i daj mi znać, a my postaramy się jakoś ci pomóc. Chciałbym, żebyśmy rozstali się jak przyjaciele. Zastanów się nad tym.

— Już się zastanowiłam. Jeśli nie wydrukujesz tego artykułu, odchodzę. Natychmiast.

Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Dosłownie wypływał słowa.

— W takim razie muszę ci przypomnieć, że twoja umowa o pracę przewiduje trzymiesięczny okres wypowiedzenia i że do tego czasu „Telegraph” zachowuje wyłączne prawo do twojej pracy dziennikarskiej. I zamierzam ściśle wyegzekwować ten punkt umowy, choćby w sądzie. A wtedy twoją karierę diabli wezmą. Czy to jasne? Ten artykuł nie pójdzie, ani w tej, ani w żadnej innej gazecie. Więc nie udawaj księżniczki i przyjmij moją ofertę. Na lepszą nie masz co liczyć!

Wiedziała teraz, co musiał czuć jej dziadek, kiedy wypływał z rybackiej wioski położonej na norweskim fiordzie, zdając sobie sprawę, że nie może już zawrócić, choć ma przed sobą łodzie patrolowe, pola minowe i około tysiąca mil wrogiego, wzburzonego morza. Wiedziała, że będzie potrzebowała choć trochę jego odwagi i sporo szczęścia.

Chwyliła swój maszynopis, powoli przedarła go na pół, po czym rzuciła Prestonowi na kolana.

— Możesz zatrzymać słowa, lecz prawdy nie zabijesz. Zresztą wątpię, żebyś był w stanie ją rozpoznać. Odchodzę.

Tym razem trzasnęła drzwiami.



## NIEDZIELA, 14 LISTOPADA — PONIEDZIAŁEK, 15 LISTOPADA

Jakieś dwa tygodnie wcześniej, natychmiast po opublikowaniu przez „Telegraph” wyników sondażu Landlessa, Urquhart, wykorzystując swe uprawnienia, rozesłał do wszystkich członków parlamentu następującą instrukcję:

„W trakcie kampanii wyborczej redakcje gazet oraz ośrodki badania opinii publicznej będą niewątpliwie zwracać się do parlamentarzystów z zapytaniami, którego z kandydatów zamierzają poprzeć. Apeluję o odmawianie udziału w tego typu sondażach, ponieważ — w najlepszym wypadku — ich wyniki będą miały negatywny wpływ na przebieg tajnego w założeniach głosowania, natomiast w najgorszym — posłużą nieodpowiedzialnym dziennikarzom do siania niezgody i staną się tematem najbardziej nieprawdopodobnych komentarzy.

Żywoćne interesy naszej partii wymagają więc od Państwa powstrzymania się od udziału w tego typu sondażach.”

Większość członków klubu parlamentarnego z chęcią podporządkowała się temu apelowi, chociaż powszechnie wiadomo, że przynajmniej jedna trzecia posłów jest organicznie niezdolna do trzymania języka za zębami, nawet jeśli chodzi o tajemnicę państwową.

W rezultacie dwa sondaże, których wyniki opublikowano w niedzielnej prasie po burzliwym rozstaniu Mattie i Prestona, były bardzo niedoskonałe, a przeprowadzający badania ankieterzy nie mogli pojąć, w jaki sposób „Telegraph” zdołał skłonić posłów do udzielenia odpowiedzi na pytania. Zaledwie niecałe czterdzieści procent z trzystu trzydziestu siedmiu posłów

stanowiących elektorat ugięło się przed namolnością ankietarów. Wyglądało więc na to, że członkowie partii są jeszcze dalecy od podjęcia decyzji. Co więcej, nawet ta niewielka grupa, która wzięła udział w sondażu, nie miała wyraźnych preferencji. Samuel w dalszym ciągu prowadził, lecz tuż za nim, i to „w granicach błędu statystycznego”, plasowali się Woolton, McKenzie i Earle, a zaraz za nimi czterej pozostali kandydaci.

Wnioski, które można było wyciągnąć z tak niekompletnych danych, były niezwykle kruche, jednakże na cztery dni przed zamknięciem listy kandydatów stanowiły wspianały materiał na sensacyjne nagłówki.

„Samuel traci przewagę” — grzmiał „Mail on Sunday”, podczas gdy „Observer” zachował się mniej powściągliwie i obwieścił: „W partii wrze. Wyniki sondaży wskazują na absolutny brak faworytów.”

Nieuniknionym rezultatem była nawałnica wrogich partii komentarzy redakcyjnych, krytykujących zarówno osoby kandydatów, jak i sposób prowadzenia przez nich kampanii. „Wszyscy mamy prawo oczekiwać od rządzących czegoś więcej niż tylko niegodnych kłótni, których w ostatnich dniach jesteśmy świadkami — zaintonował «Sunday Express». — Być może mamy do czynienia z ostateczną utratą energii oraz kryzysem przywództwa w partii, zmęczonej zbyt długim sprawowaniem władzy.”

Wszelkie wątpliwości miał rozwiązać następnym numer „Daily Telegraphu”, który na trzy dni przed ostatecznym terminem zgłaszania kandydatur odłożył zasady na bok i po raz pierwszy w swej historii umieścił komentarz redakcyjny na pierwszej stronie. Przyspieszono druk i zwiększono nakład numeru, a także dostarczono jego egzemplarze pod londyńskie adresy posłów partii. Zrobiono wszystko, aby cały Westminster poznał poglądy redakcji.

„Nasza gazeta od wielu lat konsekwentnie popiera rząd, co wynika nie ze ślepej wierności, lecz ze szczerego przekonania, że jego polityka jest dla państwa lepsza aniżeli ta, którą proponuje opozycja. W okresie rządów Margaret Thatcher dowodem słuszności naszych poglądów była stopniowa poprawa sytuacji ekonomicznej oraz rosnąca skuteczność w rozwiązywaniu najbardziej bolesnych problemów społecznych.

W ostatnich miesiącach nabraliśmy przekonania, że Henry Collingridge nie jest tym, który powinien pisać następny rozdział, dlatego poparliśmy jego dymisję. Obecnie jednak, w związku z coraz bardziej nieracjonalnym zachowaniem kandydatów, dostrzegamy ogromne niebezpieczeństwo powrotu do dawnych, skompromitowanych metod rządzenia, charakteryzujących się absolutnym brakiem zdecydowania i wyjątkową słabością.

Zamiast pewnej, mocnej ręki, która zdecydowanie chwyci ster i umocni gospodarcze oraz socjalne osiągnięcia ostatnich lat, zaproponowano nam wybór pomiędzy młodzieńczym brakiem doświadczenia, „zieloną rewolucją” a zachowaniem graniczącym z szerzeniem nienawiści rasowej.

To niewielki wybór. Zarówno partia, jak i państwo potrzebują przywódcy dojrzałego i rozważnego, który wykazał się swymi zdolnościami w czasie pracy w Izbie Gmin.

W partii jest przynajmniej jeden człowiek spełniający wszystkie te wymagania. W ostatnich tygodniach był chyba jedynym, który nie zapomniał o konieczności dbania o powagę rządu i potrafił wznieść się ponad swe osobiste ambicje oraz zatroszczyć o szeroko rozumiany interes własnej partii.

Niedawno oświadczył, że nie zamierza kandydować na lidera partii, lecz nie jest jeszcze za późno, aby ponownie przemyślał tę decyzję. Jesteśmy głęboko przekonani, że w interesie wszystkich leży, aby Chief Whip, Francis Urquhart, zgłosił swą kandydaturę i został wybrany.”

Kiedy dokładnie o ósmej dziesiątej Urquhart stanął w drzwiach swego domu przy Cambridge Street, na ulicy kłębiło się około czterdziestu dziennikarzy. Chief Whip dość długo czekał w środku, chcąc mieć pewność, że pora jego wyjścia umożliwi ekipie BBC przeprowadzenie bezpośredniej transmisji w programie radiowym „Dzisiaj” oraz wszystkich programach telewizji śniadaniowej. Na ulicy zebrał się także tłum gapiów, zainteresowanych powodem tak liczego zgromadzenia dziennikarzy. W telewizji wyglądało to tak, jakby wszyscy niecierpliwie oczekiwali pojawienia się w drzwiach Francisa Urquharta.

Pytania wykrzykiwane przez dziennikarzy nie różniły się między sobą ani odrobinę, więc Urquhart uniósł do góry dłoń, w której ścisłał poranny numer „Telegraphu”, dając w ten sposób znak, że chce coś powiedzieć. Gest ten został początkowo zrozumiany jako wyraz triumfu i wywołał jeszcze większy aplauz, po chwili jednak dziennikarze umilkli na tyle, że Chief Whip mógł się wreszcie odezwać.

— Panie i panowie, jako Chief Whip chciałbym bardzo móc wierzyć, że zebraliście się tu, aby spytać mnie o najbliższe plany legislacyjne rządu. Podejrzewam jednak, że chodzi o coś zupełnie innego.

Ten żart wywołał gromki wybuch śmiechu zebranych i pozwolił Urquhartowi w pełni zapanować nad sytuacją.

— Z wielkim zdziwieniem i oczywistym zainteresowaniem przeczytałem poranny numer „Telegraphu”. — Ponownie uniósł go do góry i trzymał tak przez dłuższą chwilę, aby fotoreporterzy mogli zrobić wyraźne zdjęcia. — Czuję się zaszczycony, że tak poważny dziennik dostrzega w mej osobie aż tyle zalet. Jak państwo wiecie, postanowiłem nie kandydować w tych wyborach, ponieważ uznałem, że w interesie partii leży, aby Chief Whip nie brał udziału w wyścigu po władzę — odchrząknął. — W zasadzie nie zmieniłem zdania, jednakże „Telegraph” poruszył kilka spraw, które należy dokładnie przemyśleć. Dlatego sądzę, iż wybaczycie mi państwo, że nie podejmę decyzji tu i teraz, na tym chodniku. Chciałbym najpierw przedyskutować ponownie całą sprawę ze swymi współpracownikami, a następnie poprosić o radę żonę, której zdanie, nie ukrywam, będzie miało ogromny wpływ na moją ostateczną decyzję. Następnie chciałbym tę sprawę, że tak powiem, przespać. Dopiero wtedy, czyli najwcześniej jutro rano, będę mógł państwa poinformować, co postanowiłem.

A tymczasem mam nadzieję, że dacie państwo mnie i mojej rodzinie kilka godzin na refleksje i rozmowy. To na razie wszystko, co mam do powiedzenia. Dziękuję państwu bardzo.

Spełniając żądania fotoreporterów, jeszcze raz uniósł do góry dłoń ścisnącą poranny numer „Telegraphu”, po czym wycofał się do domu.

W poniedziałek wieczorem Mattie zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie pośpieszyła się trochę ze swym odejściem. Kiedy wybiegła z gabinetu Prestona, tłumaczyła sobie, że za jednym zamachem rozwiązała swoje problemy osobiste i zawodowe — koniec z Krajewskim, a tym bardziej z Prestonem — i że wreszcie będzie mogła spokojnie skoncentrować się na dochodzeniu. Lecz teraz nie była już tego taka pewna. Spędziła samotny weekend na przeglądaniu gazet odpowiadających jej jako ewentualne miejsce pracy, ale w ich działach politycznych nie dostrzegła żadnej luki, którą mogłaby wypełnić. W świecie dziennikarzy panuje ogromna konkurencja, a choć Mattie mogła zaoferować aż nadmiar młodzieńczej energii i talentu, to przecież dopiero co pogrzebała szanse na jakiegokolwiek referencje, wymagane przez zdecydowaną większość naczelnych.

Zatelefonowała w wiele miejsc, lecz tylko w paru przypadkach umówiono się z nią na rozmowę. Po pewnym czasie zorientowała się, iż ktoś rozsiewa pogłoskę, że kiedy Preston zakwestionował jej przydatność w dziale politycznym, wpadła w histerię i z płaczem wybiegła z jego gabinetu. A przecież kobieca porywczosć nie jest uważana za zaletę w zdominowanym przez mężczyzn światku dziennikarzy. Humoru Mattie nie poprawiła też wiadomość, że Bank Angielski podniósł znacznie stopę oprocentowania kredytów w celu zabezpieczenia funta szterlinga przed spekulantami w okresie wyborów nowego premiera. W wyniku tej decyzji towarzystwa mieszkaniowe zapowiedziały podwyżkę oprocentowania hipoteki. Mattie zdała sobie sprawę, że nie będzie w stanie spłacić swego mieszkania. Nawet gdy miała pracę, było to bardzo trudne, teraz natomiast musiało się stać po prostu niemożliwe.

Na dodatek czuła się strasznie samotna. Łóżko znów przypominało placówkę badawczą na Antarktydzie, gdzie szczęśliwe mogą być jedynie pingwiny, i nie dawało Mattie żadnego ukojenia.

Za to sprawy toczyły się coraz szybciej, a komentarz redakcyjny „Telegraphu” sprawił, że nabrały zupełnie nowego wymiaru. Wczesny wieczór Mattie spędziła przed telewizorem, oglądając kolejne wydania wiadomości. We wszystkich dominowały spekulacje na temat możliwości włączenia się Urquharta do kampanii wyborczej, rozważania o roli, jaką Chief Whip

pełni w rządzie, a także informacje o samym Francisie Urquharcie.

Musiała z kimś porozmawiać, więc lekceważąc targające nią sprzeczne uczucia, udała się na drewniany pomost kołyszący się na Tamizie wzdłuż przystani Charing Cross. Po kilku minutach dostrzegła taksówkę rzeczną, własność „Telegraphu”, kursującą pomiędzy mieszczącą się w dzielnicy portowej redakcją a bliższymi centrum i nieco bardziej cywilizowanymi rejonami stolicy.

Tak jak się spodziewała, na pokładzie był także Krajewski. Na jej widok nie odezwał się ani słowem, niemniej przyjął wyrażone gestem zaproszenie na przechadzkę.

Był suchy i pogodny listopadowy wieczór. Wciąż milcząc, ruszyli powoli wzdłuż krętego brzegu Tamizy, obserwując skąpane w świetle reflektorów Festival Hall oraz gmach parlamentu ze spoglądającą z wysoka słynną wieżą zegarową. Minęła dłuższa chwila, zanim Krajewski jako pierwszy przerwał milczenie. Ani słowa o tamtym wieczorze, postanowił. Dobrze wiedział, co dla Mattie jest teraz najważniejsze.

— Więc co zamierzasz zrobić?

Uśmiechnęła się nieśmiało, wdzięczna, że rzucił jej tę linię ratunkową, zamiast żądać wyjaśnień, których nie chciałyby — a może raczej nie potrafiła? — udzielić

— To wprost niezwykle. Robią z niego Mesjasza, na białym rumaku pędzącego z odsieczą. Dlaczego Grev się na to zdecydował?

— Nie mam pojęcia. Po prostu zjawił się wczoraj późnym wieczorem i nic nikomu nie mówiąc, wyciągnął z kieszeni ten swój komentarz redakcyjny i wsadził go na pierwszą stronę. Bez słowa ostrzeżenia czy wyjaśnień. Ale zdaje się, że nieźle namieszał. Zresztą niewykluczone, że ma rację.

Mattie pokręciła głową.

— To nie Grev. Nie byłby zdolny do tak poważnej decyzji. Potrzeba kogoś z jajami, żeby... — o mało nie powiedziała „zaangażować się” — ...zając tak jasne stanowisko. Dlatego decyzja mogła zapaść tylko w jednym miejscu: w gabinecie naszego — przepraszam, waszego! — kochanego właściciela, wielce szanownego pana Landlessa. Kiedy poprzednio się wtrącił,

zdetronizował Collingridge'a. Widocznie teraz ma zamiar dokonać koronacji.

Z trudem torując sobie drogę przez góry liści, minęli białe masywne cielsko Ministerstwa Obrony.

— Ale dlaczego? Dlaczego akurat Urquhart?

— Nie mam pojęcia — odparła Mattie. — Urquhart nigdy nie rzucał się w oczy, chociaż w parlamencie zasiada od wielu lat. Sprawia wrażenie dystyngowanego arystokraty, człowieka staroświeckiego. Jest raczej samotnikiem, a w każdym razie nie ma zbyt wielu fanów, co jednocześnie oznacza, że nikt nie nienawidzi go na tyle mocno, żeby rozpętać przeciwko niemu taką kampanię jak przeciwko Samuelowi. Nie wiadomo dokładnie, jakie ma poglądy, bo jako Chief Whip nigdy nie musiał publicznie ich wyrażać. — Spojrzała na Krajewskiego. — Niewykluczone, że zdoła się precyzyjnie przedstawić jako ten najmniej zniechęcony. Możliwe, że Landless dokonał trafnego wyboru.

— A więc myślisz, że Urquhart zdecyduje się kandydować?

— Na pewno. Jeszcze w czerwcu powiedział mi, że szykują się nowe wybory, i zdecydowanie odmówił zadeklarowania się, że nie weźmie w nich udziału. Jestem pewna, że chce być premierem i zgłosi swą kandydaturę.

— Byłby niezły nagłówek: „Człowiek, który wszystko przewidział”.

— Tak, gdybym tylko miała gdzie to wydrukować — uśmiechnęła się ze smutkiem.

Zatrzymał się i popatrzył na nią. Światło odbite od złotych kamiennych ścian znajdującego się za nimi gmachu parlamentu nadawało łagodnego blasku jej włosom. Krajewski odniósł wrażenie, że w głosie Mattie słychać odrobinę żalu.

— Grev odrzuca twój artykuł, po czym ogłasza poparcie dla Urquharta. Rozbraja jedną bombę, a następnie rzuca drugą. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności?

— Długo się nad tym zastanawiałam. Najprostsze wyjaśnienie, a takie zawsze najłatwiej uznać, mówi, że Grev Preston to po prostu parszywa namiastka redaktora naczelnego, niezdolna podjąć żadnego ryzyka. Wiedząc, że Landless szykuje się do wystawienia Urquharta, nie miał odwagi w jakikolwiek sposób utrudnić swemu pryncypałowi realizacji planów.

Podejrzewam, że mój artykuł był dla niego za ostry i dlatego nie zdobył się na jego wydrukowanie.

— A więc uważasz, że za tym wszystkim może stać Landless?

— To niewykluczone. Z całą pewnością ucieszyła go rezygnacja Collingridge'a, choć przecież nie tylko jego. Zaraz po wyborach do Izby Gmin Urquhart mówił mi o wewnętrznych konfliktach i rywalizacji w rządzie. Tak więc całe to zamieszanie może na dobrą sprawę robić każdy członek gabinetu. Albo Landless. Zamierzam dowiedzieć się kto.

— Ale w jaki sposób? Przecież nie masz gdzie drukować.

— Preston okazał się na tyle głupi, by upierać się, abym zgodnie z umową przez najbliższe trzy miesiące pozostawała na wypowiedzeniu. Więc proszę bardzo. Nie mam gdzie drukować, lecz w dalszym ciągu jestem dziennikarką i mogę zadawać pytania. A jeśli sprawa jest choć w części tak pokrętna, jak przypuszczam, artykuł będzie wart wydrukowania za trzy miesiące, a nawet za trzy lata. Nie mogą do końca świata trzymać prawdy pod kluczem. Straciłam pracę, zgoda, ale nie straciłam ciekawości.

„A co z twoim zaangażowaniem?” — pomyślał.

— Czy mogę liczyć, że będziesz moim szpiegiem? Że będziesz obserwował, co knuje ten skurwiol Landless?

Skinął głową, zastanawiając się, jak bardzo Mattie go wykorzystuje.

— Dzięki, Johnnie — szepnęła.

Ścisnęła jego dłoń, po czym zniknęła w mroku.



## WTOREK, 16 LISTOPADA

Nazajutrz w wiadomościach w dalszym ciągu dominowały spekulacje, czy Urquhart zdecyduje się kandydować. Było jasne, że media podekscytowały się już do tego stopnia, że jego ewentualną odmowę przyjęłyby z ogromny rozczarowaniem. Jednak jeszcze o trzeciej Urquhart prowadził konsultacje. Mniej więcej o tej porze Mattie zaczynała powoli mieć dość, choć nie z powodu Urquharta, a O'Neilla. Od ponad pół godziny z rosnącym zniecierpliwieniem czekała na niego w jego gabinecie.

Kiedy poprzedniego dnia zatelefonowała do centrali partii, chcąc uzyskać jakieś oficjalne informacje na temat systemu komputerowego, prenumeraty, procedur obowiązujących w księgowości, Charlesa Collingridge'a oraz wszystkiego, co nie dawało jej spokoju, przekonała się, że Spence nie mylił się twierdząc, że na czas kampanii zarządzono całkowitą blokadę informacji i zakazano urzędnikom jakichkolwiek kontaktów z prasą. Zewsząd kierowano ją do biura prasowego, a tam z kolei nikt nie potrafił ani nie miał ochoty udzielić informacji na temat komputerów i księgowości.

— Czyżby prowadziła pani śledztwo w sprawie naszych wydatków? — odezwał się tylko półzartem głos w słuchawce.

Poprosiła więc o kontakt z szefem propagandy partii. Połączono ją z Penny Guy. Mattie spytała, czy O'Neill, którego znała z paru przyjęć, mógłby się z nią spotkać następnego ranka.

— Przykro mi, panno Storin, ale pan O'Neill nigdy nie umawia się rano, ponieważ zajmuje się wtedy całą papierkową robotą. Poza tym przed południem spotyka się ze swymi współpracownikami. — Było to oczywiste

klamstwo, do którego coraz częściej zmuszała Penny niepunktualność Rogera. Od pewnego czasu zjawiał się w pracy coraz później; ostatnio nie zdarzało mu się praktycznie przyjść przed trzynastą. — Może o wpół do trzeciej? — zaproponowała, wołąc zachować margines bezpieczeństwa.

Nie zdawała sobie sprawy z niszczącego umysł działania kokainy, która sprawiała, że od popołudnia do późnej nocy O'Neill był tak pobudzony, że dopiero potężna dawka środków uspokajających była w stanie pokonać działanie narkotyku, sprowadzając z kolei odrętwienie trwające aż do południa albo nawet dłużej. Penny nie miała pojęcia o kokainie, lecz i tak bardzo z jej powodu cierpiała.

Teraz czuła się coraz bardziej zakłopotana niepunktualnością Rogera. A przecież obiecał, że przyjdzie najpóźniej o drugiej. Jednak wskazówki zegara bezlitośnie posuwały się do przodu, a Penny zaczynało już brakować inwencji w wymyślaniu możliwych przyczyn spóźnienia szefa. Przez to jego niezrozumiałe zachowanie, pyszałkowatość i coraz częstsze, zupełnie irracjonalne wybuchy gniewu, Penny powoli traciła całą wiarę w niego.

Podawała Mattie kolejną filiżankę kawy.

— Sprawdź, czy nie ma go w domu. Może musiał po coś wrócić? Mógł czegoś zapomnieć albo źle się poczuć.

Usiadła na rogu jego biurka i wystukała numer. Gdy po chwili O'Neill podniósł słuchawkę, mocno zmieszana Penny Guy zaczęła mu tłumaczyć, że panna Storin czeka już od ponad pół godziny i... Na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia, następnie zaniepokojenia, a wreszcie dzikie przerażenie. Rzuciła słuchawkę i wybiegła z biura, jakby goniło ją stado demonów.

Mattie, niczym przyrośnięta do krzesła, patrzyła na to wszystko w kompletnym osłupieniu, ściskając w dłoniach spodek i nie będąc w stanie wyduścić z siebie ani słowa. Dopiero gdy drzwi z hukiem się zatrzasnęły, wstała, podeszła do biurka, schyliła się po zwisającą słuchawkę i przyłożyła ją do ucha.

Głos, który usłyszała, ciężko było rozpoznać jako głos Rogera O'Neilla albo kogokolwiek innego. Poszczególne słowa nie miały ze sobą żadnego związku, niektóre w ogóle trudno było zrozumieć, ponieważ O'Neill mówił tak wolno i niewyraźnie jak lalka, której kończą się baterie. Po każdym

słowie następowała długa pauza, wypełniona jękami, charkotem i szlochem. Mattie delikatnie odłożyła słuchawkę na widełki, a następnie wyszła z gabinetu w poszukiwaniu sekretarki. Znalazła ją w garderobie, gdzie obmywała sobie twarz.

— Od jak dawna to trwa? — spytała, delikatnie otaczając Penny ramieniem.

— Nie wolno mi nic powiedzieć! — wykrzyknęła Penny i znów wybuchnęła płaczem.

— Posłuchaj, wygląda na to, że jest z nim bardzo źle. Nie obawiaj się, przecież, na litość boską, nie napiszę o tym ani słowa. Chciałabym jakoś pomóc.

Penny zwróciła się w stronę Mattie i padła jej w ramiona, wylewając ze łzami cały smutek i cierpienie ostatnich miesięcy. Łkała tak długo, aż w końcu zabrakło jej łez.

Gdy wreszcie doszła do siebie na tyle, by móc wyjść z garderoby, Mattie chwyciła ją za ramię i poszły na spacer do pobliskich Ogrodów Wiktorii, gdzie mogły się odświeżyć w zimnym ostrym powietrzu wiejącym od Tamizy, a także spokojnie porozmawiać. Penny wyjaśniła Mattie, że O'Neillem głęboko wstrząsnęła dymisja Collingridge'a, że zawsze był, jak to określiła, „ekstrawagancki uczuciowo”, a ostatnie niesnaski w partii i rezygnacja premiera doprowadziły go na skraj załamania nerwowego.

— Ale dlaczego, Penny? Przecież na pewno nie byli sobie aż tak bardzo bliscy.

— Roger lubił myśleć, że jest bliski całej rodzinie premiera. Przy każdej okazji słał pani Collingridge bukiety kwiatów i co ciekawsze zdjęcia. Uwielbiał to robić.

Mattie wzruszyła ramionami, jakby strząsając z siebie raz na zawsze swoje dobre zdanie o O'Neillu.

— To przykre, że okazał się taki słaby i załamał się właśnie wtedy, gdy jest partii najbardziej potrzebny. Ale obie słyszałyśmy go przez telefon. Penny, jego coś zżera od środka. Coś bardzo poważnego. Co to jest?

Mattie musiała zaryzykować. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że to nie fair, ale postanowiła sprowokować Penny oskarżeniem jej szefa o słabość,

licząc, że ta, jako lojalna sekretarka, stanie w jego obronie i zdradzi prawdę.

— Nie... nie wiem na pewno. Ale przypuszczam, że wini się z powodu tych udziałów.

— Udziałów? Chodzi ci o akcje Renoxu?

— Charles Collingridge poprosił go o wynajęcie skrytki na prywatną korespondencję. Roger i ja pojechaliśmy taksówką do Paddington. Wysłał mnie, żebym to załatwiła. Zorientowałam się, że czuje się nieswojo. Widocznie już wtedy przeczuwał, że coś jest nie w porządku. A kiedy się dowiedział, w jakim celu wykorzystano skrytkę i ile z tego wyniknęło problemów, załamał się.

— Ale dlaczego Charles Collingridge nie załatwił tego sam?

— Nie mam pojęcia. Po prostu któregoś letniego dnia Roger wpadł do biura, powiedział, że musi wyświadczyć panu Collingridge'owi pewną przysługę, że to sprawa bardzo poufna i mam nic nikomu nie mówić.

W tym momencie zdała sobie sprawę, że właśnie złamała obietnicę milczenia i znów się rozplakała. Mattie szybko ją uspokoiła i ruszyły dalej.

— Więc nigdy nie widziałaś Charlesa Collingridge'a?

— Nie. Nigdy. Roger sam przyjmuje co ważniejsze osobistości. O ile się orientuję, pan Collingridge nigdy nie był w naszym biurze.

— Ale jesteś pewna, że to właśnie on kazał Rogerowi wynająć tę skrytkę w Paddington?

— Oczywiście, wiem to od Rogera. Poza tym kto inny mógłby to być? — Kąciki jej oczu znów zaczynały wilgotnieć. Zadrżała gwałtownie, kiedy nagły podmuch lodowatego listopadowego powietrza wprawił w ruch leżące na ziemi liście. — O Boże! Mam już tego dość!

— Penny, uspokój się! Wszystko będzie dobrze. Może powinnaś wziąć trochę wolnego i pozwolić Rogerowi zająć się samym sobą? Przez kilka dni na pewno sobie bez ciebie poradzi. Chyba potrafi obsługiwać komputer, prawda?

— Kiedy mnie nie ma, jakoś sobie radzi z podstawowymi funkcjami. Ale czarodziejem klawiatury z całą pewnością nie można go nazwać. Nie, nic mi nie będzie.

A więc to O'Neill „jakoś sobie poradził” z kartoteką. Kolejny fragment układanki trafił na swoje miejsce. Mattie czuła wyrzuty sumienia, że wyciąga informacje od bezbronnej i ufnej sekretarki, ale czy miała inne wyjście?

— Słuchaj, Penny, jak by to powiedzieć... Wygląda na to, że Roger jest w bardzo złym stanie. Najwyraźniej nie wytrzymał całego tego napięcia i zalał się. Możliwe, że za dużo pije. Nie jestem lekarką, ale znam kogoś, kto mógłby mu pomóc. Gdyby to było potrzebne, po prostu zadzwoń.

Wróciły już na Smith Square.

— Dziękuję ci — odezwała się Penny. — Bardzo mi pomogłaś.

— Nie, Penny. To ja ci dziękuję. Trzymaj się.

Kilkaset metrów dzielących ją od Izby Gmin Mattie pokonała na piechotę, nie zwracając uwagi na lodowaty wiatr i zastanawiając się, po co, na Boga, Roger O'Neill wrobił Charlesa i Henry'ego Collingridge'ów.

## WTOREK, 16 LISTOPADA — ŚRODA, 17 LISTOPADA

Urquhart ogłosił swój zamiar kandydowania na konferencji prasowej, która rozpoczęła się w Izbie Gmin punktualnie o siedemnastej, a więc w porze pozwalającej na przekazanie relacji w późnopopołudniowych i wieczornych wiadomościach oraz w pierwszych porannych gazetach. Sceneria sali konferencyjnej z jej kamiennym kominkiem i dębową boazerią nadała wydarzeniom podniosłą i uroczystą atmosferę, której zabrakło na wcześniejszych konferencjach Samuela, Wooltona i innych. Urquhartowi udało się sprawić wrażenie człowieka decydującego się wziąć udział w wyścigu po władzę jedynie dlatego, że nad własne interesy przedkłada dobro swej partii, a przede wszystkim kraju.

Siedemnaście godzin później, w środę rano, odbyła się kolejna konferencja prasowa, tym razem zwołana przez Landlessa. Mistrz ceremonii siedział w jednej z sal pałacowych hotelu Ritz przy długim, zastawionym mikrofonami stole, twarzą do kamer oraz licznie zgromadzonych dziennikarzy. Miejsce obok zajmował, wyglądający przy olbrzymim Landlessie jak karzeł, Marcus Frobisher, prezes United Newspapers Group, co prawda także magnat prasowy, grający jednak przy tej okazji drugie skrzypce. Za nimi rozwieszono olbrzymią płachtę z wielkim logo „TEN” podświetlonym laserami. Z boku znajdował się imponujących rozmiarów ekran wideo, na którym wyświetlano co lepsze materiały reklamowe „Telegraphu” przeplatane relacjami z wizyt Landlessa w drukarniach, gdzie gorąco witany przez tłumy robotników uroczyście uruchamiał nowe prasy.

— Dzień dobry. Witamy państwa serdecznie. — Przywołał zebranych do porządku angielszczyzną dużo bardziej poprawną niż zazwyczaj. — Dziękuję, że zechcieliście państwo przyjść i przepraszam za tak nagłe zwołanie tej konferencji. Zaprosiliśmy tu państwa, aby powiadomić was o jednym z najważniejszych kroków naprzód, jakie uczynił brytyjski przemysł informacyjny od dnia, gdy ponad sto lat temu Julius Reuter otworzył w Londynie swą agencję telegraficzną. — Przysunął bliżej jeden z mikrofonów, by nie musieć wychylać się do przodu. — W dniu dzisiejszym pragniemy ogłosić powstanie największego w Zjednoczonym Królestwie koncernu wydawniczego, który pozwoli naszemu państwu powrócić na pozycję światowego lidera coraz szybciej rozwijającego się przemysłu informacyjnego. Telegraph Newspapers zaofiarowało United Newspapers Group zakup pełnego pakietu akcji za sumę miliarda czterystu milionów funtów, czyli za cenę o mniej więcej czterdzieści procent wyższą od aktualnej ceny giełdowej. Z ogromną przyjemnością mogę państwa poinformować, że zarząd United Newspapers Group jednogłośnie przyjął naszą ofertę, a także zaakceptował proponowany przez nas skład zarządu nowego koncernu. Tak więc ja zostanę prezesem zarządu i naczelnym dyrektorem, zaś mój obecny przyjaciel, a dawny konkurent... — wyciągnął swe ogromne łapsko i chwycił Frobishera za ramię — ...zostanie prezydentem koncernu.

Żaden z zebranych dziennikarzy nie miał cienia wątpliwości, kto będzie rzeczywistym władcą nowego imperium. Frobisher siedział bez ruchu, starając się robić zadowoloną minę.

— Krok ten ma dla brytyjskiego przemysłu prasowego niezwykle istotne znaczenie. Po połączeniu będziemy kontrolować większą niż jakikolwiek inny koncern liczbę tytułów ogólnokrajowych i regionalnych, natomiast fuzja naszych oddziałów międzynarodowych uczyni z firmy trzecią co do wielkości na świecie. Aby wyraźnie zaznaczyć ten punkt zwrotny, postanowiliśmy nadać koncernowi nową nazwę. Oto ona: Telegraph Express Newspapers Company, czyli TEN. — Puścił wreszcie ramię Frobishera i wskazał na logo. — Czy podoba się państwu ten projekt? — spytał wesoło. Miał nadzieję, że tak. Było to pierwsze zlecenie wykonane przez dwuosobową spółkę założoną przez jego córkę, której Landless miał nadzieję zapewnić odpowiedni rozgłos.

— Przy wyjściu znajdziecie państwo druki z kompletnymi informacjami na temat naszej oferty i kontraktu. A teraz prosimy o pytania!

Na sali zapanował gwar, w powietrze uniósł się las rąk.

— Myślę, że aby być w porządku, powinienem najpierw oddać głos tym, którzy nie będą pracować dla nowego koncernu — zażartował Landless. — Ale czy w ogóle jest ktoś taki na sali? — Z teatralną przesadą zasłonił dłonią oczy przed ostrym światłem reflektorów i rozejrzał się w poszukiwaniu odpowiedniej ofiary, czym wywołał salwy śmiechu.

— Panie Landless — krzyknął redaktor „Sunday Timesa”. — Rząd jasno wyraził opinię, iż prasę brytyjską trzyma już zbyt mało rąk i że w wypadku jakichkolwiek prób dalszego łączenia koncernów będzie zdecydowanie interweniować, wykorzystując uprawnienia dane mu przez ustawę antymonopolową. Na jakiej więc podstawie spodziewa się pan, że fuzja z United Newspapers Group dojdzie w ogóle do skutku?

Rozległ się dość głośny pomruk poparcia.

— Doskonale pytanie. — Landless rozłożył ramiona, jakby chciał słowa dziennikarza przytulić do piersi, a następnie powoli zadusić na śmierć. — Ma pan rację. Rząd rzeczywiście będzie musiał dokładnie przeanalizować tę sprawę. I mam szczerą nadzieję, że będzie na tyle rozsądny, by zrozumieć, że fuzja, którą proponujemy, wcale nie zagraża brytyjskiemu przemysłowi prasowemu, a wręcz przeciwnie, jest niezbędnym warunkiem jego sukcesu. Gazety to obecnie jedynie część światowego przemysłu informacyjnego, rozrastającego się i zmieniającego dosłownie każdego dnia. Wszyscy państwo dobrze o tym wiecie. Pięć lat temu pracowaliście na Fleet Street używając starych maszyn do pisania, a gazety drukowano za pomocą przestarzałych pras, które powinny były pójść na złom po pierwszej wojnie. Dzisiaj przemysł został unowocześniony, zdecentralizowany i skomputeryzowany. Lecz zmiany trwają i muszą trwać, jako że prasa ma coraz większą konkurencję: telewizję satelitarną, radio lokalne, telewizję śniadaniową i całą resztę.

— To było życie! — rozległ się teatralny szept jednego z dziennikarzy i wszyscy roześmiali się z nostalgią za minionymi wygodnymi czasami Fleet Street, winiarni „El Vino”, strajków drukarzy oraz przedłużających się



negocjacji, dzięki czemu dziennikarze mieli wielotygodniowe pełnopłatne urlopy, które wykorzystywali na pisanie książek, budowanie jachtów albo po prostu odpoczynek. Dobrze jednak wiedzieli, że to już przeszłość, do której nie ma powrotu.

— Za dziesięć lat coraz więcej ludzi będzie żądać całodobowego, aktualizowanego na bieżąco serwisu informacyjnego, a coraz mniej będzie czerpało informacje z gazet, które ukazują się w długie godziny po danym wydarzeniu, a do tego nie przekazują wiadomości bezpośrednio, lecz maskują je za pomocą druku. Jeśli mamy przetrwać, nie możemy wciąż się uważać za małomiasteczkowych dziennikarzy, ale musimy stać się dostawcami informacji z całego świata. Dlatego nasz nowy koncern nie będzie jedynie tradycyjnym wydawcą gazet. Zostanie przekształcony w przodującego dostawcę wiadomości do domów i firm na całym świecie, przekazywanych według życzenia klienta za pomocą druku, obrazu telewizyjnego, sieci komputerowej albo śpiewu kanarka. Ale do tego potrzeba nam siły oraz środków, a te może zapewnić jedynie tak potężny koncern jak TEN. Jak pan słusznie zauważył — zwrócił się do pytającego — potrzebne nam będzie pozwolenie rządu, do którego należy ostateczna decyzja. Może on przyjąć niezwykle zawężony punkt widzenia, zabronić fuzji i skazać tym samym przemysł prasowy Wielkiej Brytanii na powolną zagładę. Jest przecież oczywiste, że w takim wypadku w ciągu najbliższych dziesięciu lat na naszym rynku niepodzielnie zapanują koncerny z Ameryki, Japonii i Australii. Jeśli natomiast rząd wykaże się odpowiedzialnością, zdolnością przewidywania oraz dbałością o ochronę rynku pracy i zamiast bronić wąsko rozumianej konkurencji w kraju, pomyśli o znacznie szerszej, międzynarodowej, pozwoli nam zbudować tu, w Wielkiej Brytanii, największy i najlepszy koncern zajmujący się dostarczaniem informacji.

Błysnęły flesze. Landless usiadł, kończąc swe starannie przygotowane przemówienie, podczas gdy reporterzy wciąż jeszcze notowali, nie chcąc uronić ani słowa. Ten, który zadał pytanie, zwrócił się do swego sąsiada:

— Jak myślisz? Uda mu się to przepchnąć?

— O ile go znam, nie ma zwyczaju polegać jedynie na logice przemysłowca i trudnej do odparcia retoryce. Jestem pewien, że starannie

przygotował grunt. Wkrótce się dowiemy, ilu polityków ma u niego dług wdzięczności.

Z tego, co zaczęło się dzieć zaraz po zakończeniu konferencji, wynikało, że bardzo wielu, szczególnie w Partii Konserwatywnej. Wiedząc, że nazajutrz mija termin zgłaszania kandydatur, tydzień później zaś odbędzie się pierwsze głosowanie, większość rywali nie zdradzała ochoty do nastawiania przeciwko sobie gazet posiadanych przez połączone siły Telegraphu i United. Już po paru godzinach cicha aprobata dla Landlessa zmieniła się w paniczne poparcie, a ponieważ nikt nie chciał zostać w tyle, fale radiowe wypełniły powtarzane na różne sposoby pochwały dla jego „mądrego i patriotycznego podejścia do roli przemysłu wydawniczego”. Jeszcze na długo przed kolacją Landless czuł się w pełni usatysfakcjonowany skutecznością swego starannie przygotowanego planu. Po raz kolejny się okazało, że jego wyczucie chwili oraz znajomość mentalności polityków nie mają sobie równych.

Jedynie „Independent” nie oparł się pokusie wydrukowania paru uszczypliwych uwag:

„Oświadczenie Landlessa huknęło niczym granat rzucony w sam środek kampanii wyborczej, co zresztą prawie na pewno było jego zamiarem. Widok tak wielu znanych polityków tratujących się nawzajem w wyścigu ku jego wyciągniętej do pocałunku dłoni przypomina Tammany Hall w najgorszym wydaniu. Należy w tym miejscu przypomnieć, że zaledwie kilka miesięcy temu, kiedy Landless wykupił Telegraph Newspapers, ci sami politycy zażądali, żeby podpisał deklarację nieingerowania w politykę redakcyjną swych gazet. Dopiero kiedy uroczyście to przyrzekł, podpisali w końcu zgodę na sfinalizowanie transakcji. Dziś, chcąc w wyjątkowo tchórzliwy sposób zjednać sobie Landlessa, zachowują się tak, jakby zakładali, iż jego osobiste dla nich poparcie będzie równoznaczne z poparciem należących do niego gazet. Wydaje się, że wolą pływać z rekinami, aniżeli konsekwentnie dotrzymywać swych zobowiązań.”

Nie wszyscy jednak kandydaci przyłączyli się do chóru sławiącego przymioty Landlessa. Samuel zachowywał się ostrożnie i dyplomatycznie — w ciągu ostatnich tygodni otrzymał już zbyt wiele ciosów w plecy, by ryzykować wychylenie się. Dlatego oznajmił, że przed zajęciem jakiegokolwiek stanowiska musi skonsultować się z pracownikami obydwóch firm. Wkrótce potem przedstawiciele związków zawodowych wydali oświadczenia, w których gwałtownie sprzeciwili się fuzji koncernów, zwracając uwagę, że opublikowany projekt kontraktu nie zawiera żadnych gwarancji socjalnych dla pracowników, a Landless znany jest przecież z „radykalnych programów racjonalizacyjnych”. Kiedyś, w chwili nieuwagi, zdarzyło mu się zażartować, że na każdy zarobiony przez siebie milion zwolnił z pracy dziesięć tysięcy osób. A był przecież człowiekiem wyjątkowo bogatym. Po konsultacji ze związkowcami Samuel zdał sobie sprawę, że poparcie kontraktu, a tym samym narażenie się na otwartą wojnę ze związkami zawodowymi, byłoby czystym absurdem, postanowił więc szukać ratunku w milczeniu.

Także Urquhart wyróżnił się na tle pozostałych kandydatów. W godzinę po konferencji prasowej Landlessa wystąpił w radiu i telewizji, przedstawiając starannie przygotowaną analizę światowego rynku prasowego oraz najbardziej prawdopodobny scenariusz jego rozwoju, które zdawały się w pełni potwierdzać słuszność rozumowania Landlessa. Chief Whip wykazał się jednak wielką powściągliwością.

— Chociaż darzę pana Benjamina Landlessa ogromnym szacunkiem, sądzę, że błędem byłoby wyciąganie pochopnych wniosków przed dokładnym zapoznaniem się ze szczegółami proponowanego kontraktu. Uważam, że politycy powinni być ostrożni, gdyż w przeciwnym razie ich działania mogą zostać odebrane jako próba kupienia sobie sympatii gazet. Dlatego aby uniknąć ewentualnych nieporozumień, wstrzymam się z ogłoszeniem swojej opinii na temat proponowanej fuzji aż do zakończenia wyborów. Zresztą wtedy — dodał skromnie — moje zdanie może nie mieć już większego znaczenia.

„Szkoda, że jego rywale nie potrafili przyjąć tak szlachetnego i bezstronnego punktu widzenia — chwalił Urquharta «Independent».

— Chief Whip prowadzi swą kampanię z godnością prawdziwego męża stanu, co wyróżnia go spośród pozostałych kandydatów i z całą pewnością zwiększa jego szanse.”

Komentarze innych redakcji były podobne. Także „Telegraph”:

„Zachęcaliśmy Francisca Urquharta do zgłoszenia swej kandydatury ze względu na głęboki szacunek dla jego niezależności i prawości. Z radością przyjęliśmy więc jego decyzję o włączeniu się do wyścigu po fotel premiera i w dalszym ciągu jesteśmy głęboko przekonani, iż jest on najlepszym kandydatem. Jego wstrzeźliwość w ocenie propozycji fuzji Telegraph-United, a także nacisk położony przezeń na konieczność uważnego przeanalizowania warunków kontraktu jest właśnie tym, czego naszym zdaniem należy oczekiwać od człowieka, który ma wziąć w swe ręce odpowiedzialność za kraj.

Mamy oczywiście nadzieję, że po zastanowieniu Francis Urquhart z całego serca poprze projekt fuzji, jednakże nasza ocena jego osoby opiera się na czymś zupełnie innym aniżeli nadzieje na ewentualne korzyści ekonomiczne. Francis Urquhart jest po prostu jedynym kandydatem, który udowodnił, że liczą się dla niego przede wszystkim pryncypia.”

W korytarzach Westminsteru raz po raz rozlegało się trzaskanie drzwi zamykanych z hukiem przez ambitnych rywali Urquharta, którzy zrozumieli, że Chief Whip po raz kolejny ich wyprzedził.

— Do diabła, jak ten cholerny pierdziel to robi? — warknął Woolton, zupełnie zapominając o dyplomatycznej powściągliwości.

W tym samym czasie w Mayfair, w luksusowym apartamencie z oknami wychodzącymi na Hyde Park, Landless i Urquhart pogodnie się uśmiechając, wzniesli kieliszki.

— Za przyszłego premiera — wznosił toast Landless.

— I za jego bezstronne poparcie dla fuzji — dodał Chief Whip.

## CZWARTEK, 18 LISTOPADA

Kiedy w czwartek upłynął termin zgłaszania kandydatur, jedyną niespodzianką było wycofanie się Petera Bearsteada.

— Osiągnąłem to, co chciałem osiągnąć, to znaczy doprowadziłem do rozpoczęcia kampanii — oświadczył. — Wiem, że nie wygram, a nie interesuje mnie nagroda pocieszenia w postaci posady w którymś z ministerstw.

Jeszcze tego samego dnia przyjął od „Daily Expressu” propozycję napisania jak najbardziej niedyskretnych charakterystyk poszczególnych kandydatów.

W wyścigu po władzę zostało więc dziewięciu rywali, co i tak było nadzwyczaj dużą liczbą, choć powszechnie uważano, że szanse ma tylko pięciu: Samuel, Woolton, Earle, McKenzie oraz Urquhart. Mając w rękach pełną listę kandydatów, ankietery zdwoili wysiłki skontaktowania się z posłami partii i zorientowania, kogo prąd niesie, a kogo topi.

Ponieważ dano oficjalny sygnał do rozpoczęcia wyścigu, Peter McKenzie postanowił zaryzykować wysunięcie się na czoło i pokazanie, na co go stać. Był człowiekiem sfrustrowanym. Od ponad pięciu lat kierował resortem zdrowia i podobnie jak Urquhart miał nadzieję, że po czerwcowych wyborach powszechnych zostanie powołany na jakieś inne stanowisko. Te długie lata zarządzania sztywną, biurokratyczną maszyną, polegającego głównie na bezsilnym przyglądaniu się, jak koszty postępu nauk medycznych rosną bezlitośnie, coraz bardziej przewyższając możliwości finansujących je podatników, bardzo źle wpłynęły na jego karierę. Jeszcze parę lat wcześniej uważano go za wschodzącą gwiazdę partii, człowieka potrafiącego pogodzić

twardy, realistyczny punkt widzenia z wrodzonym instynktem opiekuńczym. Jednak służba zdrowia okazała się całkowicie odporna na podejmowane przezeń próby jej zreformowania, a powtarzające się utarczki z pikietami protestujących pielęgniarek i sanitariuszy podarły w strzepy jego wizerunek człowieka wrażliwego. Odroczenie programu rozwoju szpitalnictwa przepełniło czarę goryczy. McKenziego ogarnęło zniechęcenie i rozmawiał już nawet z żoną o wycofaniu się z polityki, jeżeli po następnych wyborach nie dojdzie do jakichś zmian na lepsze.

Na upadek Collingridge'a zareagował więc tak, jak tonący na widok zbliżającej się tratwy ratunkowej. Teraz liczyły się tylko wybory. Oczywiście, podobnie jak większość rywali, popełnił błędy na początku wyścigu, lecz w okres ostatnich pięciu dni przed pierwszym głosowaniem wszedł pełen entuzjazmu i energii. Już na początku kampanii zaplanował sobie, że w dniu zamknięcia listy kandydatów spróbuje wybić się z tłumu, dlatego polecił swym podwładnym zorientować się, gdzie mógłby wtedy złożyć wizytę, która zapewniłaby mu odpowiedni rozgłos, przywracając jednocześnie reputację polityka ludzkiego i opiekuńczego.

Oczywiście zastrzegł, że szpitale nie wchodzi w grę. Przez swe pierwsze trzy lata w ministerstwie odwiedzał szpitale i starał się dowiedzieć jak najwięcej o opiece nad pacjentem po to tylko, by w trudnych dniach spotkać się z pikietami rozwrzeszczanych pielęgniarek skarżących się na niskie płace, zaś w jeszcze trudniejszych z gwałtownymi demonstracjami personelu pomocniczego, protestującego przeciwko „drakońskim cięciom”. Nawet lekarze zdawali się podzielać pogląd, że budżet służby zdrowia zależy przede wszystkim od natężenia hałasu, a nie od potrzeb. McKenziemu niemal nigdy nie udało się spotkać z pacjentami, gdyż nawet kiedy postanawiał wślizgnąć się do szpitala bocznymi lub tylnymi drzwiami, demonstranci zawsze skądś wiedzieli, gdzie na niego czekać, by w obecności dziennikarzy i kamer telewizyjnych rzucić mu w twarz stek niesprawiedliwych obelg. Jeszcze żaden minister nie odniósł zwycięstwa w konfrontacji z protestującymi pielęgniarkami, ponieważ opinia publiczna zawsze stanie po stronie aniołów miłosierdzia, polityka zaś obsadzi w roli notorycznego złoczyńcy. To spowodowało,

że McKenzie po prostu przestał odwiedzać szpitale. Zamiast ryzykować niszczące jego reputację spotkania ze strumieniem wściekłych oszczerstw, postanowił trzymać się bezpieczniejszych miejsc.

Na kilka godzin przed zamknięciem listy kandydatów samochód ministra zdrowia zbliżał się do położonych w pobliżu szosy M4 Humanifit Laboratories. McKenzie planował spędzić tu kilka godzin przed kamerami, dokonując uroczystego otwarcia nowego zakładu i zapoznając się z wytwarzanym w nim sprzętem rehabilitacyjnym. Właśnie w tym zakładzie miała się rozpocząć produkcja supernowoczesnego, sterowanego głosem wózka inwalidzkiego przeznaczonego dla osób dotkniętych paraplegią, niezdolnych poruszać kończynami. Połączenie najnowszej brytyjskiej technologii z głęboką troską o niepełnosprawnych! — tym razem jego podwładni spisali się doskonale. McKenzie z niecierpliwością czekał na to popołudnie i telewizyjne relacje z wizyty.

Był jednak na tyle ostrożny, aby nie uważać swego sukcesu za pewnik. Już zbyt wiele razy wpadał w pułapkę, by ryzykować, że ekipy telewizyjne, chcąc zapewnić odpowiednią atrakcyjność relacji, sprowadzą ze sobą demonstrantów.

— Jedna dobra zadyma jest dla nas warta tyle co setka uroczystości — powiedział mu kiedyś zaprzyjaźniony redaktor telewizyjny.

McKenzie zadbał więc, żeby telewizja została poinformowana o jego planach dopiero na trzy godziny przed wizytą, czyli wystarczająco wcześnie, by ekipy reporterów zdążyły zjawić się w porę, lecz stanowczo za późno, by miały szanse zorganizować komitet powitalny.

„Tak — pomyślał, dostrzegłszy w oddali zakład. — Moi ludzie wykazali się należyłą kompetencją, a ja zachowałem wszelkie środki ostrożności. Wszystko powinno pójść po mojej myśli.”

Na nieszczęście McKenziego jego pracownicy wykazali się nadmierną kompetencją. Jako że na wypadek niespodziewanego ważnego głosowania w Izbie Gmin rząd musi zawsze wiedzieć, gdzie podziewają się jego ministrowie, aby móc ich w razie czego jak najszybciej ściągnąć, obowiązkiem sekretariatu ministra jest informowanie Chief Whipa o planach szefa. W poprzedni piątek, zgodnie z regulaminem, sekretarka McKenziego wysłała do biura Urquharta kompletną listę spotkań zaplanowanych przez ministra

zdrowia na nadchodzący tydzień. Tak więc wystarczył jeden telefon.

Gdy skręcili z M4 w boczną drogę prowadzącą do zakładu, McKenzie stannie uczesał włosy i przygotował się na spotkanie z kamerami. Jechali teraz wzdłuż otaczającego zakład muru z czerwonej cegły, a kiedy minister zajął się poprawianiem krawata, samochód wtoczył się majestatycznie przez bramę wjazdową.

I właśnie w tym momencie kierowca gwałtownie wcisnął hamulec, rzucając McKenziem o przednie siedzenie, rozsypując dokumenty po podłodze i w jednej chwili doprowadzając do ruiny wygląd szefa, który nie zdążył nawet zakląć ani zażądać wyjaśnień, a już znał powód nagłych kłopotów. To, co zobaczył, przerastało jego najczarniejsze obawy.

Na małym parkingu kłębił się tłum demonstrantów, głównie kobiet w strojach pielęgniarek, wykrzykujących pod jego adresem najgorsze obelgi. Zajście rejestrowały trzy kamery telewizyjne, sprowadzone przez sumiennego sekretarza prasowego ministra i ustawione w najlepszym punkcie obserwacyjnym — na dachu budynku administracji. Gdy tylko samochód znalazł się na terenie zakładu, natychmiast okrążył go wściekły tłum, kopiąc karoserię i tłukąc transparentami o dach. Już po paru sekundach po wycieraczkach zostało tylko wspomnienie, a w chwilę później podobny los spotkał antenę. Kierowca wcisnął co prawda przycisk automatycznie zamykający okna i blokujący wszystkie drzwi, jednak zanim to zrobił, ktoś zdążył splunąć McKenziem prosto w twarz. Pięści i wykrzywione twarze przyciśnięte do szyb zaciekle mu wygrażały, a gdy tłum napał jeszcze mocniej, auto się zakołysało. McKenzie nie widział teraz ani nieba, ani drzew, ani też pomocy — nic oprócz otaczającej go kręgiem nienawiści.

— Wyjeżdżaj! Szybko! — krzyknął, lecz kierowca uniósł tylko bezradnie ramiona. Demonstranci obstąpili samochód, blokując odwrót.

— Wyjeżdżaj! — krzyczał dalej McKenzie, ogarnięty nagłą klaustrofobią. Jednak bez skutku. Zdesperowany minister pochylił się do przodu, chwycił za dźwignię automatycznej skrzyni biegów i pociągnął, wrzucając wsteczny. Samochód szarpnął i cofnął się o jakieś trzydzieści centymetrów, zanim kierowca wcisnął hamulec. To wystarczyło, by ciasno stłoczeni ludzie



odczuli uderzenie. Demonstranci rozstąpili się, odciągając młodą kobietę w fartuchu pielęgniarki, która potrącona przez cofający samochód, zdawała się bardzo cierpieć. Widząc przejazd, kierowca gładko wycofał za bramę, gdzie na hamulcu ręcznym wykonał obrót o sto osiemdziesiąt stopni, jeszcze bardziej uatrakcyjniając widowisko. Następnie ruszył z piskiem opon, zostawiając na asfalcie czarne ślady spalonej gumy.

Kamery wciąż pracowały.

Wraz ze spaloną gumą z opon samochodu na drodze dojazdowej do zakładu Humanifit Laboratories została kariera polityczna KcKenziego. I nie miało znaczenia, że potrąconej kobiecie nic się nie stało ani że tak naprawdę nie była pielęgniarką, tylko etatową, zaprawioną w bojach działaczką związku. Nikogo to nie obchodziło. Jasne było, że człowiek, który potrafił zwrócić przeciwko sobie tyle pielęgniarek i który uciekając przed protestującymi pokazał, że jest zwykłym tchórzem, nie zasługuje, by zamieszkać przy Downing Street. McKenzie płynął teraz pod prąd i bezradnie patrzył, jak jego tratwa ratunkowa coraz bardziej się oddala.

## PIĄTEK, 19 LISTOPADA

Dla Mattie był to trudny tydzień. Bardzo dokuczała jej samotność, zmuszała się więc do ciężkiej pracy, aby zapomnieć o smutkach. Choć w ostatnich dniach tempo kampanii gwałtownie wzrosło, Mattie czuła, że przebiera nogami w miejscu, zostając w tyle za pędzącymi wydarzeniami. Z tych kilku rozmów w sprawie pracy, na które się umówiła, nic w końcu nie wynikło. Było jasne, że do gazet wchodzących w skład powiększającego się imperium Landlessa dostała wilczy bilet, zaś żaden z jego nielicznych konkurentów nie chce ryzykować niepotrzebnego konfliktu z potentatem. A w piątek podniesiono oprocentowanie hipoteki.

Co gorsza, choć coraz więcej elementów układanki trafiało na swoje miejsca, Mattie wciąż nie potrafiła dostrzec jej ogólnego zarysu. A to bolało. W jej głowie pojedyncze fakty, które zdołała zgromadzić, zderzały się z domysłami, nie tworząc jednak żadnej logicznej całości. Przyprawiało to Mattie o tępy, nie ustępujący od paru dni ból głowy. W nadziei że odrobina fizycznego wysiłku oczyści zarówno jej ciało, jak i umysł, wyjęła z szafy dres i już po chwili biegła po zasłanych żółtymi liśćmi alejkach Holland Parku. Efekt był jednak taki, że pulsującemu bólowi w skroniach zaczął towarzyszyć ból wszystkich kończyn i płuc. Zaczynało jej brakować pomysłów, wigo-ru i czasu. Do pierwszego głosowania pozostały zaledwie cztery dni.

W gasnącym wieczornym świetle biegła wąską alejką pomiędzy bezlistnymi kasztanowcami, tworzącymi jakby tunel zamieszka-ny przez ledwo widoczne, upiorne zjawy. Następnie skręciła w Aleję Lip, gdzie w świetle dziennym wróble i wiewiórki zachowywały się jak zupełnie oswojone

zwierzęta domowe. Minęła ruiny starego Holland House, który pół wieku wcześniej spłonął doszczętnie razem z całym swym pięknem, wszystkimi książkami i tajemnicami. Pozostały jedynie wspomnienia jego dawnej świetności. Jeszcze zanim elżbietański Londyn rozrósł się w wielkie miasto, Holland House był letnią siedzibą Charlesa Jamesa Foxa, legendarnego radykała, który w osiemnastym wieku wspierał wszelkie możliwe ruchy rewolucyjne, a ich tajne spotkania, mające doprowadzić do obalenia premiera, organizował właśnie w posiadłości swych przodków. Wszystko na próżno. Za to teraz ktoś dokonał tego, co Foxowi się nie udało. Pytanie tylko, kto?

Jeszcze raz przebiegła w myślach plac boju, na którym poległ Collingridge. Zaczęło się od niepomysłnych dla partii wyników wyborów powszechnych, co doprowadziło do konfliktu pomiędzy Collingridge'em a Williamsem.

Później, dzięki Stephenowi Kendrickowi, wyszła na jaw sprawa fiaska programu rozwoju szpitalnictwa. Nie wiadomo, kto mógł spowodować przeciek w sprawie cięć w budżecie Armii Terytorialnej. Dokument leżał na podłodze w barze „U Annie”, lecz chyba Annie trudno byłoby za to winić... „Wyciekły” także wyniki sondażu opinii publicznej — kolejny cios zadany Collingridge'owi — ale Mattie nie miała pojęcia, komu za nie podziękować. Wiedziała natomiast, że O'Neill był sprawcą fałszerstwa w sieci komputerowej centrali partii oraz że Landless, z dość niejasnych przyczyn, zainteresował się nagle polityką.

I to już wszystko. Ale co z tym dalej zrobić? W którą stronę się skierować? Wbiegając po zboczach prowadzącym na najwyższy punkt parku, odrzucała kolejno wszystkie możliwości.

„Collingridge nie udziela wywiadów. Williams kontaktuje się z dziennikarzami jedynie poprzez swe biuro prasowe. O'Neill nie wydaje się zdolny do udzielania jakichkolwiek logicznych odpowiedzi, a Landless nie zatrzymałby się na mój widok nawet na przejściu dla pieszych. A więc zostaje mi tylko pan, panie Kendrick!”

Stała na szczycie wzgórza, a po chwili zaczęła zbiegać w stronę domu. Czowała się teraz znacznie lepiej. Jakby złapała drugi oddech.

## SOBOTA, 20 LISTOPADA

Dla Harolda Earle'a nie był to zły tydzień. Media uznały go za jednego z pięciu kandydatów mających największe szanse. Emocje towarzyszące kampanii rosły. Najpierw pędzący wagon Samuela z niewiadomych przyczyn zwołnił i zatrzymał się, a zaraz potem z szyn wypadł McKenzie. Pomimo znacznego wzrostu popularności Urquharta Earle nie wierzył w możliwość jego sukcesu. Urquhart nigdy nie kierował żadnym ministerstwem, a było oczywiste, że właśnie doświadczenie będzie jednym z najistotniejszych czynników branych pod uwagę przez głosujących. Szczególnie doświadczenie tak wielkie jak jego.

Swą wspinaczkę po szczeblach kariery Earle rozpoczął przed wieloma laty jako osobisty sekretarz parlamentarny premiera. Często żartował, że miał wtedy władzę większą niż wszyscy poniżej kanclerza. Bardzo szybko awansował do gabinetu i od tego czasu zajmował wiele ważnych stanowisk rządowych. Przez ostatnie dwa lata był ministrem edukacji i odpowiadał za program reformy szkolnictwa przygotowywany przez rząd Collingridge'a. W przeciwieństwie do większości swych poprzedników potrafił znaleźć platformę porozumienia z nauczycielami, chociaż niektórzy oskarżali go, że nie umie podejmować trudnych decyzji i zbyt często pełni rolę mediatora.

Ale czy partii nie był teraz potrzebny właśnie ktoś taki? Po bratobójczych walkach zostały wciąż nie zabliznione rany, a coraz ostrzejsza kampania działała na nie jak sól. W szczególności poczynania Wooltona, który zrezygnował z dyplomatycznej ogłady i powrócił do stylu uprawiania polityki, jakim popisywał się na początku swej kariery, jeszcze na północy, wzbudzały

wrogość bardziej konserwatywnych członków partii. Może więc naprawdę był to odpowiedni moment dla Earle'a?

Na sobotę zaplanował wizytę w swym okręgu wyborczym. Jaskrawo ozdobiona sala, wypełniona po brzegi zwolennikami, wydawała się idealnym miejscem na ogłoszenie poważnych zmian w polityce edukacyjnej państwa. Wraz ze swymi urzędnikami pracował nad nimi już od dłuższego czasu i nie trzeba było wielkiego wysiłku, by oświadczenie było gotowe na sobotę. Sponsorowany przez rząd program, zapewniający bezrobotnym absolwentom szkół nowe miejsca pracy, gwarantował nie tylko kurs przekwalifikowujący, lecz także możliwość odbycia przeszkolenia w dowolnym kraju Wspólnego Rynku. Kursy miały obejmować zarówno przedmioty praktyczne, jak i naukę języków.

Earle był pewien, że program zostanie dobrze przyjęty. Płomienne przemówienie przepełnione entuzjazmem wobec nowych horyzontów i możliwości pracy otwierających się przed młodym pokoleniem miało zadać śmiertelny cios niechętnemu stosunkowi brytyjskich biznesmenów do porozumiewania się z zagranicznymi klientami w ich języku.

No i wreszcie *coup de grâce*. Earle zdołał przekonać biurokratów z Brukseli, by sfinansowali cały projekt. Już słyszał ten gromki aplauz, który wyniesie go na szczyt, prosto na Downing Street.

Kiedy w południe przybył na miejsce, przed budynkiem ratusza oczekiwał go tłum wiwatujących zwolenników, wymachujących flagami państwowymi i starymi transparentami, które miały nadać spotkaniu atmosferę mitingu przedwyborczego. Na widok pojawiającego się w drzwiach Earle'a zagrała miejscowa orkiestra. Ruszył wąskim przejściem, ściskając wyciągnięte ze wszystkich stron dłonie. Burmistrz wprowadził go na mównicę, podczas gdy kamerzyści i oświetleniowcy walczyli o jak najlepsze miejsca. Zaslaniając dłonią oczy przed ostrym światłem, Earle rozejrzał się po sali, machaniem ręki dziękując za aplauz, który nie cichł ani na chwilę, nawet kiedy burmistrz próbował przedstawić gościa. Earle raptem poczuł się tak, jakby za chwilę miał odnieść największy w swym życiu triumf.

I wtedy go zobaczył. Stał w pierwszym rzędzie, ściśnięty pomiędzy wiwatującymi zwolennikami, machając flagą i śmiejąc się jak oni. Simon. Jedyna osoba na świecie, której Earle miał nadzieję już nigdy więcej nie zobaczyć. Wciąż pamiętał swoje pierwsze z nim spotkanie — zresztą jak mógłby kiedykolwiek zapomnieć? Wracał pociągiem z wieczornego spotkania na północnym zachodzie. Byli w przedziale zupełnie sami — Earle pijany, a Simon bardzo, bardzo miły. I przystojny. Podczas gdy pociąg pędził przez noc, oni, zostawiając za sobą wszystkie obowiązki, weszli w inny, mroczny świat, odcięty od jaskrawych światła mijanych stacji. Earle popełnił czyn, za który dawniej można było trafić na wiele lat do więzienia, a który teraz jest prawie dopuszczalny tylko pomiędzy dorosłymi, i to jedynie w miejscach niepublicznych. A do takich wagon British Railways z całą pewnością się nie zalicza.

Wcisnąwszy w dłoń Simona dwie dwudziestofuntówki, Earle wytoczył się z pociągu w Euston i resztę nocy spędził w swym klubie, nie mając odwagi spojrzeć w oczy chorej matce.

Przez następne pół roku nie widział Simona, lecz któregoś dnia chłopak zjawił się nagle w głównym holu Izby Gmin i poprosił jednego ze strażników, aby sprowadził ministra. Kiedy Earle przyszedł, Simon bez zbędnych formalności wyjaśnił, że niedawno rozpoznał go w jednym z programów publicystycznych, po czym bardzo grzecznie i delikatnie poprosił o pieniądze. Earle „zwrócił mu koszty podróży do Londynu”, ale kiedy w tydzień później Simon zjawił się po raz kolejny, zrozumiał, że albo coś wymyśli, albo żądania chłopaka będą rosły. Kazał Simonowi poczekać, a sam schronił się w kącie Izby. Przez dobre dziesięć minut przyglądał się scenerii, którą tak bardzo pokochał, wiedząc, że czekający na zewnątrz smarkacz jest dla niego śmiertelnym zagrożeniem.

Sam nie zdołał znaleźć rozwiązania, udał się więc prosto do gabinetu Urquharta i wyznał, że jest skończony, gdyż w głównym holu siedzi chłopak szantażujący go z powodu pewnej głupiej przygody, która przydarzyła się wiele miesięcy temu.

— Nie ma się czym przejmować — pocieszył go Chief Whip. — W trakcie odwrotu spod Dunkierki zdarzały się gorsze rzeczy.

Następnie kazał wskazać sobie chłopaka i obiecał zająć się sprawą.

Oczywiście dotrzymał słowa. Przedstawił się Simonowi i zagroził, że jeśli ten w ciągu pięciu minut, nie opuści budynku, zostanie aresztowany pod zarzutem szantażu. Wyjaśnił mu również, że ponieważ w tego typu przypadkach samo aresztowanie, a także późniejsza rozprawa odbywają się bez żadnego rozgłosu, nikt nigdy nie pozna nazwiska szantażowanego polityka, o tym zaś, jaki wyrok otrzyma oskarżony, dowiedzą się tylko nieliczni. To wystarczyło, aby Simon zrozumiał, że popełnił ogromny błąd, i zniknął najszybciej, jak tylko mógł, co jednak trochę się odwlekło, ponieważ Urquhart postanowił spisać jego dane na wypadek, gdyby przyszło mu do głowy sprawiać dalsze problemy.

A teraz powrócił i siedział w pierwszym rzędzie, gotów postawić Bóg wie jakie żądania. Tortury dręczące wyobraźnię Earle'a odbiły się bardzo na przemówieniu, które w efekcie trochę zawiodło jego zwolenników. Treść nie uległa zmianie, ponieważ wydrukowano ją dużą czcionką na papierze z odzysku, jednak w słowach Earle'a zabrakło ognia. Ludzie przyszli słuchać jego, a nie zmęczonej twórczości urzędników, lecz on wydawał się być myślami zupełnie gdzie indziej.

I nie pomógł nawet entuzjazm, z jakim mimo wszystko przyjęto wystąpienie. Burmistrz musiał prawie na siłę wciągnąć Earle'a w wiwatujący tłum, pragnący jeszcze raz uścisnąć jego dłoń i życzyć mu wszystkiego najlepszego. Kiedy tak śmiali się do niego, całowali w policzki i poklepywali po plecach, przesuwali go jednocześnie coraz bliżej przyglądającego mu się Simona. Miał wrażenie, że zbliża się do wrót samego piekła.

Lecz Simon po prostu wyciągnął dłoń i lekko się uśmiechnął, podczas gdy jego druga ręka bawiła się nerwowo zwisającym z szyi złotym medalikiem. A potem zniknął — po prostu jeszcze jedna twarz w tłumie — Earle zaś wsiadł do samochodu, by jak najszybciej wrócić do bezpiecznego Londynu.

Kiedy zatrzymał się przed domem, czekało na niego dwóch mężczyzn.

— ...Bry wieczór, panie Earle. Simmonds i Peters z „Mirror”. Miał pan

dzisiaj ciekawy dzień. Interesujące spotkanie. Czytaliśmy już oficjalny komunikat, ale to tylko słowa, a nam potrzeba czegoś więcej, odrobiny koloru. Tego oczekują nasi czytelnicy. Na przykład, jak zareagowali zebrani? Czy zechce nam pan powiedzieć, jakie były reakcje?

Minął ich bez słowa i z hukiem zatrzęsął drzwiami. Zza zasłony obserwował, jak wzruszywszy ramionami, wrócili do zaparkowanego po drugiej stronie ulicy kombi. Wyjęli książki oraz termos i wygodnie się rozsiedli, rozpoczynając całonocne czuwanie.



## NIEDZIELA, 21 LISTOPADA

Następnego ranka, kiedy równo ze świtem Earle wyjrzał przez okno, wciąż tam byli. Jeden spał, nasunawszy sobie kapelusz na oczy, drugi zaś przeglądał niedzielne gazety, w niczym nie przypominające tych sprzed tygodnia. Kampania wyborcza, wtedy nudna i nijaka, teraz, po włączeniu się Urquharta oraz kłęsce McKenziego, nagle ożyła, a ankieteryzy zaczęli odnosić pierwsze sukcesy w przelamywaniu niechęci posłów do udzielania informacji.

„Idą łeb w łeb!” — obwieścił „Observer”, informując, że sympatia sześćdziesięciu procent posłów, których ankieteryzy zdołali skłonić do udziału w sondażu, rozkłada się pomiędzy czterech kandydatów. Najwięcej głosów otrzymali Samuel, Earle oraz Woolton, Urquhart zaś uplasował się na czwartym miejscu, z niewielką tylko stratą do pierwszej trójki. McKenzie zdecydowanie wypadł z gry, a nikła przewaga Samuela całkowicie znikła.

Jednak Earle wcale się nie ucieszył. Przez całą noc nie spał, tylko kręcił się nerwowo po domu, nijak nie mogąc znaleźć ukojenia. Gdziekolwiek spojrzal, widział twarz Simona, a obecność tych dwóch dziennikarzy nie dawała mu spokoju. Co wiedzą? I dlaczego czatują pod jego drzwiami? To długie nocne czuwanie aż do chwili, gdy pierwsze palce świtu rozpostarły na listopadowym niebie chłód i szarość, zupełnie pozbawiło go odporności i nadziei. Musi, po prostu musi wiedzieć na pewno!

Peters trącił Simmondsa łokciem, kiedy nie ogolony Earle pojawił się we frontowych drzwiach domu i ciasno otulony szlafrokiem ruszył w ich kierunku.

— Zawsze działa — odezwał się Peters. — Żaden nie potrafi się powstrzymać. Węszą jak mysz za serem. No cóż, przekonajmy się, co ma nam do powiedzenia. Włącz ten cholerny magnetofon, Alf.

— Dzień dobry, panie Earle — krzyknął Peters. — Niech pan nie marzenie; zapraszamy do środka. Może herbaty? Albo kawy?

— Kto was nasłał? Dlaczego mnie szpiegujecie?

— Szpiegujemy? Ależ, panie Earle! My tylko szukamy odrobiny koloru. Jest pan jednym z głównych kandydatów na fotel premiera. Czytał pan już dzisiejsze gazety? Ludzie będą się teraz panem interesować. Pańskimi zamiłowaniami, przyjaciółmi...

— Nie mam nic do powiedzenia!

— A czy moglibyśmy porozmawiać z pańską żoną? — spytał Simmonds.

— Ach, przepraszam najmocniej. Pan przecież nie jest żonaty, prawda, panie Earle?

— Co pan sugeruje? — wykrzyknął Earle zniekształconym piskliwym głosem.

— Na Boga, nic, proszę pana! A tak przy okazji, czy widział pan już zdjęcia z wczorajszego spotkania? Wyszły bardzo dobrze. Zastanawiamy się nad umieszczeniem jednego z nich na pierwszej stronie jutrzejszego numeru. Proszę, niech pan sam zobaczy.

Wystawił rękę przez okno i zamachał zdjęciem przed nosem Earle'a. Ten chwycił je i aż mu dech zaparło. Na fotografii zobaczył siebie ściskającego dłoni i patrzącego prosto w oczy uśmiechniętego Simona. Szczegóły były bardzo wyraźne, może nawet aż za wyraźne. Wydawało się, że ktoś podretuszował wielkie oczy Simona i jeszcze bardziej uwydatnił jego mięsiste, zmysłowe usta. Trzymając w wypielęgnowanych palcach swój złoty medalion, wyglądał bardzo, ale to bardzo dziewczęco.

— O co wam chodzi?! Stanowczo wszystkiemu zaprzeczam! Natychmiast zatelefonuję do waszego naczelnego i złożę na was skargę!

— Do naszego naczelnego? Proszę pana, przecież to właśnie on nas tu przysłał! — krzyknął Simmonds do pleców wycofującego się ministra.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się z hukiem, Peter zwrócił się do Simmondsa:

— Biedaczek. Wygląda na bardzo zmartwionego, Alf.

Ponownie zagłębili się w lekturze.

## PONIEDZIAŁEK, 22 LISTOPADA

Kendrick chętnie zgodził się na rozmowę z Mattie. Nie był pewien, czy to dlatego, że jako posłowi opozycji schlebiali mu, że jest potrzebny, czy też dlatego, że ilekroć widział Mattie Storin, czuł swędzenie w kolanach, a w jego oczach pojawiał się dziwny błysk. Zresztą niezależnie od rzeczywistych motywów, był tym spotkaniem zachwycony. Właśnie kończył przygotowywać herbatę w swym jednopokojowym biurze w Norman Shaw North — budynku z czerwonej cegły, rozświetlonym przez niezliczoną liczbę czarno-białych filmów jako siedziba New Scotland Yardu. Siły prawa i porządku już dawno przeniosły się do bardziej nowoczesnej kwatery przy Victoria Street, zaś kancelaria Izby Gmin z radością przejęła położony niemal dokładnie naprzeciwko Parlamentu wolny, choć walący się budynek na potrzeby słuchanych dotąd niemiłosiernie posłów.

Spoglądając przez okno na Tamizę, Kendrick napełnił filiżanki i otworzył swe serce:

— Muszę ci powiedzieć, że w ogóle się tego nie spodziewałem. Ale zaczyna mi się to coraz bardziej podobać.

— Zdołałeś też szybko zapewnić sobie rozgłos. — Mattie posłała w jego stronę jeden ze swych najbardziej uroczych uśmiechów i założyła nogę na nogę. Tym razem ulubione spodnie zostawiła w szafie, zastępując je modną bluzką oraz spódnicą ukazującą w całej okazałości jej zgrabne łydki i szczupłe kostki. Mattie potrzebowała informacji i była zdecydowana je zdobyć, nawet za cenę małego flirtu.

— Piszę teraz artykuł o upadku premiera Collingridge'a. Ponieważ chciałabym sięgnąć trochę głębiej niż dotychczasowe artykuły, planuję

porozmawiać ze wszystkimi, którzy mieli w tym upadku swój, zamierzony czy też nie, udział. To nie będzie nieprzychylny artykuł, nie zamierzam też nikogo winić ani oskarżać. Chciałabym raczej wyjaśnić, na czym polega praca parlamentu i dlaczego możliwe są takie niespodzianki. A jeśli chodzi o niespodzianki, to ty jesteś jedną z największych.

Kendrick roześmiał się.

— To wprost niewiarygodne, jak bardzo zmieniła się moja sytuacja w wyniku tego... jak byś to nazwała? Łutu szczęścia? Rzutu kośćmi? Strzału w dziesiątkę?

— Czy próbujesz sugerować, że tak naprawdę to nie wiedziałeś, że program rozwoju szpitalnictwa został odłożony na półkę? Że po prostu zgadłeś?

— Powiedzmy, że nie byłem w stu procentach pewien. Zaryzykowałem.

— A ile wiedziałeś?

— Wiesz, Mattie, jeszcze nikomu nie opowiadałem tej historii ze wszystkimi szczegółami... — Rzucił okiem na jej łydki. — Ale chyba nie stanie się nic złego, jeśli zdradzę ci parę drobiazgów. — Przez chwilę zastanawiał się, jak daleko może się posunąć. — Dowiedziałem się, że rząd, a właściwie centrala konserwatystów zaplanowała potężną kampanię promującą nowy plan rozwoju szpitalnictwa. Ciężko się nad nią napracowali, wydali masę pieniędzy na przygotowania, ale w ostatniej chwili wszystko odwołano. Zupełnie jakby ktoś nagle wyciągnął wtyczkę z gniazdka. Długo nad tym myślałem i w końcu doszedłem do wniosku, że jedynym logicznym wytłumaczeniem jest to, że zrezygnowano nie tyle z samej kampanii, co z całego planu. Więc zaryzykowałem konfrontację z premierem i okazało się, że trafiłem w dziesiątkę. Prawdę mówiąc, sam byłem bardzo zdziwiony.

— Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek odbyła się jakakolwiek dyskusja na temat kampanii promocyjnej. Czyżby sprawę trzymano w tajemnicy?

— Oczywiście. Liczyli na element zaskoczenia. O ile wiem, całe przygotowania były ściśle tajne.

— Musisz mieć u konserwatystów zaufanych informatorów.

— Tak, Mattie, i nie mam zamiaru ich stracić. Rozumiesz więc chyba, że nie powiem na ich temat ani słowa.

Mattie wiedziała, że aby wydostać z niego tę informację, musiałaby zaoferować znacznie więcej aniżeli tylko widok smukłych kostek. A na płacenie tak wysokiej ceny nie miała ochoty.

— Oczywiście, Stephenie. Zdaję sobie sprawę, jak ważną rzeczą są dobre źródła informacji. Ale może mógłbyś mnie trochę naprowadzić? Istnieją tylko dwa możliwe źródła przecieku, centrala partii oraz rząd, prawda?

Skinął głową.

— A w ostatnich miesiącach głośno było o pogłębiającym się rozdźwięku między centralą a Downing Street. Ponieważ kampanię miała prowadzić centrala, wydaje się logiczne, że informacja wyszła właśnie stamtąd.

Uniosła brwi i ściągnęła usta.

— Jesteś naprawdę bardzo domyślna, Mattie. Ale ja ci tego nie powiedziałem, zgoda? I żadnych więcej pytań na ten temat. Jesteś stanowczo zbyt bystra.

Roześmiał się wesoło, a wtedy Mattie postanowiła zagrać *va banque*:

— Nie obawiaj się. Nie prowadzę śledztwa, tylko piszę artykuł. Sekret Rogera jest u mnie bezpieczny.

Kendrick wypluł herbatę, którą próbował przełknąć, i zaczął się krztusić.

— Nie powiedziałem... ani słowa na... temat Rogera — wybełkotał. Ponieważ jednak zdawał sobie sprawę, że samą miną zdradził swą znajomość z O'Neillem, postanowił się poddać. — O Jezu! Skąd wiesz? Posłuchaj, Mattie, nadszedł czas wielkich przysług. Nie powiedziałem ci ani słowa o Rogerze. Jesteśmy starymi kumplami i nie chciałbym wbijać następnego gwoźdźca do jego trumny. Zdaje się, że ma już i tak wystarczająco dużo kłopotów.

Mattie głośno się roześmiała, świetnie się bawiąc niepokojem polityka.

— Twoja ponura tajemnica jest całkowicie bezpieczna — zapewniła go.

— Ale kiedy będziesz już ministrem, albo kto wie, może nawet premierem, mam nadzieję, że nie zapomnisz spłacić mi tego długu!

Tym razem oboje ryknęli gromkim śmiechem, choć Mattie czuła, jak z wrażenia kurczy się jej żołądek. Następny fragment układanki trafił na swoje miejsce.

Nie ruszyli się z miejsca ani w południe, ani gdy nadszedł wieczór; czytali, dłubali w zębach i obserwowali. Niczym anioły zemsty od ponad czterdziestu ośmiu godzin czekali na Earle'a w swym nędznym samochodzie, śledząc każdy ruch firanki oraz fotografując każdego, kto się pojawił, nawet listonosza i mleczarza.

„Czego chcą? — krzyczał Earle w myślach. — Dlaczego mnie prześladowają?”

Nie miał nikogo, z kim mógłby porozmawiać, kto byłby w stanie go w jakikolwiek sposób pocieszyć. Był człowiekiem samotnym, szczerym i bardzo pobożnym, który popełnił jeden błąd i wiedział, że prędzej czy później przyjdzie mu zań zapłacić. Matka zawsze mu powtarzała, że za grzechy trzeba płacić, gdyż w przeciwnym razie człowiek będzie się wic w ognjach piekielnych. Earle już czuł ich coraz dziksze płomienie.

Mniej więcej o wpół do siódmej wieczorem rozległo się pukanie do drzwi.

— Przepraszamy, że przeszkadzamy, panie Earle. To znów Simmonds i Peters. Nasz naczelny kazał nam zadać panu tylko jedno pytanie. Od jak dawna pan go zna?

Podsunał mu zdjęcie pod sam nos. Również ono przedstawiało Simona, tyle że zrobiono je w studiu fotograficznym, a nie na mityngu Earle'a. Chłopak ubrany był w obcisły skórzany kombinezon z wieloma zamkami błyskawicznymi. Rozpięta aż do pasa kurtka ukazywała szczupły tors. W dłoni Simona tkwił długi pejcz.

— Odejdźcie! Zostawcie mnie w spokoju! Proszę! — krzyknął tak głośno, że zaniepokojeni sąsiedzi podeszli do okien.

— Jeśli panu przeszkadzamy, przyjdziemy kiedy indziej. Do widzenia. W milczeniu wrócili do samochodu i na nowo podjęli obserwację.

## WTOREK, 23 LISTOPADA

Następnego ranka wciąż tam byli. Po kolejnej bezsennej nocy Earle zrozumiał, że dłużej nie wytrzyma. Siedział w swym gabinecie, lkał ochryplym głosem, a z jego zaczerwienionych oczu płynęły łzy. Tak ciężko pracował, tyle dobrego zrobił i z powodu tego jednego błędu wszystko na nic. Tak bardzo starał się zasłużyć na miłość swej matki, na kilka słów pochwały z jej ust, osiągnąć coś, co by rozjaśniło ostatnie lata jej życia, a zdołał jedynie po raz kolejny ją zawieść. Miała więc rację, że jej syn umie tylko to.

Wiedział, że musi z tym skończyć, że nie ma sensu dalej tego ciągnąć. Otworzył szufladę biurka i wyjął z niej notes z numerami telefonów. Wcisnąwszy kolejne klawisze czuł się tak, jakby wbijał gwoździe w swe ciało. Przez całą krótką rozmowę z trudem panował nad drżeniem głosu, lecz gdy wreszcie odłożył słuchawkę i opadł na fotel, znowu mógł sobie pozwolić na płacz.

Gdy niedługo potem wiadomość o wycofaniu się Earle'a dotarła do Westminsteru, przyjęto ją z ogromnym zdziwieniem. Ponieważ było za późno, by wydrukować nowe karty do głosowania, skreślono po prostu zbędne nazwisko zwykłym długopisem. Sir Humphrey nie był zadowolony, że w jego staranne przygotowania wkraść się chaos, skomentował więc całe zajście w paru ostrych słowach. Mimo to punktualnie o dziesiątej drzwi sali numer czternaście, wyznaczonej na miejsce głosowania, otworzyły się i pierwsi z trzystu trzydziestu pięciu posłów, mających wziąć udział w wyborach, podeszli do urny. Było pewne, że będzie dwóch wielkich nieobecnych – premier, który oświadczył, że nie weźmie udziału w głosowaniu, oraz Harold Earle.

Mattie zamierzała spędzić cały dzień w Izbie Gmin na próbach oszacowania rozkładu sympatii. Zdecydowana większość posłów uważała, że wycofanie się Earle'a najbardziej pomoże Samuelowi.

— Mediatorzy trzymają z handlarzami sumienia — stwierdził pewien stary niedołęga — więc poplecznicy Earle'a oddadzą prawdopodobnie swe głosy na młodego Disraeliego. Nie stać ich na podjęcie bardziej zdecydowanych kroków.

W kularach i w gorących dyskusjach ufających sobie posłów pojawiały się znacznie bardziej nieprzyjemne wątki osobiste.

Mattie popijała akurat kawę w barze samoobsługowym obok łoży prasowej, kiedy przez głośniki podano, że jest do niej telefon. Podeszła do najbliższego aparatu. Głos, który usłyszała, wprowadził ją w zdziwienie większe nawet niż wcześniejsza wiadomość o rezygnacji Earle'a.

— Dzień dobry, Mattie. Podobno przez cały zeszły tydzień starałaś się ze mną skontaktować. Przepraszam cię bardzo, ale nie było mnie w pracy. Nieżył żołądek. Czy w dalszym ciągu masz ochotę na spotkanie?

Roger O'Neill był tak wesoły i mówił z takim entuzjazmem, że Mattie trudno było uwierzyć, iż to ten sam człowiek, który zaledwie parę dni przedtem nie był w stanie sklecić jednego logicznego zdania. Pamiętając opowieści o jego skandalicznym zachowaniu w Bournemouth, doszła do wniosku, że facet musi cierpieć na niezwykle rozchwianie osobowości i iście diabelską huśtawkę nastrojów.

— Może wpadniesz po południu do mojego biura na Smith Square?

Nie zdradzał śladów wyjątkowo bezlitosnej ustnej reprimendy, którą otrzymał od Urquharta. Gdy Chief Whip zatelefonował do O'Neilla z poleceniem dopilnowania, by na mityngu Earle'a pojawił się Simon oraz by „Mirror” dostał anonimową informację o związku pomiędzy tymi dwoma mężczyznami, stwierdził, że O'Neill coraz bardziej obsuwa się w narkotyczne otępienie i powoli traci kontakt z otaczającym go światem. Doszło do konfrontacji. Urquhart nie mógł sobie pozwolić na rezygnację z usług O'Neilla w centrali partii, gdyż groziło to zawaleniem się całego planu.



— Jeszcze tydzień, Roger, tylko jeden tydzień i będziesz mógł odpocząć, na jakiś czas zapomnieć o wszystkim, a później wrócić po swój tytuł szlachecki, którego tak pragniesz. Już za parę dni nikt nie ośmieli się patrzeć na ciebie z góry. Załatwię ci to. Ale jeśli mnie teraz zawiedziesz, pożałujesz. Więc weź się, do cholery, w garść! Nie masz się czego bać. Po prostu wytrzymaj jeszcze tych parę dni.

O'Neill nie bardzo rozumiał, o co chodzi Urquhartowi. Owszem, ostatnio był rzeczywiście w nie najlepszej formie, lecz jego zamroczony umysł wciąż nie przyjmował do wiadomości faktu, że istnieje poważny problem, którego sam nie da rady rozwiązać. Po co miał się dręczyć jakimiś wątpliwościami, szczególnie dotyczącymi jego samego? Przecież jest w stanie poradzić sobie, a już na pewno z niewielką pomocą... Jeszcze tylko kilka dni i spełnią się jego marzenia. Zdobędzie szerokie uznanie, na które zasługuje, a wszystkim zmaże z ust te ich protekcyjne uśmiechy. Warto więc zmusić się jeszcze do odrobiny wysiłku.

Wrócił do pracy i dowiedział się, że Mattie chce się z nim skontaktować i że wypytywała Penny o adres w Paddington.

— Nie przejmuj się, Pen. Zajmę się tym.

Musiał zawierzyć swej junackiej pewności siebie z dawnych lat, kiedy z powodzeniem przekonywał ludzi, by kupowali jego pomysły i argumenty — nie dlatego, że były tak dobre, lecz dlatego, że potrafił urzec ich swą energią i entuzjazmem. W świecie pełnym cynizmu ludzie pragną ufać tym, którzy żarliwie wierzą w wartość tego, co proponują.

Gdy zaraz po lunchu Mattie zjawiała się w jego biurze, był rażny, ożywiony i chętny do rozmowy, choć jego dziwne oczy wciąż nerwowo przeskakiwały z punktu na punkt.

— Kłopoty z żołądkiem — wyjaśnił. — Przepraszam, że kazałem ci tak długo czekać.

Mattie musiała przyznać, że jego uśmiech jest pełen czaru i bardzo trudno jest nie chcieć mu uwierzyć.

— Podobno pytałaś o tę skrytkę, którą wynająłem dla Charlesa Collingridge'a?

— A więc przyznajesz, że to właśnie on poprosił cię o jej wynajęcie?

— No cóż, jeżeli masz zamiar zacytować moje słowa, muszę odpowiedzieć, że nie zamierzam omawiać prywatnych spraw pana Collingridge'a — z łatwością wyrecytował oficjalną formułkę wielokrotnie powtarzaną przez pracowników biura prasowego Downing Street. — Ale możemy porozmawiać nieoficjalnie. Bez żadnych cytatów, rozumiesz?

Spojrzał jej głęboko w oczy, jakby chcąc podkreślić swą szczerość, po czym wstał zza biurka i podszedł do jednego z kilkunastu chyba krzeseł zagracających jego gabinet.

— Nawet jednak w rozmowie nieoficjalnej — powiedział, siadając koło Mattie — są pytania, na które nie będę mógł ci odpowiedzieć. Ale sama dobrze wiesz, jak bardzo chory jest Charles Collingridge. Nie był w stanie w pełni odpowiadać za swoje czyny, więc według mnie dalsze karanie go byłoby zwykłym okrucieństwem. I tak jego życie jest już zrujnowane. Nieważne, co zrobił, czy warto go dalej prześladować?

Mattie ogarnął gniew, gdy słuchała, jak O'Neill ładuje potężny bagaż win na barki nieobecnego. Cały świat jest winny, tylko nie ty, Roger. Prawda?

— A więc zaprzeczasz, że Charles Collingridge osobiście poprosił cię o wynajęcie tego adresu?

— Jeżeli tego nie opublikujesz, to nie zaprzeczam. Ale powiedz mi, jaki sens ma dalsze rozdrapywanie tych ran? Dajcie mu chociaż szansę na odbudowanie życia.

— Dobrze, Roger. Ja również nie widzę powodu, by dalej go nękać. A więc porozmawiajmy o czym innym. Jak zapewne wiesz, centrala partii była wielokrotnie oskarżana o to, że przez nieuwagę dopuściła do przecieków informacji kompromitujących rząd. O ile się orientuję, za większość swych kłopotów premier wini Smith Square.

— Mam wątpliwości, czy to z jego strony w porządku, ale nie jest tajemnicą, że stosunki między nim a prezesem są od pewnego czasu bardzo napięte.

— Czy na tyle napięte, by można było przypuszczać, że wyniki sondażu, które opublikowaliśmy w trakcie zjazdu, zostały celowo podłożone przez kogoś z centrali?

Mattie musiała bardzo wyteńczyć wzrok, by dostrzec cień zdziwienia w jego rozbieganych oczach.

— Moim zdaniem trudno byłoby uzasadnić takie twierdzenie — pośpieszył O'Neill z wyjaśnieniem. — Oprócz prezesa tylko cztery... przepraszam, pięć osób w tym budynku otrzymuje wyniki sondaży. Jestem jedną z nich i proszę, wierz mi, że tajność tych materiałów traktujemy wyjątkowo poważnie. — Zapalił gauloise'a. Czas do namysłu. — Ale kopie dostają również wszyscy ministrowie, czyli dwadzieścia dwie osoby. Koperty z wynikami wysyłane są albo do Izby Gmin, gdzie mogą zostać otwarte przez plotkarki-sekretarki, albo do ministerstw, gdzie z kolei mogą trafić w ręce urzędników, z których nie wszyscy przecież kochają ten rząd. Dlatego wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że źródła przecieku należałoby szukać raczej tam.

— Ale przeciek miał miejsce w Bournemouth, w hotelu zamieszkanym przez delegatów. O ile się orientuję, sekretarki z Izby Gmin ani urzędnicy ministerialni nie jeżdżą na zjazdy partii ani tym bardziej nie włączają się po hotelu...

— Kto wie, Mattie. Tak czy owak, wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że przeciek pochodził z tego typu źródła. Czy wyobrażasz sobie lorda Williama zasuwanego na czworakach, aby podrzucić pod drzwi kopię wyników?

Ryknął śmiechem, chcąc zademonstrować, jak bardzo idiotyczne byłoby takie podejrzenie. Mattie również się roześmiała, zdając sobie w tym momencie sprawę, że O'Neill właśnie przyznał, że wie, w jaki sposób doręczono jej wyniki sondaży. A mógł to wiedzieć z jednego tylko powodu. Ta nadmierna pewność siebie Rogera powoli zaciskała na jego szyi pętlę.

— Porozmawiajmy więc o innym przecieku. Dowiedziałam się, że centrala partii planowała na lato potężną kampanię promującą program rozwoju szpitalnictwa, która jednak została odwołana z powodu nagłej zmiany planów.

— Czyżby? A któż, do diabła, naopowiadał ci takich bzdur? — spytał O'Neill, dobrze wiedząc, że mógł to być jedynie Kendrick, podbechtany swą słabością do pięknych kobiet. — Przepraszam, oczywiście rozumiem, że nie zdradzisz mi nazwisk swoich informatorów. Ale ta informacja jest znacznie przesadzona. Biuro propagandy jest zawsze przygotowane do reklamy polityki rządu, więc gdyby program został wdrożony, z całą pewnością byłby

przez nas promowany. Jednak nie możemy mówić o żadnej specjalnie przygotowywanej kampanii.

— Powiedziano mi, że musieliście odwołać starannie przygotowaną kampanię tuż przed jej rozpoczęciem.

Popiół zwisający z papierosa O'Neilla nie wytrzymał walki z prawami grawitacji i niczym lawina przetoczył się po jego krawacie. Roger nie zwrócił na to uwagi, skoncentrowany na obmyślaniu dalszej strategii.

— Zostałaś błędnie poinformowana. Najwyraźniej ktoś starał się wykazać, że w partii panuje większy bałagan niż w rzeczywistości. Przykro mi, Mattie, ale twoje źródło wydaje mi się dość wątpliwe. Czy jesteś pewna, że to ktoś, kto rzeczywiście ma dostęp do informacji, czy może po prostu facet sprzedaje ci swój punkt widzenia?

Szeroko się uśmiechając, O'Neill starał się przekonać Mattie o niewiarygodności Kendricka, zaś uśmiech, którym mu odpowiadała, nie zdradzał ani śladu zdumienia wyjątkową zręcznością jego improwizowanych wyjaśnień. Ponieważ jednak Mattie zadawała stanowczo zbyt wiele trudnych pytań, nawet tak wyrobiony artysta jak Roger O'Neill zaczynał odczuwać coraz większe zakłopotanie. Potrzebował teraz bodźca znacznie silniejszego niż mógł mu dać gauloise. I nie obchodziło go, jakie Urquhart ma na ten temat zdanie.

— Mattie, przykro mi, ale mam jeszcze sporo roboty. Muszę sprawdzić, jak przebiegają przygotowania do ogłoszenia wyników głosowania. Więc, niestety, musimy już kończyć.

— Dziękuję ci, Roger, że znalazłeś dla mnie chwilę czasu. Bardzo mi pomogłeś w wyjaśnieniu paru wątpliwości.

— Cała przyjemność po mojej stronie. I polecam się na przyszłość — odparł, prowadząc ją w stronę drzwi.

Po drodze, kiedy mijali stojący w kącie komputer, Mattie pochyliła się nad klawiaturą.

— Jestem zupełną ignorantką w tych sprawach — oświadczyła i spojrzała Rogerowi prosto w oczy. — Ale doceniam fakt, że partia znacznie wyprzedza konkurentów w stosowaniu nowoczesnej techniki. Czy wszystkie terminale w tym budynku są połączone w jedną sieć?

— Chy... chyba tak — odparł O'Neill, popychając ją w stronę drzwi.

— Nie wiedziałam;, Roger, że znasz się na tak nowoczesnych urządzeniach — pochwaliła go.

— Wcale nie — odparł, jakby się broniąc. — Wszystkich nas posłali na specjalny kurs, ale ja i tak w dalszym ciągu nie jestem nawet pewien, jak się to cholerstwo włącza. Nigdy sam z niego nie korzystam. — Jego uśmiech stęzał, a oczy zaczęły się poruszać jeszcze szybciej niż dotąd. Wypchnął Matcie za drzwi i pośpiesznie się z nią pożegnał.

Punktualnie o siedemnastej drzwi do sali numer czternaście zostały uroczyście zamknięte w celu uniemożliwienia jakichkolwiek dalszych prób oddania głosu. Był to pusty gest, gdyż ostatnia z trzystu trzydziestu pięciu kart do głosowania została wrzucona do urny ponad dziesięć minut wcześniej. Za drzwiami sir Humphrey i jego niewielka komisja skrutacyjna pokrzepili się odrobiną whisky, a następnie rozpoczęli liczenie głosów, szczęśliwi, że pomimo porannego zgrzytu, spowodowanego nieoczekiwaną rezygnacją Earle'a, wszystko poszło jak po maśle. W różnych pomieszczeniach pałacu westminsterskiego kandydaci — niektórzy bardziej podekscytowani, inni mniej — czekali na komunikat o zakończeniu obliczeń i gotowości komisji do ogłoszenia wyników.

Nastąpiło to kwadrans po osiemnastej, a kiedy Big Ben wybił wpół do siódmej, drzwi do sali numer czternaście otworzyły się, wpuszczając do środka ośmiu kandydatów oraz ponad stu dwudziestu ich czynnych stronników i zainteresowanych posłów. Wesoły nastrój mieszał się z ogromnym napięciem, kiedy jeden za drugim wchodzili do sali i tworzyli niewielkie grupki, do ostatniej chwili kontynuując zakłady o wynik wyborów i próbując wyciągnąć jakiegokolwiek logiczne wnioski z niejasnych rezultatów sondaży opublikowanych przez prasę. Na zewnątrz, wyłączeni z formalnie roboczego zebrania partyjnego, dziennikarze prowadzili gorące dyskusje i własne zakłady.

Sir Humphrey napawał się tą historyczną chwilą. Był u schyłku kariery — w każdym razie lata jej pełni miał już za sobą — a drobne nieporozumienie dotyczące jego wakacji na Karaibach przyniosło mu większe niż kiedykolwiek przedtem uznanie oraz poważanie w kręgach parlamentarnych. Kto wie, jeśli zdoła odpowiednio przeprowadzić te wybory, może spełni się jego

sekretne marzenie o fotelu w Izbie Lordów? Przywołał zebranych do porządku.

— Ponieważ liczba kandydatów jest bezprecedensowo wysoka, pozwolę sobie odczytać wyniki w kolejności alfabetycznej.

Nie była to dobra wiadomość dla Davida Adamsa, byłego lidera Izby Gmin, odsuniętego przez Collingridge'a i od tej pory otwarcie krytykującego wszystkie decyzje gospodarcze rządu, nawet te, które jeszcze jako lider popierał. Miał nadzieję, że ta krytyka w połączeniu z dobrym wynikiem w wyborach pozwoli mu ponownie znaleźć się w gabinecie. Stał spokojnie, umiejętnie kryjąc swój żal, gdy Newlands ogłosił, że udało mu się zdobyć zaledwie dwanaście głosów. Zastanawiało go tylko, co się stało z tymi wszystkimi, którzy obiecali mu poparcie.

Tymczasem sir Humphrey czytał dalej. Żadnemu z następnych czterech kandydatów nie udało się zgromadzić więcej niż dwadzieścia głosów, a Paul Goddard, niezależny katolik, znany przede wszystkim z poglądu, że należy niezwłocznie zakazać wszelkich form aborcji, otrzymał ich tylko trzy. Słyszając to, skrzywił się z niesmakiem i pokręcił głową. Cóż, widocznie jego nagroda nie będzie miała charakteru ziemskiego.

Zostały tylko trzy nazwiska — Samuel, Urquhart oraz Woolton — i dwieście osiemdziesiąt jeden głosów do podziału. Napięcie podskoczyło, gdy obecni przypomnieli sobie, że aby zwyciężyć w pierwszym podejściu, trzeba zebrać sto sześćdziesiąt dziewięć głosów. Dwóch posłów, przekonanych, że mimo wszystko do rozstrzygnięcia dojdzie już teraz, w ostatniej chwili zdecydowało się postawić na swych kandydatów wysokie sumy.

— Poseł Michael Samuel — odezwał się przewodniczący komisji — dziewięćdziesiąt dziewięć głosów.

Martwą ciszę panującą w sali przerwał odgłos syreny holownika płynącego w górę Tamizy. Rozległ się szmer rozbawienia, pod którym zebrani starali się ukryć rosnące napięcie, a Samuel mruknął pod nosem, że szkoda, iż kapitanowie holowników nie mogą głosować. Był wyraźnie zawiedziony, że do wymaganej większości zabrakło mu aż tak wielu głosów, szczególnie po wycofaniu się Earle'a.

— Poseł Francis Urquhart: dziewięćdziesiąt jeden głosów.

Dwaj stojący w kącie hazardziści sprawiali wrażenie bardzo przygnębionych.

— Poseł Patrick Woolton: dziewięćdziesiąt jeden głosów.

Napięcie opadło, a w sali zapanował straszny zgiełk. Wymieniano gratulacje i wyrazy współczucia, jeden z posłów zaś wychylił się za drzwi, aby oświecić zniecierpliwionych dziennikarzy.

— Tak więc — kontynuował sir Humphrey — żaden z kandydatów nie uzyskał wymaganej większości głosów i w związku z tym konieczne będzie przeprowadzenie kolejnego głosowania. Odbędzie się ono w przyszły wtorek. Przypominam też wszystkim zainteresowanym, że aby móc kandydować w drugiej turze, należy złożyć wymagane dokumenty najpóźniej do czwartku. Dzisiejsze zebranie uważam za zamknięte!

Po ogłoszeniu wyników Urquhart zaprosił znajomych do swego gabinetu, mogącego uchodzić za szczyt marzeń brytyjskiego posła i w przeciwieństwie do większości pozostałych mieszczącego się w budynku Izby Gmin, a nie w żadnej z licznych przybudówek. Z jego okien widać było znajdujący się po drugiej stronie Tamizy Lambeth Palace, wspaniałą gotycką siedzibę arcybiskupa Canterbury. W gabinecie tłoczyło się teraz kilkudziesięciu posłów. Wszyscy gratulowali gospodarzowi wspaniałego wyniku. Chief Whip uśmiechnął się krzywo, stwierdziwszy, że przynajmniej kilku z nich w trakcie tej kampanii widzi po raz pierwszy. Ale czy to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie? Głos to głos i nieważne, kto go oddał.

— Wspaniały wynik, Francisie. Naprawdę wspaniały. Jak myślisz, uda ci się zwyciężyć? — spytał jeden ze starszych posłów.

— Mam nadzieję, że tak — odparł Urquhart. — Chyba mam nie mniejsze szanse niż pozostali.

— Z całą pewnością. Co prawda młody Samuel wciąż wyprzedza cię o kilka głosów, ale jego kampania jakby stanęła w miejscu. Tak więc moim zdaniem szanse mają doświadczeni kandydaci, czyli ty i Patrick. Chcę, żebyś wiedział, Francisie, że masz moje najszczerze poparcie.

„O czym oczywiście mam pamiętać, kiedy już będę premierem” — pomyślał Urquhart, a na głos podziękował mu gorąco i nalał kolejnego drinka.

Ponieważ rozeszła się wieść, że Chief Whip wydaje przyjęcie, w gabinecie pojawiały się coraz to nowe twarze. Jego sekretarka napełniała właśnie szklankę Stephena Dunwaya, najbardziej ambitnego z nowego narybku posłów, który zdążył już tego wieczora odwiedzić przyjęcia wydawane przez Samuela oraz Wooltona, wychodząc z założenia, że nigdy nie można być zbyt pewnym ostatecznego wyniku, kiedy zadzwonił telefon. Sekretarka przeprosiła gościa i poszła go odebrać.

— To do pana — szepnęła Urquhartowi do ucha. — Roger O'Neill.

— Powiedz mu, że jestem zajęty. Później się z nim skontaktuję — polecił.

— Ale on dzwoni już drugi raz i sprawia wrażenie bardzo zdenerwowanego. Prosił, żebym panu przekazała, że to, jak się wyraził, „cholernie pilna sprawa”.

Chief Whip zaklął pod nosem, przeprosił swego rozmówcę, chwycił słuchawkę i znalazł schronienie we wnęce okiennej, gdzie hałas był trochę mniejszy.

— Roger — odezwał się szorstko. — Czy naprawdę nie możesz poczekać? Jestem zajęty. Mam pełen gabinet gości.

— Francis, ona jest na naszym tropie. Ta wredna suka... ona wie. Wie, że to ja, i niedługo zacznie podejrzewać także ciebie. Cholerna dziwka! Nic jej nie powiedziałem, ale wszystkiego się domyśla. Bóg jeden wie, skąd ona...

— Roger, weź się w garść! — syknął Urquhart. O'Neill bełkotał coraz bardziej bez sensu i jego monolog zaczynał przypominać ekspres bez maszynisty. Było jasne, że nie zdołał się zastosować do poleceń Urquharta i nie całkiem nad sobą panuje.

Po chwili milczenia Urquhart podjął próbę odzyskania kontroli nad sytuacją:

— Opowiedz mi, ale powoli i wyraźnie, co się właściwie stało?

Natychmiast rozległ się taki sam bełkot jak chwilę wcześniej i Chief Whip zmuszony był szukać sensu w mieszaninie poszarpanych, nie dokończonych zdań i potężnych kichnięć.

— Przyszła dziś do mnie ta cholerna dziennikarka. Nie wiem, skąd ona to wszystko wie, bo ja naopowiadałem jej bzdur, które chyba kupiła. Ale



wszystkiego się domyśliła. Wszystkiego, Francis. Wie o Paddington, komputerze, podejrzewa nawet, że ktoś z centrali celowo podłożył pod jej drzwi wyniki sondażu. Na dodatek ten cholerny skurwysyn Kendrick musiał jej powiedzieć o tej kampanii promocyjnej, którą kazałeś mi wymyślić. O Boże, Francis. Co będzie, jeśli mi nie uwierzyła i zdecyduje się coś napisać?

— Zatkaj się na chwilę, dobrze? — warknął Urquhart, rozglądając się, czy któryś z gości nie podsłuchuje. — Przede wszystkim powiedz mi, co to za jedna.

— Storin. Mattie Storin. Powiedziała, że...

— Ma jakieś dowody? — przerwał mu Urquhart. — Czy tylko się domyśla?

— Chyba nie ma nic pewnego — odparł O'Neill po ułamku sekundy. — Same domysły. Oprócz...

— Oprócz czego?

— Wie, że to ja wynająłem skrytkę w Paddington.

— Jak, do diabła, do tego doszła? — Wściekłość Urquharta niczym gorąca lawa popłynęła kablem telefonicznym.

— Moja sekretarka jej powiedziała. Ale nie ma się czym przejmować, bo ona myśli, że zrobiłem to na polecenie Collingridge'a.

— Twoja sekretarka wiedziała?!

— Wzię... wziąłem ją ze sobą. Pomyślałem, że będzie się mniej rzucać w oczy. Jej naprawdę można zaufać. Przecież wiesz...

— Roger, najchętniej...

— Posłuchaj! To ja odwalam całą brudną robotę. To głównie ja ryzykuję. Ty nie masz się czego obawiać, za to ja tkwię w tym wszystkim po samą szyję i jeżeli sprawa się wyda... Potrzebuję twojej pomocy, Francis. Boję się! Zrobiłem dla ciebie zbyt wiele rzeczy, których w ogóle nie powinienem był się dotykać. Ale nie zadawałem żadnych pytań, tylko robiłem, co mi kazałeś. Więc musisz mnie teraz z tego wyciągnąć. Dłużej już nie dam rady! Musisz mnie chronić, Francis. Słyszysz? Musisz mi pomóc! — W słuchawce rozległ się szloch.

— Uspokój się, Roger — odezwał się cicho Urquhart. — Ona nie ma absolutnie żadnych dowodów, więc nie masz się czego obawiać. A w tej sprawie siedzimy obaj. Rozumiesz? Obaj. I powiem ci coś jeszcze, Roger. Za

parę dni wszystko się skończy i wprowadzimy się na Downing Street. A na razie chcę, żebyś zrobił dwie rzeczy. Po pierwsze, pamiętaj o swym tytule. Dzieli cię od niego tylko parę dni.

O'Neill wybełkotał beładnie słowa podziękowania.

— A po drugie, Roger, trzymaj się z daleka od Mattie Storin!

Chief Whip odłożył słuchawkę i stanął na chwilę w oknie, aby się uspokoić. Z tyłu dochodził go gwar potężnych ludzi, którzy wprowadzą go na Downing Street i, spełniając w ten sposób marzenie jego życia. Przed sobą widział rzekę, od wieków inspirującą przywódców narodu, do których grona miał wkrótce dołączyć. I tylko jedna osoba mogła mu to uniemożliwić. Roger O'Neill.

Próby wyciągnięcia logicznych wniosków z pierwszego głosowania doprowadziły Mattie do stanu skrajnego wyczerpania. Musiała koniecznie zapoznać się z opiniami w trakcie ich formowania, kiedy podniecenie wyścigiem po władzę wciąż wadało umysłami uczestników, a nie czekać do rana, kiedy groziłoby jej, że natknie się na ścianę wymijających, zgodnych z zaleceniami władz partii odpowiedzi. Nawet najbardziej doświadczonym mężom stanu zdarza się czasami ulec gorączce wydarzeń i wykonać jakiś delicki, lecz pełen wyrazu gest. A na korytarzach Westminsteru nawet uniesienie brwi czy wymowne mrugnięcie okiem może do niektórych przemawiać równie głośno jak wyrok politycznej śmierci. Mattie koniecznie musiała się zorientować, dokąd zmierza pluton egzekucyjny.

Należało także zgłębić skomplikowaną ordynację wyborczą, której przepisy miały chyba jakikolwiek sens jedynie dla ich autora. Zgodnie z nimi, jeżeli pierwsze głosowanie nie wyłoni zwycięzcy, należy ogłosić drugie; mogą w nim — choć jest to raczej mało prawdopodobne — kandydować zupełnie nowe osoby. Jeśli w ogólnym bałaganie po raz drugi nikomu nie uda się zdobyć ponad połowy głosów, zarządza się trzecie, ostatnie głosowanie, w którym uczestniczą trzej prowadzący kandydaci, tym razem jednak obowiązuje zasada proporcjonalności. Jest to typowy przypadek innych praw dla władzy, a innych dla obywateli, gdyż do zastosowania zasady tej w wyborach powszechnych rząd za żadną cenę nie chce dopuścić. Tego wieczora właśnie te zagadnienia miały interesować reporterów parlamentarnych.

Wcześniej zadzwoniła do Krajewskiego. Od czasu gdy rozmawiali po raz ostatni, minął już ponad tydzień i Mattie wbrew samej sobie odczuwała głęboką potrzebę spotkania się z nim. Miała wrażenie, że ze wszystkich stron otaczają ją wątpliwości oraz pytania bez odpowiedzi. Sama w żaden sposób nie potrafiła poradzić sobie z tym chaosem. Z ogromną niechęcią musiała przyznać, że potrzebuje kogoś, kto jej pomoże.

Krajewski nie bardzo wiedział, jak zareagować na ten telefon. Cały tydzień spędził na rozmyślaniach, czy Mattie jest dla niego ważna, czy też po prostu go wykorzystuje. A może i jedno, i drugie? Kiedy poprosiła o spotkanie, zaproponował sutą kolację u Ritza, czego niemal natychmiast pożałował. Mattie nie miała ochoty na romans, nawet przy dźwiękach skrzypiec. W końcu umówili się na drinka w Reform Club przy Pall Mail, którego Johnnie był członkiem. Mattie przeszła pół mili dzielące Izbę Gmin od klubu po to tylko, by stwierdzić, że Johnnie postanowił nadużyć stanowiska zastępcy naczelnego i spóźnić się. A może chciał w ten sposób wyrazić swe rozczarowanie? Czekwała w recepcji, podziwiając wspaniałe kolumny i wdychając ciężkie od dymu powietrze. Pomyślała, że gdyby tę kapsułę czasu ponownie odwiedził Gladstone, stwierdziłby, że od czasów, gdy przed ponad wiekiem był jej stałym bywalcem, w gruncie rzeczy nie zaszły w niej żadne zmiany. Mattie zawsze wydawało się zabawne, że ten bastion zwolenników liberalizmu i reformy prawa wyborczego dopiero po stu pięćdziesięciu latach otworzył swe podwoje przed kobietami. Był to dla niej dobry pretekst do nasmiewania się ze znajomych członków klubu, aż wreszcie jeden z nich zwrócił jej uwagę, że jak dotąd żadna kobieta nie była redaktorem naczelnym „Daily Telegraphu”.

Gdy Johnnie wreszcie się zjawił, zamówili drinki i usiedli w cieniu górnej galerii w głębokich, wygodnych fotelach, w których łatwo się odprężyć, lecz bardzo trudno z nich wstać. W tej klasztornej atmosferze dawno minionych pokoleń Mattie miała ogromną ochotę poddać się zmęczonej woli swego ciała i pozwolić zapomnieniu łagodnie się ponieść. Miała wrażenie, że w tym miękkim fotelu mogłaby przespać cały rok, a po przebudzeniu znaleźć się w dawnych, odległych o kilkaset lat czasach. Jednakże myśli kotłujące się w jej głowie nie pozwalały na relaks.

— O co chodzi? — spytał Johnnie, chociaż wcale nie musiał. Wystarczyło jedno spojrzenie, by dostrzec, że jest wyczerpana, zdenerwowana i brakuje jej zwykłej ikry.

— O to co zwykle — odparła ponuro. — Setki pytań, zbyt mało odpowiedzi i fragmenty układanki, które nijak nie dają się poskładać w żadną logiczną całość. Wiem, że sprawa ma jakiś związek z wyborami lidera partii, ale nie wiem jaki.

— Powiedz mi, co wiesz.

Opowiedziała mu, jak udało się jej z większą bądź mniejszą pewnością ustalić, że w większości niejasnych spraw maczał palce Roger O'Neill.

— Niemal na pewno to właśnie on podrzucił mi wyniki sondażu. Przyznał się też, że wynajął skrytkę w Paddington. Także on doprowadził do afery z programem rozwoju szpitalnictwa, zdradzając Kendrickowi, że odwołano kampanię promocyjną. Jestem też prawie pewna, że sfalszował dane w kartotece komputerowej, obciążając w ten sposób Charlesa Collingridge'a. A to by z kolei oznaczało, że jest także zamieszany w sprawę zakupu akcji. Tylko po co to wszystko?

— Żeby wyeliminować Collingridge'a.

— Ale po co? Przecież go nie zastąpi. Więc jakie może mieć motyw?

Krajewski nie odpowiedział, tylko z rozbawieniem rozejrzał się po wiszących na galerii portretach wiktoriańskich mężów stanu, których drugą naturą były spiski i intrygi. Zastanawiał się, co też mieliby na ten temat do powiedzenia. Mattie jednak nie udzielił się jego nastrój.

— Musi działać w zмовie z kimś, kto ma coś do zdobycia. Z kimś ważniejszym, kto może odnieść korzyści ze zmiany lidera. To właśnie ten ktoś pociąga za sznurki.

— A więc szukasz jakiegoś tajemniczego osobnika, mającego motyw i środki. No cóż, musi to być ktoś, kto posiada władzę nad O'Neillem i dostęp do tajnych informacji. Jest też prawdopodobne, że między tym kimś a premierem doszło do poważnego konfliktu... Znalezienie odpowiedniego kandydata nie jest zbyt trudnym zadaniem.

— Zechcesz mi pomóc?

Krajewski wziął głęboki oddech, rozkoszując się spiskową atmosferą mrocznego pomieszczenia.

— To proste. Teddy Williams.

Było już bardzo późno, kiedy Urquhart wrócił do swego gabinetu w Izbie Gmin. Praktycznie przez cały wieczór przyjmował gratulacje. Także kiedy jadł kolację w Harcourt Room pod Izbą Lordów, co rusz przerywał mu któryś z partyjnych kolegów, pragnący uścisnąć jego dłoń i życzyć mu powodzenia. Po kolacji Urquhart udał się do poselskiej palarni, miejsca uwielbianego przez parlamentarzystów ze względu na to, że gwarantuje chwilę wytchnienia od dziennikarzy i kamer. Tam właśnie wymienia się najnowsze plotki, a także wywiera nacisk na niepokornych posłów. Również pracownicy biura Chief Whipa dobrze znają to miejsce. Urquhart spędził tam prawie godzinę, zanim ponownie wspiał się po krętych schodach i wrócił do swego gabinetu.

Sekretarka opróżniła już wszystkie popielniczki, umyła szklanki i poprawiła poduszki. Gabinet znów stał się cichy i przytulny. Urquhart podszedł do zamykanej na zamek szafy pancерnej, przysługującej mu jako ministrowi, przekręcił czterokrotnie gałkę i usłyszawszy cichy trzask, otworzył drzwi. Następnie schylił się i wysunął dolną szufladę.

Szuflada zazgrzytała. Wypełniały ją segregatory. Na każdym widniało nazwisko innego posła i każdy zawierał materiały obciążające. Urquhart wyłowił je z sejfów, w których najbardziej strzeżone tajemnice parlamentarzystów czekają na dzień Sądu Ostatecznego albo inną nagłą sytuację. Prawie trzy lata zajęło mu zgromadzenie wszystkich tych materiałów i wiedział, że są warte więcej niż szuflada pełna sztabek złota.

Ukląkł i zaczął przeglądać segregatory. Szybko znalazł to, czego szukał — grubą kopertę, zaadresowaną i zaklejoną. Wyjął ją, z powrotem wsunął szufladę, zamknął szafę i starannie sprawdził, czy zamek dobrze zaskoczył.

Dochodziła północ, gdy jego samochód wyłonił się z bramy wjazdowej do Izby Gmin. Policjant wstrzymał ruch, aby umożliwić mu wjazd na wciąż

zatłoczoną ulicę. Chief Whip nie pojechał w stronę swego domu w Pimlico. Najpierw odwiedził czynne przez całą dobę biuro kurierów motocyklowych mieszczące się w jednej z suterren w Soho. Zostawił tam kopertę i zapłacił gotówką za dostarczenie jej następnego ranka. Nadanie przesyłki w Izbie Gmin, która posiada jeden z najsprawniejszych w kraju urzędów pocztowych, byłoby z całą pewnością znacznie prostsze, lecz Urquhart nie chciał, by na kopercie znalazła się pieczętka Parlamentu.

## ŚRODA, 24 LISTOPADA

Listy i gazety niemal w tej samej chwili spadły z głuchym hukiem na wycieraczkę przed drzwiami domu Wooltona. Usłyszawszy hałas, zszedł na dół i zebrał je. Gazety rzucił na stół w kuchni, korespondencję zaś zostawił na wąskiej ławeczce w korytarzu. Otrzymywał około trzystu listów tygodniowo i już od bardzo dawna ich nie czytał. Robiła to za niego żona, pełniąca rolę szefowej jego biura poselskiego w okręgu wyborczym, za co zresztą otrzymywała szczodre wynagrodzenie, które uzupełniało ministerialną pensję męża.

W gazetach dominowały analizy wyników pierwszego głosowania. Wszystkie nagłówki wydawały się dziełem dorabiających po godzinach dziennikarzy „Sporting Life”. „Łeb w łeb!”, „Wyścig trzech koni” czy też „Zadecyduje fotokomórka” — oto tylko niektóre z tytułów widocznych na pierwszych stronach.

Na dalszych stronach nieco bardziej sangwiniczne komentarze wyjaśniały, że trudno przewidzieć, który z trzech prowadzących kandydatów ma największe szanse, chociaż niemal wszyscy przyznawali, że największe powody do niezadowolenia ma — pomimo zajmowanego pierwszego miejsca — Michael Samuel.

„PARTIA STANEŁA OBECNIE PRZED JASNĄ ALTERNATYWĄ”

— zaintonował „Guardian” i kontynuował:

„MICHAEL SAMUEL Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ JEST NAJBARDZIEJ POPULARNYM SPOŚRÓD CAŁEJ TRÓJKI I CHARAKTERYZUJE SIĘ NAJWIĘKSZĄ OGŁADĄ, W DODATKU POSIADA RZADKĄ UMIEJĘTNOŚĆ ŁĄCZENIA KARIERY POLITYCZNEJ Z WRAŻLIWOŚCIĄ SPOŁECZNĄ. FAKT, ŻE NIEKTÓRZY CZŁONKOWIE PARTII OSKARŻYLI GO O

«STANOWCZO NADMIERNY LIBERALIZM», JEST ODZNAKĄ, KTÓRĄ POWINIEN NOSIĆ Z DUMĄ. JAKO LIDER PARTII I PREMIER Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ KONTYNUOWAŁBY ROZWIĄZYWANIE PALĄCYCH PROBLEMÓW SPOŁECZNYCH — CO WYDAJE SIĘ CHWALEBNE, CHOĆ PODOBA SIĘ NIE WSZYSTKIM JEGO PARTYJNYM KOLEGOM.

PATRICK WOOLTON JEST POLITYKIEM ZUPEŁNIE INNYM. BARDZO DUMNY ZE SWEGO POCHODZENIA Z PÓŁNOCY, POZUJE NA CZŁOWIEKA, KTÓRY POTRAFIŁBY ZJEDNOCZYĆ OBIE POŁOWY KRAJU. JEST NATOMIAST SPRAWĄ BARDZO DYSKUSYJNĄ, CZY JEGO OSTRY STYL UPRAWIANIA POLITYKI MÓGŁBY POMÓC W ZJEDNOCZENIU OBU CZĘŚCI PARTII. WOOLTON UPRAWIA BOWIEM POLITYKĘ W TAKI SPOSÓB, JAKBY W DALSZYM CIĄGU GRAŁ W RUGBY, CHOĆ TRZEBA PRZYznać, ŻE OSTATNIE DOŚWIADCZENIA NA STANOWISKU MINISTRA SPRAW ZAGRANICZNYCH DOPROWADZIŁY DO PEWNEGO ZŁAGODZENIA JEGO STYLU WYPOWIEDZI. W PRZECIWIENSTWIE DO SAMUELA NA PEWNO NIE PRÓBOWAŁBY ZASZCZEPIĆ W PARTII JAKIEJKOLWIEK IDEOLOGII, LECZ OPIERAŁBY SIĘ TYLKO NA CZYSTYM PRAGMATYZMIE. JEDNAKŻE ZNAMY Z HISTORII PRZYKŁADY, KIEDY REZULTATY POŁĄCZENIA SIŁY Z PRAGMATYZMEM BYŁY DOŚĆ OPŁAKANE. LIDER OPOZYCJI OKREŚLIŁ WOOLTONA JAKO OSOBNIKA WŁÓCZĄCEGO SIĘ PO ZAULKACH WESTMINSTERU W POSZUKIWANIU OKAZJI DO BÓJKI.

NAJTRUDNIEJ JEST CHYBA OCENIĆ FRANCISA URQUHARTA. NAJMNIEJ DOŚWIADCZONY, A JUŻ NA PEWNO NAJMNIEJ ZNANY Z TRÓJKI KANDYDATÓW, ZDOBYŁ W PIERWSZYM GŁOSOWANIU ZADZIWIAJĄCO WYSOKIE POPARCIE, ZDECYDOWANIE DYSTANSUJĄC WIELU POPULARNIEJSZYCH RYWALI. WYDAJE SIĘ, ŻE SĄ PRZYNAJMNIEJ TRZY POWODY JEGO SUKCESU. PO PIERWSZE, JAKO CHIEF WHIP BARDZO DOBRZE ZNA CZŁONKÓW FRAKCJI PARLAMENTARNEJ PARTII — ZRESZTĄ Z WZAJEMNOŚCIĄ. A PONIEWAŻ TO WŁAŚNIE ONI, A NIE SZEROKI ELEKTORAT, DECYDOWAĆ BĘDĄ O WYNIKU TYCH WYBORÓW, JEGO MAŁA POPULARNOŚĆ W SPOŁECZEŃSTWIE BĘDZIE PRAWDOPODOBNIEM MIAŁA DUŻO MNIEJSZE ZNACZENIE NIŻ NIEKTÓRZY PRZYPUSZCZAJĄ.

PO DRUGIE, URQUHART POPROWADZIŁ SWĄ KAMPANIĘ WYBORCZĄ Z WIELKĄ GODNOŚCIĄ, NIE ANGAŻUJĄC SIĘ W SŁOWNE POJEDYŃKI I NIE KOMENTUJĄC WPADEK POZOSTAŁYCH KANDYDATÓW. MOŻNA PRZYPUSZCZAĆ, ŻE JAKO TRADYCYONALISTA JEST PRZYNAJMNIEJ DO PEWNEGO STOPNIA ZWOLENNIKIEM AUTORYTARYZMU, JEDNAK NIE NA TYLE ZDECYDOWANYM, BY WZBUDZIĆ WROGOŚĆ KTÓREGOKOLWIEK SKRZYDŁA PARTII.

PO TRZECIE WRESZCIE, JEGO NAJWIĘKSZĄ ZALETĄ JEST TO, ŻE NIE JEST ŻADNYM Z DWÓCH POZOSTAŁYCH RYWALI. WIELU POSŁÓW WOLAŁO POPRZEĆ W



PIERWSZYM GŁOSOWANIU RACZEJ FRANCISA URQUHARTA, ANIŻELI OPOWIEDZIEĆ SIĘ PO STRONIE KTÓREGOŚ Z BARDZIEJ ZNANYCH, LECZ TAKŻE DUŻO BARDZIEJ KONTROWERSYJNYCH KANDYDATÓW. JEST ON Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ NAJLEPSZYM KANDYDATEM DLA TYCH, KTÓRZY NIE CHCĄ SIĘ ZBYT WCZEŚNIE ANGAŻOWAĆ, CHOĆ WŁAŚNIE TO MOŻE W EFEKCIE PRZYCZYNIĆ SIĘ DO JEGO KLĘSKI, KIEDY BOWIEM POSŁOWIE STANĄ PRZED KONIECZNOŚCIĄ PODJĘCIA OSTATECZNEJ DECYZJI, ICH GŁOSY MOGĄ PODZIELIĆ SIĘ POMIĘDZY WOOLTONA I SAMUELA.

TAK CZY OWAK, WYBÓR WYDAJE SIĘ DOŚĆ JASNY. CI, KTÓRZY ZECHCĄ ZADEMONSTROWAĆ SWĄ WRAŻLIWOŚĆ, POPRĄ SAMUELA. CI, KTÓRZY PRAGNĄ POLITYKI GWAŁTOWNEJ I BURZLIWEJ, ODDADZĄ GŁOSY NA WOOLTONA. WRESZCIE CI, KTÓRZY NIE POTRAFIĄ SIĘ ZDECYDOWAĆ, ZAGŁOSUJĄ NA URQUHARTA.”

Woolton zachichotał, chrupiąc kolejną grzanekę. Wiedział, że jest mało prawdopodobne, aby w ostatecznej rozgrywce posłowie zdecydowali się postawić na wrażliwość społeczną, gdyż niezmiernie trudno rozmawiać o niej w pubie albo z sąsiadem przez płot, a przecież polityka nie powinna być zbyt skomplikowana. Skoro więc poparcie dla Urquharta miało ulec redukcji, Woolton był przekonany, że zdecydowana większość zagłosuje na niego. A wtedy krwawiące serca pójda w odstawkę. Margaret Thatcher pokazała, jak to zrobić, a jest przecież kobietą. Wystarczy pominąć jej babską piskliwość i dogmatyczną nieelastyczność, aby otrzymać ideal przywódcy — Patricia Wooltona.

Żona dołała mu herbaty, on zaś rozmyślał, czy w ciągu następnych kilku dni nie powinien spróbować rozdrażnić następnego prominentnego rabina, aby przypomnieć swym partyjnym kolegom o kwestii żydowskiej. Zdecydował jednak, że nie będzie to konieczne. Stara gwardia zadba o to bez jego pomocy.

— Kochanie, mam dziwne przeczucie, że to będzie bardzo udany dzień — powiedział i już w progu pocałował żonę na do widzenia. Fotografowie oczekujący na chodniku poprosili o powtórkę pocałunku i dopiero pozwolili mu wsiąść do samochodu i odjechać do Izby Gmin.

Jego żona, jak co dzień, najpierw posprzątała po śniadaniu, a następnie przystąpiła do przeglądania korespondencji, której ilość wzrosła wielokrotnie w ciągu ostatnich paru lat. Minęły już czasy, kiedy na każdy list można

było odpowiedzieć osobiście. Obecnie robił to komputer, mający w pamięci zestaw standardowych odpowiedzi. Zastanawiała się, czy ktokolwiek zauważył, że zdecydowaną większość odpowiedzi pisze komputer, a podpisuje niewielkie urządzenie, które Patrick przywiózł z jednej z ostatnich podróży do Stanów. Nadawcami zdecydowanej większości listów byli członkowie pozaparlamentarnych grup nacisku, zawodowi krytycy oraz polityczni opo-  
nenci, których absolutnie nie obchodziła treść odpowiedzi.

„Wszyscy oczekują jednak jakiejś reakcji” — pomyślała, przystępując do otwierania kopert. Za nic nie pozwoliłaby sobie narazić męża na utratę choćby jednego głosu, pozostawiając bez odpowiedzi nawet najbardziej obraźliwy list.

Grubą brązową kopertę zostawiła na koniec. Ponad wszelką wątpliwość dostarczona przez posłańca przesyłka była solidnie zaklejona, a na dodatek zabezpieczona zszywkami, które, klnąc pod nosem, pani Woolton zaczęła mozolnie usuwać. Kiedy wreszcie poradziła sobie z ostatnią i rozdarła kopertę, na kolana wypadła jej kasetka. W kopercie nie było nic więcej — żadnego listu ani nawet kartki z adresem. Również kasety nie podpisano.

— Idioci. Jak, do diabła, mam na to odpowiedzieć?

Odłożyła kasetę na bok i włączyła komputer.

Minęły ponad trzy godziny, nim przebrnęła przez listy i skłoniła komputer do udzielenia takich odpowiedzi, które przekonałyby nadawców, że ich korespondencji poświęcono wiele uwagi. Później przez dłuższą chwilę bezczynnie patrzyła, jak mniejsze urządzenie podpisuje kolejne kartki. Wreszcie powkładała je wszystkie do zaadresowanych kopert i zakleiła. W ustach miała sucho od lizania kleju, pomyślała więc, że głupia taśma może zacząć, i poszła zrobić sobie kawę.

Dopiero wieczorem przypomniała sobie o taśmie. Woolton wrócił do domu po ciężkim dniu spędzonym na agitacji w Izbie Gmin i kompletnie wyczerpany siedział w fotelu, sącząc drinka. Postanowił posłuchać rady przyjaciół i przez następne dwa dni ograniczyć swoją kampanię do niezbędnego minimum, aby mieć siły na wygłoszenie trzech ważnych przemówień pod koniec tygodnia.

Siedział w swym ulubionym fotelu i przygotowywał szkic przemówienia, kiedy jego żona przypomniała sobie nagle o taśmie.

— Aha, kochanie, przysłali ci jakąś kasetę. Bez żadnego listu ani nawet opisu. Nie wiesz, co to może być? Nagranie zeszlotygodniowego przemówienia czy może jakiś wywiad?

— Nie mam pojęcia. Nalej mi jeszcze jednego drinka i posłuchajmy. — Wskazał na wieżę stereofoniczną.

Żona, jak zawsze posłuszna, zrobiła, co kazał. Właśnie rozkoszował się kolejnym łykiem dżinu z tonikiem, kiedy magnetofon pożarł ostatni centymetr taśmy rozbiegowej i błyskiem czerwonych diod dał znak, że jego głowice coś odczytują. Rozległa się seria cichych syków i trzasków. Z całą pewnością nie było to profesjonalne nagranie. Pani Woolton zwiększyła siłę głosu.

Pokój wypełnił śmiech dziewczyny, a później jej ciężki oddech. Dźwięk ten zahipnotyzował Wooltonow, dosłownie przykuwając ich do foteli. Przez kilka minut krótkim, przerywanym oddechem kopulującej pary towarzyszyły rytmiczne uderzenia wezgiłowia łóżka o ścianę. Taśma nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Oddech kobiety stawał się coraz szybszy i głośniejszy. Ciała kochanków pięły się w górę, tylko na krótko zatrzymując się dla złapania oddechu, aż wreszcie z krzykliwym crescendo osiągnęły upragniony szczyt. Po chwili tempo oddechów zaczęło powracać do normy. Ponownie rozległ się śmiech dziewczyny, któremu towarzyszył niski chichot kochanka.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem rozległ się głos.

— Było wspaniale, Patrick. Może powtórzymy?

— Jeśli masz obudzić całe cholerne Bournemouth, to nie! — Wyraźny północny akcent mężczyzny rozwiął wszelkie ewentualne wątpliwości.

Pani Woolton, która do tego momentu, podobnie jak jej mąż, siedziała bez ruchu, wstała, powoli przeszła przez pokój i wyłączyła magnetofon. Kiedy odwróciła się do męża, po jej policzku spłynęła łza. Woolton nie śmiał spojrzeć żonie w oczy.

— Co mam ci powiedzieć? Przepraszam cię — wyszeptał Patrick Woolton. — Nie będę kłamać i wmawiać ci, że taśma została spreparowana. Ale naprawdę przepraszam. Nie chciałem cię zranić.

Nie odpowiedziała. Spojrzenie pełne wyrzutu i smutku zadawało mu ból większy niż najostrzejsze nawet słowa.

— Co mam zrobić? — spytał cicho.

Zaatakowała go z błyskiem prawdziwego gniewu w oczach:

— Pat, przez ostatnie dwadzieścia trzy lata starałam się wielu rzeczy nie dostrzegać. Nie jestem aż tak zidiociała kurą domową, żeby myśleć, że to był pierwszy i jedyny raz. Ale mogłeś zachować chociaż tyle przyzwoitości, żeby trzymać to z dala ode mnie. Przynajmniej tyle mi się należało.

Woolton zwiesił głowę, a ona na chwilę zamilkła.

— Ale jednej rzeczy moja duma nie pozwoli mi znieść. Nie życzę sobie, żeby ta mała dziwka próbowała zniszczyć moje małżeństwo. Tego nie zniosę! Więc dowiedz się, czego ta kurewka chce, i spłać ją, a jeżeli to będzie konieczne, idź na policję. Ale pozbądź się jej! I tego również! — Rzuciła w niego kasetą. — W moim domu nie ma na to miejsca. I dla ciebie także nie będzie, jeśli jeszcze kiedykolwiek zostaną zmuszona do słuchania tego plugastwa!

Spojrzał na nią ze łzami w oczach.

— Jutro to załatwię. Obiecuję ci, że już nigdy więcej nawet o tym nie usłyszysz.

## CZWARTEK, 25 LISTOPADA

Penny rzuciła w stronę szarego listopadowego nieba spojrzenie pełne niechęci, po czym powoli wyszła na chodnik. Meteorolodzy już od wielu dni zapowiadali możliwość nadejścia nagłej fali zimna i teraz ta ponura przepowiednia spełniła się z nawiązką. Próbując utrzymać równowagę na zamrzniętych kałużach, Penny pożałowała decyzji o włożeniu butów na wysokim obcasie zamiast botków. Szła powoli, tuż przy brzegu chodnika, kiedy nagle otworzyły się przed nią drzwi jakiegoś samochodu, blokując jej drogę.

Pochyliła się, aby poinformować kierowcę, że mógłby, do cholery, trochę uważać, i spostrzegła, że za kierownicą siedzi Woolton. Rozpromieniła się na jego widok, lecz on nie odwzajemnił uśmiechu. Posłusznie wykonała polecenie i wśliznęła się na miejsce pasażera.

— Czego chcesz? — spytał głosem tak lodowatym jak poranne powietrze.

— A co proponujesz? — odparła z uśmiechem, ale w jej głosie pojawiła się nuta niepewności. Nigdy dotąd nie widziała go w takim nastroju.

Odwrócił się w jej stronę i cicho przeklął swe szaleństwo, zdając sobie sprawę, że Penny wciąż mu się bardzo podoba.

— Musiałaś wysłać tę taśmę do mnie do domu? To było po pierwsze okrutne, ponieważ usłyszała ją moja żona, a po drugie wyjątkowo głupie, ponieważ oznacza, że wie już o wszystkim, więc nie możesz mnie szantażować. Żadna gazeta ani żaden program radiowy nie zechce tego kupić. Odstraszy ich sama groźba procesu. Nie mam pojęcia, jak zamierzasz wykorzystać tę kasetę.

Miał nadzieję, że jest zbyt głupia, by wiedzieć, jak bardzo ta taśma może mu zaszkodzić, jeśli trafi w niepowołane ręce. Odniosł jednak wrażenie, że blef zadziałał, gdyż z oczu Penny zniknęły nagle ogniki, a jej policzki pobladły.

— Patrick, o czym ty, do diabła, mówisz?

— O kasecie, którą mi przysłałaś, ty głupia fładro. Nie próbuj mnie teraz oszukiwać!

— Nie wysłałam ci żadnej kasety. I nie mam zielonego pojęcia, o co ci chodzi!

Ta niespodziewana napaść zupełnie niezrozumiale oskarżenia bardzo nią wstrząsnęły. Zaczęła łkać. Gdy Woolton chwycił ją z całej siły za ramię, z oczu popłynęły jej łzy prawdziwego bólu.

— Taśmę! Przysłałaś mi tę cholerną taśmę!

— Jaką taśmę, Patrick? Przestań, to boli!

Do Wooltona powoli docierało, że chyba się pomylił. Zaczął rytmicznie cedzić słowa tak, aby Penny nie miała wątpliwości, że mówi poważnie:

— Spójrz mi w oczy i powiedz, że to nie ty nagrałaś nas wtedy w Bournemouth i że nie ty wysłałaś do mnie tę kasetę.

— Nie, to nie ja. Nie wysłałam żadnej taśmy. Nie wiem... — Nagle przestała łkać i wzięła głęboki oddech. W końcu dotarło do niej znaczenie słów Wooltona. — Mój Boże, Patrick... To znaczy, że ktoś nas tam wtedy nagrał...? W Bournemouth? O Boże, to straszne! Ale kto?

Jej dolna warga drżała ze zdziwienia i przerażenia. Woolton puścił ramię Penny i oparł głowę o kierownicę.

— Wczoraj ktoś przysłał mi do domu kasetę z nagraniem tego, co robiliśmy wtedy w Bournemouth.

— A ty pomyślałaś, że to ja ją wysłałam, żeby cię szantażować? Ty podły skurwielu!

— Nie... nie wiedziałem, co o tym myśleć. Miałem nadzieję, że to ty, Penny...

— Dlaczego? Dlaczego ja? — wykrzyknęła, do głębi oburzona.

Uniósł głowę znad kierownicy i spojrzał Penny w oczy. W ciągu tych paru minut strasznie się postarzał — jego cera przypominała stary pergamin, a oczy miał zmęczone i zaczerwienione.

— Miałem nadzieję, że to ty, Penny, ponieważ nie mam zielonego pojęcia, kto inny był w stanie nas nagrać, a co najgorsze, nie ulega żadnej wątpliwości, że nie chodzi o pieniądze. Szantażysta nie czekałby z wysyłaniem kasety tak długo... aż do wyborów. Nie, tu nie chodzi o pieniądze, a o wybory. — Jego głos przeszedł w szept. — Jeśli idzie o najbliższy wtorek, jestem skończony.

Przez resztę poranka Woolton starał się myśleć konstruktywnie. Nie miał żadnych wątpliwości, że to właśnie wybory lidera partii spowodowały nagłe pojawienie się kasety. Gdyby szantażysta chodziło jedynie o pieniądze, nie zwlekałby tak długo z zadaniem ciosu. Sprawa musiała mieć związek z wyborami i Woolton wiedział, że cena, jaką podyktuje szantażysta, będzie dla niego zbyt wysoka. Podejrzewał, że to Rosjanie, a ci z całą pewnością nie będą tak wyrozumiali jak nowoorleańska policja. Nie, zdecydowanie nie może kandydować.

Stając przed takim problemem, wiele osób zdecydowałoby się cicho zejść ze sceny i prosiłoby los, aby nikomu nie przyszło do głowy zakłócać im tej przyspieszonej emerytury. Ale to nie było w stylu Wooltona. On postanowił walczyć o ocalenie choćby części swych zniszczonych marzeń.

Kiedy tuż po lunchu dziennikarze zebrali się na zwołanej przez niego konferencji prasowej, wszystko było już postanowione. Nie mając czasu na staranniejsze przygotowania, ogłosił, że konferencja odbędzie się po drugiej stronie Tamizy, w cieniu szpitala Świętego Tomasza usytuowanego dokładnie naprzeciwko Parlamentu, gdzie rzeka i Big Ben zapewniały odpowiednio dramatyczną atmosferę. Gdy tylko kamerzyści dali znak, że są gotowi, Woolton zaczął:

— Dzień dobry państwu. Chciałbym wygłosić krótkie oświadczenie. Jednocześnie pragnę od razu bardzo przeprosić państwa za to, że nie będę miał czasu, aby udzielić odpowiedzi na ewentualne pytania. Mam jednak nadzieję, że nie będziecie zawiedzeni. A więc przejdźmy do rzeczy. Po wtorkowym głosowaniu wydaje się jasne, że tylko trzech kandydatów ma realne szanse na zwycięstwo. Zresztą, o ile się orientuję, wszyscy pozostali zapowiedzieli już rezygnację z kandydowania. Tak więc, jak to panowie ładnie

ujęliście, jest to wyścig trzech koni. Oczywiście czuję się zaszczycony, że należą do tej trójki, jednak obawiam się, że trójka może w tym wypadku okazać się pechową cyfrą. W tych wyborach nie ma tak naprawdę trzech możliwości, a jedynie dwie. Partia może albo w dalszym ciągu uprawiać pragmatyczną politykę, dzięki której utrzymała się przy władzy przez ponad dziesięć lat, albo całkowicie zmienić kurs i skierować się w stronę tego, co czasami nazywane jest polityką opiekuńczą. Groziłoby to doprowadzeniem do sytuacji, w której rząd coraz bardziej angażuje się w rozwiązywanie codziennych problemów pojedynczych osób i rodzin.

Pośród dziennikarzy zapanowało spore poruszenie. Po raz pierwszy zdarzyło się, by w publicznym wystąpieniu polityk Partii Konserwatywnej przyznał, że pomiędzy jej dwoma skrzydłami panuje tak ogromna różnica zdań.

— Osobiście nie wierzę, by nacisk na opiekuńczość mógł mieć pozytywne skutki. Wręcz przeciwnie, uważam, że przy całej dobrej woli jej zwolenników opcja ta grozi katastrofą partii oraz krajowi i jestem pewien, że moje zdanie podziela zdecydowana większość członków partii. Paradoksalnie jednak coraz bardziej realna wydaje się groźba jej zwycięstwa, a to dlatego, że głosy zwolenników bardziej pragmatycznej polityki rozłożą się pomiędzy dwóch kandydatów — pana Urquharta i mnie. Ponieważ jestem człowiekiem praktycznym i dla mnie liczą się nie personalia, lecz programy, uważam, iż byłoby bardzo niedobrze, gdyby moje osobiste ambicje stały na drodze realizacji programu politycznego, który uważam za słuszny. — Zimne powietrze zagęszczało oddech i dodawało żaru słowom Wooltona. — Dlatego właśnie, aby nie dopuścić do podziału głosów pomiędzy dwóch kandydatów, postanowiłem wycofać się z wyborów i oddać głos na Francisca Urquharta, który, mam szczerą nadzieję, zostanie wybrany premierem. To wszystko. Dziękuję państwu.

Jego ostatnie słowa prawie utonęły w łoskocie migawek aparatów fotograficznych. Przy ich akompaniowaniu Woolton odwrócił się, po czym szybkim krokiem, prawie biegiem, wspiął się po schodach bulwaru i wsiadł do czekającego z zapalonym silnikiem samochodu. Kilku dziennikarzy próbowało go gonić, lecz nie mieli żadnych szans, gdyż auto już ruszyło i po chwili pędziło w stronę Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pozostali,



kompletnie oszołomieni, przez dłuższą chwilę nie ruszali się z miejsca, nie bardzo wiedząc, czy dobrze zrozumieli Wooltona. Nie dał im ani chwili na zadanie pytań, rozwinięcie jakiegokolwiek teorii czy znalezienie ukrytego znaczenia jego słów. Mieli tylko i wyłącznie jego wypowiedź i jedyne, co mogli zrobić, to bez żadnych komentarzy przekazać wiadomość. A właśnie tego pragnął Woolton.

Także pani Woolton sprawiała wrażenie bardzo zaskoczonej, kiedy wieczorem mąż wrócił do domu i razem obejrzelі wiadomości.

— Rozumiem powody twojej rezygnacji, Patricku, i wydaje mi się, że jest to dla ciebie wystarczająca kara. Dlatego w dalszym ciągu możesz na mnie liczyć. Ale czemu postanowiłeś udzielić poparcia Urquhartowi? Nie przypuszczałam, że jesteście sobie tak bliscy.

— Bliscy? Z tym dupkiem? Ależ skąd. Ja go nawet nie lubię.

— Więc dlaczego?

— Dlatego, że mam pięćdziesiąt pięć lat, a Samuel czterdzieści osiem, co oznacza, że może pozostać na Downing Street przez dobre dwadzieścia lat, czyli aż do mojej emerytury albo nawet śmierci. Natomiast Urquhart ma lat sześćdziesiąt dwa i nie wydaje się zbyt prawdopodobne, aby utrzymał się na stanowisku premiera dłużej niż cztery, pięć lat. Tak więc jeżeli zwycięży Urquhart, istnieje szansa, że zanim wycofam się z polityki, dojdzie do następnych wyborów. A do tego czasu może uda mi się dowiedzieć, kto stoi za tą cholerną kasetą. Wtedy ten ktoś może na przykład wpaść pod autobus albo potrąci go rządowa limuzyna. A ja stanę przed powtórnią szansą. — Jego fajka wypuściła kolejną chmurę gęstego niebieskiego dymu, on zaś kontynuował swój wywód. — W każdym razie pozostając neutralnym, nic nie zyskam. Samuel pod żadnym pozorem nie zgodzi się na mój udział w swym rządzie. I dlatego wręczam Urquhartowi zwycięstwo na srebrnej tacy, a on będzie musiał jakoś mi się odwdziżyć. — Po raz pierwszy od chwili, gdy przesłuchali taśmę, Woolton uśmiechnął się do żony. — Czy odpowiada ci perspektywa pełnienia przez następne parę laty obowiązków żony ministra finansów?

## PIĄTEK, 26 LISTOPADA

Następny ranek również był mroźny, nad Londynem jednak przeszedł kolejny front atmosferyczny, przynosząc krystalicznie czyste niebo, które zastąpiło ołowianoszare chmury. Gdy Urquhart wyrzwał przez okno swego biura, Tamiza lśniła w zimowym słońcu niczym symbol czekającej go przyszłości. Czytając w gazetach informacje o wycofaniu się Wooltona, poczuł, że nie zagrożony zbliża się do celu.

W tym właśnie momencie otworzyły się drzwi i wbiegł O'Neill. Zanim Chief Whip zdążył otworzyć usta, by zażądać wyjaśnień, gość rozpoczął swą paplaninę, wypływając z szybkością karabinu maszynowego ogromną ilość słów, jakby chciał zmusić Urquharta do uległości.

— Oni wiedzą, Francis. Odkryli, że akta zniknęły. Zamek był uszkodzony i jedna z sekretarek to zauważyła, i prezes wezwał nas wszystkich. Jestem pewien, że mnie podejrzewa. Co zrobimy, Francis? Co teraz zrobimy?

Urquhart potrząsał nim z całej siły, chcąc przerwać ten potok pozbawionych sensu zdań. Zdziwiło go, jak wielkiego wysiłku fizycznego wymaga zmuszenie O'Neill, by nad sobą zapanował.

— Roger, na miłość boską, zamknij się! — Pchnął go z całej siły na fotel i dopiero wtedy O'Neill zamilkł na chwilę, by złapać oddech. — A teraz powoli. Co się stało? O co dokładnie ci chodzi?

— O akta. Tajne akta dotyczące Samuela, które kazałeś mi wysłać do redakcji niedzielnych gazet. — Był tak wyczerpany zarówno fizycznie, jak i nerwowo, że z trudem chwycił oddech. — No więc dzięki mojej karcie magnetycznej udało mi się wejść do piwnicy, ale okazało się, że wszystkie akta są schowane w szafach zamykanych na zamki. Musiałem się włamać, Francis.

Nie miałem wyboru. Prawie nie było śladów. Zamek tylko trochę się wygiął. W tej piwnicy jest tyle kurzu i pajęczyn, że wygląda, jakby od wojny nikt tam nie wchodził. Ale akurat wczoraj jakaś kurewska sekretarka weszła tam po coś i zauważyła uszkodzony zamek. Przejrzeli wszystkie akta i zorientowali się, że brakuje teczki Samuela.

— Wysłałeś oryginalne papiery?!

— Francis, ta teczka była bardzo gruba i skopiowanie wszystkich dokumentów zajęłoby wiele godzin. Nie miałem pojęcia, które fragmenty są najbardziej interesujące, więc wysłałem całość. Przecież gdyby nie ta cholerna sekretarka, przez całe lata nikt by nie zauważył, że te papiery zniknęły, a później myśleliby, że gdzieś się zawieruszyły.

— Ty cholerny durniu, czy...

— Nie krzycz na mnie, Francis! To ja najwięcej ryzykuję! Nie ty! Prezes osobiście przesłuchuje wszystkich, którzy mają dostęp do tej piwnicy. Jest nas tylko dziewięć osób. Kazał mi przyjść dziś po południu. Jestem pewien, że mnie podejrzewa, i nie mam zamiaru brać całej winy na siebie. Niby dlaczego? Robiłem tylko to, co mi kazałeś.... Nie mam już siły kłamać, Francis. Dłużej tego nie wytrzymam!

Urquhart zamarł, gdyż dotarło do niego, że O'Neill mówi prawdę. Ten trzęsący się przed nim wrak nie miał już ani sił, ani wystarczająco dużo rozsądku, by wytrzymać jeszcze choćby tydzień. Dosłownie kruszył się niczym stara, pożółkła gazeta. Znow miał rozbiegany wzrok i nie panował nad słowami. Wystarczyłby najlżejszy podmuch wiatru, żeby go porwać. A to oznaczałoby koniec marzeń Urquharta.

— Roger, jesteś chyba trochę przeczulony. Nie masz się czego obawiać. Nikt ci niczego nie udowodni, a poza tym pamiętaj, że masz mnie po swojej stronie. Nie jesteś sam. Posłuchaj, nie wracaj już dziś do biura. Zadzwoń i powiedz, że jesteś chory. Prezes może poczekać do poniedziałku. A na jutro zapraszam cię do mojej posiadłości w Hampshire. Zostaniemy tam na noc i spokojnie zastanowimy się, co dalej. Tylko we dwóch.

O'Neill chwycił Urquharta za rękę i trzymał kurczowo jak kaleka ściskający swe kule.

— Tylko nikomu nie mów, że się do mnie wybierasz. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby dziennikarze się dowiedzieli, że jeden z najważniejszych

urzędników partii jest moim gościem na zaledwie kilka dni przed ostatnim głosowaniem. Mogłoby to zaszkodzić nam obu. Dlatego nie mów nikomu, nawet swojej sekretarce.

O'Neill próbował wydusić z siebie słowa podziękowania, ale uniemożliwiła mu to seria potężnych kichnięć. Urquhart odsunął się, nie potrafiąc ukryć obrzydzenia, lecz zajęty wycieraniem nosa O'Neill nic nie zauważył. Na jego twarz powróciła mina wiernego spaniela.

— Przyjadę, Francis. Na pewno przyjadę.

## SOBOTA, 27 LISTOPADA

Urquhart wstał przed świtem. Tej nocy w ogóle nie spał, ale wcale nie czuł się zmęczony. Wiedział, że to będzie wyjątkowy dzień. Na długo zanim pierwsze promienie słońca rozjaśniły niebo nad mokradłami New Forest, włożył swą ulubioną kurtkę myśliwską, wyszedł na mroźne powietrze i ruszył wąską ścieżką prowadzącą przez Emery Down w stronę Lyndhurst. Gęsta mgła otaczała żywopłoty, zniechęcając ptaki i tłumiąc wszelkie odgłosy. Niczym kokon oplatała Urquharta; ogarnęło go wrażenie, że jest na pustej planecie jedynym człowiekiem, który sam musi podejmować decyzje, bo tylko od niego zależy jego los.

Przeszedł prawie trzy mile, zanim wreszcie rozpoczął długą, mozolną wspinaczkę po południowym zboczu wzgórza. Powoli mgła zaczynała się przerzedzać, a promienie wschodzącego słońca z coraz większą łatwością przebijały się przez wilgotne powietrze. Kiedy Urquhart wyłonił się z mgły, po drugiej stronie skapanego w słońcu stoku dostrzegł skubiącego janowiec jelenia. Natychmiast skrył się za niskim krzakiem i spokojnie czekał, niczym myśliwy na swą ofiarę. Ale nie czuł się stuprocentowym myśliwym, gdyż jeszcze nigdy nie polował na człowieka. Za czasów Hitlera był zbyt młody, zaś w czasie wojny w Korei — zbyt zajęty studiowaniem. Dlatego nigdy nie poznał uczucia towarzyszącego zamienianiu cudzego życia na własne, skazywaniu kogoś na śmierć, zanim zostanie się skazanym Przez niego.

Myślał o ostatnich chwilach swego brata. Wyobrażał go sobie, jak siedzi w płytkim okopie Dunkierki, czekając na moment, gdy zza wzgórza

wyłonią się pierwsze lufy niemieckich czołgów. Kiedy tak tam leżał, gotów pozabawić życia jak największą liczbę wrogich żołnierzy, czy czuł się podniecony niczym dzikie zwierzę czujące zapach krwi? Czy znieruchomiał z przerażenia lub, jak ścigany zając, wpadł w panikę, i to pomimo poczucia obowiązku oraz wcześniejszego przeszkolenia? A może czuł uspokajającą pewność co do konieczności samoobrony, która pomagała pokonać lęk i moralność wpajaną w szkółce niedzielnej? Właśnie tak czuł się teraz Urquhart.

Jeleń zbliżył się do niego, wciąż skubiąc liście janowca, zupełnie nieświadom bliskiej obecności człowieka. Nagle, gdy odległość pomiędzy nimi wynosiła może dwadzieścia metrów, Urquhart się wyprostował. Przez chwilę zarówno on, jak i zaskoczony jeleń stali bez ruchu, aż wreszcie Urquhart ryknął straszonym śmiechem, raniąc zwierzę odbijającym się od mgły dźwiękiem. Jeleń czując, że powinien już nie żyć, skoczył w bok i po chwili zniknął.

Urquhart przez cały poranek spacerował po lesie. Kiedy wreszcie tuż przed południem wrócił do domu, nie przebijając się wszedł do swego gabinetu i podniósł słuchawkę telefonu.

Najpierw zatelefonował do naczelnych czterech największych niedzielnych gazet. Dowiedział się, że dwóch z nich pisze właśnie popierające go komentarze, jeden zamierza poprzeć Samuela, a jeden zachować bezstronność. Wszyscy jednak byli praktycznie zgodni co do tego, że Chief Whip ma wyraźną przewagę nad rywalem. Potwierdzał ją wynik sondażu przeprowadzonego przez ankieterów „Observera”, którym udało się dotrzeć do większości posłów partii. Wynikało z niego, że Urquhart zwycięży zdobywając ponad sześćdziesiąt procent głosów.

— Wygląda na to, Francis, że tylko trzęsienie ziemi może ci przeszkodzić — stwierdził redaktor naczelny.

Później Urquhart wykręcił numer w Kent i poprosił o połączenie z doktorem Christianem.

— Dzień dobry. To miłe z pana strony, że poświęca pan swój wolny czas, aby dowiedzieć się o stan zdrowia Charlesa. Z prawdziwą radością muszę panu powiedzieć, że jest z nim coraz lepiej. Jego brat, pan Henry Collingridge, odwiedza go właściwie co drugi dzień. Odnoszę wrażenie, że to pomaga im obu.

— Jest jeszcze coś, o czym chciałbym z panem porozmawiać, doktorze. Jeden z naszych posłów ma poważny problem. Jest nałogowym kokainistą i ostatnio w jego zachowaniu dostrzegam coraz więcej niepokojących oznak. Ma straszny katar, wciąż kicha, a jego oczy poruszają się w oszalałym tempie. Mówi albo bardzo szybko i chaotycznie, albo niezwykle powoli i opowiada okropne bzdury. Staje się coraz bardziej nerwowy i spowodował już kilka nieprzyjemnych zajęć w miejscach publicznych. Zachowuje się jak paranoik. Do wszystkich ma pretensje i praktycznie każdego podejrzewa o spiskowanie przeciwko niemu. Próbowałem go przekonać, aby poddał się leczeniu, lecz jak sam pan wielokrotnie mówił, narkomani są zwykle ostatnimi, którzy przyjmują do wiadomości, że są uzależnieni. Tak się fatalnie składa, że człowiek ten zajmuje odpowiedzialne stanowisko i ma dostęp do wielu poufnych wiadomości. Chyba nie muszę panu tłumaczyć, co by się mogło zdarzyć, gdyby przypadkiem zdradził którąś z nich. Chciałbym więc zapytać, czy w obecnym stanie ten człowiek zdolny jest dochować tajemnicy, czy możemy mu ufać?

— Z tego, co mi pan powiedział, wynika, że mamy do czynienia z bardzo chorym człowiekiem. Już w tej chwili nie potrafi panować nad swym zachowaniem nawet w miejscach publicznych, co prowadzi do bardzo niezręcznych sytuacji, o których pan wspomniał. Zewnętrzne symptomy wskazują, że jego choroba jest bardzo zaawansowana. Przypuszczalnie zażywa narkotyk kilka razy dziennie, co oznacza, że nie tylko nie jest w stanie dobrze wykonywać swej pracy, lecz także stracił wszelkie hamulce psychiczne. To niezwykle kosztowny nałóg i może pan być pewien, że ten człowiek zrobi wszystko, by zdobyć środki na jego sfinansowanie. Będzie kłamać, kraść, a może nawet zabić. Za narkotyk odda wszystko, co trafi mu do rąk. Także poufne informacje. Jego zachowanie będzie coraz bardziej bulwersujące, a jeśli będzie pan starał się przekonać go, by poddał się leczeniu, zostanie pan jego najgorszym wrogiem, którego będzie chciał za wszelką cenę zniszczyć. Widziałem już sytuacje, kiedy kokainizm rozbijał rodziny — rozdzielał żony i mężów, matki i dzieci... Tymi ludźmi kieruje potrzeba znacznie silniejsza niż jakakolwiek inna.

— On już groził mi ujawnieniem najbardziej poufnych informacji. Czy uważa pan, że naprawdę jest gotów to zrobić?

- Zdecydowanie tak.
- A więc wygląda na to, że mamy poważny kłopot.
- Obawiam się, że bardzo poważny. Jeśli uzna pan, że jestem w stanie pomóc, proszę natychmiast dać mi znać.
- Już pan pomógł, doktorze. Dziękuję.

Urquhart wciąż jeszcze siedział w gabinecie, kiedy usłyszał samochód O'Neilla zatrzymujący się na podjeździe.

Gdy Irlandczyk wszedł w korytarz, Urquhart przyjrzał mu się i stwierdził, że stojący przed nim człowiek w niczym nie przypomina tego, którego niecałe pół roku wcześniej zaprosił na kolację do swego klubu. Dawna niedbała elegancja O'Neilla zmieniła się teraz w zwykłe niechlujstwo. Włosy miał rozczochrane, ubranie pomięte, jakby przed chwilą wyjął je z dna kosza na brudną bieliznę, a źle zawiązany krawat luźno zwisał pod nie zapiętym kołnierzykiem. Starając się patrzeć na niego tak, jakby widział go po raz pierwszy, Urquhart był głęboko wstrząśnięty. Stopniowe staczanie się O'Neilla nie zostało zapewne zauważone przez często widujących go znajomych i współpracowników, lecz teraz ten niegdyś uprzejmy i zadbany mężczyzna wyglądał jak zwykły włóczęga, zaś jego błyszczące oczy, które tak bardzo pociągały kobiety i skutecznie przekonywały klientów, stały się tylko dwiema wytrzeszczonymi kulami, błędzącymi po całym pomieszczeniu w ciągłym poszukiwaniu czegoś, czego nigdy nie mogły znaleźć. Ten człowiek był opętany.

Urquhart zaprowadził O'Neilla do jednego ze znajdujących się na piętrze pokoi gościnnych, po drodze prawie się nie odzywając. Natomiast O'Neill przez cały czas bełkotał, co mu ślina na język przyniosła. Od pewnego czasu najważniejszym dla niego tematem był stosunek innych do jego osoby. Głęboko przekonany, że pada ofiarą niesprawiedliwego osądu, uważał, że wszyscy zwrócili się przeciwko niemu: prezes, premier, a ostatnio także sekretarka. Nawet lokalny posterunkowy patrolował ulice tylko po to, żeby go śledzić i w odpowiedniej chwili zaatakować.

O'Neill rzucił swą torbę na łóżko, nie zdradzając żadnego zainteresowania pokojem ani wspaniałym widokiem z okna. Zeszli na dół. Przez potężne dębowe drzwi Urquhart wprowadził gościa do gabinetu, którego wszystkie ściany zastawione były regałami pełnymi książek. Zapropozował O'Neillowi,



by zrobił sobie drinka, po czym spokojnie patrzył, jak ten nalewa pełną szklankę whisky i natychmiast przystępuje do jej opróżniania. Już po chwili alkohol zaczął walczyć z kokainą. Spojrzenie O'Neilla stało się odrobinę mniej szalone, za to język zaczął mu się strasznie plątać, a słowa coraz bardziej traciły sens.

— Roger — zaczął Urquhart — wszystko wskazuje na to, że już pod koniec tygodnia wprowadzimy się na Downing Street. Od pewnego czasu zastanawiam się nad odpowiednim stanowiskiem dla ciebie i myślę, że powinniśmy teraz o tym pogadać.

O'Neill pociągnął kolejny łyk, zanim odpowiedział.

— Francis, jestem ci bardzo wdzięczny za to, że tak się o mnie troszczysz. Ja również się nad tym zastanawiałem i pomyślałem, że może przydałby ci się ktoś taki jak ja na Downing Street... Mógłbym zostać twoim doradcą prasowym albo nawet rzecznikiem rządu. Z całą pewnością będziesz potrzebował wiele pomocy, a ponieważ tak dobrze się nam współpracowało, to...

Urquhart przerwał mu machnięciem ręki.

— Roger, są dziesiątki urzędników specjalnie przygotowanych do tego typu roboty. Ktoś taki jak ty powinien, moim zdaniem, zająć się propagandą polityczną, odpowiednio uzupełnić pracę urzędników. Musi to być ktoś godny zaufania, aby nie powtórzyły się już błędy organizacyjne, które w ciągu ostatnich paru miesięcy przytrafiły się naszej partii. Dlatego bardzo bym chciał, żebyś pozostał w centrali... Oczywiście prezesem nie będzie już Williams.

Na twarzy O'Neilla pojawił się niepokój. Znów ta sama bezsensowna robota, patrzenie z boku, jak urzędnicy prowadzą całą grę. I kompletny brak uprawnień, równy ich niekompetencji. Nie widział w tym nic pociągającego.

— Ale żebym mógł dobrze sprostać temu zadaniu, Francis, potrzebuję wsparcia, specjalnego statusu... Rozmawialiśmy przecież o tytule...

— To prawda, Roger, rozmawialiśmy i według mnie w pełni na niego zasłużyłeś. Bez ciebie z całą pewnością nie zdołałbym sobie poradzić. I jestem ci naprawdę bardzo wdzięczny. Ale pojawiły się pewne komplikacje. Dowiedziałem się, jakie masz teraz szanse na tytuł, i okazało się, że to wyróżnienie jest chyba niemożliwe, przynajmniej w najbliższym czasie. Po ten honor

czeka długa kolejka osób, którym już dawno go obiecano... A chyba zdajesz sobie sprawę, że nawet premier nie jest w stanie wręczyć nieograniczonej liczby nominacji. Dlatego obawiam się, że to może trochę potrwać...

Urquhart postanowił sprawdzić O'Neilla — straszyć go, znęcać się nad nim, poddać wszelkim naciskom, bez wątpienia czekającym go w nadchodzących miesiącach — aby zorientować się, w którym miejscu przebiega granica jego wytrzymałości. Nie musiał długo czekać. Usłyszawszy, że jego marzenie o tytule szlacheckim nie zostanie spełnione, Irlandczyk wybuchnął niczym wulkan:

— Francis! Przecież obiecałeś! Taka była umowa! Dałeś mi słowo, a teraz mówisz, że nic z tego! Że dalej mam gnić w centrali. Że nici z tytułu. Ani teraz, ani wkrótce, ani nigdy! Osiągnąłeś swój cel i chcesz się mnie pozbyć. Ale nic z tego! Kłamałem dla ciebie, dokonywałem fałszerstw, a nawet kradłem! A ty chcesz mnie potraktować jak pozostałych. Ale ja nie pozwolę, żeby wszyscy naśmiewali się ze mnie za plecami i kręcili nosami, jakbym był jakimś śmierdzącym irlandzkim wieśniakiem. Zasłużyłem na ten tytuł i nie mam zamiaru z niego zrezygnować!

Szklanka była pusta, więc O'Neill, drżąc ze zdenerwowania, chwycił karrkę i napełnił ją, rozlewając whisky po stole. Wziął potężny łyk, po czym z jego ust na nowo popłynęły potoki gniewnych słów.

— Razem nad tym pracowaliśmy i wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla ciebie. Beze mnie za nic nie udałoby ci się trafić na Downing Street. I wiedz, że zwyciężymy razem albo razem przegramy. Jeśli mam wylądować na kupie kompostu, to niech mnie diabli, obiecuję ci, że nie wyląduję tam sam! Pamiętaj, że jeśli zdradzę choć część tego, co wiem, będziesz skończony! Jesteś moim dłużnikiem!

Tak więc groźba została wypowiedziana. Rzuconą rękawicę prowokacji O'Neill natychmiast podjął i cisnął Urquhartowi w twarz. Dotąd było jasne, że problem polega nie na tym, czy O'Neill straci nad sobą panowanie, lecz jak szybko. Okazało się, że praktycznie od razu.

Dalsze sprawdzanie go straciło jakikolwiek sens, więc Urquhart pokręcił głową i szeroko się uśmiechnął.

— Roger, przyjacielu. Źle mnie zrozumiałeś. Chodziło mi tylko o to, że będziesz musiał poczekać, ponieważ na liście nominacji noworocznych nie ma już miejsca. Ale przecież już na wiosnę, z okazji urodzin królowej, będą następne nominacje. A to raptem kilka tygodni. I tylko to miałem na myśli. A jeśli chodzi o pracę na Downing Street, to skoro tak bardzo ci na niej zależy, znajdziemy dla ciebie coś odpowiedniego. Ty i ja tworzymy zgrany zespół. Zasłużyłeś sobie na to wszystko i daję ci słowo honoru, że nie zapomnę, ile jestem ci dłużny,

O'Neill odpowiedział coś półgłosem. Ponieważ coraz więcej alkoholu działało na jego system nerwowy, siedział bez ruchu, kompletnie wypalony i wyczerpany.

— Posłuchaj, prześpij się przed lunchem. Później wszystko dokładnie obgadamy — zaproponował Urquhart.

O'Neill bez słowa rozparł się w fotelu i zamknął oczy. Po zaledwie paru sekundach zapadł w sen. Rytm jego oddechu stał się znacznie wolniejszy, jednak palce wciąż zaciskały się nerwowo na poręczach fotela, a gałki oczne pod zamkniętymi powiekami drżały w tym samym oszalałym tempie co przedtem. Gdziekolwiek błędził teraz jego umysł, nie znajdował spokoju.

Urquhart przyglądał się tej skurczonej postaci. O'Neill ślinił się, z nosa kapał mu śluz. W wielu ludziach ten widok wzbudziłby uczucie litości, lecz Urquhart czuł tylko przerażającą obojętność. W młodości przemierzał lasy i mokradła w towarzystwie olbrzymiego labradora, który wierną służbą zdołał zjednać sobie jego sympatię. Mijały jednak lata; pies starzał się i coraz bardziej niedołążniał. Któregoś ranka w pokoju Urquharta zjawił się łowczy i ze smutkiem poinformował go, że pies miał atak i trzeba go dobić. Urquhart udał się do stajni, w której sypiał pies, i zobaczył smutny widok zwierzęcia całkowicie pozbawionego panowania nad sobą. Pies miał sparaliżowane tylne nogi, robił pod siebie, z pyska ciekła mu ślina, z nosa śluz. Zupełnie jak teraz O'Neillowi. Jedyne, na co było go stać, to zamachać na powitanie ogonem i smutno zaskowyczeć. W oczach starego łowczego pojawiły się łzy. Podszedł do psa i pogłaskał go po wielkim łbie.

— Nie tobie już gonić zające, staruszk — szepnął.

Urquhart dobił zwierzę jednym strzałem i polecił łowczemu zakopać je jak najdalej od domu. Patrząc teraz na O'Neill, zastanawiał się, jak to się

dzieje, że niektórzy ludzie zasługują na mniej współczucia aniżeli głupie zwierzęta.

Zostawił o'Neilla w gabinecie i poszedł do kuchni. Pod zlewem znalazł parę gumowych rękawiczek. Wziął łyżeczkę do herbaty, razem z rękawiczkami włożył ją do kieszeni, tylnymi drzwiami wyszedł do ogrodu i skierował się do przybudówki służącej jako garaż, warsztat i graciarnia. Stare drewniane drzwi zaskrzypiały na zardzewiałych zawiasach. Urquhart poczuł stęchliznę. Bardzo rzadko odwiedzał przybudówkę, ale dobrze wiedział, gdzie znaleźć to, czego szukał. Przy tylnej ścianie stał stary kredens kuchenny, który trafił tam przed wieloma laty, a teraz stanowił schronienie dla puszek z farbą, baniek z olejem i ogromnej armii korników. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem protestu. Urquhart od razu znalazł niewielką, dokładnie zamkniętą puszkę. Założył rękawice, zdjął ją z półki i przez cały czas trzymając na odległość jak płonącą pochodnię, wrócił do domu.

Tam najpierw upewnił się, że O'Neill wciąż śpi, po czym poszedł na górę, wszedł do pokoju gościnnego i starannie zamknął za sobą drzwi na klucz. Z ulgą stwierdziwszy, że O'Neill zostawił swą torbę otwartą, zaczął metodycznie przeglądać jej zawartość, uważając, żeby nie zostawić żadnych śladów. To, czego szukał, znajdowało się pomiędzy przyborami toaletowymi. Było to niewielkie pudełko po talku. Otworzył je. Zamiast talku zawierało zamykaną torebkę foliową z niewielką ilością białego proszku.

Położył ją na mahoniowym biurku stojącym przy oknie, z szuflady zaś wyjął trzy czyste kartki papieru maszynowego i na jedną z nich wysypał zawartość torebki O'Neilla. Następnie ostrożnie otworzył przyniesioną z szopy puszkę i łyżeczką wysypał na drugą kartkę podobną ilość białego proszku. Używając drugiego końca łyżeczki jako szpatułki, podzielił oba kopczyki na połowy, po czym przesypał je na trzecią kartkę. Stwierdziwszy z zadowoleniem, że oba proszki są dokładnie tego samego koloru i konsystencji, dokładnie je wymieszał. Wreszcie ostrożnie zgiął kartkę, by łatwiej przesyłać mieszankę do torebki.

I właśnie w tym momencie cała pewność siebie nagle go opuściła, zimna krew, z której był taki dumny, zmieniła się w żrący kwas, a jego wola stała się polem bitwy. Moralność i wstrzemięźliwość, które system starał się

wpoić mu od wczesnego dzieciństwa, wołały, by przestał, by tego nie robił, żeby zrezygnował, póki nie jest jeszcze za późno, podczas gdy rozum wciąż powtarzał, że moralność to słabość, a liczy się jedynie rzeczywistość. Rzeczywistość zaś była taka, że już wkrótce miał zostać najpotężniejszym człowiekiem w państwie — oczywiście pod warunkiem, że nie stchórzy.

Musiał teraz skoncentrować się wyłącznie na swym celu, jasno sprecyzowanym i w pełni uświadomionym, podobnie jak powinni czynić rządzący. Zbyt często rządy padają na kolana, kiedy ich przywódcy, stając w obliczu przykrew rzeczywistości, dają się omamić śpiewowi syren po to tylko, by cofnąć się w słabość i kompromis. Czyż nie mówi się, że kiedy już dojdą do władzy, wszyscy politycy są tacy sami? Prawie wszyscy! Słabi, niezdecydowani, nijacy, kalają swe gniazda i wchodzą w drogę tym nielicznym naprawdę wielkim, którzy prą do przodu.

Wielcy ludzie mają wewnętrzną siłę. Urquhart był na siebie wściekły za te wątpliwości. Nieważne, czy chcą to przyjąć do wiadomości czy też nie, politycy grają ludzkim życiem, a każde życie ma swą cenę — i to nie tylko w czasie wojny, lecz także wtedy, gdy ogranicza się środki na opiekę nad chorymi i starcami, ustala kary za przestępstwa, wysyła ludzi do pracy w kopalniach albo na Syberię. Interes narodowy często wymaga, by nieliczni poświęcili życie wielu.

Wyjrzał przez okno. Mgła wciąż otulała czubki drzew New Forest, zamazując horyzont i unosząc jego myśli. Czuł się teraz jak Cezar stojący na brzegu Rubikonu — nie był pewien, co czeka go po drugiej stronie, lecz wiedział, że nie może się już wycofać. Tylko wybranym dane jest decydować o ludzkim istnieniu — większość ponosi po prostu konsekwencje decyzji podejmowanych przez tych nielicznych. Pomyślał o swym bracie siedzącym w okopach Dunkierki — zwykłym pionku, jak miliony innych, w grze prowadzonej przez wielkich. On, Francis Urquhart, jest jednym z wielkich, powinien być jednym z nich. A O'Neill to pionek, tak nieistotny, jak tylko można sobie wyobrazić.

Ponownie podniósł z biurka kartkę. Ręka wciąż mu drżała, choć mniej niż przedtem. Cieszył się, że nie musi mierzyć teraz do jelenia, bo prawie na pewno by spudłował, albo że nie buduje domku z kart.

Proszek znalazł się w torebce, którą Urquhart natychmiast zamknął. Wyglądała na nietkniętą.

Pięć minut później wrzucił do ubikacji starannie podarte kartki papieru, wysypał resztę proszku, po czym spuścił wodę. Wylał biurko najpierw mokrą ścierką, a później ręcznikiem. Wreszcie włożył torebkę do pudełka po talku, pudełko do kosmetyczki, a kosmetyczkę do torby. Był absolutnie pewien, że O'Neill niczego nie zauważy.

Wrócił do łazienki i do oporu odkręcił kurki umywalki. Dokładnie umył łyżeczkę, a następnie, słuchając szumu wody w rurach, puścił z jej strumieniem resztę proszku z puszek.

W końcu ponownie wyszedł na dwór, przeszedł przez starannie przystrzyżony trawnik i stanął pod wierzbą, gdzie jego ogrodnik gromadził śmieci przeznaczone do spalania. Podпалиł stertę, a gdy już płonęła pełnym ogniem, wrzucił weń pustą puszkę i rękawiczki. Stał jeszcze chwilę, po czym wrócił do domu, nalał sobie dużą whisky i wypił równie zachłannie jak przedtem O'Neill. Dopiero wtedy się odprężył.

Stało się.

O'Neill spał już od trzech godzin, kiedy obudziło go mocne potrząsanie za ramiona. Otworzył oczy i stwierdził, że to Urquhart.

— Roger, obudź się! Nastąpiła nagła zmiana planów. Przed chwilą telefonowali z BBC i pytali, czy mogą przysłać ekipę. Robią na wtorek program o Samuelu i o mnie i chcieliby trochę pokręcić w wiejskiej scenerii. Samuel się zgodził, więc ja także musiałem. Przyjadą za mnie i więcej godzinę i będą tu siedzieć przez całe popołudnie. Tak więc stało się to, czego bardzo nie chcieliśmy. Jeśli cię tu, nie daj Boże, zobaczą, zaczną snuć domysły, czego też wysoki urzędnik partii może szukać u mnie na kilka dni przed ostatecznym głosowaniem. Nie możemy do tego dopuścić. Dlatego przepraszam cię, ale powinieneś natychmiast stąd wyjechać.

O'Neill nie zdążył nawet odpowiedzieć, a już Urquhart przystawił mu do ust filiżankę z kawą, jeszcze raz przepraszając i wyrażając zadowolenie, że udało im się wyjaśnić wszelkie wątpliwości.

— Pamiętaj, Roger. Tytuł już w najbliższe Zielone Świąta. A sprawę odpowiedniej posady na Downing Street załatwimy w przyszłym tygodniu.

Jestem ci bardzo wdzięczny – powiedział, wpychając O'Neilla do samochodu.

Patrzył, jak O'Neill powoli, z wyćwiczoną ostrożnością skierował się w stronę bramy, po czym zniknął za nią.

– Żegnaj, Roger – wyszeptał.

## NIEDZIELA, 28 LISTOPADA

Zgodnie z informacjami, których udzielili Urquhartowi ich naczelni, liczące się gazety niedzielne przyniosły wiadomości pomyślne dla niego oraz jego zwolenników.

„Urquhart na czele” — ogłosił „Sunday Times”, zwiększając efekt komentarzem redakcyjnym wyrażającym zadowolenie z tego faktu. Także „Sunday Telegraph” oraz „Express” otwarcie opowiedziały się po stronie Urquharta. „Mail on Sunday” starał się zachować neutralność, a tylko „Observer” poparł Samuela, choć poparcie to straciło całą moc w związku z umieszczoną na pierwszej stronie informacją o zdecydowanej przewadze Urquharta we wszystkich przeprowadzonych sondażach.

Czołowy przedstawiciel prasy bulwarowo-rynsztokowej nadał kampanii nowych barw. „Samuel był komuchem!” — krzyczał wielkimi literami nagłówek na pierwszej stronie. Artykuł informował, że w czasie studiów Samuel był aktywnym działaczem lewicowym. Rzeczywiście, kiedy zatelefonował do niego pozornie miły dziennikarz tej gazety i powiedział, że przygotowując artykuł o latach młodości jego oraz Urquharta znalazł pewne ślady wskazujące na dawną przynależność Samuela do radykalnej partii, ten dość niechętnie przyznał, że podczas studiów przez krótki okres należał do różnych organizacji i popierał wiele ruchów, które teraz, po latach, wydają mu się naiwne i pozbawione sensu.

— Ale my posiadamy dokumenty świadczące o tym, że był pan członkiem Kampanii na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego i ruchu walczącego o równe prawa dla homoseksualistów, panie ministrze — naciskał reporter.



— Znów te stare bzdury? — odparł rozdrażniony Samuel. Miał nadzieję, że udało mu się wyjaśnić bezzasadność tych oskarżeń, kiedy przed dwudziestoma laty po raz pierwszy kandydował do Izby Gmin. Jego rywal przysłał wtedy do centrali partii donos, w którym oskarżył go o sympatię do komunistów i homoseksualistów. Komisja kwalifikująca kandydatów na posłów dokładnie zbadała całą sprawę i dała Samuelowi „świadczenie czystości”. A teraz, po dwudziestu latach, wskrzeszono te oskarżenia, i to akurat na kilka dni przed ostatnim głosowaniem.

— Jako osiemnastoletni chłopak robiłem wszystko to, co inni studenci. Wziąłem udział w dwóch demonstracjach antynuklearnych, a także zaprenumerowałem czasopismo, które okazało się organem ruchu na rzecz równouprawnienia homoseksualistów — roześmiał się cicho, próbując stworzyć wrażenie, że nie ma niczego do ukrycia. — Byłem także członkiem ruchu przeciwko apartheidowi. Zresztą do dnia dzisiejszego aktywnie mu się sprzeciwiam, co jednak wcale nie znaczy, że jestem zwolennikiem radykalnych metod stosowanych przez samozwańczych przywódców ruchu — wyjaśnił dziennikarzowi. — Czy czegoś żałuję? Nie, uważam, że nie mam czego żałować. Moim zdaniem były to nie tyle grzechy młodości, co raczej podstawy mojej edukacji politycznej. Wiem, jak bardzo bezsensowna jest Kampania na rzecz Rozbrojenia. W końcu znam ją od wewnątrz.

Samuel nie wierzył własnym oczom, widząc nagłówek. Sugerowanie, że kiedykolwiek był komunistą, było wyjątkowym idiotyzmem. Zastanawiał się nawet, czy sprawa nie kwalifikuje się do sądu. Tym bardziej że sam artykuł okazał się jeszcze gorszy.

„Brałem udział w prosowieckich demonstracjach» — przyznał wczoraj wieczorem Michael Samuel, wspominając lata sześćdziesiąte, kiedy jak powszechnie wiadomo, demonstracje antynuklearne często kończyły się ulicznymi burdami i zamieszkami.

Potwierdził także, że wspierał finansowo homoseksualistów, dokonując regularnych comiesięcznych wpłat na konto działającego w Cambridge Ruchu na rzecz Równouprawnienia Homoseksualistów, będącego jedną z pierwszych organizacji domagających się zmiany uregulowań prawnych dotyczących tej mniejszości.

Zaangażowanie Samuela w działania organizacji lewackich jest już od wielu lat troską liderów partii. W roku 1970, kiedy mający wówczas dwadzieścia siedem lat Samuel zgłosił chęć kandydowania do Izby Gmin z jej listy, ówczesny prezes partii zażądał odpowiedzi na pytanie: «Dlaczego pańskie nazwisko występuje tak często w związku z ruchami zdecydowanie nieprzychylnymi naszej partii?»

Jego odpowiedź musiała usatysfakcjonować władze partii, ponieważ znalazł się wtedy na liście kandydatów i został wybrany do Izby Gmin. Jednakże wczoraj wieczorem Samuel wciąż odmawiał odcięcia się od swej komunistycznej przeszłości.

«Niczego nie żałuję» — oświadczył i dodał, że w dalszym ciągu jest sympatykiem niektórych lewicowych organizacji, które dawniej aktywnie wspierał.»

Przez resztę dnia zarówno pośród dziennikarzy, jak i w domu Samuela panowały zgiełk i poruszenie. Tak naprawdę nikt nie wierzył, że jest komunistą-pedałem; był to ewidentnie kolejny głupi paszkwil mający na celu zwiększenie nakładu, a nie świadomości społecznej. Jednak wymagał dokładnego sprawdzenia, przez co spowodował ogromne zamieszanie, doprowadzając do przerwania kampanii Samuela, który musiał zająć się przekonaniem swych zwolenników, że zarzuty są kompletnie bezpodstawne.

W południe lord Williams wydał oświadczenie, oskarżające gazetę o wykorzystanie poufnych materiałów skradzionych z archiwum partii. Gazeta natychmiast odparowała, że chociaż partia wykazała się karygodnym brakiem umiejętności zabezpieczenia swych tajnych dokumentów, redakcja z radością spełni swój obywatelski obowiązek i zwróci kartotekę Samuela jej prawowitemu właścicielowi, co też uczyniła — wybierając oczywiście porę w taki sposób, by telewizyjne wiadomości zdążyły nadać relację, przedłużając tym samym żywot afery.

Większość obserwatorów po dokładnym przeanalizowaniu całej sprawy określiła ją jako jeszcze jedno pechowe dla Samuela zajście, spowodowane niekompetencją centrali partii. Lecz przecież kampania wyborcza Samuela od samego początku pełna była pechowych zajść. A to nie najlepiej świadczyło o kimś, kto twierdził, że całkowicie panuje nad sytuacją. Szczególnie

jeśli ostatnie z nich zdarzyło się w poprzedzający głosowanie weekend.

Ta rozmowa wyprowadziła Krajewskiego z równowagi. Zżerany równocześnie przez złość na niekonsekwencję Mattie i pragnienie jej ciała, bardzo starał się zapanować nad swymi krnąbrnymi uczuciami. Okazało się jednak, że tak bardzo mu jej brakuje, że praktycznie nie jest w stanie przestać o niej myśleć. Kiedy jeden z kolegów powiedział mu, że spotkał Mattie, która wyglądała na chorą i zmęczoną, Krajewski natychmiast zrozumiał, jak bardzo w dalszym ciągu mu na niej zależy.

Mattie przystała na spotkanie, lecz zdecydowanie sprzeciwiła się, gdy zaproponował, że zaraz do niej wpadnie. Nie chciała, by zobaczył jej mieszkanie w takim stanie, z brudnymi naczyniami, pustymi puszkami i kartonikami, od których roilo się na stołach i biurku, oraz nieświeżymi, pogniecionymi ciuchami rzuconymi po prostu w kącie. Ostatnie dni były istnym piekłem. W głowie miała totalny mętlik. Nie potrafiła zasnąć, leżała więc w lodowatym łóżku, nie wiedząc, w którą stronę powinna się skierować. Ściany zdawały się coraz bardziej do siebie zbliżać, wyciskając z niej zdolność logicznego myślenia i czucia cegokolwiek innego poza coraz większym przygnębieniem.

Dlatego kiedy zatelefonował Krajewski, zareagowała niezbyt entuzjastycznie, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że bardzo potrzebuje czyjegóż wsparcia. Z pewnymi oporami dała się w końcu przekonać do spotkania w kawiarence na wschodnim brzegu Serpentine — niewielkiego, zamieszkanego przez kaczki jeziora, położonego w samym środku Hyde Parku. Krajewski zaklął, kiedy tam dotarł. Wiał przenikliwy listopadowy wiatr, tworząc na jeziorze spienione fale, a w dodatku okazało się, że kawiarnię zamknięto aż do wiosny. Dopiero po chwili dostrzegł małą, skuloną pod okapem sylwetkę Mattie, owiniętą w wiatrówkę, która nagle wydała mu się stanowczo za duża. Zupełnie jakby od ostatniego spotkania Mattie się skurczyła. Pod oczyma miała zupełnie nietypowe dla siebie sirice, a cała witalność, zwykle rozjaśniająca jej twarz, gdzieś zniknęła. Mattie wyglądała fatalnie.

— Niech mnie diabli! Niezłe miejsce wybrałem na to spotkanie! Przepraszam.

Nie przejmuj się, Johnnie. Chyba potrzebowałam trochę świeżego powietrza.

Miał ochotę objąć ją i ogrzać w ramionach, lecz zdobył się tylko na pocieszający uśmiech.

— Co nowego słychać u czołowej dziennikarki Zjednoczonego Królestwa? — spytał i niemal natychmiast ugryźł się w język. Nie miał zamiaru być złośliwy.

— Może masz rację, że się śmiejesz ze mnie — odparła, drżąc z zimna. — Jeszcze parę dni temu zdawało mi się, że mam świat u stóp...

— A teraz?

— A teraz wszystko straciłam. Pracę... Artykuł... — Krótka pauza. — Ciebie... Myślałam, że sama sobie poradzę. Ale myliłam się. Przepraszam.

To była nowa Mattie, pełna wątpliwości i niepewności. Ponieważ Krajewski nie wiedział, co odpowiedzieć, milczał.

— Kiedy byłam mała, dziadek często zabierał mnie na wędrowki po dolinach Yorkshire. Mówił, że przypominają mu Norwegię. Czasami zaskakiwał nas chłód i deszcz, ale nigdy nie zdarzyło mi się bać. Dziadek był zawsze przy mnie i zawsze miał termos z gorącą zupą. Nigdy nie czułam takiego ciepła jak właśnie podczas tych wędrowek, nawet jeśli akurat wiał najgorszy wiatr. Któregoś dnia pomyślałam, że jestem już wystarczająco dorosła, żeby powłóczyć się samotnie. Ale zesłam ze szlaku i wkrótce ziemia zaczęła się robić coraz miększa i bardziej wilgotna. Najpierw zapadałam się po kostki, później po kolana. Coraz głębiej i głębiej... — Znów zadrżała. — Nie mogłam się wydostać. Im bardziej walczyłam, tym głębiej się zapadałam i już myślałam, że na zawsze tam zostanę. Wtedy po raz pierwszy w życiu poznałam co to strach. Ale oczywiście odnalazł mnie dziadek, wyciągnął z bagna, przytuilił i pomógł się uspokoić.

Krajewski w milczeniu patrzył na Mattie. Drżąca w fałdach swej ogromnej kurtki, wydawała się słaba i bezbronna. Zupełnie jakby przeżywała to wszystko od nowa.

— Teraz jest tak samo, Johnnie. Za wszelką cenę staram się znaleźć twardy grunt, coś, na czym mogłabym oprzeć zarówno ten artykuł, jak i swoje życie. Ale zapadam się coraz głębiej i głębiej. Dziadka nie ma już w

poblizu, więc strasznie się boję... Rozumiesz, Johnnie? Czuję się tak, jakbym już nigdy nie miała stanąć na twardym gruncie.

— Czyżbyś nie czytała niedzielnych gazet? Ktoś wykradł tajne papiery dotyczące Samuela. To kolejna bomba pochodząca z centrali. Następny dowód przeciwko Williamsowi. Czyż to nie jest twardy grunt?

Ze smutkiem pokręciła głową.

— To niestety nie jest takie proste — odparła.

— Wybacz, ale nie rozumiem. Mamy do czynienia z ewidentnie celową kradzieżą akt. Ze sfalszowaniem kartoteki komputerowej. Również celowym. Poza tym z przeciekami niewygodnych dla rządu materiałów. Podrzucono je tobie, Kendrickowi, wydają się, że praktycznie każdemu, kto się napatoczył. Mamy wreszcie urzędnika wynajmującego skrytki na fałszywe nazwisko... Czego ci jeszcze trzeba? Przecież wszystkie ślady prowadzą do centrali. To musi być Teddy Williams. Sam nie ma szans zostać premierem, więc chce mieć kontrolę nad tym, komu się to uda.

— O czymś zapomniałeś, Johnnie. Po co, na Boga, Williams miałby kraść te dokumenty? Przecież mógł je po prostu skopiować. I wcale nie musiałby niszczyć zamka. Ma wszystkie klucze. Poza tym uważa się go za największego sojusznika Samuela. Tymczasem kampania Samuela od samego początku bardzo kuleje. Więc po co Williams miałby mu szkodzić? — Była wyraźnie zawiedziona. — A poza tym czy jesteś w stanie wyobrazić sobie tak starego męża stanu jak Williams wrabiającego premiera w oszustwo? Albo celowo dopuszczającego do przecieków poufnych materiałów, co zresztą doprowadziło do tego, że wiele osób uważa go za stetryczałego imbecyla? Nie, Johnnie. To nie Williams.

— Więc kto, do diabła? Samuel? Urquhart? Któryś z ministrów? Landless?

— Nie wiem! — krzyknęła. — Dlatego właśnie czuję się, jakbym tonęła. Im bardziej walczę, tym głębiej się zapadam. Zawodowo. Uczuciowo. Zupełnie jakby wciągało mnie potężne bagno. Niczego nie jestem już pewna.

— Chciałbym ci pomóc, Mattie.

— Tak jak dziadek, zawsze kiedy cię potrzebuję, jesteś na miejscu. Ale albo znajdę własną drogę teraz, albo nie znajdę jej już nigdy. Sama muszę sobie z tym wszystkim poradzić.

— Mogę poczekać — odparł Krajewski łagodnie.

— Ale ja nie. Mam tylko dwa dni na znalezienie odpowiedzi i tylko jeden punkt zaczepienia: Rogera O'Neilla.

## PONIEDZIAŁEK, 29 LISTOPADA

Portier znalazł ciało w chwilę po tym, jak o czwartej trzydzieści w poniedziałek zjawił się w pracy na stacji benzynowej w Rownhams przy autostradzie M27. Zaczął jak zwykle od czyszczenia toalet, lecz ze zdziwieniem stwierdził, że jedna z kabin jest zamknięta. Przez chwilę bezskutecznie próbował otworzyć drzwi, po czym klnąc pod nosem — miał prawie sześćdziesiąt osiem lat — stanął na czworakach, aby zajrzeć do kabiny przez szparę pod drzwiami. Miał poważne kłopoty z opuszczeniem głowy aż do samej podłogi, jednak okazało się to niepotrzebne. Niemal natychmiast dostrzegł buty. To w pełni zaspokoilo jego ciekawość. W kabinie znajdował się jakiś człowiek i było bez znaczenia, czy jest pijany, chory czy umierający. Dla portiera ważne było tylko to, że z jego powodu musiał przerwać pracę. Ponownie zaklął i powlókł się po kierownika.

Kierownik także nie był zachwycony. Śrubokrętem otworzył zamek i spróbował pchnąć drzwi, ale kolana mężczyzny skutecznie je blokowały i nawet we dwóch nie zdołali pokonać ich oporu. Przez wąską szparę kierownik wsunął rękę do kabiny, próbując przesunąć kolana, lecz zamiast na nie trafił na zwisającą dłoń. Zimną jak lód. Wydał okrzyk przerażenia i cofnął dłoń, następnie umył dokładnie ręce i dopiero wtedy poszedł zatelefonować po policję i pogotowie.

Policja zjawiła się tuż po piątej. Mając w tego typu sprawach większe doświadczenie niż kierownik i portier, policjanci w ciągu zaledwie paru sekund wyjęli drzwi kabiny z zawiasów.

Wewnątrz znajdowało się ciało O'Neilla. Kompletnie ubrany, siedział oparty o ścianę, a jego twarz, zupełnie pozbawiona barw, przypominała

śmiejącą się złośliwie maskę o szeroko otwartych ustach i wytrzeszczonych oczach. Na jego kolanach policjanci znaleźli dwie połówki pustego pudełka po talku, a na podłodze niewielką torebkę foliową zawierającą odrobinę białego proszku oraz skórzany neseser, pełen politycznych materiałów propagandowych. Do pokrywy nesesera, który O'Neill, z braku innej płaszczyzny, najprawdopodobniej położył sobie na kolanach, przykleiła się odrobina proszku. Z zaciśniętej pięści denata policjanci wydobyli banknot dwudziestofuntowy, który nim zgniótł go śmiertelny uścisk O'Neilla, był najwyraźniej zwinięty w rurkę. Drugie ramię O'Neilla sterczało sztywno do góry, jakby upiornie uśmiechnięty trup chciał komuś zasalutować albo pomachać na pożegnanie.

— Jeszcze jeden dupek wziął ostatnią działkę — mruknął sierżant policji, przyzwyczajony do tego typu scen. — Ale zdecydowanie częściej widuje się ich z igłą wbita w ramię — wyjaśnił młodszemu koledze, nie mającemu tak wielkiego doświadczenia. — Ten mi wygląda na kokainistę. Albo nie wytrzymało mu serce, albo trafił na trefny towar. Po stacjach benzynowych kręci się sporo handlarzy i narkomani na dobrą sprawę nigdy nie wiedzą, co i od kogo kupują. Tymczasem prochy są często rozrzedzone. Cukrem pudrem, mąką, a czasami czymś znacznie bardziej szkodliwym. Handlarze gotowi są sprzedać każde świństwo, byleby tylko zarobić, a narkomani na głodzie kupią cokolwiek. Ten, zdaje się, miał wyjątkowego pecha.

Zaczął przetrząsać kieszenie O'Neilla w poszukiwaniu jakiegoś dowodu tożsamości.

— Ciekawe jednak, że ciało i twarz są tak powykrzywiane. No nic, to już zagadka dla koronera i lekarza sądowego. Niech oni się nad nią głowią. A my róbmy swoje. Trzeba wezwać tych sakramenkich fotografów, niech obpstrykają to paskudztwo. Nie ma sensu stać tu, gapić się i mędrkować... Pan Roger O'Neill — przeczytał, kiedy znalazł portfel, a w nim karty kredytowe. — Ciekawe, co to za jeden?

— Na zewnątrz stoi jakiś samochód. Chyba był tam przez całą noc. Pewnie jego... — odezwał się portier.

— W porządku. Skończymy najpierw tutaj, a później zajmiemy się autem — rozkazał sierżant.



O siódmej dwadzieścia przedstawiciel koronera zezwolił wreszcie na usunięcie ciała. Sierżant kończył już sprawdzać, czy jego podwładny zrobił wszystko, czego wymaga procedura, sanitariusze zaś zajęci byli przenoszeniem wykręconego ciała na nosze, kiedy przez radiotelefon nadeszła wiadomość.

— Kurwa mać — zaklął sierżant do słuchawki. — Niezła zadyma. Lepiej jeszcze raz sprawdzę, czy zrobiliśmy wszystko co trzeba, zanim wparują tu te szychy z Wydziału Śledczego.

Zwrócił się do młodego policjanta:

— To nam się trafiła gratka. Ten cholerny samochód jest własnością centrali Partii Konserwatywnej, a nasz pan Roger O'Neill jest, a raczej był, ważnym urzędnikiem, blisko związanym z Downing Street. Tak więc lepiej sprawdź, czy w twoim raporcie nie ma jakichś nieścisłości, bo jeśli coś jest nie tak, to obaj będziemy cienko śpiewać.

Dla Mattie była to kolejna nie przespana noc. W miarę wyczerpywania się zapasów energii coraz bardziej ulegała ogarniającej ją depresji. I właśnie wtedy zadzwonił telefon. To, co usłyszała, całkowicie zmieniło jej nastrój.

— Jak ci się podoba następny zbieg okoliczności? — rozległ się w słuchawce głos Johnniego. — Właśnie to dostaliśmy. Kilka godzin temu policja w Southampton znalazła w toalecie publicznej ciało twojego Rogera O'Neilla.

— Powiedz, że to po prostu dość niesmaczny sposób mówienia dzień dobry — odparła ponuro Mattie.

— Przykro mi, to szczerza prawda. Przed chwilą posłałem tam reportera, ale zdążyłem się już dowiedzieć, że na miejsce wezwano Wydział Narkotyków. Wygląda więc na to, że facet przedawkował.

Mattie aż zapało dech. Kolejny fragment układanki, niczym zamykające się wieko trumny, trafił z hukiem na swoje miejsce.

— A więc to tak! Narkoman! Nic dziwnego, że tak się zachowywał... — W podnieceniu szturchnęła stertę brudnych naczyń, nagromadzonych obok kuchennego telefonu, a te z łoskotem posypały się na ziemię.

— Mattie, co, do diabła...

— Czy ty nic nie rozumiesz, Johnnie? Ten człowiek był kluczem do całej zagadki, jedyną osobą na pewno zamieszaną we wszystkie te brudne sztuczki. A teraz, na dzień przed wyborem nowego premiera, nasz numer jeden znika ze sceny, zostawiając nam wielkie, tłuste nic. Nadal nie rozumiesz?

— Czego?

— Nie ma ani chwili do stracenia! — krzyknęła Mattie i odłożyła słuchawkę.

Niewiele brakowało, a Mattie odeszłaby z kwitkiem spod domu Penny Guy. Przez kilka minut uparcie wciskała przycisk domofonu i już miała zrezygnować, kiedy nagle rozległo się brzęczenie elektromagnesu. Drzwi do mieszkania były uchylone, więc Mattie weszła do środka. Penny siedziała na sofie w zaciemnionej sypialni i bezmyślnie patrzyła przed siebie. W ogóle nie zareagowała na wejście Mattie.

Mattie nie odezwała się, tylko siadła obok i objęła ją. Powoli palce Penny zacisnęły się na jej ręce, jakby błagając, żeby nie wychodziła.

— Nie zasłużył na śmierć — powiedziała Penny cichym drżącym głosem. — Był słaby, ale nie zły. Potrafił być bardzo miły.

— Co robił w Southampton?

— Miał tam z kimś spędzić weekend. Ale nie chciał powiedzieć z kim. Jeszcze jedna z jego głupich tajemnic.

— Domyślasz się, kto to mógł być?

Penny powoli pokręciła głową.

— Wiesz, dlaczego umarł? — spytała Mattie.

Penny spojrzała na nią swymi dużymi, okrągłymi oczyma, które szok pozabawił jakiegokolwiek wyrazu.

— On ciebie nie interesuje, prawda? Tylko jego śmierć. — Nie był to jednak zarzut, a po prostu stwierdzenie faktu.

— Przykro mi, że umarł, Penny. Przykro mi, ponieważ obawiam się, że zostanie obwiniony o wiele ohydnych rzeczy, które ostatnio się zdarzyły. A moim zdaniem to nie jego powinno się winić.

Powieki Penny po raz pierwszy drgnęły, jakby coś wreszcie pokonało ogarniającą ją pustkę.

— Dlaczego... dlaczego mieliby obwiniać Rogera? — spytała powoli, jakby duchem obecna w innym świecie, w którym Roger wciąż żył i w którym wciąż można było mu pomóc.

— Ponieważ jest ofiarą, na którą ma spaść cała odpowiedzialność. Ktoś go wykorzystywał, sterował nim i wrabiał w brudną polityczną rozgrywkę. Aż w końcu Roger się zbuntował.

Penny zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę.

— Nie był jedyny — powiedziała wreszcie.

— Co masz na myśli?

— Patrick. Przesłano mu kasetę. Nagraną w Bournemouth... jak był ze mną w łóżku. Myślał, że to ja.

— Patrick? Jaki Patrick, Penny?

— Woolton. Był przekonany, że to ja nagrałam tę kasetę, żeby go szantażować. Ale to ktoś inny. Nie ja.

— A więc dlatego się wycofał! — wykrzyknęła Mattie. — Kto mógł nagrać tę taśmę?

— Nie wiem. Praktycznie każdy, kto był na konferencji i mieszkał albo bywał w hotelu.

— Dobrze, ale kto mógł szantażować Patricka Wooltona? I kto mógł wiedzieć, że pójdziesz z nim do łóżka?

— Roger wiedział... Ale on nigdy by...

— Czy nie rozumiesz, Penny, że Rogera także szantażowano? Ktoś musiał wiedzieć, że jest narkomanem. I to właśnie ten ktoś zmusił go do ujawnienia tajnych dokumentów, sfalszowania kartoteki komputerowej... Ten ktoś...

— Zabił go! — Słowa te przerwały tamę budowaną przez Penny od chwili, gdy kilka godzin wcześniej poinformowano ją o śmierci Rogera. Teraz z jej oczu popłynęły strumienie łez, którym towarzyszył straszliwy szloch targający jej ciałem. Dalsza rozmowa z nią była po prostu niemożliwa, więc Mattie pomogła jej położyć się i próbowała ją jakoś pocieszyć. Wyszła, gdy wyczerpana płaczem Penny zapadła w końcu w sen.

Mattie szła ulicą, nie potrafiąc poukładać myśli. Z nieba leciały pierwsze tego roku płatki śniegu, lecz ona, pogrążona w wątpliwościach, w ogóle ich nie zauważyła. Wszystkie ślady prowadziły do O'Neilla. Ale on już nie żył i

ledwo uchylone drzwi, które starała się otworzyć, drzwi, za którymi musiała znajdować się odpowiedź, nagle z hukiem zatrzęsły się jej przed samym nosem. Nie po raz pierwszy nie spełnione ambicje doprowadziły do szantażu i przemocy — wszak urok władzy od wieków fascynuje, kusi i deprawuje zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Jednak jeszcze nigdy nie skalano krwią progów Downing Street. Aż do teraz. Należało zetrzeć tę krew. Problem w tym, że został już tylko jeden dzień. A zupełnie nie wiedziała, w którą stronę się skierować.

— Muszę! Muszę! Muszę! — krzychała, waląc wściekle rękoma o biurko. Popołudnie przeszło już w wieczór, a ona wciąż bezowocnie analizowała fakty. Czuła się coraz gorzej i nijak nie potrafiła znaleźć żadnego nowego kierunku, w którym mogłoby pójść jej rozumowanie. Wskazówki zegara bezlitośnie posuwały się do przodu, Mattie zaś ciągle błędziła po tym samym terenie, wchodząc we wciąż te same ślepe uliczki. Im bardziej się starała, tym mniej zrozumiałe wydawało jej się to wszystko. Więc może zmiana otoczenia rozpali na nowo jej wyobraźnię? Poszła na spacer, później przez jakiś czas jeździła samochodem po mieście, a wreszcie wzięła prysznic i ponownie usiadła przy biurku, modląc się o oświecenie. Lecz bezskutecznie. Jej intuicja i natchnienie tym razem zawiodły, nie przespane noce zbierały swe żniwo, a jedyny człowiek, który mógł odpowiedzieć na wszystkie jej pytania, nie żył. Ukryła twarz w dłoniach i po prostu modliła się o cud na tym opuszczonym przez Boga świecie.

Coś zaiskrzyło. Później nigdy nie zdołała sobie przypomnieć, co było tego przyczyną, jednak w stygającym żarze jej wiary w sukces ponownie zaczął się tlić niewielki płomień. Może jeszcze nie wszystko stracone?

Dwie godziny później zjawił się Krajewski, dzierżąc olbrzymi karton z gorącą pizzą. Był zaniepokojony i krył swój niepokój za pepperoni z podwójnym serem. Kiedy wszedł, wtulona w kąt Mattie siedziała na podłodze ciemnej sypialni z kolanami pod brodą i rękoma oplecionymi wokół nóg. Płakała.

Nie odezwał się ani słowem, tylko ukląkł obok i przytulił ją. Tym razem nie protestowała. Minęła dłuższa chwila, zanim uspokoiła się na tyle, żeby być w stanie mówić.

— Johnnie, powiedziałaś, że jeśli nie potrafię się zaangażować, nigdy nie będę dobrą dziennikarką, że będę tylko motylem. Teraz już wiem, że miałeś rację. Aż do dziś po prostu goniłam za tą historią, ponieważ wydawała mi się dobrym materiałem na artykuł. Właściwie liczyło się tylko to, by moje nazwisko znalazło się na pierwszej stronie. Zupełnie jak w filmie, chciałam wykurzyć złoczyńców z ich kryjówek, w ogóle nie licząc się z kosztami. Grałam rolę nieustraszonej dziennikarki dążącej, wbrew przeciwnościom losu, do zdemaskowania wszystkich kłamstw. Ale gra się skończyła, Johnnie... — Spojrzała mu w oczy, a on ze zdziwieniem stwierdził, że to nie były łyzy cierpienia, lecz ulgi, zupełnie jakby wreszcie zdołała wydostać się z bagna na twarde grunto. — Interesował mnie tylko ten artykuł. Rzuciłam pracę i zdeptałam twoje uczucia, bojąc się, że staniesz mi na drodze. A teraz oddałabym wszystko, byleby tylko ta historia zniknęła z mego życia. Ale jest już za późno. — Ścisnęła jego dłoń. Tak bardzo go potrzebowała. — Wiesz, Johnnie, tu nic, ale to nic, nie było zbiegiem okoliczności. Woolton zrezygnował, bo go szantażowano. Ktoś chciał się go pozbyć, tak samo jak pozbył się Collingridge'a, McKenziego, Earle'a. I O'Neilla.

— Mattie, czy ty wiesz, co mówisz?

— O'Neill albo popełnił samobójstwo, albo został zamordowany. A czy słyszałaś kiedyś o samobójstwie w toalecie publicznej?

— Mattie, chyba nie sugerujesz, że mamy do czynienia z KGB?

— Akurat w przypadku O'Neilla nie jest to wcale wykluczone.

— O Jezus!

— Johnnie, jest ktoś, kto nie cofnie się przed niczym, byleby doprowadzić do wyboru człowieka, który już za parę godzin będzie najpotężniejszy w tym kraju.

— To przerażające, ale kto...?

Wściekle uderzyła ręką w podłogę.

— W tym właśnie cały cholerny kłopot. Nie wiem! Siedzę tu po ciemku, wiedząc, że istnieje ktoś albo coś, co może pomóc w rozwiązaniu całej tej zagadki, ale nie potrafię tego czegoś albo kogoś znaleźć. Wszystkie ślady prowadzą do O'Neilla, ale on już nic nie powie...

— A jesteś pewna, że to nie był właśnie on? Może posunął się zbyt daleko... i przestraszył? Wpadł w panikę i zabił się?

— Nie! Oczywiście, że to nie on. On nie byłby w stanie... — Ogień ponownie trzasnęła, ostrzegając ją i rozwiewając kolejną odrobinę mgły otaczającej jej umysł. — Johnnie, chociaż O'Neill brał czynny udział w większości, a może nawet we wszystkich ciemnych sprawkach, z którymi mieliśmy ostatnio do czynienia, jest niemożliwe, żeby to on był mózgiem. Część przecieków pochodziła z rządu, a część z centrali partii. To ściśle tajne informacje i dostęp do nich mieli tylko niektórzy ministrowie. Zwykły partyjny urzędnik nie miał szans ich zdobyć. — Wzięła głęboki oddech, zupełnie jakby po raz pierwszy od paru dni znalazła się na świeżym powietrzu. — Czy rozumiesz, co to znaczy, Johnnie? Musi być coś, co łączy wszystkie te przecieki. Musi być i gdyby tylko udało się nam...

— Mattie, nie wolno nam teraz się poddać. Musi być jakiś sposób. Posłuchaj, czy masz może pełną listę ministrów?

— W biurku.

Wstał i przez dłuższą chwilę grzebał w szufladzie, zanim wreszcie udało mu się znaleźć listę. Szerokim ruchem ramienia zgarnął wszystkie papiery, książki i śmieci z wielkiego biurka na podłogę, odsłaniając jego lśniący blat, którego biel była jak pusta kartka czekająca na zapisanie. Krajewski chwycił pisak i pośpiesznie przepisał nazwiska z listy bezpośrednio na laminat.

— W porządku. A więc kto może odpowiadać za przecieki? Spręż się, Mattie. Pomyśl. — Teraz jego ogarnął ten sam ogień.

Mattie ani drgnęła. Siedziała w kącie, starając się skupić resztki energii na zrozumieniu tej gmatwaniny.

— Przynajmniej trzy przecieki pochodziły z gabinetu — odezwała się w końcu. — Cięcia w budżecie Armii Terytorialnej, rezygnacja z realizacji planu rozwoju szpitalnictwa i wpisanie na listę leków tego medykamentu z Renoxu. O żadnej z tych spraw O'Neill nie mógł wiedzieć z pierwszej ręki. Ale który z ministrów wiedział o nich wszystkich?

Powoli zaczęła recytować nazwiska członków gabinetu wiedzących o poszczególnych decyzjach, a Krajewski gorączkowo zaznaczał je na swojej liście.

Którzy ministrowie brali udział w pracach Komitetu Obrony? Kto zdecydował o cięciach w budżecie Armii Terytorialnej? Skoncentruj się, Mattie,

choć każda komórka twego mózgu woła o sen! Powoli myśli zaczęły przybierać kształty. Minister obrony, minister finansów, no i oczywiście premier. Do diabła, kto jeszcze? Aha, ministrowie pracy i spraw zagranicznych.

Później przyszła pora na program rozwoju szpitalnictwa, który rozpatrywała specjalna komisja złożona z ministra zdrowia, finansów, handlu i przemysłu, edukacji, a także środowiska. Mattie modliła się, żeby nie przeczyć żadnego nazwiska. Członkostwo w tych komisjach, a nawet ich istnienie było w założeniach tajemnicą państwową, co oznaczało, że nigdy nie publikowano na ich temat żadnych informacji. Jednak jako dziennikarka dopuszczona do lobby westminsterskiego Mattie знаła ich skład.

Czy zbliża się do rozwiązania?... Teraz pora na Renox. Do diabła, tej sprawy nie rozważała żadna komisja rządowa. Decyzja należała do Ministerstwa Zdrowia i wiedział o niej wyłącznie minister oraz jego bezpośredni podwładni. No i oczywiście premier. Ale kto jeszcze?

Zerwała się na równe nogi i stanęła obok Krajewskiego, który przyglądał się swemu dziełu.

— Wygląda na to, że coś nieźle spieprzyliśmy — mruknął.

Spojrzała na listę. Tylko przy jednym nazwisku znajdowały się trzy krzyżyki, tylko jeden człowiek mógł wiedzieć o wszystkich trzech sprawach, a więc na podstawie przeprowadzonego przez siebie dochodzenia Mattie mogła tylko jego oskarżyć. Była to ofiara we własnej osobie — premier Henry Collingridge! Wysiłki Mattie doprowadziły do najbardziej idiotycznego z możliwych wniosków. Maleńki płomyk nadziei strzelił jeszcze raz i już miał gasnąć, gdy... Stała i przyglądała się liście. Coś tu nie grało.

— Johnnie, ta lista... Dlaczego nie ma na niej Urquharta? — Parsknęła pogardliwie i sama udzieliła sobie odpowiedzi. — Ponieważ jestem głupią dziwką i zapomniałam, że Chief Whip nie jest pełnoprawnym członkiem gabinetu i w związku z tym nie mógł znaleźć się na liście ministrów. Ale to nie ma znaczenia, bo przecież nie jest członkiem Komitetu Obrony ani nie wiedział o Renoksie...

Nagle aż jej dech zaparło. Płomyk ponownie ożył i dosłownie parzył ją teraz od środka.

— Ależ oczywiście! Wprawdzie nie jest członkiem Komitetu Obrony, lecz o ile dobrze pamiętam, brał udział w pracach komisji zajmującej się programem rozwoju szpitalnictwa. Nie jest członkiem Komitetu Obrony, lecz jako osoba odpowiedzialna za dyscyplinę poselską musiał zostać wcześniej poinformowany o decyzji grożącej buntem w ławach rządowych.

— Ale nie mógł wiedzieć o Renoksie — przerwał jej Krajewski.

Ścisłała jego ramię z taką siłą, że paznokcie wbijały mu się w skórę.

— Johnnie, Chief Whip ma w każdym ministerstwie swojego pracownika. W każdy poniedziałek ministrowie zwołują zebrania swego personelu, aby omówić plan działań na cały tydzień. W zebraniach tych biorą udział także ludzie Chief Whipa, którzy później zdają mu z nich relację. Chodzi o to, żeby zagwarantować harmonijną pracę rządu i upewnić się, że ministrowie nie wchodzą sobie w drogę. Urquhart mógł wiedzieć...

— Ale co z resztą? Skąd mógł na przykład wiedzieć, że O'Neill był narkomanem? Albo o romansie Wooltona? I o wszystkim innym...?

— Jako Chief Whip mógł. Na tym właśnie polega jego praca, żeby wszystko o wszystkich wiedział. Miał więc środki i motyw jak cholera! W ciągu zaledwie paru miesięcy taki awans... Jak, do licha, mogliśmy o nim nie pomyśleć?

— Ale to wciąż tylko poszlaki, Mattie. Nie masz ani śladu dowodu.

— Poczekaj, może coś się znajdzie!

Chwyciła za słuchawkę i wybrała numer.

— Penny? Mówi Mattie Storin. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale mam parę pytań. To bardzo ważne. Myślę, że wiem, kto wpakował Rogera we wszystkie kłopoty. Gdzie poznałaś Patricka Wooltona?

— Na konferencji w Bournemouth — rozległ się smutny głos.

— Ale w jakich okolicznościach? Proszę, spróbuj sobie przypomnieć. Kto was sobie przedstawił?

— Roger powiedział, że Patrick chciałby się ze mną spotkać. Zabrał mnie na przyjęcie...

— Pamiętasz, co to było za przyjęcie?

— Tak. U pana Urquharta. Mieszkał w bungalowu obok Patricka i jak sobie przypominam, to właśnie on mi go przedstawił.



— Czy Roger dobrze znał Francisca Urquharta?

— Nie, niezbyt. Przynajmniej do niedawna. O ile wiem, przed wyborami praktycznie się nie znali, ale ostatnio kilkakrotnie rozmawiali przez telefon. A raz nawet pan Urquhart zaprosił Rogera na kolację. Ale nie są... nie byli zbyt bliskimi znajomymi. Po ostatniej rozmowie z nim Roger był strasznie zdenerwowany. Mówił coś o jakiejś kartotece.

A więc wreszcie fragmenty układanki zaczynały do siebie pasować.

— Jeszcze jedno pytanie, Penny. Wiem, że Francis Urquhart oprócz domu w Pimlico ma gdzieś wiejską rezydencję. Czy orientujesz się może gdzie?

— Niestety, nie. Mam tylko listę telefonów, pod którymi można zastać poszczególnych ministrów podczas weekendu.

— A czy mogłabyś podać mi numer Urquharta?

— Nie mogę, Mattie, te numery są ściśle tajne. Przecież wiesz, że zdarzały się już ataki terrorystyczne na domy ministrów. Dlatego nie wolno mi podawać tych numerów prasie... Nawet tobie, Mattie. Przepraszam cię, ale naprawdę nie mogę.

— A możesz mi chociaż powiedzieć, gdzie mniej więcej znajduje się ta rezydencja? Nie chodzi mi o adres, a tylko o przybliżone położenie... Miejscowość...

— Nie wiem, gdzie to jest, Mattie. Mam tylko numer telefonu.

— W takim razie podaj mi kierunkowy. Tylko kierunkowy.

W słuchawce rozległ się szelest wertowanych papierów.

— Mattie, nie wiem, po co ci ten numer, ale to pomoże Rogerowi, prawda?

— Tak. Obiecuję ci to, Penny.

— 042128

— Dzięki. Nie pożalujesz. Naprawdę.

Mattie stuknęła w widełki i ponownie wybrała numer — najpierw kierunkowy, a później kilka przypadkowych cyfr. Telefon po drugiej stronie linii zaczął dzwonić, a po dłuższej chwili w słuchawce odezwał się zaspany głos:

— Lyndhurst 37428. Słucham?

— Dobry wieczór. Przepraszam, jeśli pana obudziłam. Czy to Lyndhurst w Surrey, 37428?

— Nie, Lyndhurst w Hampshire. Jest chyba trochę za późno na pomyłki! — odparł poirytowany głos, po czym rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

Ogień w Mattie huczał teraz i iskrzył. Rzuciła się w stronę półki z książkami i porwała z niej atlas samochodowy. W pośpiechu odnalazła mapę południowego wybrzeża, po czym dźgnęła stronę paznokciem i wykrzyczała z triumfem:

— To on, Johnnie. To on!

Spojrzał jej przez ramię. Paznokcie wskazywał na stację obsługi w Rownhams, na której znaleziono ciało O'Neilla. Była to pierwsza stacja po drodze z Lyndhurst do Londynu. O'Neill umarł niecałe osiem mil od posiadłości Urquharta.

## WTOREK, 30 LISTOPADA

Odgłos spadających na wycieraczki milionów domostw porannych gazet był niczym dzwon żałobny po kandydaturze Samuela. Jeden po drugim naczelni stawali po stronie Urquharta. Chief Whipa nie dziwiło że wszystkie gazety wchodzące w skład grup Telegraph oraz United Newspapers z większym lub mniejszym entuzjazmem pisały niemal to samo, za to z ogromną satysfakcją stwierdził, że także wiele innych tytułów zdecydowało się go poprzeć. Niektóre redakcje doszły do tych samych cynicznych wniosków co Woolton, dotyczących ujemnych stron ewentualnego nastania, tak niedługo po erze Margaret Thatcher, nowej ery, która ze względu na młody wiek Samuela mogłaby potrwać nawet kilkanaście lat. Dlatego też pod nogi Samuela sypały się kłody w postaci słów takich jak „doświadczenie”, „dojrzałość” czy „równowaga”. Inne redakcje po prostu szły na łatwiznę, poddając się prądowi niosącemu Urquharta w stronę Downing Street.

Tylko dwie spośród szanowanych gazet wybiły się na oryginalność: „Guardian”, który poparł Samuela, oraz zachowujący neutralność „Independent”, dumny jak skała stercząca nad powierzchnią morza i opierająca się falom.

Ton publikacji miał wyraźny wpływ na nastroje panujące w obu obozach. Zwolennicy Urquharta zdradzali coraz większą wiarę w zwycięstwo, natomiast stronnicy Samuela w rozmowach pomiędzy sobą nie potrafili ukryć świadomości grożącego im rozczarowania.

Kiedy punktualnie o dziesiątej wysokie drzwi sali numer 14 otworzyły się, by wpuścić pierwszą grupę głosujących, ani sir Humphrey, ani nikt

inny z obecnych nie spodziewał się żadnych nieprzyjemnych niespodzianek.

Zgodnie z najlepszą tradycją miało to być dżentelmeńskie głosowanie. Zwycięzca okazać miał łaskawość, przegrany z uśmiechem przyjąć i porażkę. Biała pierzyna coraz szczelniej otulała Westminster, nadając wydarzeniom surrealistyczny spokój. Zbliżały się święta i już od paru dni na Oxford Street od rana do nocy świeciły tysiące kolorowych świateł. Nadchodził czas zimowego odpoczynku, zjazdów rodzinnych i pokoju na Ziemi. Jeszcze parę godzin i długi okres niepewności dobiegnie wreszcie końca, a zwykli ludzie spokojnie wrócą do swych codziennych zajęć. Na potrzeby kamerzystów przygotowywano uśmiechy, uściski dłoni oraz gratulacje, chociaż tak naprawdę obóz zwycięzców szykował już oskarżenia, przegrani zaś zaczęli knuć j zemstę.

Gdy Mattie szła w stronę biura Benjamin Landlessa, znajdującego się przy Charterhouse Square, biała pierzyna miała już prawie dziesięć centymetrów grubości. Poza stolicą była nawet grubsza i bardzo utrudniała ruch, co niektórych podróżnych skłoniło do powrotu do domu. W owiniętym białym kokonem centrum Londynu panowała nienaturalna cisza, lecące z nieba białe płatki tłumiły bowiem wszystkie dźwięki, a po ulicach jeździły tylko pojedyncze samochody. Mattie ogarnęło uczucie nierzeczywistości; miała wrażenie, jakby występowała w filmie i z nadzieją czekała, że gdy się rano obudzi, dowie się o zmianach w scenariuszu. Nawet teraz miała ochotę zawrócić i zapomnieć o wszystkim, pozwolić innym zająć się sprawami wagi państwowej, a samej skoncentrować się na spłacaniu hipoteki i rozmyślniach, czy w lecie będzie ją stać na wyjazd.

I wtedy jej twarz zaczęły smagać niesione nagłym podmuchem lodowatego wiatru płatki śniegu, przenosząc ją w odległą przeszłość, na daleki norweski fiord, z którego jej dziadek wyruszał cieknącą krypą, aby ryzykować swe życie w wojennej zawierusze. Mógł kolaborować, udawać, że nic nie widzi, i stojąc z boku czekać, aż inni wszystko załatwią. Lecz coś kazało mu działać. Tak samo jak teraz jej.

Kiedy po raz pierwszy zdała sobie sprawę z konieczności spotkania twarzą w twarz z Landlessem, natychmiast zaczęła wynajdywać przyczyny, dla których ta konfrontacja musi zakończyć się kłęką.

Pomyślała, że nawet nie zdola się do niego dostać, a nawet jeśli, to już on się postara, by nigdy więcej nie znalazła pracy jako dziennikarka. Z pewnością nie byłaby jego pierwszą ofiarą. Znała dziesiątki przypadków skutecznego zastraszania ludzi przez Landlessa; jak więc mogła się łudzić, że zwycięży tam, gdzie inni, silniejsi i bardziej doświadczeni, ulegli? Z jednej strony musiała przeciwko niemu wystąpić, z drugiej zaś potrzebowała jego pomocy. A jak mogła jej oczekiwać od kogoś, kto instynktownie wolałby ją raczej udusić swymi potężnymi rękoma?

Dopiero gdy zrozumiała, że nie ma ani czasu, ani żadnego innego wyjścia, zebrała całą odwagę i zaczęła się zastanawiać, jak pokonać kolejne przeszkody. Pierwszym problemem było poradzenie sobie ze szczelną obstawą Landlessa, który co prawda pozował na człowieka z ludu, lecz jednocześnie podejmował wszelkie, choćby najbardziej kosztowne kroki, by znajdować się od tegoż ludu w bezpiecznej odległości.

Mattie zatelefonowała więc do współautora kolumny towarzyskiej „Telegraphu”, zajmującego się plotkami i skandalami, i spytała, czy Landless miał ostatnio jakieś szczególnie bliskie przyjaciółki. Pięknie! Dziewczyna o dwadzieścia lat młodsza od niego, obecnie mieszkająca z mężem i dzieckiem w Wiltshire, lecz jeszcze w niedalekiej przeszłości ciesząca się wielkimi względami magnata i będąca praktycznie na jego utrzymaniu. Niejaka Susanna Richards. Tak, właśnie o coś takiego chodziło!

Jednakże nic nie wydawało się łatwe, gdy Mattie przemierzała nienaturalnie wyludnione ulice. Doszła do miejsca przeznaczenia i strząsnęła śnieg z butów i włosów. Zdziwiły ją bardzo niewielkie rozmiary biurowca, z którego Landless dowodził swym rozległym imperium, a zarazem bogactwo, którym budynek dosłownie ociekał. We wnętrzu królowała brytyjska tradycja. W recepcji wyłożonej dębową rzeźbioną boazerią wisiały piękne obrazy olejne przedstawiające Londyn oraz olbrzymi portret królowej. Wykładzina dywanowa była bardzo gruba i puszysta, elektronika wyrafinowana, szwajcar zaś w przeszłości musiał być żołnierzem.

— Słucham panią. Czym mogę służyć? — spytał spod wążiutkiego wąsika.

— Nazywam się Susanna Richards i jestem bliską znajomą pana Landlessa. Rozumie pan... — wyjaśniła nieco dwuznacznym tonem. — Przechodziłam akurat obok. Pan Landless nie spodziewa się mnie, ale może mógłby pan go spytać, czy zechce mi poświęcić małe pięć minut? Mam dla niego bardzo ważną wiadomość.

Portier okazał się niezwykle dyskretny i skuteczny — „bliskie znajome” szefa zjawiały się w biurze niezmiernie rzadko, więc starał się zrobić jak najlepsze wrażenie. Słowo w słowo i z odpowiednią dozą entuzjazmu przekazał wiadomość sekretarce Landlessa, która niewątpliwie przekazała ją szefowi w podobny sposób, gdyż w chwilę później Mattie zaprowadzono do windy i polecono udać się na najwyższe piętro.

Gdy stanęła w drzwiach mieszczącego się na poddaszu apartamentu, Landless siedział za biurkiem stojącym na środku olbrzymiego gabinetu, zaprojektowanego chyba specjalnie pod jego wielkie cielsko. Nie zdążyła się nawet rozejrzeć, kiedy z gardła magnata dobył się zwierzęcy ryk.

— Ty żalosna dziwko...!

Wiedziała, że musi mu przerwać, by przejąć kontrolę, zanim olbrzym zdąży podjąć decyzję i z hukiem wyrzuci ją za drzwi. To była jej jedyna szansa.

— Chodzi o pański plan fuzji z United.

— Fuzji? Co ci do niej? — krzyknął, nie zdradzając zbyt wielkiego zainteresowania.

— Nic z niej nie będzie.

— Co, do jasnej cholery, masz na myśli? — ryknął, trochę jednak ciszej niż przedtem.

Stała bez ruchu, cicha i spokojna, patrząc mu prosto w oczy i czekając na wynik zmagania jego ciekawości z gniewem. Dopiero po dłuższej chwili mogła mieć pewność, że pierwsza runda należy do niej. Landless prychnął i potężnym łapskiem wskazał na krzesło o ponad dziesięć centymetrów niższe od tego, na którym sam siedział, dzięki czemu mógł patrzeć z góry na swych rozmówców i zmuszać ich do uległości groźnym spojrzeniem spod gęstych, krzaczastych brwi. Mattie powoli weszła do gabinetu, choć trzymała się z dala od wskazanego miejsca. Nie miała zamiaru pozwolić, by Landless zdobył

przewagę w postaci fizycznego górowania nad nią, siedzącą na niskim, niewygodnym krześle. Poza tym lepiej się czuła chodząc.

— Postawił pan na złego konia. Aby zostać premierem, Francis Urquhart posunął się do kłamstw, oszustw, a najprawdopodobniej także do czegoś znacznie gorszego. Kiedy sprawa wyjdzie na jaw, jego poparcie dla pańskich planów nie będzie warte nawet funta kłaków.

— Przecież on niczego nie poparł. Oświadczył, że ewentualną decyzję podejmie dopiero po wyborach.

— Ale oboje wiemy, że to część transakcji, jaką pan z nim zawarł. Poparcie pańskich gazet w zamian za zgodę na fuzję.

— O czym ty, do ciężkiej cholery, mówisz? Posłuchaj, ty głupia dziwko...

— Nie, panie Landless. To pan będzie musiał mnie wysłuchać! — Uśmiechnęła się pewnie, niczym pokerzystka chcąca przekonać przeciwnika, że karty, które trzyma w dłoni, są znacznie silniejsze niż jego. Nie posiadała najmniejszego dowodu, a jedynie poszlaki sugerujące, że transakcja rzeczywiście była faktem, lecz teraz, gdy już wiedziała o Urquharcie, tylko taki scenariusz zdawał się mieć jakikolwiek sens. Tak czy owak, musiała podwyższyć stawkę, aby zmusić Landlessa do odkrycia kart.

— Nie jest pan pierwszym wydawcą umieszczającym w redakcjach swe marionetki, jednak popełnił pan fatalny błąd wybierając do tej roli Greville'a Prestona. Ten facet jest tak słaby, że ilekroć pociągał pan za sznurki, zupełnie tracił panowanie nad sobą. W ogóle nie umie udawać, że decyzje podejmuje osobiście. Tak więc gdy pojechał pan na zjazd partii, aby zapolewać na Henry'ego Collingridge'a, Preston nie potrafił stworzyć wrażenia, że podjął decyzję samodzielnie, a nie na pańskie bezpośrednie polecenie. A kiedy pan, panie Landless, postanowił za pomocą komentarza redakcyjnego włączyć Urquharta do kampanii, nie było szans, by Preston zdołał w logiczny sposób uzasadnić to w redakcji. Pozostało mu tylko cichaczem wcisnąć komentarz do niedzielnego numeru i rzeczywiście tak właśnie postąpił. Czaił się w redakcji niczym złodziej w ciemnościach... Wie pan, on jest bardzo dobry w robieniu tego, co mu się każe, ale po prostu nie potrafi zrozumieć, dlaczego ma zrobić właśnie to. Prawda jest taka, panie Landless, że pomimo całego jego wykształcenia jest pan dla niego za dobry.

Landless nie zareagował na ten dwuznaczny komplement. Na jego twarzy wciąż malowała się wściekłość.

— To panu Urquhart zawdzięcza sukces. Nie owijajmy w bawełnę. Bez pańskiej pomocy nie byłby w stanie zostać premierem. A pan też chciał coś z tego mieć... Jego zgodę na postawienie na głowie polityki rządu i pozwolenie na wchłonięcie United Newspapers.

W końcu Landless ożywił się i spróbował obnażyć jej bluff.

— Może jeszcze potrafi pani udowodnić, że ta niezwykła bajka jest prawdą, panno Storin?

— Na tym właśnie polega cały dowcip, że niczego nie muszę udowadniać. Wystarczy, że doprowadzę do nagłośnienia tej ohydnej afery, a wszyscy politycy natychmiast opuszczą pański obóz, i to niezależnie od tego, co mówili podczas kampanii. Zostanie pan zupełnie sam, bez ani jednego sojusznika.

— Lecz przecież według pani fantastycznej hipotezy moim sojusznikiem jest Francis Urquhart, a chyba zdaje sobie pani sprawę, że on już niedługo wprowadzi się na Downing Street. — Landless uśmiechnął się drwiąco.

— Nie na długo, panie Landless, nie na długo. Mam pewne obawy, że wie pan o nim mniej, niż się panu wydaje. Czy wie pan na przykład, że przeciek dotyczący sondaży, których wyniki kazał pan Prestonowi wydrukować, był dziełem właśnie Francisca Urquharta? Nieźle pana wykorzystał...

Zdziwienie malujące się na twarzy Landlessa potwierdziło przypuszczenia Mattie. Najwyraźniej nie ucieszyła go wiadomość, że posłużył jako bezwolne narzędzie.

— Każdy polityk ma na swoim sumieniu jakiś przeciek — odparł. — To nie jest przestępstwo, a już na pewno nie na tyle poważne, by usunąć Urquharta z Downing Street.

— Rzeczywiście. Ale wykorzystanie poufnych wiadomości w celu osiągnięcia zysku, oszustwo, szantaż i kradzież powinny wystarczyć! — Rozkoszowała się niepokojem, który zagościł na jego olbrzymiej twarzy. — Potrafię wykazać ponad wszelką wątpliwość, że to Urquhart wrobił Charlesa Collingridge'a, kupując na jego nazwisko akcje Renox Chemicals, i że zrobił to, aby podkopać zaufanie do premiera. Że w Bournemouth Urquhart założył



podsluch w bungalowie Wooltona, a następnie szantażem zmusił go do wycofania kandydatury. Że to właśnie on kazał wykraść tajne akta Samuela z archiwum partii.

W tym akurat wypadku blefowała. Nie miała dowodów, a tylko wewnętrzne przekonanie, lecz wiedziała, że tego blefu Landless nie dostrzeże, tym bardziej że najwyraźniej zaczynał tracić całą pewność siebie. Nie miał jednak zwyczaju szybko się poddawać.

— I myśli pani, że znajdzie się ktoś, kto to wszystko wydrukuje? Już dziś wieczorem Francis Urquhart zostanie premierem. Jeśli pani uważa, że ktośkolwiek ma zamiar dopuścić do takiego skandalu, to nie docenia pani instynktu samozachowawczego establishmentu. Jeśli dojdzie do odwołania premiera, ucierpi na tym cały system. Byłoby to zwycięstwo nie sprawiedliwości, lecz radykałów i rewolucjonistów. Nawet opozycji się to nie uśmiecha. Dlatego nie wierzę, żeby znalazła się redakcja, która zechciałaby coś takiego opublikować. A nawet jeśli, to i tak sprzeciwi się temu jej prawnik. — Prowadzenie tego wywodu sprawiało mu coraz większą przyjemność. Powoli odzyskiwał pewność siebie. — O ile pamiętam, zanim postawiono Jeremy'ego Thorpe'a w stan oskarżenia, minęło całe siedem lat. A był przecież zaledwie przewodniczącym Partii Liberalnej, nie premierem. Poza tym chodziło o próbę morderstwa, przy której pani oskarżenia o szantaż i kradzież wyglądają dość żałośnie. Gdyby chociaż miała pani jakiegoś trupa...

— Ależ mam, panie Landless, zapewniam pana, że mam — odparła łagodnie. — Wiem, że Urquhart zamordował Rogera O'Neilla, aby go uciszyć, i choć jeszcze nie potrafię tego udowodnić, jestem w stanie wywołać burzę, która zerwie zasłony z okien Downing Street. A wtedy także pan znajdzie się na widoku, co z całą pewnością nie pomoże pańskim interesom. W przypadku Thorpe'a sprawę próbowano za wszelką cenę wyciszyć. Ale chodziło tylko o próbę zabójstwa. A tu mamy do czynienia z morderstwem, panie Landless. Czy naprawdę wierzy pan, że pański establishment zdecyduje się na milczenie także w tej sprawie?

Landless uniósł swe wielkie cielsko z krzesła i podszedł do okna. Spojrzał na kominy, wieżyczki i ohydne wieżowce Bethnal Green oddalone o niecałe dwie mile. Tam się urodził i tam przez całe dzieciństwo uczył się sztuki

przetrwania. Pomimo swego bogactwa chciał zawsze mieszkać w pobliżu, gdyż wiedział, że nawet jeśli wszystko straci, będzie miał dokąd wrócić.

Kiedy ponownie zwrócił się w stronę Mattie, odniosła wrażenie, że na jego twarzy pojawiły się oznaki rezygnacji.

— Co pani zamierza, panno Storin?

— Już jest za późno, żeby zapobiec wyborowi Urquharta. Ale mam zamiar zrobić wszystko, by jak najszybciej wyprowadził się z Downing Street. Potrzebna mi jednak pańska pomoc.

— Moja pomoc! Nie... nie rozumiem. Najpierw oskarża mnie pani o spowodowanie całego tego cholernego chaosu, a później prosi o pomoc. O Boże wszechmogący!

— Zaraz to panu wyjaśnię. Może jest pan oszustem, panie Landless; może prowadzi pan nic niewartą gazetę. Ale podejrzewam, że w głębi ducha tak samo zależy panu, by tym krajem rządził ktoś pokroju Urquharta, jak i mnie. Czyli wcale. Ciężko pan pracował, żeby zdobyć reputację robotnika-patrioty. Może komuś wydaje się to staromodne, ale panu naprawdę na niej zależy. A jeśli mam rację, znaczy to, że za nic w świecie nie wzięłby pan udziału w spisku mającym wprowadzić na Downing Street mordercę. — Przerwała, lecz Landless milczał. — A nawet jeśli się mylę, to sędzę, że przekonają pana proste argumenty ekonomiczne. Cokolwiek się zdarzy, z planowanej przez pana fuzji z United Newspapers i tak już nic nie będzie. Ale ma pan dwa wyjścia. Albo pozostanie pan po stronie Urquharta i zmiecie pana burza, którą rozpętam, bo chyba nie przypuszcza pan, że po takiej aferze zdoła pan zarobić w City chociaż funta, albo też sam pan zrezygnuje z fuzji, pomoże mi przydybać Urquharta, ocali swoje imperium i jeszcze zostanie uznany za bohatera.

— Dlaczego niby miałbym pani ufać?

— Bo pana potrzebuję.

— Pani mnie potrzebuje? Mnie?!

— Owszem. Chcę, żeby pan pokazał, że jest dobrym wydawcą, i opublikował mój artykuł. Nikt nie odważy się go zignorować, jeśli w całości ukaże się w „Telegraphie” zamiast po kawałku w różnych gazetach, co mogłoby trwać miesiącami. W zamian dam panu wyłączność, przez co po pierwsze, pańskie patriotyczne skarpety napelnią się forszą po same brzegi, a po

drugie, nie będą już mogła zwrócić się przeciwko panu.

— A jeśli powiem nie?

— Wtedy znajdę całą armię posłów opozycji, z radością gotowych wykorzystać każdy rodzaj amunicji, jaki im dostarczę, i ogłosić wszystko w Izbie Gmin, gdyż tam nie grozi im proces o zniesławienie. Oskarżą was obu — i pana, i Urquharta. Będziecie skończeni, panie Landless.

Wyłożyła już wszystkie karty. Gra dobiegła końca. Mattie zastanawiała się, czy Landless trzyma jakiegoś asa w rękawie.

— Tak czy owak, Urquhart pójdzie na dno, panie Landless. Natomiast tylko od pana zależy, czy będzie mu pan towarzyszyć, czy też zdecyduje się mi pomóc...

Było wczesne popołudnie, kiedy Mattie wróciła do Westminsteru. Śnieg przestał padać, niebo się przejaśniło i miasto przypominało scenę z tradycyjnej kartki świątecznej, sam zaś Parlament lśnił w słońcu niczym cudowny świąteczny tort oblany grubą warstwą lukru. Naprzeciwko, na dziedzińcu kościoła Świętej Małgorzaty grupka kolędników, skupiona pod opiekuńczym skrzydłem opactwa westminsterskiego, tworzyła nastrój spokoju i wiktoriańskiego uroku, życząc pokoju wszystkim ludziom dobrej woli.

Tymczasem w Izbie Gmin już świętowano. Jeden ze znajomych Mattie pośpieszył z wyjaśnieniami:

— Ponad osiemdziesiąt procent posłów oddało już głos. Podobno teraz nic nie jest w stanie odebrać Urquhartowi zwycięstwa. Dla Samuela to kłeska.

Odezwał się Big Ben. Mattie ten dźwięk wydał się przeraźliwy i złowróżbny. Miała wrażenie, jakby sopel lodu odpadł od ściany pałacu i przeszył jej serce. Lecz czas gonił. Musiała się śpieszyć.

Nie zastała Urquharta w jego gabinecie. Nie było go także w żadnym z barów. Nikt nie wiedział, gdzie jest, i już zaczynała przypuszczać, że opuścił Parlament i pojechał gdzieś na lunch albo udzielić wywiadu, kiedy jeden ze strażników powiedział jej, że nie dalej jak dziesięć minut wcześniej widział go idącego w stronę ogródka na dachu. Mattie nigdy dotąd nie słyszała, że na dachu istnieje jakiś ogródek.

— A jest, moja panno. Wiedzą o nim tylko nieliczni i traktują go jako swoją małą tajemnicę, bo się boją, że jak zrobi się tam tłok, cały czar prysnie. Ogródek znajduje się dokładnie nad Izbą Gmin, wokół centralnych świetlików. Jest to płaski taras, na którym postawiliśmy kilka stolików i krzeseł, aby latem pracownicy mogli w przerwie wyjść na słońce, zjeść kanapki i napić się kawy. Niewielu posłów zna to miejsce i tylko kilku tam bywa, ale już parę razy widziałem, jak pan Urquhart szedł do góry. Pewnie podoba mu się widok. Ale dziś na tarasie musi być, za przeproszeniem, zimno jak cholera i pusto.

Mattie ruszyła drogą, którą jej wskazał strażnik, po schodach do góry, obok galerii dla widzów, znów po schodach, aż wreszcie znalazła się w wyłożonej boazerią garderobie dla dozorców pałacu. Przez lekko uchylone drzwi wyszła na dach i aż jej dech zaparło. Widok był po prostu cudowny. Dokładnie przed sobą zobaczyła lśniącą w słońcu, wznoszącą się ku bezchmurnemu niebu wieżę Big Bena. Nigdy dotąd nie widziała jej z tak bliska. Każdy najmniejszy detal starannie obrobionego kamienia widać było wyraźnie jak na dłoni, a przyjrawszy się uważniej, Mattie dostrzegła nawet drżenie wskazówki wielkiego zegara poruszanej przez wiekowy, lecz pędzący bezlitośnie do przodu mechanizm.

Po lewej zobaczyła czerwone dachówki Westminster Hall, najstarszej części pałacu, która przetrwała wielki pożar, wojny, bomby oraz rewolucję i była świadkiem wielu ludzkich triumfów i klęsk. Po prawej płynęła Tamiza, nieczuła na kapryśne prądy historii próbujące podmyć jej brzegi. Dokładnie przed sobą Mattie dostrzegła w śniegu świeże ślady stóp.

Stał oparty o balustradę na samym końcu tarasu i spoglądał w dal, ponad dachami Whitehall, w stronę wrzosowisk rodzinnej Szkocji, skąd wciąż machały do niego wspomnienia z dzieciństwa. Po raz pierwszy w życiu wyszedł na taras w zimie. Niebo było tak czyste jak powietrze w tamtych porzuconych przez niego dolinach. W jego wyobraźni pokryte śniegiem dachy zamieniły się w faliste wrzosowiska, tak dobrze mu znane, bo polując ze swym służącym, schodził je wzdłuż i wszerz, wieżyczki zaś stały się świerkowymi zagajnikami, w których chowali się, obserwując, dokąd skieruje się jeleni. Takiego dnia jak ten miał wrażenie, że widzi swój stary dom w Pertshire,

że jest nawet w stanie zajrzeć prosto w serce wieczności. To wszystko było teraz jego.

Widział białe ściany Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, wyglądającego zza Pałacu Buckingham, do którego już wieczorem zajędzie w glorii i chwale. Dalej wznosiło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a obok Ministerstwo Skarbu, mieszczące się przy samym wejściu do Whitehall, skąd już wkrótce będzie rządził skuteczniej niż jakikolwiek król. Patrzył na wszystkie najważniejsze urzędy; już niedługo miał je obsadzić i zdominować, raz na zawsze grzebiąc prześladowające go oskarżenia ojca oraz wynagradzając sobie całą gorycz i samotność, na którą od tak dawna się skazywał.

Aż podskoczył, gdy zdał sobie sprawę, że ktoś stoi tuż obok niego.

— Panna Storin! — wykrzyknął. — A to niespodzianka! Myślałem, że nikt mnie tu nie znajdzie, ale pani jak zwykle zdołała mnie wyśledzić. Niechże zgadnę... chodzi o wywiad?

— Tak. Bardzo wyjątkowy.

— Była pani pierwszą osobą, z którą rozmawiałem na temat swego ewentualnego premierostwa.

— Może więc powinnam być także ostatnią?

— Nie bardzo rozumiem.

W końcu nadszedł ten moment.

— Myślę, że powinien pan to przeczytać. Właśnie otrzymałam kopię ze Zjednoczenia Prasowego.

Wyjęła z torebki niewielką kartkę i wręczyła ją Urquhartowi.

LONDYN, 30 LISTOPADA 1991

KU POWSZECHNEMU ZDZIWIENIU BENJAMIN LANDLESS OGŁOSIŁ DZISIAJ, ŻE REZYGNUJE Z PLANÓW FUZJI Z UNITED NEWSPAPERS.

W SWYM KRÓTKIM OŚWIADCZENIU LANDLESS STWIERDZIŁ, ŻE KONTAKTOWALI SIĘ Z NIM CZOŁOWI POLITYCY I PROPONOWALI ZGODĘ NA FUZJĘ W ZAMIAN ZA POPARCIE W GAZETACH NALEŻĄCYCH DO KONCERNU ORAZ WSPARCIE FINANSOWE.

„W TEJ SYTUACJI — POWIEDZIAŁ — UWAŻAM, ŻE INTERES KRAJU WYMAGA WSTRZYMANIA FUZJI. NIE ZAMIERZAM NARAŻAĆ DOBREGO IMIENIA SWEJ FIRMY, WIĘC ZMUSZONY JESTEM NATYCHMIAST ZREZYGNOWAĆ Z TRANSAKCJI, KTÓRA

JESZCZE PRZED JEJ PRZEPROWADZENIEM ZOSTAŁA SKAŻONA GODNYMI POTĘPIENIA PRÓBAMI KORUPCJI.”

Landless dodał, że prawdopodobnie już wkrótce będzie mógł podać bliższe szczegóły, ale najpierw musi się skonsultować ze swymi prawnikami.

— Nic nie rozumiem. Co to ma znaczyć? — spytał Urquhart spokojnym głosem, choć Mattie dostrzegła, że z całej siły zacisnął pięść i zgniótł w niej kartkę.

— To znaczy, panie Urquhart, że wiem o wszystkim. Że wie także Benjamin Landless i że za kilka dni będzie wiedział każdy mieszkaniec tego kraju.

Zmarszczył brwi. Na jego twarzy nie pojawił się jeszcze gniew ani cierpienie, gdyż jak trafionego żołnierza ogarnęło go spowodowane szokiem odrętwienie. Lecz Mattie wiedziała, że nie może sobie pozwolić na litość. Ponownie sięgnęła do torby, wyjęła z niej mały magnetofon i wcisnęła klawisz. Szpulki kasety, którą dostała od Landlessa, zaczęły się obracać, a po chwili rozległy się wyraźne głosy magnata prasowego i Urquharta uzgadniających szczegóły planu. Treść rozmowy nie pozostawiała żadnych wątpliwości, a jakość nagrania była wyjątkowo wysoka.

Mattie wcisnęła inny klawisz i głosy umilkły.

— Nie wiem, czy ma pan zwyczaj zakładać podsłuch w sypialniach wszystkich pańskich znajomych, czy zaszczyt ten spotkał tylko Patricka Wooltona, za to mogę pana zapewnić, że pan Benjamin Landless nagrywa każdą swą rozmowę telefoniczną.

Twarz Urquharta znieruchomiła. Powoli zaczął czuć ból.

— Niech mi pan coś powie, panie Urquhart. Wiem, że zmusił pan szantażem Rogera O'Neilla do wynajęcia na nazwisko Charlesa Collingridge'a skrytki w Paddington. Ale interesuje mnie, czy kiedy policja rozpocznie śledztwo, znajdzie na rachunku w banku podpis pański czy też jego?

Urquhart milczał.

— I tak, kiedy zgłoszę sprawę na policję, wszystko pan wyśpiewa, więc dlaczego nie miałby pan powiedzieć mi już teraz?

W dalszym ciągu milczał.

— Wiem, że razem z O'Neillem zorganizowaliście przeciek informacji o cięciach w budżecie Armii Terytorialnej. Wiem, że kazał mu pan wprowadzić do kartoteki fałszywe dane dotyczące Charlesa Collingridge'a. Nie miał na to ochoty, prawda? Podejrzewam, że był jeszcze mniej zadowolony, kiedy zmusił go pan, by wykradł tajną teczkę Samuela. Ale jednego nie jestem pewna. Czy to pan, czy też Roger wymyślił tę idiotyczne historyjkę o odwołanej kampanii promującej program rozwoju szpitalnictwa, którą sprzedaliście Stephenowi Kendrickowi?

W końcu Urquhart przemówił. Oddychał głęboko, starając się maskować napięcie.

— Ma pani bujną wyobraźnię.

— Ha, gdybym miała, już dawno bym się wszystkiego domyśliła. Nie, to nie moja wyobraźnia pana zdemaskuje, a ta kasetka. — Wskazała na swój magnetofon. — No i artykuł, który pan Landless zamierza opublikować w „Telegraphie”.

Tym razem aż nim zatrzęsło.

— Przecież Landless nigdy... nie może...

— Ależ, panie Urquhart. Chyba pan nie myśli, że pan Landless zamierza wziąć choćby część winy na siebie. O, nie. To właśnie on pana zniszczy. Pański sen przysnął, rozumie pan? Ja napiszę artykuł, Landless go wydrukuje, a pan może zapomnieć o Downing Street.

Pokręcił głową z niedowierzaniem, a na jego ustach pojawił się wąski, okrutny uśmiech. Nie wiedział, czy to mroźna pogoda, czy też wewnętrzny chłód, który czuł, sprawiły, że ponownie przeszedł go ten zimny, mrowiący dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Oddychał teraz spokojniej, a dzięki instynktowi myśliwego odzyskał panowanie nad sobą.

— Nie przypuszczam, żeby zechciała pani...? — Roześmiał się lodowato. — Nie, oczywiście, że nie. Ależ ze mnie głupiec. Jest pani na tyle inteligentna, by wszystko przewidzieć. Prawda, panno Storin?

— Ale nie na tyle, by zrozumieć, w jaki sposób zabił pan Rogera.

A więc o tym też wiedziała. Chłód sięgnął wreszcie jego serca. Urquhart nawet nie mrugnął okiem. Stał bez ruchu, skupiony i gotowy do działania. Wreszcie wiedział, co musiał czuć jego brat. Tyle że jego zaatakowało stalo-we cielsko, a nie głupia, słaba i bezbronna kobieta. Tylko jedno z nich może przeżyć i to musi być on!

Odezwał się cicho, niemal szeptem:

— Trutka na szczury. To takie proste. Zmieszałem ją z jego kokainą. — Nie spuszczał oczu z Mattie, która nie była już myśliwym, lecz zwierzyną. — Był słaby. Zasługiwał na śmierć.

— Nikt nie zasługuje na śmierć, panie Urquhart.

Lecz on już nie słuchał. Polował, prowadził grę na śmierć i życie, w której nie było miejsca na moralizowanie. Kiedy trzymał jelenia na celowniku, nigdy się nie zastanawiał, czy zasłużył na śmierć, czy też nie. Natura postanowiła, że niektórzy muszą zginąć, aby inni mogli przeżyć i zwyciężyć. Nic nie mogło mu przeszkodzić. Szczególnie teraz.

Ze zdumiewającą jak na swój wiek energią chwycił ciężkie drewniane krzesło i unióśł je nad głowę. Lecz ona wbrew jego przewidywaniom nawet nie drgnęła. Stała wyprostowana, jakby nie rozumiejąc grożącego jej niebezpieczeństwa.

— Z zimną krwią, panie Urquhart? Potrafiłby pan?

Na taką zwierzynę nigdy dotąd nie polował. Miał ją tuż przed sobą — nie na celowniku, w odległości kilkuset bezosobowych metrów — i patrzyła mu prosto w oczy. Gdy jej słowa dotarły do niego, zrozumiał, że przegrał. W jego wzroku pojawił się najpierw cień wątpliwości, a po kolejnym ułamku sekundy zniknęła gdzieś cała jego odwaga. Jęknął, gdy krzesło wypadło mu z rąk, i nagle zdał sobie sprawę z własnego tchórzostwa. Nie potrafił sprostać wyzwaniu, walczyć do końca. Stał w obliczu prawdy i przegrał. Padł na kolana.

— Niczego mi nie udowodnisz. Twoje słowo przeciwko mojemu nie ma żadnej wartości — wyszeptał.

Mattie nie odpowiedziała. Chwyciła magnetofon i wcisnęła klawisz przewijania. Szpulki kasety zaczęły wirować, a ona ponownie spojrzała na Urquharta, który drżał na całym ciele.

— To był pański ostatni błąd, panie Urquhart. Myślał pan, że go wyłączyłam?

Wcisnęła inny klawisz i powietrze wypełniły dźwięki ich rozmowy, przeklinając go każdą sylabą. Ten dowód wystarczał, by go skazać.

Kiedy powoli odeszła, zostawiając go zdruzgotanego w śniegu, ciszę w jego głowie przerwał upiorny, drwiący rechot ojca.



Promienie zachodzącego słońca przeszły mroźne powietrze, odbiły się od ośnieżonej wieży Big Bena i oślepiły amerykańskiego turystę, który próbował uwiecznić tę niezwykłą scenę na taśmie wideo.

— Budynek parlamentu — opowiadał później — stał się nagle jakby wielką pochodnią zapaloną przez słońce. To był naprawdę piękny widok. Zupełnie jakby cały budynek stanął w płomieniach.

I wtedy spod samego Big Bena coś zaczęło spadać. Jak zwęglona ćma, która wpadła w płomień ogromnej świecy. Aż się nie chce wierzyć, że to był człowiek, jeden z waszych czołowych polityków. Mówił pan, że jak się nazywał?

Była zmęczona, strasznie zmęczona, a jednak czuła niezwykły spokój. Walka ze wspomnieniami dobiegła końca, ból minął. Wreszcie mogła zwolnić.

Wyczuł tę zmianę i dostrzegł ją w jej zmęczonych, lecz triumfujących oczach.

— Wiesz co? — zadumał się. — Chyba jednak będzie z ciebie całkiem przyzwoita dziennikarka.

— Tak sobie myślę, że może masz rację, Johnnie — odparła cicho. — Chodźmy do domu.